



Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny Nr 24-26

ISSN 2080-024X

październik 2015 rok



dodatek specjalny do miesięcznika

www.tpzk.pl

„Wieści znad Orzyca” Nr 10(102)

www.naszkrasnosielc.tpzk.pl

Wprowadzenie

Szanowny Czytelniku!

Czy ciekaw jesteś innych ludzi, ich przeżyć i myśli? Co w innych cenisz, czego zazdrościsz? Ile z własnego życia i własnych dokonań chciałbyś przekazać innym? Czy innym żyje się łatwiej, i ... co to znaczy? Czy życie kiedyś było łatwiejsze niż dziś? Dlaczego dzisiaj jest tak trudno żyć, a może tylko tak nam się wydaje?

Pytań w głowie wiele, a odpowiedzi jakieś koślawe – dziś taka, jutro inna – żyjemy w mętnej wodzie.

Kiedyś było prościej – ktoś powie,

- taaak odpowiem, ... albo byłeś syty najedzony ... czymkolwiek, albo głodny – a częstsze było to drugie, gdy byłeś bezpieczny – to już szczęśliwy, choć w lepiance byle jakiej, wolny i niezależny – co wydaje się teraz normalnym stanem, bywałeś - a jakże - chwilami, pomoc lekarza była od ręki i to fachowa - ale w bajkach chyba tylko.

Historia otrzeźwia, stawia na nogi nasze poglądy, oceny i oczekiwania – poznaj ją, a będziesz szczęśliwszym. Nie dlatego, że przybędzie czegoś materialnego, wręcz przeciwnie - stracisz czas i pieniądze na książki i wiedzę, zyskasz dystans do gonitwy dnia codziennego, zyskasz lepszą ocenę rzeczywistości, po prostu zyskasz!

Zainwestuj w historię!

Niniejsze wydanie Krasnosielckich Zeszytów Historycznych to próba połączenia przeszłości i przyszłości – ciekawa i jedna i druga. To co stało się piękną kartą zamkniętego już życia Władysława Kocota jednocześnie jest ledwo otwartą kartą ciekawości ludzi Artura Zygmunowicza. Jednego i drugiego łączy doświadczenie ziemskie Krasnosielca, Drażdzewa i wielu miejscowości w okolicy, choć większość osobistych doznań, którymi się z nami dzielą doznali zupełnie gdzie indziej.

Z poważaniem

Redaktor Wydania - Sławomir Rutkowski

Niniejszy numer Krasnosielckich Zeszytów Historycznych ukazał się drukiem dzięki darowiźnie Pani Donaty Kocot-Bończak - córki Władysława. Zeszyt ten jest również współfinansowany ze środków Powiatu Makowskiego w ramach realizacji przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej zadania publicznego pod tytułem „Opracowanie i druk czterech numerów Krasnosielckich Zeszytów Historycznych” oraz kolejny już raz przy wsparciu finansowym Gminy Krasnosielce.



Dzieciństwo i młodość

strona 2



Władysław KOCOT

Dziennik wojenny 30 sierpnia - 17 października 1939 roku

strona 14



Władysław KOCOT

Pamiętniki jenieckie 1939 - 1944

strona 23



Władysław KOCOT

Ziemia o ludzkiej twarzy *Krasnosielczanin pośród romantyków i pozytywistów*

strona 47



Artur ZYGMUNTOWICZ



Dzieciństwo i młodość

Władysław KOCOT

Wprowadzenie

Czas zaciera pamięć o ludziach i wydarzeniach. Odchodzą w niepamięć ludzie wielcy i mali, przemija pamięć o czynach chwalebnych i o zbrodniach – ciągle od nowa siejemy ziarno życia, niepomni czy padnie na grunt urodzajny czy też wyjałowiony. Siejemy jednak, zawsze mając nadzieję, że da dobre i obfite plony. O ileż Siewca skorzystałby, gdyby pamiętał, która rola urodzajna i godna naśladowania, a która zakazana i winna pozostać jałowym, niegodnym uwagi oraz pamięci ugiem.

Znajomość dawnych wydarzeń i dokonań ludzi - tych wielkich, i tych marnych, a nawet niegodnych imienia Człowieka, to wiedza i wskazówka gdzie siać i co. Jakie czyny noszą chwałę, a jakie pogardę potomnych, jakie dają nadzieję nieba a jakie gwarantują wręcz piekło. Wiedzą taką jest historia – to misa, dana każdemu kto chce skorzystać, by czerpać napój bogów wiedzy i mądrości. Wiedzy która pomaga każdego dnia podążać dobrą drogą, by na jej krańcu być nazwanym dobrym człowiekiem, godnym bliskości Boga.

Władysław Kocot to człowiek wciąż żywy w moim umyśle, to Człowiek w każdym calu. Pełen jestem dla niego szacunku, stąd chęć przybliżenia Czytelnikowi jego drogi życia, by wybierając własne kroki w niepewność dnia jutrzejszego, pamiętał o jego doświadczeniach i jego dokonaniach.

W dalszej części niniejszego Zeszytu znajdziesz Czytelniku opowieść o jego dzieciństwie, młodości, staniu się nagle dorosłym i o tym ... że pomimo wielu cierpień czynił dla ludzi dobro. Na przykładzie jego życia, fascynującego życia, widać jak niewyobrażalnie wiele można dla innych uczynić i to bezinteresownie! Jeśli miałbym wskazać wzorowego Polaka, patriotę, któremu przyszło przeżyć niezmiernie trudne lata, to bez wahania wskażę Pana Władysława.

Dumny jestem, że mam możliwość w taki właśnie sposób zachęcić do lektury jego wspomnień. Warto. Warto przeczytać. Warto być porządnym Człowiekiem, a Pan Władysław takim był, i to ... na wielu frontach.

Chylę czoła również jego córce – Pani Donacie Kocot-Bończak, która m.in. poprzez kolejne publikacje, umiejętnie i z determinacją daje szansę kolejnym pokoleniom Polaków skorzystać w doświadczeń i dokumentów swojego Ojca.

*Sławomir Rutkowski
Redaktor wydania*

Prenzlau, 7 grudnia 1939 r.

Rodzinę miałem liczną, bo składającą się z czternastu osób. Dzieci były dwóch matek.

15 lipca 1900 roku jako trzecie dziecko ojca z drugiej żony. Gdy zapamiętam, miałem już rodzeństwo i starsze i młodsze. Jak mi matka nieraz opowiadała, przyleciałem na świat



Władysław Kocot przed rodzinną chatą w Szczeglinie Poduchownym w 2000 roku.

Z pierwszej matki z domu Częścików było

w dzień odpustu w Gąsewie² na święta



Władysław Kocot i Stanisław Chmielewski na grobie pchor. Józefa Chmielewskiego, wrzesień 1998 r.

Małgorzacie w sama sumę., to znaczy o godzinie 12 w południe. Dla mojej mamy była to dobra wróżba. Spodziewała się, że wyrośnie ze mnie dobry syn, z którego i rodzina i Polska będzie miała pociechę. Fakt ten matka podkreślała mi często i wtedy, gdy już zostałem nauczycielem.

Z opowiadań matki wiem, że od urodzenia byłem fizycznie drobny, wątły, jednak zdrowy i ruchliwy. Miałem na lewym uchu znamię dość duże w formie sterczącego cycka, którego w późniejszych latach wstydiłem się mocno.

czworo dzieci i z drugiej matki z domu Chaubiczów było nas ośmioro¹. Urodziłem się

Kocota narodziło się dziewięcioro dzieci, por. Tablice genealogiczne.

² Gąsewo – wieś w powiecie makowskim, w gminie Sypniewo. Odpust św. Małgorzaty przypada 20 lipca.

¹ Pomyłka Autora. Z drugiego małżeństwa Jana

Będąc w preparandzie³ w Pułtusku w 1918 r. lekarz na moją prośbę usunął mi to znamię w ten sposób, że zawiązał je nitką jedwabną i powoli uschło i odpadło. Do dziś nosze tylko znak, który jakby powoli odrasta.

Rodzice moi mieli 20-morgowe gospodarstwo. Zagroda nasza składała się z domu o dwóch mieszkaniach: dużego i małego, sieni, komory i góry, stodoły o jednym klepisku z sieczkarnią, chlewu dla koni, chlewu dla krów i chlewków dla świń oraz szopy do drewna i porządków gospodarskich, pod którą siadały również kury. Był też spichrz, czyli komórka do zboża, stanowiąca jeden budynek z oborą i stajnią. W siedlisku mamy ciasno tak, że wozem jest trudno zawrócić. Studnia stoi na miedzy. Przed sienią był mały ogródek z wiśniami, śliwami i gruszkami. Pod oknem od drogi był mały ogródek kwiatowy i kasztany. Droga przez wieś błotna. Za drogą ogród warzywny i łąka. Położenie wsi Szczeglina Poduchownego⁴ jest bardzo ładne. Po jednej stronie od południe ogrody, łąka z wodą i stawem, a za stodołami pola. Pastwiska są za łąkami, tak zwane paśniki. Dziś je orzą i zamieniają na urodzajne pola. Dawniej były tylko pastwiska. Nasze pola też są śliczne. Wieś ciągnie się ze wschodu na zachód. Pola ciągną się z południa na północ. Strony świata są dla każdego jasne. W granicach naszej wsi jest osiem włók ziemi. Ziemia dość urodzajna. Położenie wsi piękne, zwłaszcza wiosną, gdy zakwitną u rowu i na łąkach kaczęce. Wtedy wieś opasuje od południa jakby wieniec żółtych kaczęców. W stawie zamulonym dukają, kumkają i rechoczą żaby. W maju przed figurą na drodze wieczorami rozbrzmiewa majowe nabożeństwo. Ładnie jest we wsi rodzinnej! Wioska ta jest dość stara. Należała ona do biskupów plockich. Była ich własnością. Mieli oni letnią rezydencję we wsi Gąsewo (naszej parafii⁵), która też należała do biskupa plockiego.

W takiej wiosce mnie wszystko tu bawiło i podobało się. Jak sięgam pamięcią następujące obrazki przeżywałem: 1) Nie wiem ile lat miałem, jednak musiałem być malutki, bo sięgałem na paluszkach zaledwie stołu. Gdy się tak wspiąłem na paluszkach i rączkami przytrzymałem blatu stoła, to zobaczyłem srebrne, białe ruble rosyjskie leżące na stole, które ojciec liczył i przekładał z kupki na kupkę. Byłem przez starsze rodzeństwo odpychany od stoła. Każdy chciał być najbliższy pieniędzy. Radbym i ja przekładać te ładne kółka, jak ojciec, albo mieć w rączce, by je zobaczyć i spróbować. Nie dali mi nawet potrzymać. Ojciec pieniądze przeliczył i schował. Dziś domyślam się, że musiało to być w jarmark. Prawdopodobnie ojciec coś

sprzedał na jarmarku i dlatego miał takie kupki pieniędzy srebrnych. Ja się mocno rozplakałem i miałem za złe rodzicom. Przecież mogli dać na chwilę kilka monet i zadowolić dziecko. Miałem do rodziców i rodzeństwa żal, który do dziś pamiętam. Musiałem mieć wtedy około trzech lat. 2) Również mniej więcej z tego czasu pamiętam, że miałem wielką chęć dotknąć się szkła świecącej lampy. Gdy mię ktoś trzymał na rękach, wyciągałem rączkę i chciałem dotknąć tej białej lampy. Gdy ręka była już blisko szkła, odsuwali się ze mną z powrotem. Pozostało mi tylko samo patrzeć na ogień lampy z dala. Od dziecka byłem żądny. Jak coś mi się podobało lub zapragnąłem czegoś, to musieli mi dać. W przeciwnym razie rozchorowałem się. Moja troskliwa matka wiedząc o tym, starała się moje pragnienie zaspokoić. Zawsze mawiała: „Trzeba Władkowi to dać, niech weźmie lub niech zje, bo może się rozchorować i może mu się wywinąć kołtun na głowie albo, co gorsze, może go pokręcić”. Dawali mi więc na co miałem chęć do jedzenia. Kołtunki na głowie i tak nosiłem ze swoich jasnych włosów. Kołtunki te tylko fruwały, gdy podskakiwałem po mieszkaniu.

U nas w domu nie było postu na dzieci do siedmiu lat. Tymczasem ja wiele starszy będąc, jeszcze nie pościłem. Do tego stopnia, że moja młodsza o dwa lata siostra Marysia już pościła i nie jadła w piątki ze stoniną, a mnie jeszcze pozwalali. Pępuchy na słoninie pozostałe z zapustów jadłem nawet w środę popielcową. Wszystko dlatego, aby mi się nie wywinął kołtun. Dla mnie było to o tyle dobre, że jadłem to, na co miałem apetyt. Ogólnie lubiłem wszystko. Najlepiej jednak w dzieciństwie lubiłem gryczaną kaszę gotowaną w tygielku na mleku. Ulubioną moją potrawą w dzieciństwie i później był chleb razowy z mlekiem zimnym, niegotowanym oraz kartofle z kapustą. Mięsa i placka nie lubiłem przez długi czas zupełnie. Do tego stopnia, że gdy przyszły Święta Bożego Narodzenia, czy Wielkanocne, to ja ani ciasta ani mięsa nie wziąłem do ust. Nie mogłem patrzeć na mięso, zwłaszcza na tłuste. Wtedy dostawałem od matki chleb razowy z mlekiem lub co innego. Dopiero około dziesiątego roku życia zacząłem próbować mięsa zwłaszcza chudego, z którego, pamiętam, wyciągałem po włókienku i zjadałem. Ciasto jadłem wtedy nawet ze smakiem, gdy już ze świąt wychodziło, gdy było już stare i były resztki. Gdy byłem malutki jadałem oddzielnie z miseczki, a gdy podrosłem, tłoczyłem się do wspólnego stołu i do wspólnej miski. Jadała rodzina ze wspólnych misek. Tylko ojciec zawsze, jak tylko zapamiętam, jadał sam, oddzielnie. Matka też oddzielnie, ale gdzieś w pobliżu kuchni. Sama jadła i nam dokładała i dolewała. Na tak liczną rodzinę jak nasza trzeba było gotować duże sagany. Apetyty mieli wszyscy. Gotowało się trzy razy dziennie. Czasami tylko w niedzielę i to przeważnie zimą obiad był zimny, bo powróciwszy z kościoła trzeba było zabierać się do kolacji i oporządku. Również w niedzielę należało trochę odpocząć.

Prenzlau, 30 grudnia 1939 r.

Do sześciu lat przebywałem przeważnie w domu, w mieszkaniu. Latem mieszkaliśmy w małej izbie o podłodze z cegły, a na zimę przenosiliśmy się z gotowaniem i spaniem wszyscy do dużej izby. Gdy było ciepło, to jest wiosną, latem i jesienią, biegałem po podwórku i bawiłem się z rodzeństwem. Wielką przyjemność dla mnie jako dziecka było kopanie dołków pod płotem na drodze i robienie z wody i piasku placzków. Przy tej zabawie często się zbrudziłem, więc matka zabraniała nam tej zabawy. Piec placki mogliśmy tylko ukradkiem. Czasami jednak i tak od matki dostaliśmy po kilka placzków na tylek, gdy nas przyłapała, zwłaszcza po deszczu. Często rozbawiłem się z rodzeństwem za dużo. Matka nas wtedy uczyła słowami: „Dzieci do kąta i pieca”, „Siedzieć cicho”. Gdy słowa nie pomogły, to mama ręką uderzała, które się nawinięło bliżej. Jednak takie uspokojenie matki na długo nie trwało. Znow zaczęliśmy wrzeszczeć. Zławsza zimą, gdy ciągle byliśmy od rana do wieczora w domu. Jednak, gdy ojciec był w domu, to zawsze był spokój.

Ojciec nas nie bił, nie krzyczał, ale jak na które z dzieci spojrział i powiedział: „Siedź spokojnie”, to już cichło wszystko. Dla ojca czuliśmy wielki respekt. Pamiętam to od maleńkości.

Przed szóstym rokiem życia umiałem już dobrze mówić i szczebiałem całymi dniami. Mówiłem wszystko, co mi ślina na język przyniosła i co słyszałem od rodzeństwa i starszych. A musiałem czasami wymawiać i takie słowa, od których matka i starsze siostry były widać zgorzone. Krzyczeli na mnie, upominali. Tłumaczyła matka, że tak mówić jest nieładnie, brzydko i to jest ciężki grzech. Pan Bóg może mię skarać za takie słowa. Gdy zaś w krótkim czasie powtórzyłem takie słowo, nawet dostałem lanie. Często nie wiedziałem, jakie to słowo było brzydkie, a matka, nie chcąc powtarzać i gorszyć mnie i innych, nie wymówiła tego strasznego słowa. Skrzyżany, zląjany nieraz wlałem na ławkę przy piecu lub na łóżko i dumałem, co powiedziałem niedobrego. Radbym był wiedzieć, które to słowo jest brzydkie. U mnie wszystkie słowa miały jedną wartość. Mówiłem, co widziałem, czułem, chciałem i byłem wesoły. Najczęściej przytrafiło mi się powiedzieć złe słowo, gdy byłem bardzo rozbawiony. Wtedy było najłatwiej o wypowiedzenie niedobrego słowa. Pamiętam nieraz było tak wesoło w mieszkaniu, że aż izba gadała, a tu ktoś z rodzeństwa zawołał: „O! Mamo! Władek powiedział tak brzydko!” Cichło więc wszystko. Matka mię karciała, a ja nie zawsze wiedziałem, które słowo było brzydkie. Jeśli czasami i domyślałem się któregoś słowa, to znow sam nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego ono było brzydkie. Nie rozumiałem go. Nie wiedziałem, co znaczy słowo „błuzni”. Za wypowiedzenie niektórych słów ma się zaraz grzech, a matka i starsze rodzeństwo mogą nie tylko skrzyzczeć, ale nawet wybić. Radbym poznać te słowa i ich nigdy nie wymawiać. Uspokoilem się i znow zaczynam paplać, bacząc, by nie wypowiedzieć brzydkiego słowa. Jednak takie słowo wyrzywało się najczęściej wtedy, gdy starałem

³ W Polsce międzywojennej: kurs wstępny do seminarium nauczycielskiego.

⁴ Szczeglin – wieś w woj. Mazowieckim, w powiecie makowskim, w gminie Sypniewo.

⁵ Parafia pw. św. Małgorzaty została erygowana prawdopodobnie w XIII w., do 1992 roku znajdowała się w diecezji plockiej, następnie łomżyńskiej. Na przełomie XIX i XX w. świątynią parafialną był drewniany kościół, zbudowany w latach 1794-1795. Obecnie w jego miejscu w latach 80-tych XX wieku wzniesiono kościół murowany.

się być najlepszym dzieckiem. I znów bura. Znów myślałem, jakie to są słowa zakazane. Jednak nie dowiedziałem się. Od tego czasu już nie wypowiadałem swoich myśli jak szły z duszy prosto, tylko zacząłem się zastanawiać nad słowami. Jednak jeszcze długo wrywały mi się słowa zakazane, jakimi były przekleństwa, słowa wulgarne i oznaczające bluźnierstwo.

Prenzlau, dnia 31 grudnia 1939 roku.

Sylwester, godz.10 rano. Przed chwilą wróciliśmy z nabożeństwa z jadalni. Siadłem na łóżku, właściwie na sienniku, leżącym na cementowej podłodze w garażu samochodowym jako sali zamieszkania naszego w niewoli niemieckiej. Myśli cisną się do głowy razem z ostatnim dniem tego nieszczęśliwego i okropnego roku dla całego narodu polskiego. By oderwać się od tych smutnych myśli, wracam do chwil szczęśliwych mojego dzieciństwa. Dzieciństwo moje, aczkolwiek upłynęło w niewoli, jednak było szczęśliwe, bo dziecko nie rozumie i nie zna niewoli. Wracam więc do tematu, do mojego dzieciństwa. W szóstym roku życia zachorowałem mocno. Choroby nie pamiętam. Miałem tylko wielką gorączkę i bredziłem w malignie. Jednak czasami zauważyłem, że z moich bredni zwłaszcza młodsze rodzeństwo śmiało się. Tymczasem matka stawała przede mną lub siadała na moim łóżku i popłakując, mówiła do mnie słowa pociechy. Między innymi, które do dziś pamiętam zupełnie wyraźnie są to: „Nie martw się synu. Będziesz zdrowy. I jak przed chorobą będziesz się bawił i biegał. A gdyby Boziułce spodobało się ciebie zabrać do siebie, to będziesz aniołkiem. Będziesz miał skrzydełka i razem z innymi aniołkami będziesz fruwał i śpiewał małemu Jezusowi na chwałę. Że byłbyś po śmierci aniołkiem, to jest pewne. Jeszcze nie masz siedmiu lat, więc swojej duszyczki nie splamiłeś jeszcze żadnym śmiertelnym grzechem. I kto wie, czy nie lepiej byłoby dla Ciebie teraz małym umrzeć. Byłbyś na pewno aniołkiem. Co Matka Boska da, to będzie. Nie martw się Władziu kochany, skarby moje. Pan Bóg nad nami.” Ja, choć byłem taki malec, nie chciałem umierać. Nie chciałem nawet być aniołkiem po śmierci. Wolałem żyć. Miałem wiarę i tę pewność, że wyzdrowieję i będę żył. Ja sobie w duszy mówiłem, że aniołkiem chcę zostać, ale później. Teraz chcę żyć! Jednak słowa matki, że „zostaniesz aniołkiem” były dużym balsamem. Biedne i stroskane matczyńskie tak mnie pocieszało wtedy! Tak się zgadzała z wolą bożą i tak święcie wierzyła, że zostaną aniołkami w gronie niebieskim. Wierzyła w moją niewinność i w czystą duszę własnego dziecka. Bóg dał, że wyzdrowiałem. Znów bawiłem się jak dawniej.

Czasami bawiąc się zrobiłem jakąś szkodę. Na przykład pewnego lata wyszedłem sam za stodołę na pole. Podobały mi się kwitnące kartofle u sąsiada. Chciałem je posadzić u siebie w podwórku. Mając dużo czasu rwałem z kolei te młode kartofle i kładłem na kupę. Wyrwałem wiele krzaków. Później gospodarz miał do moich rodziców pretensję, że nie pilnują dzieci. Tego faktu rwania kartofli u Makociów dobrze nie pamiętam, gdyż chyba miałem ze 4 lub 5 lat. Pamiętam to dlatego

dobrze, bo mi matka często przypominała, gdy byłem dorosłym.

Mając siedem lat, w czerwcu poleciałem ze starszym bratem Franciszkiem na naukę⁶. Ja na przysłuchy. Nauka odbywała się w kościele w Gąsewie. Tego dnia naukę prowadził organista, gruby Kołakowski. W kościele stałem cichutko obok brata i słuchałem, co mówi organista. Gdy mówił głośniejszy lub krzyczał na dzieci, mocno się bałem. A już całkiem struchlałem, gdy ten organista uderzył chłopaka książką prosto w głowę, aż echo rozległo się po kościele.

To pamiętam do dziś. Po tym fakcie straciłem chęć lecieć następnymi dniami na przysłuchy. Trochę się bałem. Po pewnym czasie byłem na przysłuchach jeszcze kilka razy. Z tych przysłuchów zapamiętałem jeszcze sobie, jak tenże organista wymyślał i przezywał chłopaków, którzy, choć dryblaszy, nie umieli katechizmu i po kilka lat chodzili na naukę.

Na drugi rok, ukończywszy osiem lat, chodziłem już na naukę. Chodziłem dzień przy dniu. Latałem z chęcią. Zresztą matka do kościoła napędzała nas wszystkich. Katechizmu nauczyłem się jakoś prędko na pamięć. I mocno dziwiłem się tym dryblasom, którzy chodzili po kilka lat i nie mogli [nauczyć się] katechizmu. Wąsy im się rznąły, a oni chodzili na naukę. Nie pomogły i protekcje matek. Na nauki biegłem wcześniej, by móc przed lekcją grać z kolegami w guzy, do których miałem spryt nie lada. Pięćdziesiątka nieduża, jednak grałem dobrze i przeważnie wygrywałem. Graliśmy o kamienie przed parkanem. Wygrane guziki nawlekałem na nitkę i z dumą pokazywałem rodzeństwu, a nawet matce. Przy wygranych guzach były i te, które po kryjomu urzynałem od różnych szmat na górze. Na naukę chodziłem tylko jeden rok.

Cóż to za radość była dla mnie, matki i całej rodziny, że się dostałem do spowiedzi. Rodzice kupili mi nowe ubranie. Byłem szczęśliwy! Do tej pory chodziłem tylko w tym, co matka sama uszyła z samodziału. Teraz mam kupne! Tak do spowiedzi, jak i do Komunii Świętej chodziłem z matką, która niemal całą drogę prowadziła mnie za rękę i strzegła, bym nie zgrzeszył. Do pierwszej Komunii Świętej szedłem w parze z kol. Mosakowskim Janem z Raw⁷. Tego dnia byłem szczęśliwy! Trochę się zasmuciłem podczas samej Komunii Świętej, bo oto jeden z kolegów, niejaki Putrzyński Józef z Zofijowa⁸, rano zjadł trochę kwaśnego mleka i nie mógł przystąpić razem z nami do Komunii Świętej. Plakał chłopak w kościele głośno, aż mi go żal było. Tego dnia byłem bardzo szczęśliwy. Tak mi było błogo i lekko na duszy, że omal nie uleciałem w górę. Czulem, że rodzina, a przede wszystkim matka, byli bardzo zadowoleni ze mnie.

W ósmym roku życia miałem już i obowiązki. Pamiętam, że gdy wróciłem z nauki, musiałem ze starszym bratem pasać świnki, na stawie wiejskim, ogólnym. Za

⁶ Autor zaczął uczęszczać na lekcje religii.

⁷ Rawy - wieś w pow. makowskim, w gminie Sypniewo należąca do parafii Gąsewo.

⁸ Zofiovo - wieś w pow. makowskim, w gminie Sypniewo należąca do parafii Gąsewo.

pasionką leciałem nawet chętnie, tym bardziej, że matka na drogę dawała nam po kawałku chleba z masłem, który bardzo lubiłem. Do pasionki mieliśmy najczęściej maciorę z prosiakami. Lubilem pędzić świnki z batem w rękę i podskakiwać przez wieś. Świnki pasalem przez kilka lat, to jest dopóki nie poszedłem za pasionką krów i koni. Co prawda nie pasalo się świń regularnie i co dzień jak krowy. Jednak latem pasaliśmy dość często. Staw był nieduży.

Prócz murawy były i kałuże z wodą, w których się świny tarzały i chłodziły. Pewnego razu na stawie zauważyłem następujące odkrycie. Pośrodku stawu leżał duży kamień z dziurą, zrobioną świrem, bolcem, meslem⁹. Ktoś miał zamiar rozstrzelić kamień prochem. Dziura była głęboka, gotowa. Po deszczu dziura napełniła się wodą do wierzchu. Żałowałem, że nie będę mógł oglądać pięknej, okrągłej dziurki. Wszak wody nie wyleję, bo nie przewrócę kamienia. Po kilku dniach znów znalazłem się na stawie. Odwiedziłem ulubiony kamień i o dziwo! Dziura była pusta. Kto wylał wodę z tego kamienia? Kto był taki silny, żeby wywrócić taki duży, ciężki kamień? I co ciekawsze, murawa dookoła kamienia została nienaruszona. Nie było żadnego znaku popsucia murawy. Dziwiłem się mocno i długo. Koledzy nie umieli mi tego wytłumaczyć. Wszyscy zgodzili się na jedno. Wodę musiała wylać czarownica. Kamień był więc zagadkowy. Wprawdzie któryś z chłopców czy dziewczynek wspominał, że to woda wyschła, ale myśmy tego nie rozumieli. Byliśmy pewni, że to czarownica wodę wylała lub wypila. Ja dumałem przez kilka dni o kamieniu. Intrygował mnie coraz bardziej. Wreszcie odważyłem się zrobić czarownicy na psotę. Nalałem wody ze stawu pełną dziurę. Niech czarownica wylewa i męczy się. Nazajutrz oglądałem. Wody jest tylko nieco mniej. Znów dołałem do pełna. Następnego dnia wody było mniej, ale była. Wtedy doszedłem do przekonania, że czarownica musi po trosze pić wodę. Nie wiedziałem tylko jak to ona robi. Ażeby czarownicy zrobić na szkodę, której nie lubiłem ze słyszanych od ojca przepowiadstek, zamiast wody wysykałem się do dziury. Niech teraz czarownica pije. Oszukałem ją. Choć raz zrobiłem tej marnej babie na psotę. Może się otruje, zdechnie i nie będzie dzieciom dokuczala. Po pewnym czasie dziura w kamieniu była pusta. Jednak nie słyhać było we wsi, aby gdzieś czarownica umarła. Wtedy pomyślałem sobie, że takiej czarownicy i mocz smakuje i nie szkodzi. Przestałem więc nalewać wody do dziury na psotę dla czarownicy, natomiast postanowiłem ją kiedy zobaczyć pijącą z kamienia. W tym celu na tym kamieniu zaczęliśmy piec placki z błota. Zostawiłem część błota umyślnie, aby na nim odbiła się stopa czarownicy. Jednak błoto schło, opadało, a śladu stopy czarownicy nie było.

Przyszła wojna światowa. Weszły do nas Niemcy w 1915 roku i zaczęli budować szosę. Nasz kamień został rozstrzelony i wywieziony na szosę. Dziś jeżdżą po nim wozy. Jako typ wzrokowy wszystko zobaczyłem, zauważyłem. Często lecąc na naukę, względnie do szkoły do

⁹ Mesel - z j. niemieckiego przecinak.

Gąsewa, zdarzało się, że znajdowałem guzy, pieniądze miedziane, a nawet igły czy szpileczki. Radowałem się niezmiernie, gdy coś znalazłem. Uważałem to za swoje szczęście. Za znalezione kopiejkę kupowałem sobie cukierki.

Kreuzburg, 16 stycznia 1940 roku.

Warunki mieszkaniowe miałem niezbyt dobre. Zbyt liczna rodzina mieściła się w jednym mieszkaniu. Jak tylko zapamiętam, od dziecka do jakiś dwunastu lat sypiałem na łóżku z rodzeństwem w trójkę lub zimą nawet w czwórce. Sypiałem w głowach i w nogach, pod jedną wspólną pierzyną. Najczęściej spało nas trzech braci i siostra. Na łóżku był rwetes! Wieczorem po położeniu się do łóżka, zanim usnęliśmy dokazywaliśmy i wrzeszczeli. Każdy ciągnął pierzynkę na siebie. Powstawały kłótnie, skargi, które uciszała matka, a nawet i ojciec krzyknął. Spać było ciepło. Latem było lepiej ze spaniem, bo rozeszliśmy się po dwóch izbach. Starsi z ojcem spaliliśmy w stodole, na chlewie, na sianie lub nawet w oborze, w odpowiednim kojcu, łóżku. Najgorzej było zimą. Wszyscy w domu. Przeciętnie spało nas trzynaścioro. Zanim przybyło nam młodsze rodzeństwo było nas mniej. Jednak wtedy znów byli bracia i siostry z pierwszej matki, zanim we troje odjechali do Ameryki.

Pod względem spania byłem bardzo nieszczęśliwy. Mianowicie od dzieciństwa w nocy podczas spania sikałem w łóżko. Drugi brat młodszy Edward też sikał. Było nas więc dwóch szczyłów, jak nas rodzina przezywała. Reszta zawsze miała sucho pod sobą. Czasami komuś z młodszego rodzeństwa przydarzyło się zsiakać w czasie snu, ale to był bardzo rzadki wypadek. Myśmy znów mieli noce rzadkie bez wypadku. Cierpiałem z tego powodu bardzo dużo. Nieraz miałem koszulinę mokrą po szyję. A parowa sięgała spod łóżka do pieca. Każdy więc poranek miałem niewesoły. Krzyczała matka, ojciec i cała rodzina. Przechodzili szczęliem. Czasem od matki dostałem lanie, bo nie sposób było wysuszyć pościeli, słomy i łóżka, a zwłaszcza zimą. Tym bardziej, że lato nas dwóch często w jedno łóżko. Na jednym łóżku spali oboje rodzice i w środku sypiało najmłodsze dziecko. Na drugim łóżku spały dwie lub trzy siostry, a na trzecim sama drobniaczka. Gdy nie mogliśmy się już zimą pomieścić, to mój starszy brat Franciszek sypiał na sienniku u pieca. Zimą mnie ciągle bywało zimno. Na łóżku miałem mokro, we dnie latałem najczęściej boso po zimnej podłodze, bo nie sposób było wszystkich obkupić. Rodzice starali się, abyśmy jedzenia mieli pod dostatkiem. Chleb więc był zawsze i gotowane jedzenie trzy razy dziennie. Widać to latanie na bosaka zimą i latem przyczyniało się, że miałem już ponad 10 lat i jeszcze ciągle sikałem. Gdy byłem kilkuletnim rano cisnąłem się do pieca do samych drzwiczek, aby się ugrzać od kuchni. Puszczano mnie rodzeństwem jako najmłodszego. Później, choć byłem już starszy, to puszczali mnie, bo byłem mokry i musiałem się wysuszyć. Zresztą matka miała jakąś największą słabość do mnie i nawet młodsze rodzeństwo siedziało z dala, a ja się grzałem. O miejsce pod piecem na ławie było ciągle spieranie się i kłótnie. Gdy doszedłem już do rozumu, wstydziałem się coraz bardziej

tego nocnego lania we śnie. Starłem się mniej jeść i pić, ale nie pomagało. Prześladowali mnie wszyscy. Wszyscy zgodnie, a zwłaszcza rano zapowiadali, że kolacji nie dadzą. Jednak skoro przyszła kolacja, dobra matka dawała jeść i mówiła, że to: „Ostatni raz Ci daruję i daję kolację. Pamiętaj, żebyś się nie zeszczuł tej nocy”. Obiecałem i jadłem. Rano było to samo. Słowa nie dotrzymałem. Pod łóżkiem stała parowa, a ja w mokrej koszuli. Było mi wstyd i czasami dostałem po skórze. Myślałem, co by to zrobić, aby tej wady się pozbyć. Zgodziłem się na suchą kolację. Nie pomagało. Po suchej kolacji napiłem się wody i rano kałuża nowa stała pod łóżkiem. Po dziesięciu latach zacząłem myśleć nad tym, jakby uniknąć złego. Zacząłem mniej pić zimnej wody i później kłaść się spać. Trochę pomagało. Budzili mnie w nocy na nocnik. Wstawałem i było nieco mniej wypadków. Ale były. Będąc w jedenastym roku życia dowiedziałem się, że można przespać noc sucho, jeśli się pataška zwiąże nitką. Pomyślałem nad tym. Po kryjomu przed wszystkimi zawiązałem sobie w izdebce zaraz po śniadaniu. Przed obiadem zachciało mi się lać. Powstrzymuję. Zaczyna bolić. Lecę do izdebki. Oglądam. Członek napuchł i szczyliem. Zdjąć nitki nie mogę. Boli. Z wielkim bólem i ze strachem nitkę zerwałem. Odetchnąłem. Ból minął, członek był normalny. Tego sposobu już nigdy nie próbowałem. Jednak nikomu o tym do dziś nie mówiłem.

Kreuzburg, 16 stycznia 1940 roku, wtorek.

W dalszym ciągu martwiło mnie to moje spisywanie się nocne. Po za tym wstyd mi było przed rodziną i rówieśnikami, którzy przecież też wiedzą o takich sprawach i w razie kłótni przezywiają, nawet na drodze publicznie. Gdy stawałem się starszym i mądrzejszym, wtedy sam już unikałem nadmiernego picia wody i objadania się rzadką kolacją. Natomiast prosiłem, żeby matka czy rodzeństwo po przebudzeniu się budziło mnie częściej na nocnik. Wtedy pomagało. Zdarzał mi się wypadek coraz rzadziej. Krępowało mnie to tym mocniej. Z radością więc witałem wiosnę i lato, bo mogłem pójść spać na siano, na chlew czy do stodoły. Tam, choć mi się i kiedy przydarzyła przygoda, to jednak nikt o tym nie wiedział. W tym celu starałem się spać w dachach jak najdłużej. Pamiętam, że niekiedy jesienią to do domu sprowadziłem się ze starszym swoim bratem Franciszkiem dopiero na święta Bożego Narodzenia. Gdy było za zimno spać na chlewie, to robiliśmy sobie kojce w chlewie u krów i spaliliśmy dalej. Na święta to już trzeba było się sprowadzić do domu. No i wtedy dopiero nadchodziły mrozy.

Ostatecznie spać było ciepło, tylko samo wstawanie i kładzenie się do spania było niemiłe. Zimno było, ale nawet zdrowiej, niż w ciasnej izbie. Gdzieś w dwunastym i trzynastym roku życia, to wypadki nocne były już bardzo rzadkie. Może kilka razy do roku. Później już ustało zupełnie. Był jednak wypadek jeden, że ten wypadek przytrafił mi się w 18-stym roku życia. I to było w Pułtusku, gdy chodziłem na drugi kurs preparandy nauczycielskiej. Co gorsza spałem razem z kolegą Dałgiewiczem na jego łóżku.

Wprawdzie on tego nie zauważył, bo z rana ja gorliwie posłałem łóżko. Wstyd był ogromny. Zacząłem się martwić i kolacji jadłem mało. Ten wypadek zdarzył się do dziś ostatni raz. Chyba się do końca życia już nie posikam. Ten ostatni wypadek pamiętam dobrze dlatego, że byłem już dorosłym i że zaszedł na skutek snu. Śniło mi się, że szedłem polem, stanąłem przy kamieniu i go zmoczyłem. O ile pamiętam, to najczęściej lałem właśnie na skutek takiego snu. Zwykle śniło mi się, że odlewam się na jakiś kamień, słupek, drzewo, płotek itd. lub z przeziębienia się. Chyba te dwa powody robiły mi tyle wstydu i kłopotu. W tej sprawie uważam, że rodzice i domownicy nie powinni krzyczeć, bić i głodzić dziecko, bo ono naprawdę jest niewinne. Ono rade by mieć sucho w łóżeczku i nie być wysmiewane i bite. Ono nie może złemu zapobiec. Wszak dzieje się to nieświadomie, w czasie snu. Trzeba go ciepłej ubierać i w nocy się nim opiekować, a już zło zmniejszy się. Dzieci są niewinne i dużo cierpią, jeżeli nocą leją pod siebie.

Wreszcie poznałem ten wyraz, poznałem całą „alamentę”, a „Róźdzkę” nauczyłem się na pamięć. W ciągu zimy poznałem dobrze elementarz pod opieką matki. Na drugi rok, tj. w 1910/11 roku po Wszystkich Świętych sprowadzono do wsi nauczyciela p. Szejkowskiego ze wsi Zamościa. Był to zwykły wieśniak.

Kreuzburg 21 stycznia 1940 r.

W 1909 r., to znaczy w dziewiątym roku życia, mama kupiła mi pierwszą „alamentę”¹⁰ i kazała się uczyć. Obrączków w książce nie było. Na pierwszą stronicy był alfabet małych i dużych liter. Później szły sylaby poczynając od: ba, be, bi, bo, bu; ca, ce, ci, co, cu itd. Później ab, eb, ib, ob, ub itd. Na ostatniej stronicy był wierszyk „Róźdzka”. „Róźdzka dziecięcki bić radzi. Róźdzka i zdrowiu nie zawadzi” Nauczyłem się najpierw literek, a później sylabizowania przy pomocy matki i starszego rodzeństwa. Nauka czytania poszła mi dość łatwo. Był jeden wyraz bardzo trudny. Pamiętam go do dziś. Oto on: „taca”. Był to dla mnie wyraz oderwany. Nie znałem tacy. Namozoliłem się długo zanim go zapamiętałem. Matka przyszła mi tu z pomocą, do której stale zwracałem się o dopowiedzenie, nawet wtedy, gdy była zajęta najpilniejszą pracą. Tłumaczyła mi w ten sposób, że mówiła: „Zapamiętaj sobie słowo „potaca”. Przędzie się „potaca”, płucze w wodzie. Odejdziesz po- a zostanie ci ten wyraz z alamenty „taca”. Zrozumiałem. Kilka razy wymówiłem sobie wyraz „potaca” i umiałem ten trudny wyraz. Wyraz ten był tak trudny, że nad przypomnieniem go tak myślałem, że się spociłem, a omal nie płakałem, gdy przez dłuższy czas nikt nie chciał mi podpowiedzieć.

Wreszcie poznałem ten wyraz, poznałem całą „alamentę”, a „Róźdzkę” nauczyłem się na pamięć. W ciągu zimy poznałem dobrze elementarz pod opieką matki. Na drugi rok tj. 1910/11 roku po Wszystkich Świętych sprowadzono do wsi nauczyciela p. Szejkowskiego ze wsi Zamościa. Był to zwykły wieśniak. Miał suchą rękę, do pracy się nie nadawał, a że czytać umiał dobrze, więc go

¹⁰ Alamenta - gwarowo elementarz.

wzięli na nauczyciela. Uczył od Wszystkich Świętych do Wielkanocy. Wtedy był popęd do nauki, bo mówił o Polsce. Opowiadali, że „Polska będzie sama w sobie. Będzie wolna i rusków nie będzie.” Pamiętam jak mama mówiła, że „kto umie czytać i pisać, to już nie jest ślepy i takiemu jest dobrze na świecie. Najgorzej jest człowiekowi ślepemu. Wszyscy go oszukają”. W tym celu sprowadzono tego nauczyciela.

Szkoła była przenośna. To znaczy po trzy dni uczyliśmy się w tych domach, z których dzieci chodziły. Jeśli z domu chodziło dwoje dzieci, to byliśmy 6 dni itd. Nauczyciel tam już jadł i sypiał. Uczyliśmy się na zwykłych stołeczkach lub ławach, zrobionych z desek czy derki od wozu. W takiej szkole było bardzo ciasno. Prócz dzieci uczących się, była i liczna rodzina gospodarza. Ponadto przychodziła i młodzież dla ciekawości. Uczyliśmy się na różnych książkach. Ci, co lepiej czytali mieli jakieś „snopki” i książki do nabożeństwa. Przesłuchiwanie lekcji odbywało się w ten sposób, że które dziecko umiało dobrze dany urywek w książce zadany, szło do nauczyciela siedzącego przy stole i czytało. Nauczyciel patrzył i słuchał. Jeżeli które dobrze czytało, zdawał inny urywek znacząc palcem dokąd. Jeśli ktoś bąkał, to nauczyciel kazał mu siadać i uczyć się dalej. Jeżeli które dziecko miało wprawę w czytaniu, to szło i kilka razy na godzinę zdawać. Słabi szli przeważnie wtedy, gdy byli wywołani. Uczyliśmy się od rana do wieczora z przerwą obiadową, w czasie której rozbiegaliśmy się po domach. Paus nie było. Kto chciał wyjść na dwór, to szedł. Nauki pisania nie było. Stale czytaliśmy półgłosem, cicho i w myśli. Co sobota była „rekreacja”. Nauczyciel miewał pogadankę wzniosłą do wszystkich, a myśmy mu znosili podarki czy zapłatę za naukę, po kilka trojaków.

Ta szkoła była po kryjomu przed strażnikami. Toteż, gdy czasami strażnicy przyjechali z gminy do wsi za czym, to myśmy niemal z płaczem, ze strachu rozbiegaliśmy się po zastodolu i przez ogrody i podwórza do domów. Książki po drodze chowaliśmy, gdzie kto mógł, aby nie mieć ich w ręku. Raz w takiej ucieczce wsadziłem swoją książkę w stertę krupki¹¹, stojącą za stodołą. Strażnicy odjechali ze wsi, a my z powrotem wracaliśmy. Nauczyciel - starszek mówił pogadanki do nas szczerze, z uczuciem. W czasie przemowy pienił się. Lubiłem go. Nie dostałem od niego ani razu. Jednak jego batem dostałem. Było to tak. Był lód dobry do ślizgania. Szkoła była u nas. W obiad wyrwałem się na lód. Było nas kilku. Ślizgałem się zawzięcie i z rozkoszą. Koledzy już wrócili na lekcję, a ja zostałem. Wołania na obiad nie słyszałem. Wróciłem późno i zmachany. Znalazłszy się w domu najpierw dostałem porcję od matki. Skrzyzczała mnie. Wstyd mię było dzieci i nauczyciela. Rozplakałem się i nie chciałem jeść obiadu. Nawoływał mię do jedzenia i nauczyciel. Uparłem się i nie chciałem. Ostatecznie ojciec rozkazał. Ja nie. Wtedy ojciec wstał, wziął bat od nauczyciela i jak mi przyrznął kilku przez plecy, to myślałem, że się skręcę z bólu. Parzyły mnie żywym ogniem uderzenia. Szczęście, że siedziałem na krześle i część bata uderzyła o poręcz krzesła. Myślałem, że już po

mnie. Ojciec odszedł, położył bat, siadł i nic nie mówił. Raz tylko powiedział: Jedź”. Wtedy jadłem. Jadłem nie tylko zacierki na mleku, ale i lzy, które spadały po policzkach na łyżkę, miszkę, stół i ubranie.

Ojciec mało kiedy bił nas. Baliśmy się spojrzenia ojca. Osobiście dostałem wtedy za lód i jeszcze raz, gdy byłem starszy i nie usłuchałem starszego brata na polu. Od matki przytrafiło się coś oberwać na plecy dość często. Jednak lekko. Matka łajała nas najczęściej słowami, a biła ręką. Czasami jakąś wicią lub pasem. Zresztą mama biła, ale nas żałowała. Silnie nie uderzyła. Nie miała takiej siły. W szkole domowej nauczyłem się niezłe czytać.

Następnej zimy, 1911/12 chodziłem trochę do nauczycielki pani Matyldy we wsi. Lubiłem przy niej siadać i zdawać lekcje. Było bardzo miło. Podobała mi się ona. Siedząc przy niej i zdając lekcje, czułem od niej idące ciepło i jakiś miły prąd. Była bardzo ładną i przystojną panną. Dzieci chodziły do szkoły gminnej do Gąsewa i uczyły się tam po rosyjsku i po polsku. Moi koledzy rówieśnicy poszli. Ja zostałem w domu. Byłem zbyt mały. We wsi pani Matylda uczyła krótko i już szkółki nie było. Wszak trzeba było utrzymać nauczyciela, no i niebezpiecznie było uczyć się po kryjomu. Chętnie latałem do kolegi, który chodził do Gąsewa i oglądałem jego książki. Ładne były. Zwłaszcza te obrazki. Radbym patrzeć na nie długo, ale koledzy przewracali kartki dalej i dalej. Siedziałem w domu i kołysałem dziecko lub w ogóle bawiłem młodsze rodzeństwo.

Kreuzburg 23 stycznia 1940 r. (wtorek).

Zimą huštaliśmy się na prządzionie zawieszonym na kuli, białej w belek. Lubiłem się huścić, ale krótko, bo przyprawiało mnie o mdłości. Scyzorykiem lub nożem wyrzynałem klocki do zabawki, bierki i lubiłem coś majstrować. Nóż łąpałem ukradkiem. Krzyczano, żeby się nim nie skaleczyć. Wieczorami bawiliśmy się w „ślepa babkę”, chowanego, wywracanie sprzętów do różnych gier i krzyki. Matka musiała nas uspakajać. Zwłaszcza zimą po kolacji wściekaliśmy się! A gdy ojca zabrakło w domu, gdy wyszedł na wieś, to już na łbach stawaliśmy. Śpiewy, tańce, krzyki, sama radość! Kończyło się z pójściem spać. Często wieczorami słuchaliśmy śpiewu sióstr lub bajek. Najładniejsze, najciekawsze i najcudowniejsze przepowiadki opowiadał nam nasz ojciec. I dzieci i starsi słuchaliśmy przepowiadek ojca z zapartym oddechem. Ojciec był niewyczerpany. Co którą opowiedział, to jeszcze ciekawsza. Na te przepowiadki schodziła się do nas młodzież z całej wioski. Przyglądałem się jak starsi grali w karty, w „woza” lub na zapalki. Karty były ładne!

Śniadanie, obiad, kolacja i zjedanie kawałków chleba suchego lub z mlekiem wypełniały mi dzień. Wiosną i latem wyrwałem się na dwór, na paśnik, na staw, na pole! Wszystko mnie ciekawiło. Ani się obejrzałem jak mię zaprawiono za pasionką krów. Początkowo latałem z ciekawością na własną prośbę z chęcią za krowami, ze starszym bratem. Później już musiałem sam

pędzić na pastwisko i paść krówki.

Murnau, 7 lipca 1940 r.

Najgorzej było wstawać rano o wschodzie słońca. Chciałem spać za wszelką cenę. Nie miałem siły oderwać głowy od poduszki. A tu rodzice, a zwłaszcza ojciec co chwila woła. „Władek wstawaj śpiochu! Słonko wysoko na niebie. Ludzie już dawno swoje bydło powyganiali, a nasze precz stoi i ryczy. Wstawaj, bo zaraz będzie upał i krowy uciekną z paśnika głodne.” Odzywałem się, „zaraz już wstaję, idę już” i dalej spałem. Trwało to z kilka pacierzy. Śpiąc na chlewie, słyszałem jak matka lub siostra doła krowy. Musiałem wstać wtedy, gdy ojciec rozgniewany wszedł po drabinie w dymik i krzyknął: „A ty łajdaku! Jeszcze leżysz! Wstawaj mi zaraz! Chcesz żebym Cię pasem podniósł!” Nie było rady. Oprzytomniałem i wstałem. Bywało zimno. Szedłem boso, skulony z batem lub kijem pod pachą. Ręce najczęściej trzymałem splecione z tyłu na szyi. Tak było mi najcieplej.

Murnau, 8 lipca 1940 r.

Idąc tak rozgrzewałem się marszem i od wznoszącego się słońca. Spać się już nie chciało, a nawet stawałem się wesoły. Dni były śliczne! Krople rosy błyszczały jak perłki na trawie, zbożu i drzewach. Wszystko było świeże i pachniało. Życie jest piękne! - myślałem. Na paśniki przyganiaли krowy i przyprowadzali konie chłopcy z całej wsi. Pasaliśmy po sąsiedzku, po kilku chłopców razem. Było więc wesoło. Prócz pilnowania dobytku graliśmy w piłkę, w palanta, w gry w świnkę, w kępkę, lepiliśmy z gliny, iłu różne konie, kozy, galki, glazy do gry, a nawet kopali głębokie studnie, by mieć wodę do picia. Paliliśmy ogniska i piekli piekasy. Paliliśmy drzewem lub suchym krowcem. Pokazywaliśmy różne sztuczki, próbowaliśmy się, gierowali, a nawet bili. Bójki najczęściej powstawały przy krowach i nie dawaliśmy przeganiać krów przez nasze paśniki pastuszkom dalszym spod Olszyny. Prócz paśnika, mogłem paść w drugim miejscu na Biłce: jednak tam pasalo się przeważnie konie, a krowy jak było jakieś święto lub odpust w Gąsewie i trzeba było wcześniej napaść, by zdążyć do kościoła. Przy wyganianiu krów rano matka dawała napić się świeżo wydojonego mleka z chlebem. Śniadanie przyniósł ktoś z domu w dwojakach na paśnik. Nie ma nic przyjemniejszego nad jedzenie na polu, np. kartofle ze szczawiem, botwinką, kapustą czy barszczem. Na obiad przyganiało się krowy do domu. W duże upały na godz. 9 rano już krowy były w domu. Często zagziły się i same uciekły. To samo konie. Te uciekały nawet w pętach. Wtedy trudno było je rozpętać i przystąpić do nich. Tak kręcily się przed robactwem. Dopiero uspakajały się w stajni, choć i tu znów muchy cięły je niemiłosiernie. Dobytek wygnany po obiedzie chodził do zachodu słonka. Pod wieczór znów komary cięły dobytek, a zwłaszcza konie. Z końmi po kolacji czasami ludzie jeżdżą na nocleg. Pasą je w nocy. Robią to jednak starsi. Konie się pasą, a oni śpią pod sukmankiem. Często konie wleżą w zboże i szkody narobią, bo pilnujący śpi po całodziennnej pracy. Dobytek we dnie też

¹¹ 11 Krupka - zdrobniale od krupa - kasza.

robi szkody we własnym zbożu i u sąsiada. Zwłaszcza krowy zmrówią się w szkodę i czasami klusem lecą. Nie pomogą wołania pastuszka, dopiero bat lub kij. Każda krowa na wsi ma swoją nazwę. Ja miałem „Siwkę”, „Kowala”, „Kukawkę”, „Kozę” „Sarnę” itd. Krowy znały swoje nazwy i gdy która szła w szkodę, to na zawołanie: „Gdzie idziesz Kozal!” - stawała lub wracała się. Na paśniku krów się nie pętało. Dopiero na wódkach, na rżysku. Ponieważ na paśniku latem trawa się wypaliła, to w przypoludniaku trzeba było brać na powrót dojne krowy na dróżkę lub miedzę w pole i napaść. Żeby mleka więcej dały. Wtedy cięły je bąki.

Jadąc na koniach na paśnik lub z paśnika, lubiłem jechać galopem. Czasami mijałem się z chłopakami. Jechaliśmy, tylko wiatr furczał koło uszu. Ojciec zakazywał jechać galopem i gdy zobaczył - krzychał. W upały z przyjemnością konie pławiłem w stawie. Pławiłiśmy i krowy. Poza całą wielką utrudą pasionka była miła. Ile ja się wyśpiewałem za pasionką! Właziłem na kamień lub krzak jałowca na włoce u „Ksza” i śpiewałem na całe gardło. Śpiewałem wszystkie piosenki jakie znałem głośno, na całe gardło. Śpiewała cała moja radosna dusza. Takie śpiewanie uprawiałem często. Śpiewałem: 1. „Tam koło zamku, tam koło wieży, tam biały gołąb siadywał. Tam młody żołnierz stojał na warcie, wsparty na broni tak śpiewał. Sprzedam ja, ach sprzedam, te kare koniki, a sam się wybiorę do tej Ameryki.” 2. „Zielona ruta, modry kwiat”. 3. „Chodź po ziemi, ręce w kieszeni, poczekaj mnie cyganeczko choć do jesieni”. 4. „Wygnała wołki na Bukowinę”. 5. „Od ślubu wracali”. 6. „Haniś moja Haniś”. 7. „Talar tu, talar tam, ja talara w ręku mam”. I późniejsze szkolne, jakich uczyłem się w szkole rządowej w Gąsewie., np. „Boże caria chrani”, „Razkaży matilok”, „Łaskoczka” i rosyjskie i polskie.

Śpiewałem często, bo tak działała na mnie cała otaczająca przyroda. Byłem zdrow, wesół i do figłów zręczny, a do piłki i kręga jedyń¹². Złapałem najwyższe fangi i dobrze i daleko biłem każdą piłkę. Wiosną grywałem w kręga, zwłaszcza w święta wielkanocne. Kółkiem zbijałem każdy krąg, choćby go najsilniejszy chłop puścił. Starsi podziwiali mój spryt i odwagę. Na krętawce ani na huśtawce nie mogłem się bawić, gdyż przyprawiły mnie o dreszcze i mdłości. Każdą zabawę z dziećmi przeżywałem szczerze, na całego, żyłem nią. I dziś, gdy je wspominam znajduję je bardzo piękne, niemal święte. Mimo, że były i przykrości, trochę i łajania, a nawet kary, to lata dziecięce piękne były w rodzinie i z rodzeństwem i moimi rówieśnikami ze wsi.

Do szkoły rządowej poszedłem w 1912 r. jesienią jako dwunastoletni chłopak. Ponieważ nie znałem liter rosyjskich, więc przyjęto mnie do oddziału wstępnego. Nauczyciel p. Kozakiewicz był człowiekiem starszym, wzrostu średniego, mizerny, z dużymi wąsami. Pomagała mu w nauczaniu najstarsza córka, która podobno była już też nauczycielką. Początkowo bałem się tego nauczyciela

i unikałem nawet jego wzroku. Wolałem jak nie patrzył na mnie. Widok dużej sali szkolnej, licznych dzieci, ławek, portret z carem oneśmiały mnie. Czułem się źle, skrępowany, wstydlivy, bo tu było wszystko nowe, czego w domu dotąd nie widziałem. Powoli jednak przyzwyczaiłem się do szkoły, a nawet polubiłem ją. Po polsku czytałem już niezłe, choć w gwarze ludowej, więc szło mi łatwo. Gorzej było z literkami rosyjskimi, których w ogóle nie znałem. Namozoliłem się nie mało, ale dzięki temu, że byłem już chłopakiem stosunkowo starszym, opanowałem prędko to, co w klasie wstępnej wymagano. Największe trudności miałem przy pisaniu lasek i liter. Często myliłem się w linijkach. Po stwierdzeniu omyłki martwiłem się, bałem się, że nauczyciel mię skrzyczy do tego stopnia, że zrobiło mi się gorąco i omal nie rozplakałem się. Nauczyciel jednak mocno nie krzychał, tylko kazał pisać dalej, a uważnie. Więc pisałem. Wkrótce opanowałem technikę pisania i już dawałem sobie radę na tyle, co wymagano.

Do szkoły chodziłem chętnie, zadane lekcje odrabiałem starannie, to też pod koniec roku szkolnego, tak się wybiłem w klasie, że nauczyciel Kozaczyński¹³ od razu mnie przesadził do oddziału drugiego po wakacjach. Ominąłem więc klasę pierwszą. Z tej pierwszej klasy dobrze pamiętam pierwszą choinkę wigilijną, której w życiu jeszcze nie widziałem. Wydała mi się śliczna. Najładniejsze były bombki. Toteż nie posiadałem się z radości, gdy w końcu uroczyście przy rozdawaniu cukierków i zabawek z choinki dostała mi się jedna taka bombka różowa. Z tą bombką, kilkoma cukierkami, chlebem świętojańskim i drobiazgami, jakie mi w udziale przypadły pędziłem do domu biegiem przez całą drogę. I dopiero w domu spróbowałem cukierka, dzieląc się z rodziną i pokazując bombkę. Radość była nie lada.

Z oddziału pierwszego jeszcze pamiętam i to, że strasznie wstydiłem się siedzieć w jednej ławce przy dziewczynie. Co czasami wypadło przejść do pisania z powodu ciasnoty. Chociaż już wtedy niektóre dziewczyny podobały mi się bardzo, tak żebym rad ciągle na nie patrzeć i być blisko. Jednak rozmawiać z nimi wstydiłem się. Jedną z pierwszych dziewczynek podobała mi się bardzo, to Pajewska X z Rzechowa¹⁴, obecna nauczycielka p. Budnicka z Sypniewa. Było to na nauce katechizmu. Była ładnie ubrana, miała oczy czarne, włosy ciemne i śniada na twarzy. Była to wesoła, piękna, śmiejąca się dziewczyna! Na cmentarzu¹⁵, na nauce ciągle jej się przyglądałem. Naturalnie ona o tym nie wiedziała i nikt więcej. Drugą była moja nauczycielka p. Matylda, o której wyżej wspominałem. Teraz będąc w klasie drugiej, sympatyzowałem w dwóch naraz. Były to K. Olkowska z Zamościa¹⁶ i Loda Chaubowicz z Gąsewa. Pierwsza była zdolna, a druga słaba

w lekcjach, więc żałowałem jej, gdy krzychał na nią nauczyciel na lekcji. One też nie wiedziały, jaki byłem im życzliwy. Jednak te mniej mię obchodziły, niż Pajewska. W drugim oddziale uczyłem się dobrze. Mimo, że przeskoczyłem oddział pierwszy, dawałem sobie radę w zupełności i żadnych trudności nie miałem. Zrozumiawszy język rosyjski, na wiele pytań byłbym odpowiadał lepiej od kilkora uczniów trzeciego oddziału. Np. tabliczkę mnożenia kilka razy podpowiadałem na żądanie nauczyciela chłopcom oddziału III-go. Uważam, że nawet dobrze wpływa na pracę uczniów, jeżeli zawstydzi kolega z młodszej klasy kolegę z klasy starszej. Podciągają się starsi i lepiej się starają odrabiać lekcje. Dość szybko zorientowałem się w akcencie w języku rosyjskim i czytałem płynnie jak język polski. Polubiłem i rachunki. Z przyjemnością odrabiałem zadania domowe. A już nadzwyczaj lubiłem przepisywać z książki. Wtedy siadałem w domu przy stole czy stołku i starannie, kaligraficznie pisałem. Staralem się najładniej napisać duże litery znajdujące się na początku zdań. Również starannie starałem się napisać każdy znak przestankowy. Otrzymywałem więc z kaligrafii i przepisywania piątki. W drugim oddziale uczył już drugi nauczyciel, młodszy (p. Kędziński - tak go nazywałem od czarnych kędzierzawych włosów), którego nazwiska nie znam. Żoną jego była Kachna, jak ją często wołał. Tego nauczyciela mniej lubiłem, niż pierwszego. Pierwszy był dokładniejszy i dał się lepiej lubić. Jednak i od tego wiele skorzystałem w drugim oddziale, który ukończyłem pomyślnie.

Będąc w drugim oddziale zgłosiłem się do służenia do Mszy świętej. Usługiwałem więc prawie co dzień ks. kanonikowi Janowi Fabijanowiczowi¹⁷ i ks. wikariuszowi Szczepkowskiemu¹⁸. Chodziłem z lekcji, gdy kościelny po nas przyszedł do klasy. Służenie do Mszy Świętej uważałem za wielki zaszczyt i zasługę u Boga. Tego mniemania była i moja matka, która nie posiadała się z radości i z rozrzewnieniem patrzyła co niedziela, jak usługiwałem przed ołtarzem. Usługiwałem przez sześć lat z kolei, to jest do 1918 r. A nawet i później, gdy byłem już uczniem w seminarium nauczycielskim w Pułtusku, to na szkolnych, uroczystych Mszach Św. służyłem. Kilka razy służyłem do Mszy Św. w Płoniawach¹⁹, gdy już byłem nauczycielem i kierownikiem szkoły w Załogach²⁰, również z takim zaszczytem jak dawniej. Dziś będąc tu w niewoli niemieckiej, z tą samą chęcią pragnąłem służyć do Mszy Św. w Prenzlau i Kreuzburgu. Wyręczyli mnie inni koledzy, bardziej szczęśliwi, tak że do dziś jeszcze nie służyłem ni razu. Jednak będę służył zawsze, jeśli się tylko nadarzy okazja. Służąc do Mszy Św., polubiłem mocno ks. kanonika Fabianowicza. Chodziłem więc po lekcjach często na plebanię i w niedziele. Prowadził mnie do

¹² Gra w kręga polegała na toczeniu przy pomocy drewnianej deski również drewnianego kręgu o średnicy ok. 30 cm lub w innej wersji odbijaniu kijem drewnianego krążka rzucającego w kierunku odbijającego.

¹³ Wyżej W. Kocot nazywa go Kozakiewiczem.

¹⁴ Rzechowo Wielkie - wieś w pow. makowskim, w gminie Sypniewo.

¹⁵ Cmentarz - tu w znaczeniu staropolskim plac przy kościele.

¹⁶ Zamość - wieś w pow. makowskim, gminie Sypniewo.

¹⁷ ks. mgr kanonik Jan Fabianowicz (1861-1930) - wyświęcony w 1884 r., proboszcz w Gąsewie do 1918 r., następnie aż do śmierci proboszcz w Pomięchowie.

¹⁸ Ks. Stanisław Szczepkowski, ówczesny wikariusz parafii Gąsewo.

¹⁹ Obecnie Płoniawy Bramura - wieś gminna, w pow. makowskim.

²⁰ Chodkowo-Załogi - wieś w pow. makowskim, w gminie Płoniawy Bramura.

ogrodu i pozwalał zrywać agrest, porzeczki i owoce. Jesienią zaś, gdy zauważył, że po drzewach łązę sprytnie jak kot, zapraszał mnie do zbierania owoców. [12] Z przyjemnością to robiłem z kol. Kazikiem Malińskim, synem organisty. Właziłem na najwyższe drzewa i zdejmowałem jabłka, gruszki i śliwki. Doszło do tego, że nocowałem na plebani w pokoiku. Polubiłem jego siostrzycicę córkę, małą 5-letnią Jadzię, która była bardzo ładna i mądra. Co od niej usłyszałem, wszystko opowiedziałem w domu. Służąc przez kilka lat do Mszy Św., na plebani czułem się jak u siebie w domu. Do szkoły już dawno nie chodziłem, ale do Mszy Świętej usługiwałem co niedziela. Byłem tylko śmielszy w kościele i zachowywałem się mniej nabożnie. Z początku stałem jak święty ze złożonymi rękami i ciągle wzdychałem. Podczas Mszy świętej nie oglądałem się i nie rozmawiałem z kolegami. Inni koledzy w zakrystii i za ołtarzem rozmawiali o tym i owym, np. o gołębiach, uśmiechali się, nawet sprzeczali. Ja się tym gorszyłem. Zaś w czasie kazania, gdy kobiety płakały, ja też starałem się płakać, ale nie mogłem, jakoś nie szło. Na próżno kruszyłem się w duchu, ale płaczu nie było. Jednak zachowywałem się zawsze nabożnie i z jednakowym zaszczytem usługiwałem, przez co zyskałem sobie specjalne względy u matki, na zawsze.

W czerwcu 1914 roku skończyłem oddział drugi. Były wakacje. Pasłem krowy i konie dalej. Poza pasionką pomagałem w gospodarstwie, w czym mogłem. Np. rąbałem drzewo, nosiłem je do kuchni, pomagałem rwać zielsko, pleć, rznąć sieczkę, latałem na grzyby i robiłem wszelkie prace dostępne dla mnie w gospodarstwie. W kopaniu, będąc młodszym, zostawałem z dziećmi w domu i pilnowałem wszystkiego. Obierałem kartofle na kolację i to duży sagan, bo rodzina była liczna. Lubilem porządkować. W czasie nieobecności rodziny w domu, potrafiłem pozamiatać w domu, przed sienią i podwórko do szopki. Do kuchni przygotowałem drzewo. Nieraz było tak, że zbierałem do kosza same jednakowe skaliki²¹ lub wiórki. Matka była zadowolona ze mnie i nie szczędziła mi pochwał. Raz tylko rozgniewała się na mnie, bo nie dopilnowałem młodszego brata Antka, który kaczaki²² małe powrzucał do studni. Gdy stroskana matka nie widziała kaczaków, tylko samą kure, która je jeszcze wodziła, to Antek wziął matkę za sukienkę i zaprowadził do studni wymawiając, że (chce się im) „pić”. Domyśliła się mama wszystkiego, zadrzała do studni i tam zobaczyła wszystkie małe kaczaki. Wtedy dostałem od matki i mały Antek.

Nadszedł sierpień 1914 roku. Pasąc krowy na rżysku u granicy dowiedziałem się, że jest wojna. Nie wiem dlaczego, ale wiadomość ta, mnie nie tylko nie przestraszyła, ale zacząłem się cieszyć. Gdy pomyślałem sobie, że będą się wojska gonić, strzelać, to będę patrzył i znajdował kulki i inne drobne rzeczy. Na tę myśl, pamiętam jak dziś, skakałem z radości po rżysku. W rodzinie smucili się z mamą i przysłupkiem mnie nazywali. Wojna rozgorzała z Niemcami. Na nie szły wojska

rosyjskie²³. Na nocleg zatrzymywały się i w naszej wiosce Szczeglinie Poduchownym. Walki odbywały się blisko nas. Niemcy podchodzili do Orzyca w Krasnosielcu²⁴. Tego roku we wrześniu do szkoły w Gąsewie nie poszedłem. Dopiero od listopada po Wszystkich Świętych rodzice oddali mnie do szkoły rządowej w Sypniewie w mojej gminie. Byłem tam u dziadków. Nauczycielem tej szkoły był p. Nowociński Jan, obecny mój kolega. On uczył dobrze.

Murnau, 10 lipca 1940 r.

W ciągu zimy skorzystałem dużo w czytaniu, pisaniu i liczeniu po polsku i rosyjsku. Nauczyciela lubiliśmy chyba wszyscy. Był wyrozumiały, dokładny i pilnował, aby zadane lekcje każdy umiał. Umiał dobrze wyjaśnić lekcje. Rozumiałem go. Dbał o czystość u dzieci, w klasie i o porządek. Wymagał pracy piśmiennej czystej i starannej. Od nauczyciela tego nie zaznałem żadnej przykrości. Co prawda starałem się, jak mogłem. A że byłem już starszy, więc rozum miałem. Mieszkałem u dziadków - staruszków, którzy wtedy oboje mieli już około 90 lat. Mieszkali sami w małej chałupce. Mieli ziemi trzy morgi i małe zabudowania gospodarskie z ogródkiem wiśniowym. Oboje byli bardzo nabożni. Codziennie chodzili do kościoła na Mszę Św., do której często usługiwałem, nie tylko w niedzielę, ale i w dni powszednie. Dziadki radowali się i byli dumni ze mnie, że ich wnuczek ma ten zaszczyt służyć do Mszy Św. Podobnie jak moi rodzice, a zwłaszcza mama.

Dziadek nazywał się Franciszek Chaubowicz, a babka Rozalia Chaubowicz z domu Laskowska? [w oryginalnym znaku zapytania]²⁵. Staruszkowie żyli zawsze w przykładowej zgodzie, jedności i uczciwości. Ani razu się nie kłócili w czasie mojego pobytu. Nigdy nie zakłęli. Dziadek czasami przy nie udanej pracy wymówił „psiarstwo”. Inne przekleństwo nie wyszło z ich ust. Żyli przez cały swój żywot z pracy rąk i kawałka ziemi (gdy otrzymali na mocy ukazu działkę trzy morgową). Mieli oni trzy córki: Bronisława, Zofia i Władysława. (Syn umarł?). Najstarsza ciotka Bronisława wyszła za męża za wuja Antoniego Tytko, którzy mieli dzieci: Zofia, Aleksandra, Eustachiusz, Marianna, Bolesław, Helena i Ignacy. Zofia, czyli moja mama miała nas dziewięcioro, to jest: Franciszka, Franciszek, ja Władysław, Maria, Antoni, Edward, Józef, Henia i najmłodsza Jadzia. Najmłodsza Władysława wyszła za Kowalewskiego i wyjechała do Ameryki. Mają też dzieci. Dziadek umarł w 1919 r., a babka umarła w 1930 r. Małżeństwo to było bogobojne i przykładowe. Kochali się do śmierci i byli z życia zadowoleni. Mogą dla nas być wzorem. I gdyby wszystkie rodziny tak

²³ W sierpniu 1914 r. wojska rosyjskie Frontu Północno-Zachodniego siłami 1 i 2 Armii rozpoczęły ofensywę w kierunku Prus Wschodnich również z terenów Północnego Mazowsza.

²⁴ Krasnosielc - wieś gminna w pow. makowskim.

²⁵ Genealogia rodziny Władysława Kocota została szczegółowo przedstawiona w Aneksie II.

dożywały do śmierci, ludzkość byłaby o połowę szczęśliwsza. Warto jest pracować, by na starość dożywać w spokoju.

Dziadkowie lubili mnie oboje. Aczkolwiek sami nie umieli ani czytać ani pisać, to mnie do nauki w domu dopędzali. Często pytali mnie, czy umiem lekcje. Do roboty mnie nie brali, bo wprawdzie i nie było. Pomagałem im tylko rznąć sieczkę i czasami drzewa przyniosłem. Czasami wiosną poszedłem po krowę na ogólne paśniki. Poza tym po odrobieniu lekcji latałem po wsi Sypniewo. Najwięcej bawiłem się z kolegami przed gminą, która stała po sąsiedzku z dziadków siedliskiem. Tym bardziej, że do szkoły z nami chodziła i córka sekretarza Janinka Pichalska, ładna i miła dziewczyna. Więc po południu, a nawet wieczorami bawiliśmy się z nią wspólnie. Moi koledzy jak: Grzybowski Stanisław, dwóch Wnuków i dwaj synowie strażnika rosyjskiego Nikita (Mikołaj) i Szaszka (Aleksander) mimo, iż byli młodszy ode mnie, kochali się w Janince i tak w klasie, jak i poza klasą podskubywali ją, gdy starsi nie widzieli. Ja też sympatyzowałem w niej, czułem do niej jakiś magnes i starałem się bywać w jej towarzystwie, a nawet dotknąć. Było nam ze sobą dobrze i wesoło. W ten sposób przeszedł rok szkolny w Sypniewie.

Na egzamin najsilniejszy z trzeciego oddziału musieliśmy wyjechać do Różana, celem uzyskania świadectwa ukończenia szkoły powszechnej. Złożyłem i ja podanie do Komisji przy różańskiej szkole i w oznaczonym terminie pojechałem. Egzamin zdałem z wynikiem dobrym i świadectwo otrzymałem. Egzamina były trudne z piśmiennej i ustnej, po polsku i rosyjsku. Mój ojciec, znający język rosyjski w mowie, gdy z korytarza podsłuchiwał temat wypracowania rosyjskiego i dyktowane zadania, zwątpił, bym to zrobił dobrze. Swoje obawy powiedział mi w przerwie. Toteż tym bardziej ucieszył się, gdy usłyszał, że egzamin zdałem. Zaś starszy syn strażnika Nikołaj oblał się. Na wakacje wróciłem do domu do Szczeglina zadowolony z siebie. Rodzice byli też zadowoleni ze mnie. Krótco jednak to trwało, bo wieści z frontu były smutne. Nasi przegrywali.

Za naszych uważaliśmy Rosjan. Jak szli na nas Prusy, to wykrzykiwali, że „szapkami zakidajemy Germańca”. Tymczasem dostawali w skórę i wycofywali się, wywołując rannych przez nasze gościńce na Różan i Ostrołękę. Wreszcie Niemcy zaczęli gonić Rosjan²⁶. Ci uciekając, nakazywali i nam ucieczkę na wschód. Uciekały całe wioski. Uciekliśmy i my do Sypniewa, do swoich dziadków. Przenocowaliśmy. Nazajutrz moskale wołają, aby jechać dalej, bo Germańcy następują. Większość pojechała dalej. Część wozów została przed gminą na placu. My w ogródku i stodole u dziadków. Ojciec z dziadkiem postanowili zostać, gdyż było niemożliwe jechać dalej z tak liczną rodziną i dobytkiem. Sąsiedzi z mojej wioski pojechali dalej do Sławkowa²⁷ i Dylewa²⁸. Mama chcąc

²⁶ Po klęsce Rosjan pod Tannebergiem pod koniec sierpnia 1914 r. niemiecka 8 Armia zaczęła spychać siły rosyjskie, odrzucając je w początkach września aż do linii Niemna.

²⁷ Sławkowo - wieś w pow. makowskim, w gminie Sypniewo.

²¹ Skaliki - kawałki.

²² Kaczaki - kacze pisklęta.

dowiedzieć się, co oni zamierzają robić, wysłała mnie i moją młodszą siostrę do Dylewa po wiadomości. Nie dotarliśmy tam. Niemcy zobaczywszy przez lornetkę tabory w Sypniewie, jak nie zaczęły kropić w nie. Zrobił się krzyk, lament, płacz i ucieczka na wszystkie strony. Posłyszeliśmy z siostrą Maryską pękające szrapnele po boru, po polu i po łąkach i wróciliśmy od połowy drogi. Tu w Sypniewie natrafiliśmy na największe natężenie ognia artyleryjskiego. Na placu już nie było fur. Były tylko wielkie doły i leje po pociskach, które jeszcze padały bez przerwy. Musiałem położyć się za bramą u Żbikowskich, bo nie sposób było lecieć dalej. Siostra młodszą Maryską jednak nie patrzyła, a popędziła do chałupki dziadków, która stała bliźniutko. Mnie i tu obsypały pociski grudkami ziemi po plecach. Wreszcie wyrwałem się i już i przeleciałem plac. W izdebce klęczała cała nasza rodzina i z wielkim płaczem modliła się o zmiłowanie Boże. płakali wszyscy. Młodsze dzieci wlażyły pod łóżka i krzyczały przestraszone. Płakałem i paciorki mówiłem także. Trwało to może z godzinę. W końcu jeden pocisk padł do sadku. Krowy urwały się z powrozów i uciekły na gościniec, uciekając w stronę domu. Ojciec kazał starszemu bratu Franciszkowi i siostrze Frani zalecić krowom. Sam wybiegł i konie w stodole zaprzął do wozu z rzeczami. Pociski przestały padać. Dziadek wyszedł do ogródka, przyniósł kawałek rozerwanego pocisku i na dłoni pokazał. Kobiety i dzieci zrobiły krzyk i dziadek zmuszony był to wynieść.

W tym momencie ojciec zdecydował się wracać do domu do Szczeglina. Ujechaliśmy z pół kilometra i przystanęli za wsią. Dołączyły jeszcze do nas dwie fury. Niemcy to zauważyli i znów strzelali w pobliżu nas. Ojciec przeżegnał się, dał koniom po bacie i pojechał naprzód w stronę domu i Niemców. My za wozem i ojcem poszliśmy wszyscy. Po drodze spotkaliśmy brata i siostrę, którzy krowom zalecieli aż pod Zamościem, nad Ruczajem czyli strugą. W Zamościu zobaczyłem pierwszych dwóch Niemców, którzy stali za grubymi drzewami, sokorami²⁹ i patrzyli w stronę Sypniewa i Sławkowa na nieprzyjaciela. We wsi było ich już dużo. Przepuścili nas. Wypyтали się tylko, czy nie ma tam Rosjan. Nie dojechaliśmy jednak cało do domu. W Szczeglinie Kolonii zabrali nam Niemcy ogiera. Wyprzęgli go od wozu. Ojciec prosił ich, żeby pozwolili choć dojechać do domu i dowieść rzeczy, ale na próżno. Powoli dojechaliśmy w jedną szkapę. Tu w domu i na podwórku było pełno Niemców, więc przejechaliśmy przez podwórko i udaliśmy się na pole do Olszyny zwanej Łąckami. Tam byliśmy kilka dni, ustąpili Niemcy i można było wrócić do domu.

Murnau, 11 lipca 1940 r.

Pierwszej nocy naszego pobytu w Łąckach spadł pocisk, prawdopodobnie rosyjski, który ściał czub olszyny. Huku tego nie słyszałem. Spałem tak bardzo utrudzony podróżą i doznaniem wrażeniami. Rodzice słyszeli to,

²⁸ Dylewo - wieś w pow. makowskim, w gminie Sypniewo.

²⁹ Sokora - topola czarna.

bo czuwali całą noc. Nie budzili nas, bo strzały ucichły i zresztą nie było więcej zacisznego miejsca na naszym polu nad to, w którym byliśmy. Po kilku dniach, gdy front przesunął się na wschód i wojska niemieckie przeszły, wróciliśmy do domu. Na razie tylko do małej izdebki, gdyż w dużej izbie została jeszcze na dłużej apteka niemiecka. Aptekarz co dzień dostawał gazetę, więc radował się z wieści wyczytanych. Wiadomościami tymi dzielił się nawet z naszą rodziną. Pamiętam jak wskazywał na mapkę w gazecie i wymieniał: Ostrołęka, Łomża, Białystok, Warszawa zajęte i tak co dzień podawał nowe miasta³⁰. Odjechała wreszcie i apteka. Wróciliśmy z całą rodziną z Łącków do domu. Był tylko kot mocno zdziczały. Poza drobnymi przedmiotami wszystko, ocalało. Przystąpiliśmy z całą rodziną do normalnej pracy, szczęśliwi, że na tu łączkę nie pojechaliśmy. Wrócili do wsi pozostałe rodziny. Wojna trwała daleko na wschodzie, na kresach i w Rosji. Wojska niemieckie widzieliśmy już tylko w przejeździe od czasu do czasu. Zostali tylko po urzędach, w gminach, powiatach i miasteczkach. Zaczęli gospodarować po swojemu. Ściągali podatki, daniny, rekwirowali zboże, dobytek, a ludzi gnali do roboty na szosach.

Niedziela, Murnau, 14 lipca 1940 r.

Najpierw ludzie wróciwszy z ucieczki do wsi, zabrali się za żniwa. Pamiętam, jak kosiliśmy żyto na drugim staju za stodołą, to przyszło dwóch niemieckich żołnierzy i pomagali kosić. Przecieli kilka pokosów. Nie bardzo umieli kosić, więc siłą cięli i wyrwali żyto z korzeniami. Ojciec patrzył na to i kiwał głową, że Niemcy widać koszą nie pracowali, bo niepotrzebnie silił się przy koszeniu. Robili za duże zakłady i nieumiejętnie puszczali kosę. Dlatego męczyli się szybko. Żniwa jakoś przeszły szczęśliwie. Gorzej było ze zwózką zboża do stodoły. Kobyłę ostatnią Niemcy zabrali. Zabrali i sąsiadom we wsi. Mało który gospodarz pozostał przy koniach. I to przy lichych. Dobre zabrali. Ojciec kupił dwa żrebaki roczniaki. Oba ogierki. Męka była w nie robić. Trudno było je obuczyć. Było lato. Muchy i inne robactwo je cięły. Ogierki kręciły się, nie dając się zaprząć. Pod robactwem plątały się w lejce i całą uprząż. Nieraz w orce zaplątane kładły się oba na ziemi. Wierzgały kopytami i gnioły się nawzajem. Trudno było do nich przystąpić. Czasami tak się zaplątały, że trzeba było lejce przecinać, by mogły powstać. Jeden nie dał rady. Do orki musiał chodzić ojciec z bratem lub ze mną. Trzymałem lejce, a ojciec ameryk. Przy takiej orce lub bronowaniu napracowałem się i nachodziłem wiele. A jeszcze więcej nastrachalem. Bo nieraz żrebaki skaleczyli się o ameryk lub bronę. Biedna była praca. Tak biedowała większa część ludzi we wioskach. Pole jednak było uprawione i obsiane. Powoli dni były chłodniejsze, mniej robactwa, no i żrebaki obuczone i silniejsze. Niemcy dalej

³⁰ Od maja 1915 roku, po zwycięstwie pod Gorlicami inicjatywę przejęły wojska państw centralnych, pod koniec sierpnia Niemcy zajęli Warszawę i kontynuowali ofensywę we wrześniu, odrzucając Rosjan z terenów Królestwa Polskiego.

rekwirowali co mogli i wywozili do Prus. Wywozili więc zboże, dobytek, a nawet w olbrzymich ilościach drzewo z lasów, pod które pobudowali kolejkę. Masy drzewa wywieźli. Ludność, widząc taką gospodarę rabunkową, zaczęli się chronić, by mieć coś i dla siebie do wyżywienia. Chowali więc zboże z plewami do dołów w stodolach, szopach i polach. Zboże z plewami sypano do dołu na słomę i jak kartofle zasypywano na ślepo, na zimę. Siano na tym żyto. Tak, że na wiosnę z trudnością odnajdował dół ze zbożem sam gospodarz. Zboże przeleżało na ogół dobrze. Tylko ta część przytęchła, zmołała i wyrosła, która miała styczność z ziemią. Tłuste świnie chowali do zasieków w stodole w skrytkach, których trudno było dostrzec, gdy się weszło do stodoły. Chyba, że świniak był głodny, zerwał się i zaczął chrochać, to wtedy można go było odnaleźć. Z końmi wyjeżdżano do lasów. Mąkę, kaszę i część zboża chowano między podwójne szczyty. Na mielenie zboża wydawali Niemcy kartki na rodzinę. Było tego za mało. Zaczęli ludzie mleć w żarnach. Niemcy zaczęli je konfiskować. Część żaren udało się we wsi schować. Nasze też ukryliśmy. Ojciec wywiózł je na pole za Łącki i w dole od kartofli mieliśmy nadal. Jedni mieli, a jedni patrzyli, czy nie jadą Niemcy. Ci jak znaleźli takie żarna, to tłukli kamienie, a drzewo rąbali na miejscu. Było coraz gorzej. Ludzie martwili się z czego będą żyć i jak.

W tych smutnych czasach 1915, 16, 17 i 18 roku, za Niemców przychodziły i dobre wieści. Wieści zaczęły krążyć po wioskach podawane z ust do ust o polskich Legionach, o Józefie Piłsudskim, przyszej niepodległej Polsce. Przyszły do nas pierwsze piosenki legionowe. Śpiewano je początkowo po kryjomu. Oto one: „Brygada”, „Naprzód drużyno strzelecka”, „Hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały”, „Belina”, „Jedzie, jedzie na kasztance”, „O mój rozmarynie”, „Ospały i gnuśny”, „Nie rzucim ziemi”, „Jeszcze Polska nie zginęła” i wiele innych. Podnosiły one ducha w narodzie. Krążyli różni ludzie, którzy mówili, że Moskał to nie jest nasz. To wróg gorszy od Niemców. Mówili, że tylko pod opieką Niemiec Polska powstanie wolna. Jedni byli więc za Moskałami, drudzy za Niemcami. Strony Niemców trzymał się Komendant Legionów Józef Piłsudski i bił Rosjan. Jedno było pewne. W tej wojnie strzelał brat do brata. Idąc na bagnety rodak rodaka poznawał często w chwili skonania, który po uderzeniu bagnetem lub przeszyty kulą padał ze słowami Jezus, Maria”. W ten sposób byli zmuszeni Polacy do wzajemnego mordowania się. Nawet ojciec z synami, bywało, strzeli do siebie. Powoli w miarę zwycięstw niemieckich Polacy zaczęli skupiać się wokół legionów. Powstała Polska Macierz Szkolna³¹, która po miastach

³¹ Polska Macierz Szkolna - kulturalno-oświatowa organizacja założona przez Józefa Świętkowskiego, Henryka Sienkiewicza, Antoniego Osuchowskiego i Mieczysława Brzezińskiego na terenie Królestwa Polskiego w 1906 r. Jej celem było krzewienie i popieranie oświaty w duchu chrześcijańskim i narodowym poprzez zakładanie i prowadzenie instytucji wychowawczo-oświatowych; w 1907 r. władze rosyjskie zdelegalizowały

i wioskach zaczęła organizować ochronki. Uczono się po polsku mówić, czytać i pisać. Modlitwa i pieśni były po polsku. Panie ochroniarki robiły przedstawienia z dziećmi, ze starszą młodzieżą we wsi. Po panią ochroniarkę sam jeździłem do Biedrzy - Koziegłowy³² z gospodarzem Pszczolą Stanisławem.

Ochroniarka nazywała się Felicja Jakubczykówna. Miała przy sobie siostrę i brata. Była dobrą i pracowitą ochroniarką, a później nauczycielką szkoły powszechnej. Wieś cieszyła się z ochronki i pani. Ochroniarka, poza pracą w ochronce, wieczorami zajmowała się i starszą młodzieżą, organizując amatorskie przedstawienia. W jednym przedstawieniu brałem i ja udział. Przedstawialiśmy „Za sztandarem”. Byłem Jankiem czy Maciusiem. Przedstawienie tak się udało, że odbyło się raz we wsi, a drugi raz w Gąsewie, w społecznej sali. Ileż radości doznałem, gdy grałem na scenie! Ubrany byłem w ładną koszulkę w paski. Czulem się dobrze. Grałem podobno dobrze, bo chwaliła mię nauczycielka już na próbach. Mawiała do młodzieży, że gdyby wszyscy się tak starali jak Kocot Władysław, to ona miałaby lepszą pracę. Pochwalała mię przed moją matką. Mówiła rodzicom, że mam zdolności i że powinni mnie oddać do jakiejś szkoły. Byłem jej wdzięczny za te słowa uznania. Do szkoły jednak nie poszedłem na razie nigdzie, a do ochronki byłem przecież i za duży i za stary, no i ukończyłem przecież trzy oddziały szkoły rządowej. Uczęszczałem więc tylko na zebrania młodzieży wieczorami, o ile kiedy były.

Pracowałem w gospodarstwie z rodziną. Zimą rzynałem sieczkę ciągnąc za drąg, lub podając w ladę. Młóciłem cepami zboże do trójki. Byłem mały, ale ojciec chwalił mnie, że lekko młócić w trójkę, więc młóciłem. Nieraz uderzyłem się bijakiem, bo klepisko małe, a nas trzech: ojciec, Franek i ja. Dawałem bydłu i koniom. Rąbałem drzewo i nosiłem wodę do domu. Wiosną wywoziłem z chlewów nawóz pod kartofle i trząłem go. Zbierałem kamienie z przelotu i koniczyny. Piełem kartofle, proso, warzywo i pasalem nadal konie i krowy. Umiałem już wszystkie roboty polne i w gospodarstwie. Lubilem wiosną sadzić drzewka, krzewy i kasztanki. Cieszyłem się, jak ładnie rosły. Wozilem na szosę kamienie, gdyż Niemcy nakazywali wozić. Budowali szosę od Chorzel przez Krasnosielc i Maków. Wyganiaли do robót mężczyzn i panny. Poszedłem i ja. Początkowo chodziłem ze szpadlem do kopania rowów i robienia nasypów. Później zacząłem tłuc kamienie z braćmi. Dostyc zęcnie mi szło to tłuczenie kamieni. Człowiek nieraz się spracował, że kości bolały. W zimie dokuczał nam mróz, a znów latem upały. Czasami był taki upał i cisza, że trudno było oddychać. Pot lał się strumieniami po czole i twarzy. Trzeba było jednak tłuc kamienie grubsze i szuter.

organizację, która odtąd prowadziła swe prace w konspiracji, aż do 1916 r., kiedy to niemieckie władze okupacyjne oficjalnie zezwoliły na jej reaktywację i zatwierdziły statut.

³² Biedrzyce-Koziegłowy - wieś w pow. makowskim, w gminie Sypniewo.



Budynek Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Pułtusku.

Wstydzilem się tak siedzieć na szosie i tłuc kamienie. Było mi nieprzyjemnie. Zwłaszcza we wtorki i piątki, gdy na targ przyjeżdżali znajomi ludzie, a zwłaszcza znajome dziewczyny. Żadnej gospodarskiej pracy nie wstydzilem się nigdy, zaś tłuczenie kamieni na szosie krępowało mnie mocno. Uważałem, że to praca tylko dla bezrolnych. Później przyzwyczailem się. Ponieważ trochę zarabiałem własnych pieniędzy, było mi lżej. Mogłem sobie coś kupić z ubrania. Dość długo tłukłem kamienie. Zawsze z kilkadziesiąt m³ utłukłem szutru. Kamienie trzeba umieć tłuc. Nie taka to znów trudna praca, jak się wydaje. Trzeba je bić po słoju. W dni powszednie pracowałem, a w niedziele, jeśli nie byłem zajęty pasionką, bo już młodszy brat mię zastępował, to byłem wolny. Chodziłem na muzykę jak była. Patrzyłem jak tańczyli, a nawet sam poskakałem. Naturalnie początkowo z chłopakami, bo z dziewczyną jeszcze się wstydzilem.

Będąc w 16 i 17 roku życia zaczęły mię panny obchodzić na dobre. Sympatyzowałem w dwóch Myślakównach Józii i Sabinie, siostrach stryjecznych. Lubilem ich towarzystwo i często we dnie, a nawet wieczorami dokazywaliśmy na drodze. Była okazja do bliższego zetknięcia się z sobą zwłaszcza w niedziele, gdy dziewczyny ubrały się w czyste, ładne, białe sukienki w kwiatki czy kratkę. Do tak ładnie ubranych dziewczyn pociąg był większy. Kilka razy wieczorami chodziłem z kolegami nawet na drugą wieś do Gąsewa. I na muzykę popatrzeć. Tam podobala mi się znów Olesia Tomaszewska. Byłem u niej kilka razy wieczorem. Na drugich wioskach wydali mi się chłopcy więcej zgorszeni niż w naszej. Oni bez zenowania się klęli i bluźnili. U nas w Szczeglinie tego nie było. Może dlatego, że wioska jest mała i wszyscy się dobrze znają, więc się wstydzą jedni drugich. Tam i dziewczyny pozwalały się zbliżyć chłopcom do siebie więcej niż u nas. Na zabawach chłopaki na dobre przyciskali dziewczyny i całowali je. Te śmiały się i niby wstydzily się. W rzeczywistości widać były

zadowolone. Ja do dwudziestu lat nie pocałowałem ani jednej dziewczyny. Miałem szaloną chęć całować Myślakówny i Olesię Tomaszewską, ale się wstydzilem. Z każdym rokiem czulem większy popęd do dziewczyn. W swojej wyobraźni przeżywałem wiele wyobraźni i stosunków z dziewczynami. Poza tym nic więcej. Na te wszystkie zachcianki najlepszym lekarstwem jest praca i bogobojne wychowanie, dane przez rodziców.

W dni powszednie pracowałem, a w niedzielę modliłem się i usługiwałem do Mszy Świętej. Do księdza kanonika Fabianowicza chodziłem nadal do ogrodu. Jesienią zbierałem owoce, a wiosną czyściłem korę, gałęzie suche zrzynałem i zbierałem gniazda liszek z zeschniętymi liśćmi. Nauczyłem się więc obchodzić przy drzewach owocowych. Sadziłem śliwki. Ksiądz pozwalał mi brać śliwki węgierki w postaci chlub³³ wyrosłych z korzenia dla siebie. Więc sobie posadziłem kilkanaście śliw. Do dziś rosną i rodzą. Pod moją namową ojciec kupił nam kilkanaście jabłoni i grusz. Mieliśmy już własny sadek. Sami posadziliśmy. Nie posiadałem się z radości, że będziemy mieć własne jabłka i gruszki! Do tej pory próbowałem najczęściej ulęgać jesienią, które ojciec na targu kupił lub sami przynieśliśmy z pola od kogo. Będąc mniejszym, nieraz z paśnika robiliśmy wyprawę na sady, nawet na drugie wioski. Jedni paśli krowy, a drudzy poszli kraść owoc. Teraz miałem owoc pod dostatkiem u księdza. Jadłem najsmaczniejsze. Czasami wieczorami z księdzem i jego siostrzenicą gawędziłem dość długo. Pamiętam jak jednego wieczora siedziałem z tą panią na ławce w ogrodzie i rozmawiałem o różnych sprawach. Zapytała się mnie ta pani, czym ja chcę zostać w przyszłości? Odpowiedziałem bez namysłu, że nauczycielem. Naturalnie myślałem o takim nauczycielu jak mój pierwszy p. Szwejkowski. Wtedy ta pani odradziła mi od razu i powiedziała, że taki nauczyciel, to się nie

³³ Chluba - gwarowo młody pęd, gałąź, czasem różga.

opłaca. Powiniennem starać się zostać nauczycielem rządowym i mieć szkołę jak w Gąsewie i Sypniewie. Tylko żeby takim nauczycielem zostać trzeba jeszcze przez kilka lat samemu się uczyć. W duchu zgodziłem się z tą panią, że rzeczywiście byłoby dobrze zostać prawdziwym nauczycielem, mieć pensję stałą, żonę i dzieci. Ale jak to zrobić i od czego zacząć? Ona sama na to nie miała rady. Myśl jednak była rzucona. Opowiadałem to w domu matce. Matka mię poparła, ale też była bezradna. Nie było ani takiej szkoły w pobliżu ani nie było pieniędzy.

Aż nadszedł styczeń 1918 r. Matka w kościele usłyszała jak ksiądz z ambony ogłosił, że w Pułtusk powstaje nowa szkoła nauczycielska³⁴, po ukończeniu której można zostać nauczycielem. Rodzice mający odpowiedniego syna lub córkę niech się postarają i tam dzieci oddadzą. Zrobią dzieciom dobrze, a te będą wdzięczni rodzicom. Wieść się rozniosła od razu po całej parafii. W domu rodzice radzili nad tą sprawą. Zezwolili mi samemu lecieć do księdza po informację. Uradowany poszedłem. Ksiądz mi to objaśnił szczegółowo i podał konspekt warunków jakich będą wymagali przy egzaminie z nauki. Ksiądz był zadowolony, że rodzice zainteresowali się tą sprawą, ale kręcił głową jednocześnie, że to sprawa trudna z egzaminem i materialnie. On wiedział, że nauka będzie trwała aż trzy lata. Zaś rodzice sądzili, że tylko jeden rok i to od stycznia do lipca. Amatorów było więcej w parafii, jak Lipka Stanisław z Gąsewa i Genia Świerczówna moja kuzynka ze Szczeglina Kolonii. Zmówiliśmy się we troje i postanowili nasi rodzice jechać z nami 30 stycznia 1918 r., gdyż w tym dniu odbywały się egzaminy w szkole powszechnej. Z konspektu dowiedziałem się, że potrzebne będą i ułamki zwyczajne. Zmartwiło mnie to. Wcale o ułamkach nie słyszałem. Poszedłem z tym zmartwieniem do p. F. Jakubczykówny, naszej ochroniarce. Ta objaśniła mi ułamki i poddyktowała teorię czterech działań. W ciągu dziesięciu dni, bo tyle było czasu do egzaminu,

opanowałem jako tako ułamki i rozumiałem je. Ochroniarce była zadowolona, a ja spokojny, że już dam sobie radę i z ułamkami.

Nadszedł dzień wyjazdu do Pułtuska, dzień 29 stycznia na noc. Mróz duży. Jedziemy jedną furą we troje i nasi ojcowie. Rano jesteśmy w Pułtusk zmarznięci do kości. W szkole spostrzegam masę chłopców i dziewcząt, którzy przyjechali na egzamin. Szkoła ma być koedukacyjna. Egzaminy się rozpoczęły. Przed południem piśmienny, a po południu ustny. Moi sąsiedzi są pewni, że zdadzą. Ja nic nie mówię, tylko uważam na wszystkich i wszystko. Wszak wszystko było tu nowe i mnie interesowało. Są zadania z arytmetyki

zadanie na ułamki zrobiłem tak i tak. Inni koledzy tłumaczyli mi, że to nie tak. Trochę mnie to martwi, ale im nie dowierzam i czekam co powie nauczyciel. Przerwa skończona. Idziemy dowiedzieć się o wyniki. Czytają między innymi: Kocot Władysław zdał egzamin i jest przyjęty. Genowefa Świerczówna i Lipka Stanisław nie zdali i mogą jechać do domu. Oni oboje trochę popłakują. Ja nie, tylko jestem zadowolony z siebie. Ojciec też się ucieszył, ale nie na długo. Skoro dowiedział się, że tylko sam mam zostać, to zmienił zdanie. Mówił mi, że samego mię nie zostawi. Jest tak daleko, że sam nie będzie mógł przyjechać po mnie. Sąsiedzi



II kurs Preparandy, 11 VI 1918 roku. Władysław Kocot siedzi pierwszy z prawej.



I kurs Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Pułtusk, 28 maja 1919 roku, Władysław Kocot drugi od prawej w pierwszym rzędzie.

przez zazdrość przytaknęli ojcu. Szykują wóz i mamy jechać. Mnie żal odjeżdżać, ale i boję się sam w świecie nieznanym zostać. Nawet mam chęć jechać z powrotem. Jednak postanawiam za wszelką cenę zostać. Mówię to ojcu. Ojciec mi znów tłumaczy po swojemu. Upieram się. Ojciec zaczyna nawet grozić. Każę siadać natychmiast, bo już wszyscy na furze. Ja zwlekam. Jest już ciemna noc. Przy sąsiedniej furze zobaczyłem chłopaka, który też składał egzamin. Pytam się go, czy zdał i czy zostaje. „Tak” odpowiada. Pytam się go, czy ma gdzie mieszkać. On odpowiada, że jeszcze nie, ale jeśli chcę, to razem pójdziemy szukać stancji. „Zgoda” odpowiedziałem i idę po kuferek do fury. Ojciec już krzyczy siadać. Ja nie chcę. Pierwszy raz ojca nie słucham. Sąsiedzi namawiają ojca, żeby mię zabierał, bo chcą jechać. Ja dalej się upieram. Wreszcie ojciec zgniewany mówi: Jak tak chcesz, możesz zostać. Ale pamiętaj, że ja do Ciebie drugi raz tu nie przyjadę i przylecisz na piechotę, gdy Ci bieda zajrzy w oczy”. Oddał kuferek. Pożegnałem ojca, Oni odjechali. Wkrótce znikli w ciemnej ulicy.

Ja zostałem na rynku przed kościołem Farnym³⁵. Kuferek włożyłem na wóz do obecnego kolegi Władysława Dalgiewicza. Mieliśmy wyszukać sobie mieszkania. Na szczęście w tym samym czasie podeszła kobiecina do nas i oświadczyła nam, że ona może nas wziąć na stancję. Skwapliwie przystaliśmy i za chwilę szliśmy za nią, a walizki jechały na furze. Zatrzymaliśmy się na rynku też, tylko blisko zamku. Okazało się, że jesteśmy u nauczyciela. Furmanka odeszła,

³⁴ Preparanda nauczycielska w Pułtusk powstała 1 lutego 1918 r., stanowiąc wstępny kurs przed nauką w seminarium nauczycielskim. W Pułtusk mieściła się przy ul. Kościuszki. Preparanda ta przekształciła się następnie w Seminarium Nauczycielskie.

i wypracowania. Rozumiałem temat i zadania. Napisałem, jak myślałem. Przy rozwiązaniu zadań mocno przeszkadzał mi Lipka Stanisław, bo ciągle ruszał mię z tyłu i pytał, jakie trzeba robić działania. Bałem się mu odpowiadać, bo nauczycielka surowo zakazała porozumiewania się. Napisałem mu całe działanie i dałem z karteczką, ale on nie rozumiał tego i znów dalej mię pytał. Strasznie dużo ucierpiałem od niego, bo szturchał mnie z tyłu i dopominał się głośno. Ja bałem się, aby tego nie zauważyła nauczycielka. Wreszcie koniec lekcji. Przerwa. W czasie paury następują pytania uczniów i rodziców. Ojciec pyta się mnie, jak mi poszło. Odpowiedziałem, że chyba dobrze. Nawet to

³⁵ Obecnie bazylika kolegiacka pw. Zwiastowania NMP, ulokowana po północnej stronie rynku.

a my poszliśmy spać. Spałem twardo. Ranek był piękny. Słonko świeciło, a śnieg się iskrzył. Mróz zelżał. Jemy śniadanie. Patrzymy do kufereków. Widzimy ze zdziwieniem, że przez tę jedną noc wiele żywności ubyło. Po śniadaniu wyszliśmy na rynek, aby obejrzeć miasto. Do szkoły mamy iść dopiero jutro. W rozmowie porozumieliśmy się obaj, że tam mieszkać jest niemożliwe. Okradną nas do reszty. To głodna Litwa tam mieszka, nie ludzie, mówimy. Liczna rodzina była, więc dzieci krały z kufereków. Wtedy było trudno o żywność. Poszliśmy na szosę makowską³⁶.

Ulica ta podobała się nam obu. Pytaliśmy się o stację. Znaleźliśmy ją pod Nr 30 u p. Parzuchowskiej w domu Jana Gerka. Tego dnia już tam po obiedzie zamieszkaliśmy.

Kobiecina była bardzo uczciwa pracownica. Zaopiekowała się nami jak matka. Ugodę, co do stołowania się i obsługi, omówiliśmy sami. Byliśmy zadowoleni ze stacji, bo i do szkoły blisko. Kolega mój był wysoki i o wiele starszy ode mnie. On się już golił. Początkowo mówiłem do niego przez pan, a on na mnie przez per ty. Później mówiliśmy już sobie po imieniu. Okazało się

później, że jest to najszczęśliwy mój przyjaciel przez cały pobyt w seminarium. Do czwartego kursu seminarium trzymaliśmy się kupy. Potem ja przeszedłem na kurs piąty, a on pozostał na czwartym. To nas rozdzieliło.

Murnau, 15 lipca 1940 r.

Moje urodziny. 1 lutego poszliśmy do szkoły. On na drugi kurs preparandy zdał, a ja na pierwszy. Jednak po dwóch tygodniach pobytu na pierwszym kursie i po dokładnym przeegzaminowaniu mnie kierownik preparandy³⁷ przesadził mnie na kurs drugi. Byłem więc razem w jednej ławce z kolegą Dalgiewiczem. Pierwszego lutego 1918 r. poszliśmy do preparandy na ulicę Kościuszki, dom p. Chodkowskiego. Kolega Dalgiewicz na drugi kurs, a ja na pierwszy. Znalazłem się w wielkiej sali wśród kilkudziesięciu kolegów i koleżanek. Wszyscy nieznajomi. Byłem

nieśmiały. Wstydziłem się koleżanek. Krępowała mnie najbardziej jedna rzecz. Mianowicie na lewym uchu miałem znamię w kształcie cycka. Ono mnie dobijało. Do każdego starałem się obracać prawą stroną twarzy. Znamię jednak nie uszło uwagi ani kolegów ani koleżanek. Zaczęli się podśmiewać ze mnie. Bolało mnie to bardzo i jeszcze bardziej onieśmiało. Zbliżałem się do kolegów bardziej nieśmiały. Od koleżanek trzymałem się z dala. One jednak często czepiały mię słowami. Po kilku dniach pobytu na kursie poznałem nauczyciela, kolegów,

szkoły przychodzi na pierwszą lekcję kierownik p. Makarewicz, na lekcję rachunków. Znowu wrywa mnie do tablicy. Idę. Dał zadanie na liczby całkowite. Mnie w to graj. Rozumiałem je. Kazał samemu tłumaczyć i rozwiązywać. Zacząłem. Po powtórzeniu zadania stawałem pytanie i sam pisałem działania. Po skończeniu dałem odpowiedź. Pan Makarewicz i cała klasa tylko słuchała. W klasie było cicho. „Dobrze” odezwał się kierownik kursu. Następnie wypowiedział te słowa: - Słuchaj Kocot. Czy ty chcesz przejść na kurs drugi?



Zarząd Kooperatywy „Przyszłość” przy PSN w Pułtusk, 1923 rok.



Pierwsi maturzyści PSN w Pułtusk, 1923 rok. Władysław Kocot na środku w ostatnim rzędzie oznaczony strzałką.

koleżanki i zaczęły się lekcje. Oswoiłem się nieco i ze znamienia mniej sobie robiłem. Już od pierwszych dni przekonałem się, że pod względem czytania, pisania i rachunków stoję nieźle, a nawet o wiele lepiej od wielu kolegów i koleżanek w klasie. Dużo było mocnych, ale tylko w gadaniu. Po tygodniu kierownik preparandy p. Makarewicz i nauczycielka pani Biedrowska ciągle mnie wywoływali do lekcji i do tablicy. Opowiadałem nieźle. Jednak to ciągle odpytywanie mnie przez kilka dni z rzędu zaniepokoiło mnie. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Wreszcie po dwóch tygodniach

Zrobiło mi się gorąco. Po chwili namysłu odpowiedziałem:
- Tak, jeśli się nadaję.
Wtedy p. Makarewicz:
- Owszem. Jeśli będziesz pracował, to dasz sobie radę w zupełności.
- Będę -
odpowiedziałem.
- W takim razie zabieraj książki i chodź ze mną.

Uradowany wziąłem książki i poszedłem za p. Makarewiczem. Ten otworzył drzwi, wprowadził mię na kurs drugi. Do klasy rzekł: „Przyprowadziłem Wam jeszcze nowego kolegę”. Zaś mnie zapytał, w której ławce chcę usiąść? Spojrzałem po klasie. Wszystkie oczy były wlepione we mnie. Zobaczyłem kol. Dalgiewicza. Siedział akurat sam. Tam wskazałem kierownikowi kursu. „Dobrze. Siadaj i ucz się z nim razem” - odpowiedział i wyszedł. Nauczycielka p. Biedrowska prowadziła dalej lekcję języka polskiego.

Od tej chwili byłem już uczniem II. kursu preparandy. Cieszyłem się niezmiernie. Niektórzy koledzy z I. kursu zazdrościli mi tego. Jeden z nich kol. Tarkowski [Taszkowski] rozplakał się kierownikowi i prosił go, że i on chce być na drugim kursie i da sobie radę. Kierownik zrobił próbę z nim. Wziął go. Jednak musiał go po kilku tygodniach zabrać z powrotem ku jego wstydomi, a uciechu kolegów i koleżanek. Ja wprawdzie pracowałem dużo nad lekcjami, a zwłaszcza gramatyką i ułamkami dziesiętnymi, ale dawałem sobie radę i w czerwcu preparandę nauczycielską ukończyłem. Zdałem na I. kurs państwowego seminarium nauczycielskiego.

W pierwszych początkach w Pułtusk zacząłem tęsknić do domu. Niemal co dzień wychodziłem na ulicę Makowską, aż za Święty

³⁶ Obecna ul. T. Kościuszki.

³⁷ Pierwszym dyrektorem preparandy był Aleksander Makarewicz.

Krzyż³⁸, aby popatrzeć choć na północ, w stronę Makowa, za którym leży moja wioska rodzinna Szczeglin Poduchowny. Rodzice w domu też martwili się o mnie. Ojciec zostawił mnie w Pułtusk na rynku prawie rozgniewany. Z tego wszystkiego nie zostawił mi ani marki. Matka nie mogła przemyśleć o mnie. Toteż, gdy w drugiej połowie lutego mrozy zelały wybrała się na sprzążkę z kuzynem i przyjechała do mnie. Aby mnie prędzej odnaleźć, zabrała ze sobą brata nauczycielki p. Stanisława Jakubczyka. Mimo tego długo szukali szkoły w rynku. Dopiero w dużą pauzę zawołano mnie z sali, że do mnie przyjechali. Wybiegłem na korytarz i na schodach spotkałem swoją matkę. Z radości się rozpląkałem. To samo matka. Nawet byłbym rad jechać do domu, bo matka z tą myślą przyjechała. Ale gdy matce wytłumaczyłem, że mnie tu dobrze jest, że uczę się dobrze i że już przeszedłem na drugi kurs, wtedy matka zgodziła się na pozostawienie mnie nadal. Oplaciła stancję i zadowolona odjechała do domu. Byłem teraz już spokojny i ja. Miałem pieniądze na książki. Ojciec przyjeżdżał co miesiąc i przywoził prowiant i pieniądze.

Po skończonym roku szkolnym przyjechałem na wakacje. Podrosłem przez te pół roku, wydelfiatniałem i zmężniałem. W domu byli ze mnie zadowoleni. Wakacje 1918 r. Tu zabrałem się do pracy. Pomagałem kosić łąki, przelotnie grabić i stożyc. We żniwa poszedłem ciąć żyto, pszenicę i owies. Zagrabiąłem i znosiłem snopki. Pracowałem jak dawniej. Miałem dużo siły. Za pasionką już nie chodziłem. Raz, że nie wypadła jako uczniowi, a po drugie było komu. Pasał młodszy brat. Wrażeniami dzieliłem się z rodziną. Przez całe wakacje opowiadałem o szkole, nauczycielach, kolegach, koleżankach i o wszystkim co widziałem, słyszałem i czego się nauczyłem. Wakacje przeleciały szybko. Zbliżał się czas wyjazdu do Pułtusk. Tu było gorzej. Rodzice oświadczyli mi, że za trudno dla nich ze względów materialnych posyłać mnie dalej. Pół roku wytrzymali, ale drugi rok niepodobna. Tym bardziej, że prowiant trzeba było przewozić przez Maków, po kryjomu przed Niemcami. Ja nalegałem na wyjazd. Rozpacz mnie ogarnęła na myśl, że może nie pojadę. Tłumaczyłem, że tylko ten rok i już będę nauczycielem. Zresztą tak sam myślałem i wierzyłem w to, gdyż drugim kursie seminarium nie słyszałem. Ostatecznie zmówiłem się z kolegami z sąsiedniej wioski z Pienic-Wielkich³⁹.

kol. Miłusińskim Władysławem, Kołakowskim Janem, Gregorczykiem Adolfem i Zalewskim Janem. W ostatnim tygodniu wakacji udaliśmy się na piechotę do Pułtusk i wynajęliśmy stosunkowo niedrogą stancję u pani Wojniłowiczowej, też na ulicy Makowskiej. Ojciec jakoś się udobruchał, porozmawiał z ojcami pienicaków, na wspólną z nimi pojechałem i ja.

Na stancji u p. Wojniłowiczowej byliśmy tylko do Bożego Narodzenia. Mimo, że były to 3 siostry tercjanki, ale okradały nas i morzyły głodem, nie dając tego, co nasi rodzice

dowiedzieli. Od półrocza przenieśliśmy się do p. Kurokowej, też na Makowskiej. Było nas pięciu. Rok na pierwszym kursie przeleciał nam w pracy szybko i wesoło. Z nauczycieli doszli nowi: p. Rosnowska Julia⁴⁰ i p. Fryderyk Platter. Mieliśmy czworo zacnych nauczycieli. Najważniejszym momentem w tym roku był 11 listopada 1918 r. Polska powstała. Rozbrajają Niemców⁴¹. Radość! Powstała drużyna harcerska, do której wstąpiłem i byłem w niej jako harcerz zwykły, zastępowy i adiutant. Pracę w drużynie traktowałem poważnie i byłem karnym. Uczęszczałem na zbiórki i wycieczki chętnie. Otrzymałem III stopień i krzyż. Do harcerstwa należałem przez całe pięć lat pobytu w Seminarium. Harcerstwo uważam za najlepszą organizację dla młodzieży szkolnej. Harcerstwo rozwija chłopca fizycznie, kształci jego umysł, charakter, rozwija zalety serca i duszy prawami skautowskimi. Sam bardzo dużo zawdzięczam harcerstwu. Powstał i sklep uczniowski, jako kooperatywa, pod nazwą „Przyszłość”⁴². Byłem jej pierwszym sklepowym. Potem przeszedłem wszystkie funkcje następne kooperatywy; z kolegami i koleżankami zżyliśmy się na dobre. Najulubiejszą zabawą dla mnie był „Trzeciak”. Wtedy nabiegałem się z kolegami i koleżankami. Koleżankami jeszcze się zbytnio nie przejmowałem. Nie obchodziły mnie jeszcze bardzo. Zresztą przebywając z nimi razem, zubożyłem w stosunku do dziewczyn z seminarium. Spowodowało to wspólne obcowanie. Większy pociąg miałem do gimnazystek, na które patrzyłem z dala. Lubiełem spacerować po ulicy 3-go Maja po południu i wieczorem. Wtedy gadałem o różnych sprawach z kolegami. W karnawale mieliśmy kilka zabaw szkolnych i w klasie. Ubawiłem się na każdej. Lubiełem tańczyć i umiałem.

Rok szkolny przeleciał, jakby kijem machnął. Ojciec przyjechał po mnie, by zabrać na wakacje. Przywiózł mi nowinę niedobłą. Dziadek umarł w Sypniewie. Ojciec wprost z pogrzebu przyjechał do Pułtusk. Szkoda mi było dziadka. Nasunęła mi ta śmierć poważne myśli. Cieszyłem się, że ukończyłem pierwszy kurs seminarium. Smuciła zaś śmierć dziadka, którego polubiłem, będąc w Sypniewie w szkole. Rodzice z siostrami wierzyli mi, że zdałem egzamin dobrze, lecz nie bardzo orientowali się w tych kursach. Dziwnie to wyglądało być na drugim kursie, zdać na pierwszy i znów zdać drugi kurs tej samej szkoły⁴³. Tłumaczyłem, że pierwsze kursy, to

preparandy, a drugie to seminarium. Ale to niewiele pomogło. Wakacje przeszły mi na pracy jeszcze większej, niż w roku zeszłym. Oto wiosną brat starszy Franek poszedł z pierwszym poborem do wojska polskiego [do] 6 pułku Legionów⁴⁴ z Wickiem, stryjecznym [bratem]. Było więc pracy dużo. Ojciec już był starszy. Toteż z chęcią pracowałem w wakacje, aby zaskarbić sobie pewność na wyjazd do Pułtusk.

Tymczasem ojciec zawczasu powiedział mi, że w tym roku muszę zostać w domu. Wpiew jeździł przeważnie Franek co miesiąc do Pułtusk z prowiantem i drzewem, a teraz ojciec nie da rady. Na razie nie sprzeciwiałem się, bo jeszcze do września daleko. Pracowałem dużo i tą pracą starałem się zjednać rodziców. Rodzice za pracę lubili mnie, ale tym bardziej wydawało się im, że nie dadzą sobie rady sami, bez mojej pomocy. Jednak w ostatnim tygodniu sierpnia znów z kolegami z Pienie poszedłem do Pułtusk poszukać sobie stancji. Znalazłem ją u p. Jaszczaków na Makowskiej. Niedrogo. Wróciłem i opowiedziałem w domu. Rodzice nie chcieli słuchać nadal. Więc prosiłem, płakałem i mówiłem, że to już ostatni rok. Zgodzili się rodzice wreszcie. Wszak poorałem ziemię pod żyto. Resztę ojciec zrobi sam. Pojechałem na kurs drugi do seminarium. Byli nowi koledzy i zwiększyło się grono nauczycieli. W miejsce kierownika Makarewicz przyszedł dyrektor Leon Butrymowicz⁴⁵. Zaczęła się praca w nauce i organizacjach. W wolnej Polsce obchodziliśmy uroczystości 11 listopada, 3-go Maja, powstanie listopadowe i styczniowe itd. Rok przeleciał na pracy i zabawie. Atmosfera na kursie była szczerą i miłą. Sympatyzowałem w koleżance Szablowskiej. Rok szkolny był zakończony wycieczką za Narew na Kurpie do Ostrołęki. Wracaliśmy przez Jednoróżec⁴⁶, Drążdżewę, w której dziś pracuję, Krasnosielc, Szczeglin i Gąsewo. Ja po drodze zostałem w domu. Zabrałem na goście kol. Dalgewicza.

Władysław Kocot

Początkowo w toku kształcenia przewidywano 4 kursy, zaś od 1919 - 5 kursów.

⁴⁴ 6 Pułk Piechoty Legionów Józefa Piłsudskiego utworzony został rozkazem Komendy Legionów Polskich z 27 lipca 1915 r. w Rozpry pod Piotrkowem. Od września pułk w składzie III Brygady Legionów Polskich. W lipcu 1917 r. w wyniku tzw. kryzysu przysięgowego został rozwiązany. Odtwarzanie pułku rozpoczęto na początku 1919 r.

⁴⁵ Leon Butrymowicz (1893-1948) - dyrektor PSN w Pułtusk w latach 1919-38, absolwent Politechniki Lwowskiej, sprawny organizator, znacząco przyczynił się do rozwoju Seminarium, dbając o wysoki poziom nauki i wspierając różnorakie inicjatywy wychowawcze oraz organizacje młodzieżowe.

⁴⁶ Jednoróżec - wieś gminna w woj. mazowieckim, w powiecie przasnyskim.



Dziennik wojenny

30 sierpnia - 17 października 1939

Władysław KOCOT

Wprowadzenie

Wojna to straszna rzecz. Niszczy domy, drogi i fabryki. Nade wszystko jednak kaleczy i zabija ludzi i to zarówno fizycznie jak i psychicznie.

Niniejszy artykuł zawierający wspomnienia żołnierza września 1939 roku – Władysława Kocota, ukazał się pierwotnie drukiem w roku 2009 staraniem jego córki - Donaty Kocot-Bończak, w opracowaniu pracowników naukowych Archiwum Państwowego m.st. Warszawy, Oddział w Pułtusku - dr Radosława Lolo i dr Krzysztofa Wiśniewskiego pt. „Pamiętniki i korespondencja z lat 1920, 1939-1945”. To wyjątkowe pod wieloma względami dzieło warte jest szerokiego upublicznienia, szczególnie na terenie Ziemi Krasnosielckiej, na której żył nasz bohater i autor wspomnień zarazem.

Bardzo konkretny język, jasność przekazu, wierność rzeczywistości oraz powściągliwie okazywane, choć skrajne emocje, to atuty pióra Władysława Kocota. Nie chępli się bohaterскими czynami, lecz je po prostu opisuje.

Drogi Czytelniku, pomyśl proszę, kogo z Twoich bliskich stać byłoby dziś na takie poświęcenie ... a Ciebie?

Z poważaniem

Redaktor Wydania - Sławomir Rutkowski

Dnia 30 sierpnia 1939 r. wstałem rano, zjadłem śniadanie i jak zwykle codziennie chodziłem po własnym ogródku, zbierając jabłka, pomidory i ogórki. Wykąpałem się w Orzycu razem z dziećmi. O godz. 13.30, podczas obiadu całej rodziny mojej otrzymałem kartę powołania z wezwaniem natychmiastowym, tak żebym wyruszył w drogę najwyżej po dwóch godzinach od chwili doręczenia karty. Tak i było. Żona Genowefa Lucyna z Chrzanowskich i dzieci, to

„Królewna” i „Księżniczka” to nasze pieszczotki, a Czarus Staś to kochany przyszły generał lub ksiądz. Ja chcę go widzieć polskim dzielny generałem, żona księdzem. Czym będzie, zobaczymy. Ta najukochańsza moja rodzina na wieść o karcie powołania wybuchła serdecznym płaczem. Uspokoilem ją i zacząłem się szykować. Ponieważ już od dwóch dni spodziewałem się mobilizacji, nawet więc byłem już gotowy. Odchodzę. Żegnaj żonę i dzieci po kilka razy. Słuchając



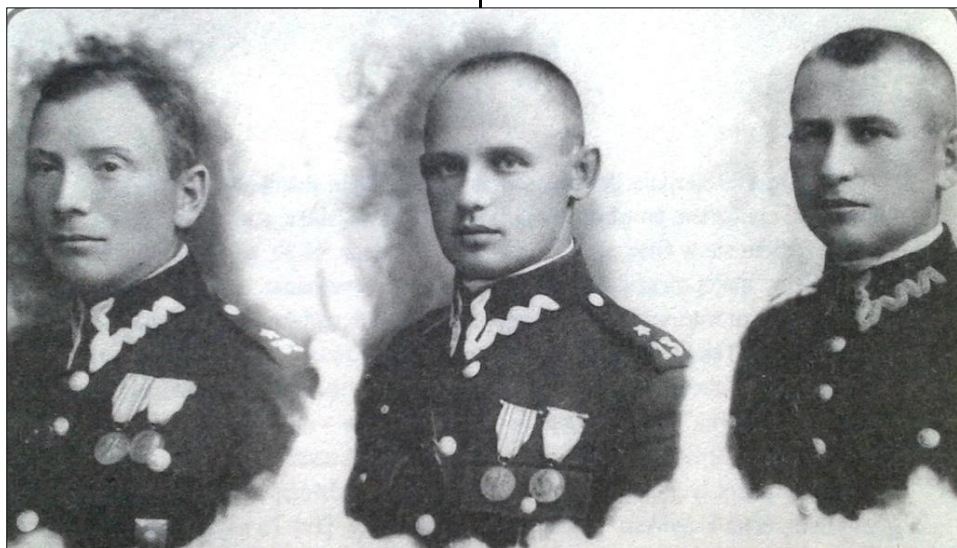
Genowefa Kocot z dziećmi: Donatą i Cezarym, 25 sierpnia 1939 r.

jest: najstarszy Czarus Staś, młodsza Danusia Krysia - mamusi „Krakowianka”, a tatusia „Królewna” oraz najmłodsza Halinka Janinka - nasza najukochańsza „Księżniczka”.

ich płaczu rozplakałem się i sam. Ostatecznie zasalutowałem wszystkim przed bramą, dzieci się ukloniły, wsiałem na rower i pełen żalu, że opuszczam Wszystkich i wszystko może na zawsze. Odjechałem na rowerze do Krasnosielca, skąd furmanką jednokonną do Makowa, a dalej samochodem do Pułtuska. W kasynie oficerskim wieczorem spotykam kolegów. Witamy się, jemy kolację i słuchamy radia. Śpię z Wickiem Mosakowskim na jednym sienniku Nocleg nie bardzo.

31 sierpnia 1939 r., czwartek. Rano spotykam wielu kolegów oficerów. Witamy się i śmiejemy. Wojny jeszcze nie ma. Dopiero na dziś jest ogłoszona mobilizacja⁴⁷. Poruszenie wśród nas i w kraju duże. Stale słuchamy pilnie radia, aby mieć najświeższe wiadomości. Zająć nie mamy. Wciąż napływają nowi rezerwiści. Wychodzimy na miasto.

1 września 1939 r., piątek. Wojna. Dzień historyczny. Niemcy napadły w nocy na



Podchorążowie z pułtuskich szkół. Od lewej Wincenty Mossakowski, Władysław Kocot i Józef Kocięcki, 1933 r.

⁴⁷ 30 sierpnia 1939 r. Prezydent RP Ignacy Mościki zarządził mobilizację powszechną z dniem 31 sierpnia 1939 r. W. Kocot został powołany do służby jako podporucznik rezerwy.

Polskę. Bronią naszych granic żołnierze. Przemowy w radio. Przy głośnikach tłumy. Mam pracę. Zostaję mianowany dowódcą 3-ciej kompanii strzelców OZN (Oddział Zbierający Nadwyżki). Mam przeszło dwie setki żołnierzy. Mam zorganizować kompanię. Biorę się do pracy. Przez cały dzień podzieliłem kompanię na plutony, drużyny, obsadziłem ją dowódcami. Miałem w kompanii 11-stu oficerów kolegów, którzy w cywilu byli na różnych wysokich stanowiskach. Jest kilku kierowników szkół znanych mi, bo są z makowskiego, względnie pułtuskiego powiatu. Wieczorem wszystkich żołnierzy kompanii 3-ciej przekazuję kpt. Grochowskiemu. Zostaję z kadrą nadal w 3-ciej kompanii. Czekamy na ludzi, rezerwistów, którzy jutro znów napłyną. Po kolacji u Błaszczaka⁴⁸ idziemy spać. Przez cały dzień nabiegałem się dowoli.

2 września 1939 r., sobota. Mam znów dużo rezerwistów. Organizujemy od początku 3-cią kompanię strzelców OZN. Po zorganizowaniu 3-ciej kompanii wysyłam 200-stu żołnierzy do pracy fortyfikacyjnej wokół Pułtusa z łopatami, oskardami i toporami. Roboty są prowadzone przy cegielni, Jeżewie⁴⁹ i na ul. Białowiejskiej⁵⁰. Reszta żołnierzy munduruje się w drellichy. Cały dzień latania. Nogi zaczynają mięć bolić. Ścieram je, bo buty są twarde nie zachodzone z lata. Kolacja na Trzeciaki⁵¹ i spać. O bitwach z Niemcami mało co wiemy. Tylko w radiu nadają: Uwaga! Uwaga! Nadchodzi = przeszedł. W ten sposób radio ostrzegało rejony, gdzie samoloty nieprzyjacielskie napadały. Artyleria przeciwlotnicza miała je ostrzelać i zmusić do odwrotu.

3 września 1939 r., niedziela. Nadal pracuję nad ostatecznym zorganizowaniem 3-ciej kompanii strzelców OZN. Uruchamiam kancelarię i ewidencję żołnierzy. Ciągłe zmiany w żołnierzach i kadrze instruktorskiej. Wysyłam znów 200-stu ludzi do pracy nad obroną Pułtusa. Krążą różne wiadomości o bitwach i nieprzyjacielu. Zaczynają się ciągnąć wozy z uciekinierami ul. Makowską, Ciecchanowską. Patrzymy na uciekinierów, słuchamy wiadomości z radia. Wiadomości zwłaszczą od uciekinierów są niepokojące.

4 września 1939 r., poniedziałek. Następuje nowa organizacja wszystkich kompanii OZN. Rozkazem tym zostaję zwolniony z dowódcy kompanii na dowódcę plutonu. Odetchnąłem po pracy. Miałem jej już po uszy. Nogi bolały od ciągłego latania. W czasie spaceru po ul. Trzeciego Maja spotykam kol. Władka Miłuńskiego, nauczyciela z Krasnosielca. Zabieram go na obiad do kasyna oficerskiego. On też z rodziną ucieka. O żonie mojej i dzieciach nic nie wie. Dowiaduję się różnych wiadomości od niego o postępie wojsk

niemieckich na Pułtusk. Kol. Miłuński zatrzymał się z rodziną w szkole w Grabówcu⁵² u państwa Kołdrasów. Prosiłem go, aby przy okazji szukał i mojej rodziny. Uciekinierzy tak już napływają do Pułtusa, że ulice są za ciasne⁵³. Wozy, konie, ludzie, bydło, świnie, gęsi itd. tłoczą się przez Trzeci Maj na Warszawską. Ścisk, tłok, krzyk, rozpacze nawoływania ludzi sobie znajomych. Zamieszanie okropne. Wszystko w panice ucieka, aby dalej i dalej. My w nocy opuszczamy koszary i udajemy się na Popławy⁵⁴ do baraków, by być bezpiecznymi od nalotów niemieckich samolotów. Kompanię prowadzę ja, ponieważ znam drogę na Popławy. Śpiemy w barakach na śmieciach pozostałych z lata.

5 września 1939 r., wtorek. Mieszkamy na Popławach w barakach. Grzejemy się w lesie na słońcu. Chronimy się pod sosny przed samolotami niemieckimi, które coraz gęściej się pokazują nad nami i Pułtuskim. Po południu kol. Władek Miłuński przyjechał specjalnie do Popław, do baraków! zawiadomił mnie, że żona i dzieci są w szkole w Grabówcu. Natychmiast siadam na rower kol. Miłuńskiego i jadę do żony. Władek wraca za mną piechotą. Dobry chłopak. Znajduję ich nie w szkole, a u boru przy dwóch furach naszych z Rogowa, gdyż żona z dziećmi zabrała się z swoimi rodzicami. Witam się czule ze wszystkimi, a najczulej z żoną i dziećmi. Radość obopólna. Opowiadają mi o sobie, o domu w Drążdzewie i Rogowie i jak te domy zostawili. Pensji żona nie wzięła, gdyż kierownik szkoły nie pobrał, mimo że się zobowiązał pobrać i wziął upoważnienie. Ponieważ otrzymałem już pobory w wojsku w wysokości 417 zł, więc żonie dałem 300 złotych, trzy steki w całości i odjechałem. Pożegnawszy się z rodziną, pod wieczór opuściłem bór i wróciłem do baraków na Popławy. Po kolacji spałem spokojnie szczęśliwy, że żona z dziećmi i rodziną uciekła.

6 września 1939 r., środa. Dopołudnie spędziłem w barakach na próżnowaniu. Po południu wybrałem się na własnym rowerze znów do Grabówca. Witałem się z rodziną, jakbym się długo nie widział. Dzieci się cieszyły i trochę popłakiwały. Martwili się wszyscy. Teść mi mówił, że nasz rząd i ci u góry stojący w dużej liczbie zdradzili Polskę i zaprzędali Niemcom. Tłumaczyłem, że to nieprawda. Tak mówią szpiegi niemieckie. Ponieważ sądziłem osobiście, że Niemcy dojdą najdalej do Pułtusa obronnego, więc prosiłem żonę i całą rodzinę, ażeby dojechali za Grabówiec do Kruczego Borku⁵⁵ i żeby przeczekali burzę. Potem mają wrócić do Rogowa i Drążdzewy. Zastałem państwa Miłuńskich z p. Kacprzykowską, p. Partyką z dziećmi i p. Kołdrasową z dziećmi. Żona z dziećmi spała w klasie w Grabówcu. Całe to

towarzystwo było bardzo nerwowe, a najbardziej p. Miłuńska. Wszystko się wybierało jechać dalej do Kruczego Borku. Po rozmowach z dziećmi, żoną i rodziną i po posiłku pożegnałem wszystkich ostatni raz i odjechałem. Długo patrzyłem za odjeżdżającymi w przeciwną stronę. Zbierało mi się na płacz. Oni też płakali. Tego samego dnia wieczorem nastąpił wymarsz z baraków. Maszerowaliśmy przez Grabówiec akurat tą drogą, którą przed wieczorem jechała moja rodzina. Poszliśmy dalej na Zatory⁵⁶ i Popowo⁵⁷. W Popowie był nocleg i cały dzień następny.

6 września 1939 r., czwartek. Pod wieczór ruszyliśmy z Popowa dalej. Doszliśmy do rzeki Bugu, którą przeszliśmy w bród. Ja zdjawszy buty, spodnie i kalesony, z rowerem przeprowiłem się na drugi brzeg rzeki. Zamoczyłem sobie koszulę i mundur. Później było mi zimno i dostałem kaszlu. Nocleg był w piaszczystej wsi Józefowo⁵⁸. Spałem w domu.

8 września 1939 r., piątek. Po długim marszu nocnym zatrzymaliśmy się w Kłuszynie⁵⁹. Marsz był forsowny. Żywność była licha. Jednak można było coś dokupić w Białym Polskim Krzyżu⁶⁰. Ale tylko początkowo. Później ten Biały Krzyż był tylko kulą u nogi naszej kompanii, gdyż kilka wozów niepotrzebnie zajmowały panie, bety z obsługą, a koniska biedne ciągnęły je po ogromnych piachach. Tymczasem biedni żołnierze z odparzonymi nogami musieli wlec się, padając ze zmęczenia i bólu. Panie gonily za flirtem z obcymi panami. Bawiły się z kol. Poryckim i innymi. Ja wypilem tylko raz herbatę w tym towarzystwie. Nie podobało mi się to towarzystwo. Niemcy szły naprzód.

9 września 1939 r., sobota. Spałem w garażu samochodowym w Nowym Dworze pod Modlinem. Kompanie spały w koszarach. Położyliśmy się o godz. 2-giej po północy, gdyż od wieczora maszerowaliśmy z Kłuszyna. Byłem mocno zmęczony, nogi poobcierane i zniechęcony do życia. Ratował mnie tylko rower własny, na którym szosami i twardą drogą jechałem.

10 września 1939 r., niedziela. Z 9 na 10 września odbył się przydział oficerów OZN do kompani marszowych na front. Trafiłem do 13 pp⁶¹ do znajomego dawnego dowódcy z wojny

⁴⁸ Znany przed wojną pułtuski restaurator. Jego restauracja mieściła się przy ul. 3 Maja.

⁴⁹ Jeżewo - wieś przylegająca do Pułtusa od strony południowo-zachodniej.

⁵⁰ Prace fortyfikacyjne prowadzono od lata 1939 r. W ich ramach zbudowano schrony bojowe. Opisane przez W. Kocota roboty miały na celu oczyszczenie przedpolia miasta, wykopanie okopów i rowów utrudniających podejście do Pułtusa.

⁵¹ Popularna nazwa ul. 3 Maja.

⁵² Grabówiec - wieś na lewym brzegu Narwi, ok. 3 km od Pułtusa.

⁵³ Była to głównie ludność z powiatów graniczących z Prusami Wschodnimi: mławskiego, przasnyskiego i makowskiego.

⁵⁴ Obecnie dzielnica Pułtusa położona na lewym brzegu Narwi.

⁵⁵ Kruczy Borek (również Kruczyborek) - wieś na lewym brzegu Narwi w gminie Zatory, ok. 8 km od Pułtusa.

⁵⁶ Zatory - wieś gminna w powiecie pułtuskim, ok. 12 km na pld.-wschód od Pułtusa.

⁵⁷ Popowo - wieś na prawym brzegu Bugu w gm. Somianka, ok. 4 km od ujścia Bugu do Narwi.

⁵⁸ Józefowo (właściwie Józefów) - wieś nad Bugiem w gm. Dąbrówka, pow. Radzymin

⁵⁹ Pomyłka Autora, chodzi o wieś Kałuszyn - położoną w gm. Wieliszew, ok. 4 km na wschód od Nowego Dworu Mazowieckiego.

⁶⁰ Polski Biały Krzyż był instytucją cywilną o charakterze organizacji paramilitarnej, założony w roku 1918 w Stanach Zjednoczonych z inicjatywy Heleny Paderewskiej. W Wojsku Polskim II Rzeczypospolitej oddał znaczące zasługi w upowszechnianiu oświaty i kultury wśród żołnierzy służby zasadniczej, w czasie kampanii wrześniowej starał się wspierać wojsko pomocą medyczną, aprowizacją.

⁶¹ 13 Pułk Piechoty „Dzieci Krakowa”

bolszewickiej pana kpt. Poszepczyńskiego. Maszerowaliśmy całą noc. Nad ranem odpoczynek i spanie w olszynie na ziemi. Przed południem marsz do pierwszej linii do II-go batalionu 13 pp, aż do Małej Wsi⁶². Tu spotkałem się z żony bratem Stefanem Chrzanowskim z Rogowa. Ucieszyliśmy się obydwaj. Opowiedziałem Stefanowi o rodzicach, rodzinie i ucieczce. Dałem mu kilka złotych. Obaj jesteśmy w -gim. baonie⁶³. On jest w łączności. Po obiedzie odmarsz do Modlina przez most drewniany. Po nocy z 10 na 11 września, po nocnej strzelaninie wróciliśmy przez most z powrotem przez Wisłę do wsi Adamówka⁶⁴, gdzie był odpoczynek do obiadu.

Ubiegłej nocy, to znaczy z 10 na 11 września, zostałem ostatecznie przydzielony do 4-tej kompanii II-go Baonu 13 pp jako dowódca plutonu; Dowódcą 4-tej kompanii był ppor. Rudnicki Mirosław. Wieś Adamówek leży w lasach puszczy Kampinowskiej pod Warszawą. Niedaleko wsi Adamówki są w lasach olbrzymie składy amunicji Palmiry. Zaszyci w lasach 12-go września odpoczywaliśmy do południa. Na drugi dzień pierwszy raz zaatakowaliśmy Niemców pod Zaborowem⁶⁵, Wyględą⁶⁶ i Borzęcinem Dużym⁶⁷. Było to 13-go września. Myśmy zwyciężyli. Ciekawy był atak. Zdążyliśmy zjeść obiad ze Stefanem na powozie pod szopą, w folwarku Zaborów i zaraz do ataku. Zaraz na początku ataku, w biegu do drużyny z rozkazem, żeby zatrzymała się, wypadł mi własny rewolwer. Zaczęłem go szukać gorączkowo na roli i rżysku i już nie znalazłem, bo musiałem iść naprzód. Po drodze Chwyliłem jakąś wić grubszą i z nią atakowałem dalej. Muszę przyznać, że bez broni czułem się strasznie marnie. Atakowaliśmy kilka kilometrów. Niemcy uciekli. Jednak patrząc przed siebie i na prawo na szosę, zza której strzelali Niemcy, odniosłem wrażenie, że uderzyliśmy w próżnię. Przed nami Niemców nie było. Natomiast siali po nas ogniem maszynowym zza szosy, czyli w naszą flankę. Ostatecznie atak skończony, a Niemcy odparci!

Na pierwszej zbiórce wieczorem otrzymałem nowy rewolwer wojskowy, duży, „Visan”⁶⁸

w czasie wojny obronnej 1939 wchodził w skład 8 Dywizji Piechoty walczącej w Armii Modlin. Dowódcą Pułku w 1939 roku był ppłk Alojzy Nowak.

⁶² Mała Wieś - wieś na lewym brzegu Wisły w gminie Leoncin.

⁶³ Pomyłka autora: powinno 2-glm baonie.

⁶⁴ Adamówek - wieś na skraju Puszczy Kampinoskiej w pow. nowodworskim, w gminie Czosnów.

⁶⁵ Zaborów - wieś w woj. mazowieckim, w pow. warszawski zachodnim, w gminie Leszno.

⁶⁶ Wyględa - wieś w woj. mazowieckim, w pow. warszawski zachodnim, w gminie Leszno.

⁶⁷ Borzęcin Duży - wieś w woj. mazowieckim, w pow. warszawskim zachodnim, w gminie Stare Babice.

⁶⁸ Vis i polski pistolet samopowtarzalny wz. 1935, kal. 9 mm od drugiej połowy lat trzydziestych na wyposażeniu Wojska Polskiego.

i rozkaz pójścia na patrol oficerski. Szedłem wzdłuż szosy przez Bożęta Duże⁶⁹, Wyględę i Zaborów, prawie tą samą drogą, co w ataku. Wracając z patrolu oficerskiego, sprowadziłem resztki 13 pp, łączność z oficerem i artylerię z oficerem, o czym zameldowałem dowódcy pułku. Ponieważ kompania 4-ta była na polu w okopach i trudno byłoby do niej trafić nocą, postanowiłem przecześć do rana we wsi przy kościele. Żołnierze znaleźli pustą chałupę, w której rozgościliśmy się na dobre. Zrobili kolację, na którą złożyły się: 3 króliki, 2 kury i kawał wieprzowiny z kartoflami. Rano dołączyliśmy do 4-tej kompanii i z powrotem ruszyliśmy do Adamówka w puszczy Kampinowskiej. Po obiedzie idziemy z odsieczą twierdzy Modlin, skąd słychać straszny huk armat. Codziennie widuję się ze Stefanem Chrzanowskim. Miło jest spotykać się z nim, bo to rodzina. Dziś jeszcze go nie widziałem. Pracuje chłopak i maszeruje.

13 września, godz. 4 po południu, środa. Do dziś pogoda była cudowna. Dni ciepłe i słoneczne, a noce widne księżycowe. Strzały nasze i nieprzyjacielskie artylerii i samolotów celne. Straszna susza. Lasy puszczy Kampinowskiej palą się bez przerwy. Przed chwilą oglądałem fotografie żony i dzieci. Ucałowałem ich wszystkich serdecznie. Kiedy ja was dzieciaki i ciebie Geniutko zobaczę! Przeklęta wojna i całe Niemcy. Wierzę, że Pan Bóg ich ukarze, a nas Polaków wynagrodzi za krzywdy nam wyrządzone. Dziś pewnie będziemy atakować. Bądźcie mi zdrowe dzieciaki i cała Rodzino! Kochający Was ojciec i mąż. W. Kocot.

14 września 1939 r., 4 godz. po południu, czwartek. Dziś przeprawiliśmy się przez Wisłę mostem żelaznym pod Modlinem. Podobno mamy iść za Narew w nasze strony. Słyszymy ciągle huk armat.

15 września 1939 r., piątek. Wczoraj o godz. 6 wieczorem opuściliśmy lasy i przez Nowy Dwór przybyliśmy do wsi Łączna. Droga była krótka. Po wykopaniu rowów przeciwlotniczych spaliliśmy do rana i odpoczywaliśmy do południa. Grają nasze armaty. Jesteśmy w odwodzie. Nasi stracili dziś 2 samoloty niemieckie. Dziś ogoliłem się własną brzytwą, którą wozilem w walizce na wozie baonowym. Waliza została kompletnie zniszczona. Rower zaś zupełnie zrzucony z woza i zagubiony. Podobno zdjęli z woza rower, bo rannych nakładli. Walizkę zniszczoną przenieśli na wóz 4-tej kompanii. Dziś jestem bardzo wesoły. Gwiżdżę sobie i nucę piosenki żołnierskie. Myślę o domu i rodzinie. Staram się odgadnąć, co jest z nimi i gdzie są? Dziś dostałem drugi raz wypłatę. Otrzymałem 317 zł. Duże pobory w wojsku. Jest godz. 6 po południu: siedzę pod gruszą polną, stojącą na miedzy w Nowa Łączna. Tylko co zjadłem zupę. Zaraz dostanę kawę, po którą do kuchni poleciał mój ordynans strzelec Biłek Józef z Drażdżewy. Dobry chłopak. Żywi mnie już od kilku dni. Dziś podałem go do awansu na starszego Strzelca. Przed chwilą jeszcze Niemcy walili z armat obok nas. Zapalili wieś i jest duża łuna. Patrę na nią i żal mi biednych polskich wiosek, ginących w płomieniach. Słonko już zaszło. Żołnierze kręcą się ponad okopami i kończą kolację. Pewnie dzisiejsza

⁶⁹ Pomyłka autora, chodzi o Borzęcin Duży.

noc będzie marna dla nas. Znow myślę, gdzie moja rodzina. Radbym przesłać pieniądze żonie, ale nieczynna poczta. W tej chwili strzela tylko nasza artyleria.

16 września 1939 r., sobota, 3 godz. po południu. Przed chwilą zjadłem obiad. Stoimy w odwodzie. Jestem dowódcą 2-go plutonu 4-tej kompanii. Do dziś byłem przy plutonie 3-cim. Pluton objąłem po ppor. Kotarskim; dyrektorze gimnazjum z Płońska. Obaj żyliśmy na froncie bardzo dobrze. W czasie marszu z plutonem zostałem ostrzelany przez samoloty niemieckie, lecz nieszkodliwie. Dziś niemieckie lotnictwo jest bardzo czynne. Przeleciało nad nami już ponad 50 samolotów i jeszcze wciąż krążą. Szkody z naszej Strony niewiele. Mam wrażenie, że jesteśmy w kółku okrążeni przez Niemców. Jednak niewiele sobie z tego robię. Jakoś tam będzie. Wiem, że Bóg jest nad nami. Dziś padał większy deszcz. Mając celę⁷⁰ nie przemokłem. Do dziś jeszcze chodzę w swoich butach i cywilnym ubraniu. Mam tylko wojskową furazerkę, płaszcz zwykły, lornetkę, maskę i rewolwer.

18 września 1939 r., godz. 12.30 w; południe. [Wczoraj będąc na placówce w lesie, zatrzymałem człowieka. Okazało się, że mieszkaniec Bogatego⁷¹, względnie Przasnysza. Wracał jako pielgrzym z Częstochowy. Napisałem kartkę do żony w Rogowie i ten człowiek zobowiązał się doręczyć ją. Po odejściu tego pielgrzyma naleciały samoloty niemieckie na las i ostrzeliwały go przez 2 godziny bez przerwy. Rzuciły bomby i strzelały z karabinów maszynowych. Jednak wyszliśmy z tej opresji cało. Oni amunicji i benzyny napsuli masę. W czasie powrotu z placówki lał deszcz jak z cebra. Momentalnie miałem pełne buty wody. Wysłałem z placówki dwa meldunki. Za jeden otrzymałem pochwałę od dowódcy batalionu pana majora Górskiego. Noc z 17 na 18 spędziłem jako oficer inspekcyjny. Sprawdzałem placówki czujki po trzy razy. Byłem niewyspany, zmoczony i (niewyspany) zmęczony. Jeszcze szaro 18 września odmarsz do Kazunia⁷² Niemieckiego. Tu najpierw kopaliśmy rowy przeciwodłamkowe, a potem odpoczynek. Jestem głodny i zmęczony. Bo śniadaniu o godz. 11-tej przed południem położyłem się na słomie pod płotem, plecionym z grubej wikliny i zasnąłem. Po przebudzeniu chciałem wstać i nie mogłem. Zachorowałem na nogę pierwszy raz po roku 1935. Choroba nogi wskutek wilgoci powtórzyła się. Powoli i dzięki pomocy kol. ppor. Kotarskiego skurcz nogi ustąpił. Zaczęłem się martwić o swoje zdrowie. Jest godz. 2-ga po południu. Szykujemy się do boju jako odwód. Artyleria wali po sadach i po naszych obozach. Żołnierze odpoczywają, a ja piszę. Zapytuję się siebie: co będzie jutro?

19 września 1939 r., wtorek godz. 4 po

⁷⁰ Celta - pałatka.

⁷¹ Bogate - wieś, woj. mazowieckie, pow. przasnyski, gmina Przasnysz,

⁷² Kazuń - wieś, woj. mazowieckie, pow. nowodworski, gmina Czosnów. 8 DP, w składzie której znajdowały się oddziały 13 pp zgodnie z rozkazem generała W. Thommee weszła w skład odcinka obronnego Kazuń, którego dowódcą był płk T. Furgalski.

południu. Bór puszczy Kampinowskiej. Siedzimy nadal w borach. Niemcy atakują nas dniem i nocą ze wszystkich stron. Trzymamy się pod Modlinem. Dziś nocowałem w twierdzy Nr 13 koło Cybulic⁷³. Dzień spędziliśmy w lesie. Było tu moc wojska i wielu rannych. Dziś pierwszy raz widziałem 22 jeńców, spadochroniarzy niemieckich, wziętych do niewoli przez naszą 3-cią kompanię nadwyżek 13 pp. Radbym ich łać za krzywdy nam wyrządzone, ale są jeńcami i nam tego robić nie wolno. Nasi obchodzą się z nimi za dobrze. Częstoowali ich papierosami i żywnością - ppor. Marek Wyrzykowski. Niemcy byli młodzi, ss-mani, nieźle ubrani w myckach na głowach. Jeden był mocno ranny. U nas z żywnością coraz trudniej. A tu moc żołnierzy. Najechało się tu moc rozbitków z różnych pułków i dywizji. Obliczają nas ponad „milion” ludzi i masę koni⁷⁴. Każdy szuka jedzenia dla siebie i koni. Niektórzy furmani już zagłodzili swoje konie. Padają z głodu lub od kul i leżąc w boru, śmierdzą. Żołnierze robią wielki nieporządek w lesie. Brak ustępów. Każdy siada, gdzie mu się podoba. Drugi zaś siada w to i brudzi ubranie. Straszny nieporządek. Ranni żołnierze mają lichą opiekę. Są głodni. Dziś mniej strzelają i samoloty mniej latają. Przed chwilą jeden żołnierz, pochodzący z Pułtuska w mojej kompanii przyznał mi się, że jest wenerycznie chory. Prosił, aby go ktoś zastrzelił. Skierowałem go do lekarza. Jest bezradny. Całe ciało pokryte wrzodami. Biedny chłopak! Osobiście czuję się nieźle. Chce mi się tylko pić. Jadłem piekasy⁷⁵, które dali mi żołnierze, a zwłaszcza Grabowski Wacław z Nowego Drążdżewa - Posilenia. Fasowałem dziś onuce, sweter, szalik i ciepłe kalessony. Nie myłem się już trzy dni. Brak wody. Kol. ppor. Kotarskiego uczyłem zakładać onuce. Cały dzień nic nie robiłem. Leżałem lub lażałem bez celu. Wspominałem dom. Radbym się dostać do domu. Radbym się dowiedzieć, co słychać w rodzinie i czy wrócili do domu. Listu nie pisze, bo tam nieprzyjaciel.

20 września 1939 r., środa. Od godz. 10-tej rano samoloty niemieckie zaczęły bombardować nasz las. Powłaziliśmy do schronów. Samoloty latały tuż nad wierzchołkami drzew, a my byliśmy bezradni. Nie mieliśmy ani jednego własnego samolotu i ani artylerii przeciwlotniczej. Latały bezkarnie, rycząc i wyjąc w powietrzu przeróżnymi głosami i siejąc po nas i lesie z ckm-ów i rzucając bomby. Las gadał, a my w schronach, w ziemi czekaliśmy bożego zmiłowania. Pod wieczór ruszyliśmy do natarcia na Cybulice. Nacieraliśmy z 2-gim plutonem. Bylibyśmy niemało Niemców wystrzelali, ale sądziliśmy, że to 5-ta kompania nasza, o której mówili nam nasi starsi dowódcy. 5-ta kompania miała być na

przodzie. Tymczasem jej nie było. Natomiast Niemcy wolno wycofywali się, najdalej 300 m od nas. Nam zabili jednego żołnierza nazwiskiem Szybuta, którego pochowaliśmy koło chaty i na mogile postawiliśmy krzyż drewniany. Nad jego grobem wygłosiłem przemowę do żołnierzy 2-go plutonu. Potem poszliśmy dalej na linię i całą noc spędziliśmy w polu naprzeciw Niemców. Dziś czytałem pierwsze ulotki niemieckie, które brzmiały: „Nasz rząd w Rumunii”, „Śmigły rzekł się Naczelnego Wodza”, „Rosja 17 września przekroczyła granice Polski i idzie na Polaków”. My zaś mamy rozkaz, ażeby nie strzelać do bolszewików. Co prawdą jest, okaże się.

21 września 1939 r., godz. 13.30. Obiady jeszcze nie było. Z żywnością byłoby nieźle. Tylko chleba dają mało, bo bochenek na 8-miu żołnierzy, względnie na 10-ciu. Kawę żołnierze piją na tempa i to często w marszu. Dziś byliśmy krótko w forcie 13-stym Cybulice, poczem wymaszerowaliśmy do Sądów⁷⁶ pod Modlinem⁷⁷. Wokoło jest front. Jesteśmy okrążeni w niewielkim kociołku. Czuję się jednak nieźle. Samoloty niemieckie ciągle rzucają ulotki, abyśmy się poddali i nie bronili dłużej. Uważam to za kłamstwo z ich strony. Chyba gonią resztkami sił. W tej chwili jest tu cicho, ale każdej chwili może być znów atak. Dowiedziałem się, że Niemcy na zajętych terenach młócą zboże i wywożą do Prus. Żołnierze kopią sobie doły przeciwodłamkowe. Ja piszę pod jabłonką. Obok mnie siedzi i pisze sobie pamiętnik podchorąży plutonowy Kaczorkowski Paweł. Ojciec jego był kowalem w Gąsewie. Myślę o domu. Nie mogę odgadnąć sobie rodziny i domu. Jedno jest tylko pewne. Jeżeli żyją wszyscy, to Genia, Czarek, Danusia i Halinka codziennie przed pójściem spać modlą się i za moje zdrowie, i za mój szczęśliwy powrót do domu. Odczuwam to na sobie. Ja też się modlę za siebie i za nich.

22 września 1939 r., piątek, godz. 6 po południu. Jesteśmy w tych samych Sadach co wczoraj. Wczoraj to jest 21 września wieczorem robiliśmy dwoma batalionami wypad na Niemców. Pierwszy batalion był w pierwszej linii, a nasz drugi batalion był w odwodzie. Pierwszy batalion jak poszedł, tak z nami nie wrócił. Wrócił drugą drogą. Słyszałem obsługę radia pułkowego, że batalion szykowa! się w natarciu do walki na białą broń. Na tym wypadzie z rozkazu adiutanta batalionu por. Studzińskiego, jako oficer inspekcyjny, osobiście musiałem sprawdzić placówkę i czujki Nr 1. 5-tej kompanii strzelców. Z inspekcji szczęśliwie wróciłem. Placówka i czujki stały na oznaczonym punkcie. W chwili oświetlenia rakietami białymi widziałem wyraźnie niemiecką piechotę przesuwającą się na prawe skrzydło nasze. Zameldowałem się dowódcy batalionu i adiutantowi. Nie wierzyli o piechocie niemieckiej. Później stwierdził się mój meldunek. Przed wypadem mówiłem Stefanowi, że jeśli będę ranny lub zabity, to niech odszuka mnie i zabierze moje papiery i pieniądze, których mam przy sobie przeszło

400 zł. Stefana ciągle dozywiam, bo z jedzeniem już skąpo. Z wypadu mieliśmy kilku rannych. Resztę nocy spaliśmy we wsi Sady, w mieszkaniu.

Rano poszliśmy w pole i zorganizowaliśmy obronę. Tu pod dwiema bliźniaczymi sokorami⁷⁸ stanąłem i przez lornetkę obserwowałem Modlin, Zakroczym i okolice po obu stronach Wisły. Obok mnie pod sokorą siedział plutonowy podchorąży, jako dowódca drużyny w moim plutonie, drugi kapral obserwator i strzelcy z ckm na stanowiskach. Naraz Niemcy zaczęli strzelać i armat dalekonośnych i tak celnie, że po naszych stanowiskach. Trzeci pocisk padł pod sokorą, robiąc olbrzymi lej, strzaskał drzewo i nas ogłuszył do nieprzytomności, zasypując nas piachem i wiórami. Po uzyskaniu przytomności przestraszony skoczyłem do dołu przeciwodłamkowego wprost strzelcowi na plecy i uniknąłem nieszczęścia. Zaś podchorąży Chmielewski Józef (wieś Brzozy, pow. kozienicki), który siedział obok mnie zanim się poderwał, został szrapnelami zraniony śmiertelnie i w kilka godzin umarł. Sam mu opatrywałem ranę pod sokorą. Był ranny w piersi i bok, i nogi. Za każdym oddechem krew wylewała się strumieniami i krzepła. Po rozebraniu go włożyłem w jedną dziurę prawie cały bandaż swój i pożyczony od żołnierza, a w drugą dziurę w boku włożyłem jego własną furazerkę. Zabrałem się w Jego krwi mocno. Gdy strzały ucichły, przy pomocy strzelców zaniósłem go na jego płaszczu do kompanii, gdzie wkrótce życie zakończył. Szkoda chłopaka. Przed śmiercią wspominał o domu i rodzinie. Pochodził z kozienickiego powiatu, ze wsi Brzozy. Prosił, żebym zawiadomił jego rodzinę. Pocieszałem go, że będzie żył, choć w to nie wierzyłem⁷⁹. Tego

⁷⁸ Sokora - populama nazwa topoli czarnej.

⁷⁹ Historia ta ma swój dalszy ciąg. W 1977 r. W. Kocot wysłał list do rodziny Chmielewskich na adres, który zapamiętał ze słów ciężko rannego kolegi: wieś Brzozy, pow. Kozienice. W liście tym opisał okoliczności śmierci pchor. Józefa Chmielewskiego. W pamięci utkwily mu słowa konającego; „Co mi powie moja mama”. List doszedł do adresata, mimo że właściwa nazwa wsi brzmi: Brzózka. Na list odpowiedział brat Stanisław. Rodzice już nie żyli. Rodzina nie знаła miejsca pochówku. W 1998 r. bratanek zmarłego Stanisław Chmielewski miał sen, w którym zmarły stryj jakby prosił go o coś. Postanowił ponownie poszukać jego grobu. Poszukiwania zakończyły się sukcesem. Józef Chmielewski został pochowany na Wojskowym Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie w kwaterze 12 C, rząd 1, grób 17. Zaraz po śmierci jego ciało pochowano na pobliskim cmentarzu w Łomnej, a w 1953 roku przetransportowano na Powązki. W sierpniu 1998 r. bratanek zmarłego odwiedził W. Kocota w Drążdżewie i powiadomił go o odnalezieniu grobu. W następnym miesiącu zorganizowano spotkanie kilku osób przy grobie podchorążego. Dowódca zmarłego W. Kocot w mundurze majora rezerwy wygłosił krótką mowę, pożegnał kolegę z honorami wojskowymi i zasalutował. Był to wzruszający moment po 59 latach od

⁷³ Cybulice Małe wieś w woj. mazowieckim, w pow. nowodworskim, w gminie Czosnów. Fort VII położony na północ od Cybulic M. zbudowano w latach 1883-88, jako Jeden z fortów wchodzących w skład wewnętrznego pierścienia fortów wokół twierdzy Modlin.

⁷⁴ Liczebność załogi twierdzy Modlin szacuje się na ok. 40 tys. żołnierzy.

⁷⁵ Piekasy – pieczone ziemniaki.

⁷⁶ Sady - wieś w woj. mazowieckie, powiat nowodworski, gmina Czosnów.

⁷⁷ W nocy z 20 na 21 września oddziały 30 DP gen. L. Cehaka złuzowały 13 pp z 8 IIP.

dnia strzelała artyleria i samoloty bez przerwy.

23 września 1939 r., sobota, godz. 6 wieczorem. Wczoraj wieczorem poszliśmy na Palmiry⁸⁰ po amunicję. Palmiry były już zajęte przez Niemców⁸¹. Szliśmy prosto szosą warszawską nieubezpieczeni zupełnie. Maszerowaliśmy, jakby w czasie pokoju. Wina spada wyłącznie na dowódców, gdyż marsz był nieubezpieczony. Gdy przechodziliśmy koło palących się domów, byliśmy wszyscy oświetleni. Żołnierze naszej 4-tej kompanii rzucili się do studni pić wodę. Dowódca 4-tej kompanii ppor. Rudnicki jak zwykle strzelił do żołnierzy naszych. Na ten strzał odezwały się karabiny maszynowe niemieckie z ukrycia, którzy przygotowali na nas zasadzkę. Pod wpływem strzałów [z] ckm-ów powstał na szosie w naszych szeregach popłoch. Wszystko rzuciło się do rowów i padło na ziemię. Na szosie zostały tylko biedne konie, które co chwila przewracały się i w przedśmiertnych podrygach kopały ziemię i powietrze. Ciskały się jak ryby wyjęte z wody i płały w uprzęży. Niektóre konie spadały do rowu i przygniatały sobą strzelców. Przez dłuższą chwilę z naszej strony nie było żadnej reakcji. Przez ten czas Niemcom nadeszły z pomocą armaty. Jak wyróżną po szosie z ckm-ów i armat! A my znów nic. Dopiero po dłuższym czasie odezwały się nasze ckm-y. Strzelali tak na pamięć w stronę Niemców. Wreszcie trochę ochłonęli i nasi i dowódcy wydali rozkaz do natarcia. To się jednak załamało. Przyszedł rozkaz wycofać się tą samą drogą. Wtedy wiara zaczęła uciekać, a pociski artyleryjskie i ckm-y masakrowały nas. Dużo poległo, a jeszcze więcej było rannych. Ja skierowałem się w stronę Wisły. Po drodze dopędziłem kilkudziesięciu żołnierzy, z którymi co chwila musiałem padać, skakać przez płoty i dalej, i dalej. Korytem Wisły skręciłem na północ w stronę Sadów. Po kilkunastogodzinnym marszu i dość trudnych przeprawach przez odnogi Wisły dostaliśmy się do miejsca wyjścia. Przez jeden strumień, mój drużynowy kpr. Kanigowski przeniósł mnie na baranach. On miał buty całe i dobre serce, a ja byłem we własnych butach dziurawych. Podwładny był przywiązany do dowódcy.

Po tym wypadku objąłem dowództwo 2-go plutonu po ppor. Gołaszewskim, który z wypadu nie wrócił. Zaginął. Dzień nam przeszedł w Sadach na staraniu się o żywność. Mamy skąpo żywności. Żyjemy prawie kartoflanką i piekasami. I to trudno o piekasy, bo nie wolno palić ognisk, ażeby artyleria

tragicznej śmierci (Donata Kocot-Bończak)

⁸⁰ Palmiry - wieś w woj. mazowieckim, w pow. nowodworskim, w gminie Czarnów. Przed II wojną światową w pobliżu znajdowała się składnica amunicji, przygotowana na wypadek sowieckiej inwazji - we wrześniu 1939 zaopatrywano z niej wojska polskie w czasie niemieckiego oblężenia Warszawy. W czasie wojny w okresie od grudnia 1939 do lipca 1941 miejsce masowych mordów, w ramach Akcji AB, dokonywanych przez Niemców na ludności cywilnej, głównie na byłych więźniach Pawiaka oraz więźniach na ul. Danilowiczowskiej i Rakowieckiej.

⁸¹ Palmiry, bronione przez grupę pik Juliana Skokowskiego zostały opuszczone przez wojska polskie przed świtem 22 września.

i samoloty nieprzyjacielskie nas nie zauważyły. Strzelcy już głodują. Stefanowi pomagam dalej. Dziś po kolacji mamy znów wymarsz. Podobno w to samo miejsce, co wczoraj. Chcemy się przebić na Warszawę, rozerwać pierścień nas otaczający. Co to będzie? Pytanie takie staje przed każdym. Żołnierze zadają mi takie pytania bez przerwy. Do tej pory pocieszałem ich jak mogłem. Teraz i ja zwątpiłem w możliwość naszej obrony i w pomoc z zewnątrz. Odpowiadałem im: Jakos będzie. Bóg nad nami⁸².

Niedziela, 24 września, godz. 11.30. Jestem w pokoiku malowanym na olejno. Własność polskich Niemców. Byli bogaci i bardzo dobrze im się w Polsce powodziło. Mają najlepsze i najżyźniejsze grunta niedaleko wielkich miast. Mieli wszystkiego po uszy. Jednak są dziś zdrajcami i szpiegami. Co niebezpieczniejsi Niemcy przyłapani na szpiegostwie zostali aresztowani i uwięzieni. Reszta pozostała i szpiegowała nasze wojska dalej. Niemcy mieli doskonały wywiad. W tej chwili, w wolnych zakątkach Polski, po kościołach odprawiają się Msze Święte i kazania. Tu odbywa się szalone bombardowanie artylerii i samolotów naszych wojsk i taborów. My jesteśmy bezsilni, bo nie posiadamy ani samolotów, ani artylerii przeciwlotniczej. Pochowaliśmy się do dołów przeciwlotniczych jak myszy do nory i czekamy bożego zmiłowania. Po skończonym nalocie jesteśmy szczęśliwi, że żyjemy i że w nas nie trafił pocisk. Nasza artyleria strzela już rzadko, bo albo ma już mało amunicji albo wcale nie ma. Amunicja jest w Palmirach, ale te są zajęte przez Niemców. Jesteśmy odcięci. Kociołek nasz stale się zmniejsza, zacieśnia. Od trzech dni staramy się ten kocioł czy pierścień przerwać. Na próżno.

Wczoraj z wieczora, to jest 23 września roku bieżącego, nasza 13-ka uderzyła całą siłą na wieś Adamówek, wzdłuż szosy warszawskiej, po lewej stronie Wisły. Dziś natarcie zostało przygotowane i prowadzone podług planu. Nasza 3-cia kompania miała być w odwodzie. Z góry spodziewałem się naszego zwycięstwa. Tymczasem stało się inaczej. Jeszcze nie zdążyliśmy się rozstawić, a już Niemcy zaczęli siać po nas z ckm-ów. Nasza 3-cia kompania plutonami padła na ziemię. Ja ze swoim plutonem znalazłem się na lewym skrzydle kompanii. Strzelają po nas z maszynek strasznie. Czekamy dalszych rozkazów. Wtem przybiega jakiś oficer do mnie i pyta się o dowódcę 4-tej kompanii. Żąda, żeby mu dać dowódcę 4-tej kompanii. Wtedy ja wołam łącznika z 6-tej drużyny, z góry wyznaczonego i rozkazuję, aby sprowadził dowódcę 4-tej kompanii por. Rudnickiego. Tymczasem ten oficer rzuca się na mnie z laską i uderzył mnie po plecach, i rozkazuje, ażeby sam leciał po dowódcę 4-tej kompanii. Wtedy ja odpowiadam, że jestem podporucznik, oficer i dowódca plutonu. Jednocześnie zapytuje, kto mnie ośmielił się uderzyć? Na to zapytanie moje oficer ten wyrwał rewolwer i krzyczy, że jak sam nie polecę po dowódcę 4-tej kompanii, to mię zastrzeli. Widząc, że to jakiś zwariowany starszy oficer, bez oznak naszego pułku, zerwałem się i pobiegłem sam i zameldowałem dowódcy 4-tej kompanii por. Rudnickiemu, że jakiś oficer wzywa go. Jeszcze nie odszedłem od dowódcy kompanii,

a ten oficer już jest przy mnie i wygania mnie do plutonu. Znów biegiem wróciłem do plutonu. Postanowiłem jutro stanąć do raportu na tego nieznanego oficera, który musiał być pijany. Okazało się, że to był sam pułkownik Nowak⁸², dowódca 13-ki. W tej właśnie bitwie szlak go trafił. Został zabity.

On właśnie, na swój rozkaz poderwał naszą 3-cią i 4-tą kompanię i pchnął wszystkie 3 plutony w bój, mimo że był dowódcą kompanii. Znaleźliśmy się w takim ogniu, że z kompanii zostało tylko 46 ludzi. W tym tylko nas dwóch oficerów. Dowódca 4-tej kompanii ppor. Rudnicki i ja ppor. Władysław Kocot. Reszta oficerów podchorążych, podoficerów i szeregowych została ranna, zabita lub zaginiona. Dwa dni temu 4-ta kompania liczyła jeszcze 220 ludzi, a dziś 46 ludzi. Znów zostaliśmy rozbici. Bitwa ta była najkrwawsza w jakich bywałem teraz i w 1920 roku⁸³. Kule świstały całymi strumieniami ognia broni maszynowej i artylerii. Myślałem, że już i mój koniec. Ale Bóg Wszechmocny i Matka Boska ochronili mnie. Ocalałem. Teraz wierzę, że opatrność czuwa nade mną i zachowa mię nadal przy życiu i że zdrow i cały wrócę do domu. W tym ataku Niemcy otworzyli na nas taką siłę ognia maszynowego i artylerii, że wydawało się, że jesteśmy w piekle i że nikt żywy stąd nie wyjdzie.

Kiedy przyszedł rozkaz wycofać się, to na moje wezwanie: „Wolno, powoli, wycofywać się”, zaczął uciekać tylko jeden strzelec. Inni polegli lub ranni byli. Kiedy ten strzelec uciekał, Niemcy byli już tak blisko nas w ataku, że dwóch krzyknęło na Strzelca „halt”. Wtedy dałem do nich dwa strzały z rewolweru, oni padli na ziemię, a ja zacząłem uciekać. Czy za długi był mój płaszcz, czy też moje lata za duże już, bo wcale nie mogłem bieć. Z tego impetu jak się nie kropnę w brudną raz, jak nie kropnę drugi raz i dalej bieć nie mogę. Westchnąłem tylko do Boga i szedłem raczej niż biegiem. Byłem sam. Od czasu do czasu padałem na ziemię przed pociskami artyleryjskimi. W ten sposób przebiegłem wioskę, ogrody i łąki nad Wisłą. Dopiero po jakichś dwóch kilometrach spotkałem uciekinierów żołnierzy, ale z innych kompanii. Pierwszy spotkany żołnierz Łukaszcwski z Wólki Dąrdzewskiej mówił, że generał Tome⁸⁴ spotkanie na szosie [zdanie nadpisane, lekcja niepewna]. Dalej wracaliśmy razem. Po drodze dopędziliśmy nasze tabory pułku i razem wróciliśmy szosą na kwatery.

Przegraliśmy trzeci z kolei wypadek. Teraz myślę stale o rodzinie, dzieciach i Tobie Geniutko. Myślę o Rogowie, Dąrdzewie i Szczeglinie. Nie wiem gdzie jesteście? Mam przecucie, że jesteście w Rogowie. Wróciliście z Grabówca czy Kruczego Borku. Jeśli jesteście w podróży, to straszna bieda Wam jest Szkoda mi was wszystkich. Ze

⁸² Ppłk Alojzy Nowak (1894-1939) od 18.IX.1939 r. dowódca 13 pp. Zginął w walkach pod Łomną w dniu 24 września.

⁸³ Wł. Kocot opisuje starcie z niemiecką 29 Zmotoryzowaną DP na odcinku Łomna - Małocice zlużowaną 25 września przez 213 DP.

⁸⁴ Gen. bryg. Wiktor Thommée (1881-1962) od 13 września głównodowodzący obroną twierdzy Modlin.

Stefanem jestem nadal razem. Nie wiem gdzie Józiek i Edward. Józka tu w 13-tce nie ma. Może w ogóle nie służył w wojsku. Martwię się też i o siebie. Mogą nas Niemcy wymordować po zdobyciu Modlina i okolic. My już dłużej nie wytrzymamy sami. Może jeszcze kilka dni najwyżej. Podobno już angielskie samoloty nadeszły nam z pomocą? Czy to prawda? Jakoś ich tu nie widać. W ogóle nie wiemy nic pewnego o pomocy Anglii i Francji. Może ta ich pomoc skończy się na słownych protestach. Oni i tak umieją. Tymczasem Niemcy palą wsie i miasta, rabują i strzelają nawet do ludności cywilnej. Straszne, krwawe zniszczenie Polski. Ci co zostaną przy życiu, czym będą żyć przez jesień, zimę i wiosnę? Gdzie mieszkać i czym obsieją pola? Biedna ludność polska, biedne wojska polskie i biedny nasz cały kraj, po którym przeszła stopa najeźdźcy. Zaczyna być już zimno w nocy. Osobiście pocę się w marszu, a później marzną. Na razie nogi mam znów zdrowe. Nadal chodzę we własnym ubraniu i butach. Mam już brudną bieliznę. Cywilów nie widziałem już dawno. W wojsku wielkie przygnębienie. Każdy żołnierz pyta bez przerwy, co będzie z nami dalej. Niektórzy szukają sobie kryjówek na noc, na wszelki wypadek. Po ogrodach, podwórkach leży wiele zabitych koni. Już niektóre śmierdzą. Widok wstrętny i okropny, chociaż już i tak przyzwyczailiśmy się patrzeć obojętnie. Na razie dość tego pisania. Popołudnie opiszę wieczorem. Teraz pójde się umyć i może znajdę jaką koszulę czystą. Moją koszulę zabrał żołnierz w Nowym Dworze. Żołnierze kradną jak mogą. Przed chwilą ukradli mi płaszcz i menażkę z łyżką. Żołnierze są strasznie zdemoralizowani i chciwi na żywność i rzeczy.

Wieczór. Dziś o godz. 5 po południu byłem z 4-tą kompanią na pogrzebie p. pułkownika Nowaka⁸⁵ i por. Bartzaka, którzy zginęli we wczorajszej bitwie wieczornej. Nasza 4-ta kompania stawała jako honorowa imieniem całego pułku 13-go z krzyżem i chorągwią pułku. Pochowani zostali na cmentarzu w Kazuniu. Ksiądz był. W ten sposób byłem na pogrzebie swojego dowódcy pułku, od którego dostałem kijem. Ponieważ pułkownik nie żyje, więc idąc w żałobnym orszaku darowałem mu i przebaczyłem. Niech go sam Bóg sędzi. Ja mu daruję. Na pogrzebie przemawiali krótko oficerowie. Po pogrzebie pułkownika odmarsz z powrotem do wsi Łączna.

Poniedziałek, 25 września 1939 r. Spałem w nocy w piwnicy szwaba Hohlma. Tu cała wieś to przeważnie szwaby. Samoloty i artyleria wałęsają bez przerwy, siedzimy w dołach lub piwnicach. Tu każdy Niemiec ma przygotowaną piwnicę jako schron. Ich wioski są oszczędzane przez artylerię i samoloty niemieckie. Pociski trafiają w ogrody, podwórka, pola, a nie w budynki. Dzień zszedł mi na odpoczynek. Dziś byłem najedzony do syta. Młoda Niemka przygotowała nam mięso z drobiu i rosół z makaronem. Mieliśmy nawet wódkę. Zapłaciłem cztery złote. Dostałem

⁸⁵ Ppłk Alojzy Nowak pochowany został przy wschodniej ścianie kościoła garnizonowego w Kazuniu. W 1959 r. po ekshumacji został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

jeszcze i kolację, którą zjadł Stefan. Wieczorem poszedłem z plutonem kopać okopy. Po odejściu dowódcy kompanii opiekowałem się całą kompanią, którą po pracy przyproważyłem na kwatery. Rznieśliśmy piłami sad wiśniowy i sadziliśmy sad w innym miejscu. Spałem znów w piwnicy ze względu na pewniejsze bezpieczeństwo. Wstałem o godz. 9 rano. Kompania już po śniadaniu. Śniadanie przespałem. Muszę się umyć i postarać o jedzenie.

26 września 1939 r., wtorek. Cały dzień kompania przesiedziała w dołach przeciwołamkowych. Samoloty i artyleria waliły na most żelazny na Wiśle, na Nowy Dwór i na okoliczne wioski. Most jest tak potężny, że niewiele mu szkodzą bomby. Żelazo-beton. Rwie się i kruszy kawałkami, ale stoi dalej i dalej jeżdżą wozy, armaty i piechota. Jest poszczerbiony mocno, ale nadatny do użytku. Od wielu już dni na próżno nieprzyjacieli sili się go zniszczyć i nie może. Most stoi⁸⁶. Niemcy się wściekają. Wieczorem udaliśmy się ponownie kończyć kopanie okopów i sadzić sad wiśniowy. Po ukończeniu robót wróciliśmy do dołów i do spania. Spałem w domu szwaba Kefflera. W czasie marszu na roboty, podczas pracy przy okopach i marszu z powrotem waliła artyleria bez przerwy. To samo przez całą noc. Nasza artyleria też stale strzelała w stronę Niemców.

27 września 1939 r., środa. Cały dzień znów odpoczywaliśmy. W kompanii jest tylko 46 ludzi, więc do walki jesteśmy niezdolni. Chodzimy tylko do robót. Dziś miałem służbę. Samoloty i artyleria na przemian waliły w naszą wieś Łączna. Jednak sama wieś jako niemiecka była przez nich oszczędzona. Wieczorem otrzymałem rozkaz kopania rowu strzeleckiego długości 25 m na jedną drużynę. Rozkaz był niebezpieczny, gdyż należało przejść przez druty nasze, przejść przez szosę i w odległości 100 m za nią kopać. Miejsce to było bardzo niebezpieczne, ponieważ od kilku dni stale bombardowane przez Niemców. Podróż na miejsce pracy była spokojna. Druty przecinałem sam. Do tego miałem tylko łopatkę i toperek. Nożyc nie było w całej kompanii. W czasie przecinania drutów cała drużyna padła na ziemię i odpoczywała. Przeszedłem pierwszy za druty. Za mną drużyna. Na miejscu wybrałem odpowiedni odcinek i w największej ciszy poustawiałem ludzi. W kilka minut zaledwie, bo jeszcze żołnierze nie zdążyli zdjąć z siebie ryszunku i płaszczy, wyleciał samolot z nad okopów niemieckich. Noc była księżycowa. Cudowna noc! Prawie wszystkie noce we wrześniu były takie. One też się przyczyniły wiele do naszej [przegranej] Usłyszawszy samolot lecący w naszym kierunku, wydałem rozkaz padnij. Wszyscy żołnierze padli w bruzdę między

⁸⁶ Most został zbudowany w 1911 r. przez Rosjan jako forteczny most twierdzy Nowogrodzkiej (Modlina). Wysadzony przez Rosjan w 1915 tuż przed kapitulacją twierdzy. Odbudowywany stopniowo przez Niemców. Do pełnego użytku powrócił dopiero w 1934 r. W trakcie obrony Modlina został uszkodzony w wyniku ostrzału i bombardowań. Dotrwał do 1945 r. ale został ostatecznie zniszczony podczas ofensywy styczniowej.

kartofle i miedzę. Leżeli cichutko bez ruchu. Jeden samolot nadleciał na nas i ostrzelał nas z ckm. Skoro zaś odleciał zaczęła strzelać do nas artyleria. Powtórzyło się to kilka razy w ciągu godziny. Muszą oni mieć chyba jakieś aparaty podsłuchowe, które nasze wojska wykrywają natychmiast, jeśli są w ruchu. Mimo pocisków Chłopcy postarali się [wykopaliśmy rów i zamaskowali go. W marszu powrotnym byliśmy ostrzeliwani bez przerwy. Gdy zameldowałem dowódcy 4-tej kompanii o wykopaniu rowu i o niebezpieczeństwie, jakie nam groziło, oświadczył mi, że „Wątpił w nasz powrót w całości. To była bardzo niebezpieczna praca?! Ze swojej strony podziękowałem drużynie i mieliśmy pójść spać. Tymczasem patrzę, a tu reszta kompanii i cały batalion są gotowe do marszu. Wkrótce był odmarsz do Modlina, do fortu.

24 września 1939 roku, czwartek. Spałem w forcie Modlin. Przebudziwszy się rano, słyszę nad sobą jak podoficer służbowy melduje dowódcy 4-tej kompanii ppor. Rudnickiemu, śpiącemu obok mnie, co następuje: Jest zawieszenie broni. Białe chorągwie wywieszono na fortach⁸⁷. Przeraziłem się. Spojrzałem na zegarek, była godzina 7.30 rano. Szybko się ubrałem w płaszcz wyszedłem na dwór. Widzę białe chorągwie, właściwie jakieś mniejsze i większe płachty powiewające na wałach. Zapłakałem. Smutno mi było. Plakali żołnierze mądrzejsi i cywile. Jesteśmy w niewoli. Że Warszawa się poddała wczoraj o 5 po południu wiedziałem już w nocy po powrocie od pracy. Tę wiadomość otrzymałem od słuchaczy radia 13 pp. Sądziłem, że my w Modlinie jeszcze się będziemy trzymać dłużej. Poddaliśmy się na rozkaz. Obowiązek żołnierski spełniliśmy do ostatka, bez reszty. Przed oczyma stanęła mi niewola moja, kolegów całego narodu. Pocieszało mnie tylko to, że żyję i że jestem zdrowy, a nie kaleka, jak tysiące kolegów. Zjadłem śniadanie. Właściwie to pobrałem tylko śniadanie i zacząłem jeść. Jakoś mi nie szło, nie smakowało. Zobaczył to żołnierz przechodni i poprosił mnie o zupę, bo głodny. Dałem mu wszystko. Zjadł, podziękował i poszedł. Wróciłem na salę. Zostałem mało żołnierz. Większość kręciła się przed fortem i medytowała: co robić?

Niemców jeszcze nie było. Byliśmy sami. Żołnierze zaczęli więc na swoją rękę decydować. Jedni rozbierali się z wojskowego ubrania, łapali okazjnie cywilne i zaczęli uciekać. Drudzy opuszczali szereg i uciekali w ubraniu wojskowym. Trzeci rozbierali się, znów się umundurowali, zaczęli ucieczkę i wreszcie wrócili do kompanii. Inni przyłączali się do uciekinierów i z nimi uciekali. Co się stało z nimi nie wiadomo. Sądzę, że Niemcy wyłapali i albo zastrzelili albo wrócili lub aresztowali. Tak uciek i mój ordynans Biłek Józef z Drążdżewy. Jak wrócić do domu, to się dowiem, co się z nim stało. Reszta z nas została. Zostawiliśmy broń, maski

⁸⁷ 28 września nastąpiło zawieszenie broni spowodowane brakiem amunicji, żywności i wody oraz wyczerpaniem polskiej załogi. Ostatecznie wobec upadku Warszawy 29 września rano generał W. Thommée podpisał kapitulację.

przy biedkach. Połapali nam resztę koni i pojechali na nich żołnierze. Jechali na nich do domu. Z wozów kompanijnych zabraliśmy co się nam podobało. Reszta została na ziemi i na wozach. Nastąpiła zbiórka pozostałych żołnierzy i odmarsz z powrotem do Łącznej. Wieczorem w Nowym Dworze na błoniu wzięliśmy broń. Na dworze robi się chłodno. Dzień jasny, słoneczny, tylko w naszych sercach smutek. Smutek i żal za traconą wolnością, którą Niemcy i Rosja nam wydzierają. Śpimy na dawnych kwaterach.

29 września 1939 r., piątek. Rano śniadanie. Mam służbę w batalionie od południa. Roboty niewiele. Odwiedzamy się oficerowie wzajemnie, omawiamy sytuację. Po południu zbiórka. Stajemy na drodze. Niemcy zbliżają się do nas tyralierą. Otaczają nas. My się na nich patrzymy. Jesteśmy przecież bez broni. Niektórzy Niemcy machają rękami, żebyśmy szli dalej. Stoimy. Jeden nadstawia bagnet, niby chce strzelać. Zbliża się. Ogląda się na swoich i nie wie co robić. Boi się widać do nas podejść. My nic. Robi jeszcze kilka kroków. Znow się waha. My nadal nic, tylko patrzymy się ciekawie na Niemców. Wreszcie rozkaz naszych dowódców „naprzód marsz” pada. Idziemy. Niemcy się zbliżają i idą za nami. Przystanek. Odpoczynek obok szosy. Wszyscy oficerowie zbiórka pułkami. Oddzielają oficerów od podoficerów i żołnierzy. Samochodami odjeżdżają oficerowie do Pomiechówka. Stąd koleją jedziemy całą noc do Działdowa⁸⁸. Pociąg towarowy wypełniony oficerami i zamknięty.

30 września 1939 roku, sobota. Rano jesteśmy już w Działdowie (Soldau). Oficerów jest nas z pięciu dywizji. W samej 13-ce jest nas ponad 130 oficerów i podchorążych. Po zajęciu koszar i ulokowaniu się w nich na podłodze idziemy po śniadanie, na które Niemcy przygotowali nam kartoflanek z kaszą jęczmienną. Jedliśmy więc pierwsze śniadanie w niewoli. Będąc głodni, jedliśmy zupę nawet ze smakiem. Myślałem, że nie przełknę. Jednak jadłem jak inni. Obiad był też z tej zupy. Kolacji nie brałem, bo się spóźniłem. Pełno tu żołnierzy i oficerów. Każdy chce jeść. Dostałem 1/4 kg chleba za 30 września i 1 października. Dzień przeszedł na przynębieniu. Wieczorem mieliśmy odprawę na naszej sali. Pułkownik Markiewicz zapoznał nas z sytuacją. Pozostajemy nadal wojskiem. Ma być nadal subordynacja, posłuszeństwo względem przełożonych. Pozdrawiać się wzajemnie. Degradacja. Sądy koleżeńskie.

Z Niemcami nie wdawać się w zbędne rozmowy. O nic ich nie prosić. Mamy żądać. Służba wewnętrzna w koszarach. Koleżeństwo. Zachować godność.

1 października 1939 r., niedziela. Spaliśmy na podłodze. W II-gim batalionie naszym jest 34 ludzi. Rano kawa. Incydent porucznika służbowego z niemieckim żandarmem. O godz.

10 rano na sali w koszarach Msza Św. i ewangelia. Odprawił ks. Zielonka⁸⁹. Msza Św. na zwykłym stoliku. Służyli do Mszy Św. oficerowie. Między innymi ppor. Matis. Byłbym sam służył, ale się spóźniłem. W czasie Mszy Św. śpiewaliśmy pieśni: „Kiedy ranne”, „Serdeczna Matko”, „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, „W tej hostyi jest Bóg żywy” i „Boże coś Polskę”. Śpiewałem i płakałem. Płakałem i dziękowałem Bogu [za] ocalenie i za zdrowie. Dziś naprawdę modliłem się szczerze sercem, duszą, jak nigdy w życiu dotąd. Nie mogłem się utulić od rzewnego płaczu. Płakali i koledzy oficerowie. Dziękowałem dzieciom, żonie, rodzinie, zmarłym rodzicom i braciom za ich modły i wstawiennictwo do Boga o błogosławieństwo dla mnie. Tylko Opatrzności Bożej zawdzięczam, że z tego piekła, z tego strasznego ognia artylerii, ckm-ów i bomb lotniczych wyszedłem cało. Po Mszy Św. odbyła się pierwsza lekcja języka niemieckiego, którą udziela nam kol. ppor. Zagańczyk Teodor z mojej 4-tej kompanii. Obecnie jedni grają w karty, w preferansa, drudzy w brydża, trzeci w oczko, a jeszcze inni czytają książki, śpią, odpoczywają i czekają na obiad. Ja piszę. Jest godz. 13.30., dzień jest jasny i ciepły. Na dziedzińcu mnóstwo żołnierzy i oficerów polskich, wśród których krąży z bronią garstka Niemców. Żołnierze handlują z oficerami na buty, koce, papierosy, menażki, kożuszki itd. Oficerowie płacą duże sumy. Sam kupiłem buty cywilne za 60 zł i koc za 15 zł, z dodatkiem machorki.

Moje osobiste spostrzeżenia odnośnie przegranej wojny

Głosiliśmy: „Jesteśmy zwarci, silni, gotowi”. Tak. Byliśmy zwarci, a przez to silni. Cementowała całe społeczeństwo jedna myśl: „Obronę Polskę przez Niemcami”. Największe usługi tu oddało polskie radio. Ono scementowało naród z armią, wieś z miastem, wszystkich. Wszystko dla obrony kraju. Takie hasło było hasłem wszystkich. Dawaliśmy pożyczki, ofiary w gotówce i w sprzęcie wojennym. Co niedziela było pełno uroczystości poświęcenia, przekazywania sprzętu wojennego dla Armii. Byliśmy jednomyślni i w tym była nasza siła. Trzecie hasło „gotowi” było z gruntu fałszywe. Gotowi do walki z Niemcami nie byliśmy. Tu byliśmy sami przez siebie oszukani haniebnie. Do walki technicznie nie byliśmy przygotowani. Wołanie „gotowi” chyba oznaczać musiało, że w wybuch wojny z Niemcami nie wierzyliśmy. Rozumowaliśmy, że szaleństwem Niemiec byłoby rzucić się na Polskę, za której plecami wiernie stoi sprzymierzona potężna Francja i Anglia, a sekundują nam Rumunia, Turcja, Jugosławia, Grecja i sama Ameryka. Niemal cały świat nam życzliwy. Hasłem „gotowi” chcieliśmy widać zastraszyć Niemców. Naprawdę nie byliśmy gotowi do walki z Niemcami. Przede wszystkim w naszym

wyszkoleniu wojskowym zaszła fatalna pomyłka. Zamiast rozbudować silne lotnictwo wojskowe, artylerię i broń maszynową zmotoryzowaną, jako wojsko przygotowane do walki nowoczesnej, to myśmy szkolili masy piechoty i kawalerii, zupełnie podobnie jak w 1920 roku.

Gdybyśmy byli w takiej sile 20 lat temu, tak wyszkoleni i uzbrojeni, moglibyśmy sami śmiało uderzyć na ówczesne Niemcy, odebrać nasze Prusy Wschodnie, Gdańsk i Górny Śląsk oraz najechać Berlin i podyktować warunki pokoju. Nasze uzbrojenie w stosunku do obecnych Niemców było niegotowe. Zaszła wielka pomyłka nie tylko w wyszkoleniu, ale i uzbrojeniu Armii. O motoryzacji armii niemieckiej słyszeliśmy i czytaliśmy wiele. Nasza prasa nawet wyśmiewała się z motoryzacji niemieckiej armii, lekceważyła ją i niedoceniała. Głosiła, że to dobre, ale na niemieckie drogi. Na nasze szosy armia zmotoryzowana niemiecka się nie nadaje, bo za długie kolumny będą sterczały jednej dywizji. Brak miejsca do rozwinięcia się. A co najważniejsze Niemcom zabraknie benzyny i w ogóle materiałów pędnych. Wszak samoloty i zmotoryzowane oddziały potrzebują bardzo dużo paliwa. Nie tylko więc lekceważyli nasi motoryzację niemiecką, ale śmieli się z niej. Tymczasem Niemcy wypraktykowali dobrze swoje maszyny w Hiszpanii i nabyli doświadczenia w prowadzeniu walki nowoczesnej. Oni się szkolili na swoich maszynach, a myśmy się z nich śmieli, że masła nie mają, w ogonku stoją, biorą sprawunki za kartkami itd. To nas i śmieszyło, i bawiło. Doszło do tego, że oni zmotoryzowaną armię mając, wojnę z nami wygrali. Mają nawet nasze masło... Nam został żal za utraconą wolnością. Przed czasem byliśmy bardzo weseli, dziś jesteśmy smutni.

Dziś sprawę motoryzacji dobrze rozumiemy, zwłaszcza ja my wojskowi. Strasznie demoralizowały nasze wojska ich samoloty. W walce z nimi byliśmy bezradni. Bezcelnie latały tuż nad czubami drzew i cięły z ckm-ów lub rzucały bomby. Jedyny ratunek przed nimi, to siedzieć w dołach przeciwodłamkowych. Jak bomba trafiła w dół, to już koniec z życiem. Chyba, że bomba spadła dalej, to żyjemy. Przeciwnie samolotom nie było prawie żadnej obrony. Chowaliśmy się tylko pod drzewa (OPL) lub w doły. Strzelać do nich z karabinów nie warto. Są mocno opancerzone, że nawet ckm-y ich nie biorą. A dział przeciwlotniczych prawie nie było. Nie widziałem też przez całą wojnę ani jednego samolotu polskiego. Natomiast niemieckie latały codziennie dziesiątkami i bombardowały. „Gdzie nasze samoloty? - wołali żołnierze - Dlaczego nas nie bronią?” Początkowo dowódcy mówili nam, że polskie samoloty pod dowództwem francuskim bombardują Berlin i inne miasta niemieckie. Tymczasem dowiadujemy się, że prawie wszystkie samoloty polskie zostały zniszczone przez lotnictwo niemieckie w hangarach, zaraz w pierwszym dniu walki. Jeśli to prawda, należy wystrzelać wszystkich dowódców, którzy w obliczu wojny trzymali wszystkie maszyny w hangarach. Oni przede wszystkim spowodowali klęskę przegranej wojny. Winni bezwzględnie ponieść konsekwencje.

Prócz tego, że nie byliśmy „gotowi” do walki

⁸⁸ We wrześniu 1939 r. w Działdowie, w byłych koszarach 32 Pułku Piechoty (przy ul. Grunwaldzkiej) Niemcy urządzili obóz przejściowy dla jeńców wojennych kampanii wrześniowej. Komendantem Obozu był Hans Krause. Pierwszymi jeńcami byli żołnierze z twierdzy Modlin. Tu następowała ich selekcja i z czasem przemieszczenie do stałych oflagów I stalgów.

⁸⁹ Ks. Stefain Zielonka (1908-1945) Jako kapelan brał udział w walkach pod Mławą i w obronie Modlina. Z Działdowa zwolniony w październiku. Ponownie aresztowany w 1940 roku i osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, zmarł na tyfus, którym zaraził się w trakcie opieki nad chorymi w lutym 1945 r.

z Niemcami, mieliśmy bardzo dużo szpiegów. Z miliona Niemców zamieszkałych w Polsce⁹⁰ w wojnę chyba co czwarty Niemiec był szpiegiem. Szpiegostwo było straszne. Wszędzie do nas strzelali z ukrycia. Tego można było się spodziewać. Wszędzie, gdzie mieliśmy główniejszą obronę, to miasto dookoła otaczały wiankiem niemieckie wioski. Mądrze i planowo odbywała się niemiecka kolonizacja. Ci Niemcy teraz nas zdradzali. Zdradzali nas też sami Polacy. I to ludzie stojący na wysokich stanowiskach cywilnych i wojskowych. Ci generałowie i wyżsi oficerowie największą krzywdę wyrządzili Polsce: Rajski (Delman) [wyraz nieczytelny] (Beck). Jest to wina naszego rządu i sejmu, że ludzie obcej narodowości o nazwiskach czysto obcych stali na wysokich stanowiskach cywilnych i wojskowych. Zaś naszych rodaków, dobrze myślących i odnoszących się z pewną krytyką schowano do Berezы Kartuskiej. To się zemicilo na nas wszystkich.

Następna przyczyna upadku Polski była ta, że nie było należytej kontroli rządu i wojska. Sprawa mobu była po prostu oszukana. Na przykład w 13-ce powołani zostali rezerwiści z białych kartek, a już dla nadwyżek OZN zbrakło i umundurowania i broni. A co mówić o rezerwie z kartek niebieskich. Straszne oszukaństwo. OZN częściowo we swoich ubraniach a częściowo w drelichach wyruszyło ze mną w pole. Naturalnie bez broni. Sam chodziłem we własnym cywilnym ubraniu i butach całą wojnę, która zresztą trwała bardzo krótko, bo 28 dni. Z tego widać, że mob było bez kontroli. Wszystko było tylko na papierku. Mam wrażenie, że nawet były wypadki, że te ofiary w ckm-y z uprzężą i końmi były jedne i te same, wyświęcane po kilka razy. Tak należy sądzić. Wszystko jest w mob, ale na papierze. Poza tym, te nasze rkm-y i ckm-y były tak brudne, że strzelały ogniem pojedynczym. W mojej 4-tej kompanii ani jeden karabin rkm próbowany przez dowódcę 4-tej kompanii ppor. Rudnickiego [nie strzelał seriami], strzelały tylko ogniem pojedynczym. Tu winę muszę złożyć już na żołnierzy, którzy w ciągłych marszach zabrudzili karabiny. Sama mobilizacja odbyła się za późno. Rezerwiści nie zdążyli dotrzeć do własnych oddziałów. W drodze do RKU pozostali i powiększyli grono uciekinierów. Sprawa uciekinierów wpłynęła wybitnie ujemnie na działania wojenne z naszej strony. Uciekinierzy wszczynali panikę w szeregach wojska. Uciekali w panice i to udzielało się wojsku. Uciekinierzy ogłodzili okolice, przez które przeszli. Ewakuacja ludności z naszej strony była błędem.

Następną przyczyną upadku Polski było niedostateczne odżywianie (wojska) żołnierzy, zwłaszcza OZN. Tu była zła organizacja aprowizacyjna. Od razu wszystko dostało w łeb. Po drogach leżały tłuste wieprze uciekinierów. Ci prosili, ażeby je za darmo zabrać dla wojska. Zresztą wszystko było tanie i wszystkiego dostatek. I w tych już pierwszych dniach żołnierze głodowali. Głodowali przez cały miesiąc. Nasilenie głodu wzrastało. Maszerujące oddziały przechodząc

koło brukwi, marchwi, czy nawet buraków rzucały się na nie, rwały i w marszu nawet jadły. Na postojach piekli kartofle i pietrasili w kociołkach co mogli. Kuchnia im nie wystarczała. Ja sam ciągle przyglodny chodziłem. Pod koniec września chleba fasowano nam zaledwie po 1/8, względnie po 1/10 części bochenka. To tak szalenie mało, że wystarczyło na skosztowanie. Dokupić więcej nie można. Żołnierz zaczął myśleć więcej o zdobywaniu pożywienia, niż walce. Po kryjomu rozpalali w lesie ogniska i piekli piekasy, mimo zakazu palenia ognisk, bo samoloty odkrywają nasze stanowiska. Głód wpłynął na żołnierzy, że ci stali się nieczuli na rozkazy. Zamieniali się w maruderów. Głód żołnierzy był dużą przyczyną naszej przegranej.

Stosunek oficerów zawodowych do oficerów rezerwy był niewłaściwy. Zawodowi przeważnie odnosili się do rezerwy z pompą, nadrzędnie i bez żadnej serdeczności. Nie było między nami żadnego współzycia i koleżeńkości. Zawodowi nas lekceważyli, nie tylko równych sobie stopniem, ale i starszych od siebie. Do wyjątków należy ten oficer, który żył w serdecznych stosunkach z oficerami swoimi z rezerwy. A już przełożeni oficerowie, nasi dowódcy np. batalionów, to się w ogóle nie znali z oficerami młodszymi z rezerwy. Na przykład mój dowódca batalionu p. major Górski - on jeszcze się nie raczył zapoznać z nami do dziś, choć już drugi tydzień jesteśmy wspólnie w niewoli w jednej sali. Nadal jest ważnym dowódcą. Oddzielił się na sali szafami od braci szaraczków podporuczników i prawie z nami nie gada. Chyba, że krzyknie od czasu do czasu, jak mu się sprzyrzy słuchać naszej dyskusji. Toteż nie dziwnego, że chyba żaden z nas go nie lubi. O tak! słuchamy go, bo jest naszym przełożonym. Ale żadnego sentymentu dla niego nie czujemy. On też się czuje widać nieswojo. Trzyma tylko z kpt. Cicharskim. Ten chłód oficerów Zawodowych do rezerwy i starszych do młodszych przyczynił się bardzo do naszej przegranej.

A już stosunek oficerów zwłaszcza zawodowych do strzelców był paskudny. Oficerowie nie otaczali opieką żołnierzy. Nie dbali o ich wyżywienie, kłeli ich, przezywali, a byli i tacy, co kopali w żołądek; lali kijem prosto z wierzchu przez głowę, plecy, bili w twarz, kulakiem w zęby itd. Np. ppor. zawodowy Rudnicki Mirosław - dowódca 4-tej kompanii, który miał z tego zaszczyt. Skutek był odwrotny. Karności nie było. Wartość bojowa żołnierzy z każdym dniem malała. Żołnierz na ogół był wrogo usposobiony do Niemców i zaciskał pięści na nich. Takie było nastawienie całego społeczeństwa, z którego ten żołnierz wyszedł. Do boju szedł z zapalem. Jednak przewaga broni maszynowej, lotnictwo, artyleria, uciekinierzy, głód, stosunek oficerów sprawiły w nich bojaźń i panikę. Jednak do boju szli do ostatka. Byli tylko nieczuli na rozkazy. Szli jak bez duszy. Szli i ginęli.

Najlichszym gatunkiem żołnierza polskiego, muszę stwierdzić był podchorąży. Ze wszystkimi podchorążymi, z którymi miałem możliwość się zetknąć, żaden nie stanął na wysokości swojego zadania. To są lenie do pracy, pyskacze we wszystkich i lizuchy względem przełożonych. Do żarcia pierwsi, do

roboty ostatni. Słowem najlichszy gatunek żołnierza. Zwyczajny podoficer przewyższał swą pracą podchorążego. Na podoficerach zawsze polegałem, na podchorążych nie można było. Upominali się o gwiazdkę, o repety przy kuchni i o żołd. Mimo to, ogół wojska do ostatka trzymał się i nie uległ zupełnej panice. Przygnębienie nastąpiło dopiero po poddaniu się do niewoli.

11 października 1939 r., godz. 15.30. Będąc sam przygnębiony niewolą przerwałem swój dziennik na te 10 dni października. Właściwie nie przestałem pisać. Owszem, pisałem, ale z kartek wpisywałem do zeszytu. Zresztą wszystkie dni są podobne do drugih. Rano wstawiamy o godz. 7. O godz. 8 śniadanie, na które mamy czarną, niesłodką kawę. O godz. 10 mamy lekcje niemieckiego. Obiad o pierwszej. Jakaś marna rzadka zupa na 1/2 talerzyka. Kolacja o godz. 5. Znow czarna, niesłodką kawa. Chleba fasujemy po 1/5 bochenka, trochę marmolady i to wszystko na dzień. Co dzień to samo. Po trosze dokupujemy i tak żyjemy. Osobiście jeszcze nie udało mi się nic dokupić. Korzystam, jeśli nam przedstawiciel sali coś przyniesie z Działdowa. Inni oficerowie mają po uszy jedzenia, jednak zdobywają je w takim tłoku lub przez płot, że to często nie licuje z godnością oficera. Wolę trochę pogłodować, niż się Niemcom ukazywać zgłodniałym przy bramie. Walą tu żołnierzy przy bramie bagnetami, kolbami i kopią w tyłek. Czasami taką kolbą przywali który Niemiec i oficerowi. Kilku już poturbowali. Strzelają do żołnierzy wspinających się na parkany lub przechodzących za druty. Jednego żołnierza 7. października zastrzelił Niemiec na środku placu w biały dzień. Mimo, że ten żołnierz usłuchał rozkazu i wracał na swoje miejsce. Żołnierz niemiecki strzelił do naszego z tyłu i trafił go w plecy. Lepiej siedzieć w koszarach i nie wyglądać na dwór. Toteż całymi dniami oficerowie czytają książki i grają w karty. Zresztą cały wysiłek i nastawienie nasze jest skierowane na zdobycie sobie żywności. Czasem rozmawiamy o naszym nieszczęściu. Najczęściej zaraz się posprzeczamy. Każdy sądzi inaczej.

W niedzielę byliśmy na naszym dziedzińcu na Mszy Świętej. Byli wszyscy żołnierze po jednej stronie drutów, a my oficerowie po drugiej stronie. Ołtarz mały połowy. Usługiwali oficerowie, Matis też. Podczas Mszy Świętej, jak w zeszłą niedzielę śpiewaliśmy pieśni kościelne, „Boże coś Polskę”. Modlili się znow szczerze. Trochę popłakalem. Inni oficerowie też.

Dowiedzieliśmy się, że w tym tygodniu mamy być wolni i iść do cywila. Radość powszechna. Czy tak będzie? Osobiście wierzę, że tak i to pojutrze. W przyszłą sobotę, względnie niedzielę będziemy w domu. Wczoraj dowiedziałem się od p. Karpińskiej z Zator, że żona z dziećmi i cała rodzina z Kruczego Borku wrócili do domu. Dałby Bóg, żeby tak było. Chyba tak jest. Tu zaczynają odwiedzać i oficerów i żołnierzy. Każdy odwiedzający przynosi gościńca swojemu żołnierzowi. Ja się nie spodziewam na razie żony, bo nie prosiłem o to. Za trudno się dostać. Zawiadomiłem już listownie o swoim pobycie, ale nie wierzę, żeby ten list Niemcy doręczyli. Drugiego nie piszę, bo może

⁹⁰ W rzeczywistości wg spisu z 1931 r. IIRP zamieszkiwało ponad 740 tys. Niemców, co stanowiło niecałe 3% ogółu ludności.

wcześniej zajadę sam. Wczoraj poznała mię z odwiedzających jakaś Langiewiczowa, dawna Morawska, kuzynka Chodkowskich Dominików. Nie znalazła męża. Miała szukać go dziś jeszcze. W tym dniu pierwsze panie z Pułtuszka odwiedziły swoich mężów. Radość wielka wśród 13-ki. Każdy może się dowiedzieć coś o swojej rodzinie. Ja już mam nadzieję, że swoje dzieci i żonę zastanę przy dobrym zdrowiu życia. Co daj Boże! W tym roku chyba będzie bardzo wczesna i surowa zima. Dziś w nocy spadł duży śnieg. Ponieważ drzewa są pokryte liśćmi, więc łamały się drzewa pod ciężarem. Biedne drzewa. Nie dosyć, że masa drzew została zniszczona przez działania wojenne, to teraz już śnieg łamie gałęzie. Taką wczesną zimę podaje historia w 1812 roku, kiedy Napoleon szedł na Moskwę. Widać historia się powtarza, a przyroda jej sekunduje. Przed chwilą otrzymałem 170 zł 50 gr. Jest wieczór. Grają w preferansa na dwie partie, ja piszę, ppor. Zagańczyk pisze, kilku czyta, a reszta rozmawia, inni śmieją się. Wszyscy spodziewamy się w tych dniach zwolnienia do cywila. Podobno już jutro. Zobaczymy. Niedługo będzie modlitwa „Wszystkie nasze dzienne sprawy” i spać.

12 października 1939 r., czwartek, godz. 8 wieczorem. [Przebudziłem się, jeszcze ciemno. Śniło mi się, że z zegarka mojego zaczęły spadać wskazówki. Została najmniejsza. Zaczęłam je zakładać i było dobrze.

2) Byłem gdzieś w podróży wśród Niemców; cywilnych, niby miałem od nich pożyczyć pieniędzy. Obiecali mi pożyczyć. Miałem udać się gdzieś niby na pogrzeb znajomej osoby dalej, ale słonko już było nisko, więc wróciłem na rowerze do domu.

3) Kroilem nożem ryby wzdłuż i w poprzek i dzieliłem je do jedzenia.

Takie miałem trzy sny. Tłumaczyłem je sobie różnie. Po umyciu się, zjedzeniu śniadania wyszedłem na plac podwórkowy. Żołnierze łązili po placu. To samo oficerowie. Cywile zaczęli napływać w odwiedziny do oficerów i żołnierzy. Obserwowałem cywilów szukających znajomych. Nie było z naszych stron. Napływały panie z Pułtuszka. Żony oficerów. Po godzinie wróciłem do sali. Wpadł oficer służbowy i zameldował, że ordynans idzie do miasta z naszego batalionu II-go. Zameldowałem o tym majorowi. Prosiłem go, żeby mnie pozwolił. Zgoda. Przebrałem się za ordynansa i razem z innymi oficerami, przebranymi za ordynansów w liczbie 20-stu poszedłem pod opieką dwóch szwabów na Działdowo, po zakupy dla II batalionu. Najpierw szukałem Zygmunta Krupińskiego. Podobno był dyrektorem KKO⁹¹ w innym mieście. Poszczyli mi się, że od chłopca ze wsi kupiłem 28 bochenków chleba, 5 1/2 kielbasy po 3 zł 50 gr., kilka paczek tabaki, 15 pudełek zapalek, wina 1 butelka, razem za 90 zł. Chłopcy przynieśli mi to w dwóch workach za opłatą 2 złote. Podzieliłem żywność

i zadowolony, że mamy co jeść. Wieczorem po kolacji wypiliśmy wino. Radość moja się podwoiła, gdyż urzędowo major stwierdził, że mamy być zwolnieni w tych kilku dniach. Każdy się raduje. Są różne dyskusje, co będzie dalej? Gdzie kto jedzie? Pan pułkownik stwierdzał nasze adresy i prawidłowość naszych imion i nazwisk. Weseli bylibyśmy, bo mieliśmy dużo żarcia i nadzieję pewną, że wrócimy wkrótce do domów. Obecnie zakończyła się rzetelna dyskusja na temat walki na Palmiry pod Adamówkiem i Czosnowem. Zaraz idziemy spać.

13 października 1939 r., piątek. Dzisiejszy dzień zszedł nam pod znakiem zwolnienia do cywilów. Dziś miała odejść pierwsza partia. Tymczasem zamiast odejść jeszcze przyszło ponad 2 setki żołnierzy. Mówią jednak coraz silniej o szybkim zwolnieniu. Inne obozy już zwolniły podobno i żołnierzy i oficerów. My może jutro lub w niedzielę. Wszyscy się niecierpliwą. Cywile cały dzień przychodzą odwiedzać swoich żołnierzy i oficerów. Przynoszą im żywność. Codziennie wychodzę na plac i szukam znajomych. Wiem, że żona nie przyjedzie, bo może nawet nie wie, gdzie jestem. Wprawdzie pisałem list i wysłałem pocztą, ale Niemcy na pewno go nie przesłali. Najwyżej zapoznali się z treścią listu. Tak bardzo to nie pragnę, żeby żona przyjechała. Jest dla niej za trudna podróż. Jest słaba, a tu komunikacja marna. Wozem za daleko. Pewnie i koni brak w domu. Zresztą niedługo wrócę. Powitam ich wszystkich. Taką mam nadzieję. Mimo to, codziennie po kilka godzin postoję i popatrzę na przyjezdnych. A nuż przyjedzie ktoś znajomy. Od jednej przyjezdnej, to jest pani Karpińskiej z Zator już się dowiedziałem, że żona z dziećmi i rodziną razem z panią Kołdrasową z Kruczego Borku wróciły do Grabowca. (Stanisławska). To mnie cieszy. Żywności na razie mamy pod dostatkiem. Fasują nam 1/5 bochenka chleba, rano wieczór po dekle kawy, pół talerza zupy na obiad i po odrobinie marmolady i sera szwajcarskiego dziennie. Mamy swoją kielbasę, chleb, szmalc, masło, jaja, cukier, sucharki i owoce. Pieniądzy mamy dużo, więc kupujemy co się da. Wczoraj kupiłem nawet 1 butelkę wina za 8 zł. Głodu nie czujemy. Mamy spokój. Nic nie robimy. Brak nam tylko wolności. Jednak tej na razie będzie nam brak, bo Ojczyzna w niewoli. Bóg jednak sprawi, że Ojczyzna nasza wkrótce znów wolna będzie. Tak nam dopomóż Bóg! W. Kocot, godz. 9 wieczór. Zaraz idę spać, bo już się rozbierają i kładą do spania.

14 października 1939 r., godz. 8 wieczorem. Dziś od rana znów ruch i oczekiwanie na zwolnienie. Każdy jest nastawiony na zwolnienie. Wreszcie przed południem zaczęto wystawiać przed koszary, na dziedzińcu stoliki. Przyprawiono pierwszą partię żołnierzy do zwolnienia. Stanęli w szeregu. Zdjęli na rozkaz płaszcz i pas. Oddali to na stoliki. Resztę umundurowania żołnierze zabierają ze sobą. Otrzymali przepustki i poszli czwórkami sami do bramy, minęli bramę i dalej ku miastu. Szli czwórkami weseli i zadowoleni. Za nimi po obiedzie poszły drugie partie. Tak szli żołnierze. Oficerów poszło dziś zaledwie kilku. Jutro jadą do oficerowie zamieszkałi w prawobrzeżnych powiatach, mający własne środki lokomocji.

Takie zarządzenie zostało przed chwilą odczytane. Nie wiem, co robić. Czy zgłosić się o przepustkę i walić do chałupy na własny koszt jutro, czy też poczekać, aż mię odstawią sami. Gdybym miał pewność, że posiedzę tylko przez niedzielę, a później zawiozą nas do Ciechanowa koleją, to bym zaczekał. Jeśli zaś miałbym tu siedzieć jeszcze z kilka dni, to chciałbym płacić i jechać zaraz. Piszą się na jutro wszyscy, zapisałem się i ja. Jadę lub idę, aby do domu. Dziś kupiłem aparat fotograficzny od ppor. Rudnickiego za 50 zł (pięćdziesiąt) oraz kozuch za 80 zł (osiemdziesiąt). Piękny kozuch. Aparat też ładny.

15 października 1939 r., godz. 7.30. Przed chwilą przestałem grać w karty. Nie dokończyliśmy gry z powodu spalenia się świecy. Jutro dokończymy, jeśli nie zostaniemy zwolnieni. Dziś mieli odejść do cywila oficerowie, ale wskutek niedzieli musieliśmy świętować. Jutro znacznie zwalnianie się od rana. Na mnie kolejka przyjdzie jeśli nie jutro, to we wtorek. Już bliżej jak dalej. Około środy będę w domu. Dziś była Msza Święta jak w zeszłą niedzielę, na placu. Goście odwiedzali żołnierzy przez cały dzień. Moich nie było. Może i lepiej. Niedługo się zobaczymy. W. Kocot

17 października 1939 r., godz. 11.30 w południe. Wczoraj po obiedzie została odczytana lista naszych oficerów z 13 pp, którzy jadą do cywila. Jechało własnym przemyślem 20, a koleją 33, razem 53 ludzi. W niedzielę wieczorem napisałem sam, że chce na własną rękę dostać się z Działdowa do domu. Lecz wczoraj rano rozmyśliłem się i zrezygnowałem. Obawiałem się, że będzie za trudny marsz dla mnie ze względu na chorą nogę. Nie wierzyłem, żebyśmy mogli po drodze wynająć furmankę. Dziś załuje, bo wczoraj po południu zobaczyłem się z p. Matuszakową, Minurską, Magnuszewską i Hatkirową z Różana. Przenocowały w Działdowie i dziś o godz. 7 rano pojechały z mężami razem. Akurat zostali zwolnieni na własną prośbę. Pojechał z nimi i p. Obrębski. Ja zostałem i nudzę się. Spodziewam się, że dziś po obiedzie ogłoszona zostanie nowa lista do zwolnienia, na której będę i ja. W takim razie jutro rano jadę do domu. Za chwilę skończy mi się służba. Będę wolny. Dziś zwolniono już kilkuset żołnierzy. Jednemu z Baranowa⁹² dałem list do żony w Drążdzewie. Odszedł również Gamdzik z Zawad⁹³ i Paweł Zduniak z Przytuł⁹⁴. Poszli piechotą. Byłbym i ja gdzieś pod Mławą. Zaraz będzie obiad. Dla zabicia czasu zagram sobie w preferansa.

Władysław Kocot

⁹¹ KKO Komunalna Kasa Oszczędności. Kasy tworzone przez władze gmin miejskich miały na celu umożliwienie korzystnego i bezpiecznego lokowania oszczędności mniej zamożnym warstwom ludności oraz popieranie produkcji poprzez udzielanie kredytu najszerzym warstwom społecznym.

⁹² Baranowo - wieś gminna w pow. ostrołęckim.

⁹³ Zawady - wieś w gm. Płoniawy, pow. Maków Mazowiecki.

⁹⁴ Przytuły - wieś w gm. Krasnosielec, pow. Maków Mazowiecki.



Pamiętniki jenieckie

1939-1944

Władysław KOCOT

ROK 1939

Sobota 18 listopada 1939 r., Prenzlau⁹⁵. Dziś mija miesiąc jak zwolniony z niewoli z Działdowa jechałem samochodem przez Mławę do Przasnysza, skąd furmanką do Drażdzewy. Wolnością cieszyłem się niedługo. Przyjechałem do domu 18 października, na godz. 6 po południu, a 30 października o godz. 9 rano już byłem aresztowany. Te dwanaście dni były bardzo miłe, spędzone wśród rodziny. Żona i dzieciaki ucieszyły się bardzo i byliśmy szczęśliwi. Odwiedziłem rodzinę w Szczeglinie i Rogowie. Wszyscy mieli mnie za zabitego w obronie pod Pułtuskim. Radość była więc tym większa. Przez cały mój pobyt na wojnie i w niewoli żona i dzieci modliły się gorąco za mój szczęśliwy powrót, mówiąc długie i ładne paciorki, wyczone przez mamusię. Po moim powrocie paciorki mówiliśmy nadal wspólnie ze mną. Dziękowaliśmy Bogu za mój szczęśliwy powrót. Było nam już dobrze. Co prawda pierwsze trzy dni po powrocie leżałem w łóżku, niedomagalem. Byłem osłabiony podróżą i niewolą. Gospodarstwo zastałem na ogół niezniszczony. Tylko wiele rzeczy domowego użytku skradli sąsiedzi z domu, a nawet odkryli dół i rozkradli, co było w nim schowane. Niemcy, a może sąsiedzi podebrali mi pszczoły, a dwa ule ramowe zniszczyli nawet zupełnie. Wycięli mi kilka drzew w szkółce i zniszczyli część płodów. Na ogół straty nie tak duże. Nic nie spalono. Stała cała wieś. U mnie w zagrodzie brakło tylko porządku. Toteż źle się czułem, gdy wyszedłem na podwórkę i do ogrodu. Szosą stale szły samochody i jeździli Niemcy. Wracałem więc do domu z wrażeniem, że się czegoś boję. Mówiłem o tym żonie. Przecucie mię nie myliło.

Dnia 30 października roku bieżącego, idąc na Wólkę Drażdżewską z kol. Wł. Miłtuńskim i p. Wł. Kacprzykowskim za kupnem drzewa, siana i wieprzka dogonił nas samochód na szosie, minął i przystanął. Wyszli z niego żandarmi niemieccy z wójtem gminy p. Rychlerem z Krasnosielca. Zatrzymali nas i oświadczyli mi, że przyjechali po mnie, by jechać z nimi do landrata w Makowie do protokołu. Po drodze wstąpiłem do domu. Tu żona i dzieci płakali. Pocieszałem ich, że

jeszcze dziś lub jutro wrócę. Tak mię zapewniali Niemcy i wójt. Mimo wszystko, kierując się przecuciem, zabrałem walizkę, jedną parę bielizny, koc i trochę chleba z masłem na drogę. Zmieniłem jesionkę na kozuch, szybko pożegnałem żonę i dzieci, wsiałem na samochód ciężarowy i odjechałem do Krasnosielca. Nie byłem wesoły, ale i nie smutny. Samochód stanął w Krasnosielcu przed apteką. Na rozkaz żandarmów zsiadłem z samochodu i wszedłem do apteki. Tu spotkałem się z kol. Gelniewskim Władysławem nauczycielem z Kołaków⁹⁶ i Żebrowskim nauczycielem rod. z Mamina⁹⁷. Oni byli tego dnia przywiezieni tym samym samochodem, który znów po zostawieniu mnie w aptecce odjechał do gminy Płoniały po oficerów, skąd wrócił pusto. Zabrał nas trzech i zawiózł do Makowa na posterunek. Po zapisaniu nas na listę zostaliśmy wpakowani do aresztu, na prawach zwykłych zbrodniarzy.

Dnia 19 listopada, niedziela. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w areszcie. Toteż wyraz „areszt” wypisany na drzwiach wywarł na mnie okropne wrażenie przygnębiające. Zgrzyty żelaznych zasów i zamków drzwi potęgowały to wrażenie. Czułem się moralnie pokonany. Dobijali nas stráže aresztu, cywile z Makowa, sługusy zaborców, którzy gorzej od Niemców obchodzili się z nami. Czuliśmy się tym gorzej, że nie wiedzieliśmy za co siedzimy, o co nas Niemcy posądżają. Przecież nic takiego nie zrobiliśmy im. Mieliśmy tylko stawić się w starostwie do protokołu, poczem mieliśmy wrócić do domów. Tymczasem aresztowano nas jako oficerów wojska polskiego i wzięto z powrotem do niewoli. Myśmy o tym nie wiedzieli. W areszcie zastaliśmy kol. Dąbrowskiego Tadeusza podchorążego z Makowa, który sam już siedział całą noc w areszcie. Ucieszył się z naszego przybycia, bo było mu raźniej z nami. Opowiadaliśmy sobie różne domysły. Zaczęli napływać nowi oficerowie, koledzy. W ciągu dwóch dni było nas 16-stu ludzi.

W Makowie i powiecie było poruszenie. Ludzie otaczali więzienie i przez okienko w górze podawali nam różne drobne sprawunki, rozmieniali pieniądze na marki niemieckie i donosili różne wiadomości, które były najczęściej ze sobą sprzeczne. Jednak

ogólne przekonanie było takie, że wywiozą nas do Niemiec. Samorzutnie stworzył się komitecik z Makowiaków, który żywił nas przez dwa dni. Również żony oficerów odwiedzały nas przez okienko lub na podwórku w czasie jednej przerwy piętnastominutowej. Była też między innymi Henusia Gralak i p. Obrębska. Wszystkie przynosiły żywność. Do mnie zgłosili się kuzyni żony, mieszkający Makowa, których bliżej nie znam i nawet nie wiem jak się nazywają. Popłakali oboje nad moim losem, lecz ich uspokajałem, że mi nic nie grozi i że po kilku dniach wrócę do domu. Z niedowierzaniem odeszli, kiwnąwszy głową na pożegnanie.

31 października wieczorem przeszliśmy pod bagnetem do domu katolickiego na kolację. Pod bagnetem wychodziliśmy trzy razy dziennie na podwórkę, do ustępu. I to na komendę. Na noc był kubel. Areszt małeńki. Duszo i ciasno. Spaliśmy na gołych deskach. Mieliśmy jednak wiarę, że po spisaniu jakiegoś protokołu zwolnią nas do domów. Zawiedliśmy się. W dzień Wszystkich Świętych rano, po wydaniu nam kawy, kazano nam się ubrać i wychodzić na ulicę. Tu czekał na nas samochód osobowy, którym wywieziono nas do Działdowa. Dwóch kolegów, którzy dowiedli, że są podchorążymi rezerwy zwolnili do domu. Pojechało nas z powiatu 14-stu oficerów, przeważnie nauczyciele i rolnicy, wszyscy rezerwiści. Jechaliśmy przez Przasnysz, Mławę i Hawę. Dzień był ciepły. Ludziska spieszyli do kościoła i na cmentarze. Jednak Niemcy po szosach i niektórych folwarkach ludność pracowała. Na polu stały jeszcze buraki. Ozimina wcześniejsza już się zieleniła. Jednak były pola i świeżo obsiane, gdzie jeszcze zboże nie pokiełkowało. Krowy pasły się tu i ówdzie.

W Działdowie znaleźliśmy się w tych samych koszarach, co przed zwolnieniem do cywila, tylko na innej sali. Wszystko tu nam było znajome i całe stosunki z Działdowem. Wiele się jednak zmieniło na gorsze. Sprawa zakupów była trudniejsza, ale jeszcze można było kombinować. Znów zaczęły żony odwiedzać nas i przywozić żywność. Było znów dobrze. Zaprosiłem i ja żonę, aby mię odwiedziła. Jednak nie doczekałem się odwiedzin. Dnia 9 listopada zaprosiłem listownie żonę do Działdowa, a 10 zaraz po południu wyjechaliśmy w głąb Niemiec do Prenzlau. Szkoda było opuszczać Działdowa. Czuliśmy, że jesteśmy jeszcze w Polsce i że nas mogą odwiedzać oraz podawać żywność.

⁹⁵ Prenzlau (pol. Przesław) - miasto w północno-wschodnich Niemczech, w kraju związkowym Brandenburgia, na Pojezierzu Mecklemburskim.

⁹⁶ Kołaki - wieś w woj. mazowieckim, w pow. ostrołęckim, w gminie Młynarze.

⁹⁷ Mamino - wieś w woj. Mazowieckim, w powiecie makowskim, w gminie Sypniewo.

Odzywiali nas w Działdowie lichem. Jedną piątą bochenka chleba, odrobina marmolady, odrobina margaryny, trochę kawy na śniadanie i rzadkiej zupy na obiad, trochę, dosłownie pół dekla. Kolacji nie było.

20 listopada 1939 r. Od takiej stawy cywile, przeważnie Żydzi z Ostrołęki i Łomży tak wygłodnieli i osłabli, że z wyczerpania od głodu umierali biedaki po kilku nieraz dziennie. Byli tam starzy, młodzi i dzieci niedorosłki. Męczyli się oni w okropny sposób. Odarci, zziębnięci, głodni, rzucali się do kotła jak głodne psy. Jak te psy głodne byli odpędzani od kotła, popychani, bici kolbami, bagnietami, kijami, a nawet kamieniami. Nie było wypadku, by pokarm pobrali bez bicia i kopania. Zawsze dostawały w skórę całe dziesiątki Żydów. Nie pomogły ich prośby i błagania. Niektórzy pokazywali menażki suche, że jeszcze obiadu nie brali, inni się żegnali na dowód prawdomówności, a jeszcze inni powoływali się na świadków. Nic nie pomagało, odpędzeni byli wszyscy. Okropny to obrazek. Kto z nas patrzył na ten zgłodniały tłum cywilów, ten się rozchorował. Moralnie był przygnębiony cały dzień.

Odechodziliśmy więc do koszar, aby nie patrzeć na tę konającą nędzę. Wielu z nędzarzy nie mogło iść o własnych siłach. Siadali na placu w połowie drogi. Inni byli prowadzeni pod ręce z dwóch stron przez kolegów. Najżałośniej wyglądali starcy i nieletni chłopcy. I dziwna rzecz. Po co Niemcy trzymali tych cywilów całe setki tam za drutami? Wszak oni nie byli tam potrzebni. Nie chodzili na żadne roboty. Całymi dniami przeleżeli w koszarach i na placu. Po co ich było trzymać? Żołnierzy z kresów wschodnich już zwolnili, a te cywilne łachmany trzymali dalej. Osobiście wprost modliłem się w duszy, aby oni byli zwolnieni, by dłużej nie patrzeć na tę biedę. Musiała to być straszna bieda, skoro gdy ze zwalnających się żołnierzy, który rzucił za druty kartofel surowy, to na ten kartofel rzucała się cała kupa ludzi zgłodniałych, przewracali jedni drugich, robili dużą gromadę, gnietli się i bili. Zwykle kończyło się tym, że do takiej kupy doleciał żołnierz niemiecki i walił z wierzchu, po kolei, wszystkich. Co trzymał w ręku, tym ich walił, aż się rozlecieli. Nie opamiętali się jednak. Każdy z uderzonych podrapał się w miejscu uderzenia i znów biegł tam, gdzie łapali kartofle. Aż strach patrzeć, co to głód może zrobić z ludźmi. Gdy się skradali do kuchni po repetę, oni ludzie, wtedy byli podobni psom skradającym się do sukki podczas rui, których właściciel sukki czasami przez próżność swą przepędzi z kilka razy. Porównanie takie uważam za najwłaściwsze. Tak było.

Toteż, gdy się dowiedziałem, że opuszczamy Działdowo, ucieszyłem się z myślą, że już więcej nie będę patrzył na tych głodnych cywilów. Ucieszyłem się, mimo iż opuszczałem swą Ojczyznę i jechałem w głąb Niemiec, na obcą ziemię, do Prenzlau⁹⁸. Poza tym wiodła mnie ciekawość zwiedzenia Niemców z bliska. Zresztą taki był rozkaz władz niemieckich i musieliśmy się pogodzić z losem. Uważam, iż ten wygrał z nas, który zamiast się przejmować i martwić, rozkaz wyjazdu przyjął ze spokojem. Wszak wszędzie

musimy siedzieć za drutami, odcięci od świata. Jechaliśmy dwa dni i dwie noce. Najpierw jechaliśmy przez Prusy, potem przez nasze Pomorze, przez Tczew, znów przez Pomorze niemieckie na Iłowe Pomorskie⁹⁹, przez Szczecin i do Prenzlau. Prusy i Niemcy nie były zniszczone wcale. Natomiast na naszym Pomorzu znać było działania wojenne. Na Wiśle był już nowy most. Praca przy budowie mostu trwała nawet w nocy. Ziemia w Prusach pagórkowata, pełna stawów. Równin, jak na naszym Mazowszu, nie widziałem. Lasy sosnowe są przeważnie młode, nie takie rosłe jak nasze. Ziemia obsiana oziminą. Widać siana w porę, bo dobrze obsiadła ziemię. Sieją tu siewnikami. Pola są uprawiane w szerokie składy. Bruzd mało. Uprawa widać staranna. Każdy pagórek, każde zbocze wykorzystane. Aż dziw bierze nieraz, że takie strome zbocza są zaorane i obsiane. Na każdej łące widać rów. Wszędzie pasły się jeszcze krowy po łąkach i ugorach. Zauważyłem tu na włókach trójpolową uprawę. Szachownicy nie widziałem. Na ogół są duże gospodarstwa. Urodzajność gleby jest różna. Chyba taka sama jak u nas. Wioski są rozrzucone po planach. Takiej wioski czysto polskiej nie spotkałem. Domy przeważnie murowane, kryte czerwoną dachówką, w miastach blachą i dachówką. Do naszego pociągu nie wpuszczano cywilów. Ruch na stacjach był niewielki. Dopiero w Szczecinie i okolicy ruch był duży. Widać było rezerwistów z walizkami odjeżdżających do wojska. Samego wojska nie widziałem. Byli tylko na stacji w Iłowo Pomorskie. Widać wracali z urlopów do wojska. Jeden z nich, widać pijany, zaczął wykrzykiwać coś pod naszym adresem, poczynając od słów: „psiakrew”, „cholera”, „Polaki jedzieta do Berlina!”, lecz drugi widać rozsądniejszy zatkał mu dłonią usta i coś wytłumaczył, tak, że ten przestał wołać. W podobny sposób uspokoił drugiego towarzysza, który też zaczynał nas czeptać słowami. Pojechaliśmy dalej. Dość długo staliśmy w Szczecinie. Cały czas wkslowali nasz pociąg, aż do znużenia.

Do Prenzlau przyjechaliśmy przed dwunastą w nocy. Ze stacji do obozu jest przeszło sześć kilometrów. Szliśmy piechotą ze dwie godziny. Często odpoczywaliśmy, bo niektórzy koledzy oficerowie dźwigali bardzo ciężkie walizy z żywnością i cywilnymi ubraniami. Wreszcie stanęliśmy w obozie otoczonym drutem kolczastym w kilku rzędach. Po środku między płotkami stały kozły z drutu kolczastego¹⁰⁰. Wprowadzono nas do dużego garażu samochodowego na słomę. Spaliśmy tam przez dwie noce. Trzeciego dnia, to jest 15 listopada zaprowadzono nas do łaźni, ostrzyżono nas, wydezynfekowano nam ubrania, bieliznę, walizki, buty, kożuchy i umyliśmy się. Jako czystych zaprowadzono nas do drugiego garażu, gdzie odbyła się rewizja walizek i osobista. Poczem odebrano nam pieniądze i kazano pójść spać na słomę. Garaż był nieograny i porządnie zmarzliśmy na cementowej podłodze. Grupę składającą się

z 200-stu oficerów podzielili w ten sposób, że jedna część, 50-ciu ludzi została w Stargardzie, druga 70-tka pojechała do Areswaldu¹⁰¹, a nasza trzecia 80-tka do Prenzlau. Po czterech dniach grupa ze Stargardu przyjechała do nas do Prenzlau. Tu umieszczono nas w koszarach i garażu samochodowym. Mnie wypadło być w garażu. Jest tu słoma pszenna, światło elektryczne, centralne ogrzewanie, podłoga cementowa, mury żelbetonowe i drzwi żelazne, stanowiące całą ścianę. Jest kilka takich bloków. Dziedzińce wyłożone kamienną kostką. Na sali jest nas 106 oficerów. Śpimy na słomie w różnych kierunkach. Śpimy i leżymy całymi dniami i nocami. Roboty nie ma żadnej. Wypoczywa każdy jak mu się podoba. Kawę i żywność przynoszą ordynansi. Oni też zamiatają i robią porządek na sali i przed blokami. Oficerowie sami tylko chodzą po obiad do kuchni.

Dzień spędzamy w ten sposób: o godz. 7 rano ordynansi przynoszą kawę w dzbankach, na szesnastu dzbanek. Radzi nie radzi musimy wstać, ubrać się, umyć przy kranie i zjeść śniadanie, żeby kawa nie wystygła. Można też nie wstawać, a kawę wypić na posłaniu i spać dalej, lub leżeć aż do godz. 9 rano. O godz. 9 rano wychodzimy przed blok na zbiórkę, która trwała najwyżej 10 lub 15 minut. Zwykle podpułkownik jako Komendant obozu powie kilka wiadomości dotyczących obozu i ogłoszą służbę. Rozchodzimy się i do obiadu jesteśmy wolni. Możemy spacerować po dziedzińcu lub na posłaniach siadać, grać w brydża, preferansa itd., czytać książki, gazety, uczyć się niemieckiego lub spać. O godz. 11.30 jest obiad. Każdy z nas dostaje duży krążek tekturowy z pieczątką i trójkami idziemy zaraz do drugiego garażu po obiad, gdzie dostajemy duże salaterki czyste. Każdy podejździe sam do kuchni, weźmie obiad i wraca do sali, siada na swoim posłaniu i je. Po zjedzeniu obiadu salaterki się odnosi do kuchni. Samochód zabiera kuchnię, salaterki i kucharzy i jadą z powrotem. My znów odpoczywamy poobiednią drzemką, albo łupimy dalej w karty. Ja zwykle biorę się za pisanie pamiętnika. O godz. 3.30 minut znów ordynansi przynoszą kawę na kolację. Chleb 1/4 bochenka, margarynę i marmoladę, po kilka gramów bierzemy zwykle po śniadaniu albo zaraz po obiedzie, na sali. Naszym żywnościowym jest ppor. Kos. Komendantem sali jest kpt. Wąsiecki.

21 listopada 1939 r., Prenzlau. Po kolacji, która zwykle bywa o godzinie wpół do czwartej lub czwartej próżnijemy do godz. 7.30 wieczorem. O tej godzinie jest modlitwa. Mówimy „Ojciec nasz”, „Zdrowaś Maria”, śpiewamy „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Do godz. 10 wieczorem można grać w karty, czytać lub rozmawiać albo zaraz po modlitwie iść spać. Ja zwykle po modlitwie idę spać. O godz. 10 gasi się światło. Śpimy do rana, aż przyniosą kawę. I tak w kółko dzień za dniem nam mija. W naszym dniu zajęć nic się nie zmienia. Ciągłe jest to przymusowe próżnowanie. Człowiek często się złości, że nie ma pracy. Osobiście chciałbym się uczyć po niemiecku, lecz nie mam książki. Mają tu niektórzy oficerowie słowniki polsko-

⁹⁸ W Prenzlau znajdował się Oflag II A.

⁹⁹ Howo - osada w woj. zachodniopomorskim, w pow. myśliborskim, w gminie Myślibórz.

¹⁰⁰ Oflag II A Prenzlau powstał jesienią 1939 roku i był jednym z pierwszych tego typu obozów utworzonych przez Niemców.

¹⁰¹ Oflag II B Arnswalde (pol. Choszczno).

niemieckie, ale samolubny nie pożyczą drugiemu. Dziś z kol. Piaskowskim Adolfem zapisaliśmy się na Wyższy Kurs Nauczycielski, który tu się samorzutnie organizuje. Zapisaliśmy się na geografii i przyrodę. Będzie więc zajęcie.

Dnia 18 listopada wysłałem list do żony i dzieci. Pierwszy list z Prenzlau. Ciekawy jestem czy dojdzie? Obiecałem dzieciakom, że przyjadę do nich na choinkę i przywiozę z sobą dużo cacek. Czy tak będzie? Czy słowa dotrzymam? Wszystko zależy od Niemców. Wszyscy lecielibyśmy do domu na skrzydłach. Dziś przed obiadem wyfasowałem płaszcz, mundur i marynarski beret, zamiast furazerek, których nie było. Dążą, ażeby wszyscy mieli wojskowe umundurowanie. Kilka dni temu dali mi koc i ręcznik. Z kantyny dopiero kupiłem ołówek i zeszyt niniejszy. Przynajmniej mam czym i na czym pisać. Do dziś jeszcze nam nie wypłacili gaży. Spodziewaliśmy się, że nastąpi to dziś lub jutro. Życie nam upływa jednostajnie. Od czasu do czasu przyleci po obozie jakaś wieść, co się dzieje na szerokim świecie, o wojnie lub polityce. Wieści są różne, ale często wyssane z palca. Mówi się wiele o polskim rządzie we Francji, o polskim wojsku we Francji i o przyszłych losach naszej Ojczyzny. Czasami przyleci wieść lotem strzały o bliskim naszym zwolnieniu itd. Co do zwolnienia, to zaczyna się ten problem realizować. Na przykład mają zwalniać wszystkich oficerów spod zaboru rosyjskiego. Również jako pewnik mają zwolnić na dniach księży kapelanów, inwalidów, podchorążych i lekarzy. W następnym etapie mamy być zwolnieni my nauczyciele i rolnicy. Na końcu urzędnicy. Wojsko służby stałej i spoczynku ma być zatrzymane. Podchorążowie zawodowi mają być oddani do szkoły wojskowej niemieckiej w Berlinie. Co jest z tego prawdą nie wiadomo. Zawsze coś w tym prawdy jest. Wszak każda wieść i plotka kryje w sobie część prawdy.

Co do zwolnienia księży to jest prawda. Dnia 19 listopada to jest w ubiegłą niedzielę, o godz. 10 rano mieliśmy Mszę Świętą na sali żołnierskiej, w garażu samochodowym. W krótkiej przemowie po ewangelii ks. Kapelan zęgnął nas w imieniu własnym i tych 12-tu kapelanów znajdujących się w Prenzlau. Kazanie to było z serca szczere i bardzo rzewne. Nie zwykle uroczyście i nabożnie odbyła się cała suma śpiewana. Wszyscy oficerowie i żołnierze odśpiewywaliśmy księdzu. Śpiewaliśmy nabożne pieśni: „Pacierz”, „Kiedy ranne”, „Suplikacje”, „Pod Twą obronę”, „Serdeczna Matko” i „W tym najświętszym sakramencie”. Zakończyliśmy pieśnią „Boże coś Polskę”. Podczas śpiewu każdy się rzewnie napłakał i rzewnie namodlił. Otrzymaliśmy ostatnie błogosławieństwo kapłańskie. W przeddzień niedzieli, to jest w sobotę rano o godz. 6 była też Msza święta i komunія święta. Z piątku na sobotę w nocy o godz. 11 odbyła się na naszej sali spowiedź, zupełnie okazjynie. Ja już spałem. Gdy zobaczyłem, że księża w pięciu przyszli na salę i spowiadają, wstałem, ubrałem się i wypowiadałem. Na drugi dzień wstałem o 5.30 minut rano, myślałem się do pasa, przebrałem w nową bieliznę zapasową i byłem na Mszy Św., poczem przystąpiłem do

komunii świętej. Byłem bardzo zadowolony. Księża spowiadali, bo mają w tym tygodniu odjechać. Czy do Polski, niewiadomo. Chyba do Polski Niech jadą z Bogiem wszyscy, jak wieść niesie. Pojadę i ja.

Niedziela 26 listopada 1939 r. Znów tydzień przeleciał. Dni tygodnia były podobne do siebie. Żadnego zdarzenia ciekawego nie było. Najważniejsze zajęciaienne to śniadanie, obiad i kolacja. Poza tym żadnych ważniejszych wydarzeń. Życie w obozie jednostajne. Przedwczoraj jeden z kolegów miał pogadankę p.t. „Sztuki piękne”, a wczoraj drugi wygłosił referat p.t. „Żydzi”. Mieliśmy trochę wiadomości z gazet niemieckich. Jeden z kolegów wygłaszał nam dwa razy „Dziennik wieczorny”. Tłumaczenie niemieckich gazet. Niewiele prawdy podają te dzienniki. Poza tym nic w naszym życiu się nie zmieniło. Nudzimy się dalej i gramy w karty. Od 23 listopada są przymrozki nawet i we dnie. Wczoraj spadł pierwszy śnieg. W tej chwili pada śnieg z deszczem. Dziś napisałem list drugi już z kolei do domu. [...]

Niedziela 3 grudnia 1939 r. Znów minął tydzień. U nas w obozie nic się nie zmieniło. Chyba to, że jeszcze sporo przybyło nowych kolegów oficerów. Na sali jest nas ponad setka. Różne towarzystwo z różnych rodzajów broni. Wszyscy wiedzimy żywot jednaki. Było kilka odczytów wygłoszonych przez kolegów. W ubiegły piątek była na sali spowiedź, w sobotę rano Msza święta, Komunia święta. Dziś o godz. 10 była Msza Św. Tu każdy modli się szczerze i śpiewa z całego serca. Tak szczerze całym sobą można modlić się tylko w niewoli, z dala od Ojczyzny i rodziny. Dostaliśmy już dwa razy żołąd po 24 marki [wyraz nieczytelny]. Wziąłem 48 Mk. Wysłałem już stąd cztery listy. Jutro wyślę pieniądze, jeśli będzie można. Trochę zaczynam niedomagać na piersi. Kol. Obrębski chodzi do lekarza też na piersi i żołądek. Cały czas przeważnie gramy w karty. Wiadomości ze świata mamy skąpe. Wiemy to, co wyczytamy z gazet niemieckich. Jest zatarg między Rosją a Finlandią¹⁰². Niemcy chwalać się, że tak dużo natopili okrętów angielskich i francuskich. Czy to prawda?

[Opisy snów, pisane od końca zeszytu:]

1) Działdowo: Gołąbek w klatce uwięziony za nóżkę. Przylatuje ptak czerwony jakiś [wyraz nieczytelny] i dziobie gołąbka, który nie daje się ostatecznie w Rogowie. Majkowski Stanisław.

2) Szczeglin: a) Myślak w stodole zrzuca żyto z fury, chce mnie przebić widłami. Nie dają się, unikam nieszczęścia, b) Znów Myślak i, Edwardowa.

3) Prenzlau Miłunscy Władysł. wyjeżdżają gdzieś z Krasnosielca, koło apteki przewracają płot, wozem zawadziwszy. Ja uderzam psa [wyraz nieczytelny] z apteki.

4) U nas na podwórku przy stajni starej, kobyła z zębami rzuca się na mnie. Bronię się przed nią, widłami, uderza mnie w futrynę drzwi. Ostatecznie obrania mię ojciec żyjący.

5) Czwartek 23 listopada 1939 r. Dziś śniło mi się, że w czasie mojej nieobecności Genia dobudowała od podwórka ganek z cegły

z wyjściem do studni. Był ciemny. Nie podobało mi się to i ze złości zacząłem rozmawiać do Czarka, kto go murował. Ponieważ nic nie odpowiadał, zacząłem Czarka bić ręką, pod stodołką, aż się przebudziłem. Zanim się przebudziłem, widziałem Genię z podniesioną sukienką i uciekającą z dworu do ganku naga.

Piątek, 24 listopada 1939 r.

a) Byłem nad stawem niby w Załogach. Zauważyłem w wodzie rzucające się dwie duże ryby (sumy). Widać było im grzbiety, a później zamieniły się w jałówki i wyszły z wody.

b) Byłem jakby w domu w Szczeglinie, widziałem rodziców i najmłodsze dziecko ich. Była bardzo mała dziewczynka, kilkumiesięczna i bardzo mądra i ładna. Lubilem ją i bawiłem się z nią.

c) Niemcy mieli zabawę taneczną z wódką, jakby w Krasnosielcu lub Szczeglinie. Barteńki nasze się popili i tańczyli z Niemcami. To samo i inni sąsiedzi. Wtem Niemcy zaczęli strzelać do ludzi i bić.

Sobota, 25 listopada 1939 r.:

a) Byłem w Szczeglinie na polu, na pierwszym staju. Zboże było liche. Leciał przez zboże zając - samica. Rzuciłem w niego kamieniem, lecz nie trafiłem. U Barta było zboże lepsze. Zacząłem kosić to żyto z kol. Żarnowskim ppor. rez. z Wiśniewa, Chrzanowskim Leonem i jeszcze jednym kosimy. Szedł drogą ks. Rzewnicki z ładną panną swą kochanką [dwa wyrazy nieczytelne] i Kochany [wyraz nieczytelny].

b) Jestem w lesie, przy leśniczówce Kowalskiego pod Kuchnami, przy samym gościńcu. Siadam i widzę na prawo Niemca z karabinem. Podchodzi do mnie, celuje we mnie i mówi, że strzeli, bo nie usłuchałem jego rozkazu. Wy tłumaczyłem mu, że na lewe ucho nie słyszę. Zrozumiał i karabin skierował w drugą stronę. Usiadł obok mnie i zaczął rozmowę. Powiedziałem mu, że znam te wioski, że w Załogach byłem kierownikiem szkoły, że w Rogowie ożeniłem się i prosiłem go, żeby mi puścił wolno, to mu coś przyniosę z Kuchnow do jedzenia. Zgodził się. Poszedłem do Kuchnow i wstąpiłem do czyjegoś mieszkania. Pokazali mi ludzie grochowiny, strąki, które zachwalali, że były dorodne. Urwałem trochę strąków. Chłop pokazał mi paczkę z chlebem, plackiem, serem, w ogóle z żywnością, którą miał zanieść do Krasnosielca by sprzedać za 4 i pół złotego. Prosiłem go, żeby mi sprzedał, to mi się przyda w obozie jeńców i że zapłacę mu drożej. Sen się przerwał.

c) Byłem jakby w tych samych Kuchnach, niby w święto niemieckie. Był niby pożar. Zacząłem gasić zawzięcie ogień szmatami koloru zielonego, niebieskiego, czerwonego. Spisałem się dzielnie. Chwalili mię Niemcy. Pomagali mi inni koleczy oficerowie.

d) Byłem w kościele naszym w Gąsiewie. Odprawiał ks. Rzewnicki przy bocznym ołtarzu. Stałem przed wielkim ołtarzem z Jurkiem księdzem. Ksiądz się na nas obraził i skrzyczał Jurka. On uciekł. Ja też wyszedłem z kościoła.

Niedziela. 26 listopada 1939 r. Sen:

a) Byłem w Szczeglinie. Napadły na mnie i ludzi małe pszczoły. Cięły co spotkały na

¹⁰² Wojna zimowa 1939-1940 między Związkiem Radzieckim a Finlandią.

drodze.

b) Byłem w domu w Drążdzewie razem z dziećmi i żoną. Był u nas sam Hitler w ubraniu granatowym, cywilnym. Siedział po lewej stronie żony. Rozmawialiśmy obaj dość życzliwie. Nalegał, abym w niego czymś rzucił. Ja się uśmiechałem i mówiłem, że pod opieką jego nic się mi nie stanie w Niemczech. Zalotnie przystawiał się do żony. Podobała mu się. Co znaczy taki sen...? 27 listopada 1939 r.

a) Byłem w Załogach u Biedrzyckich. Miałem zamieszkać u nich. Była Tosia niby zdrowa, chodziła, ale całą przednią część ciała miała siną, a zwłaszcza brzuch i wrzód na szyi. Żyła Biedrzycka jak dawniej i Lodzia. Lodzia młóciła żyto cepami, a ja jej pomagałem. Młóciliśmy w kuchni. Moje łóżko też postawili w kuchni zaśnieconej. Musieli sprzątać, a łóżko postawić pod prawą ścianą.

Wtorek 28 listopada 1939 r.

a) Byłem na podwórku. Usłyszałem lecące w górę dzikie gęsi. Jedna z nich wpadła pod szopę. Złapałem ją i dałem Czarkowi. Ona niby zmienia się w kurę, wypada Czarkowi z rąk i ucieka. Rozgniewany na niezręczność Czarka bije go po głowie, twarzy itd.

b) Jest Czarek i Kryśka p. Chranowskich. Podnosimy kolorowe firanki na sznurze w górę. Nie udaje się to. Firanki z bibułki się podarły. Daję część ich Czarkowi. Kryśkę odprowadzam i całuję ją w oczy.

29 listopada. Nie pamiętam.

Czwartek 30 listopada: Byłem z żoną w Pułtsku na ulicy 3-go Maja. Genia kupiła kosz pleciony w formie walizki. Staliśmy przy nim i czekamy na żonę Tkaczyka.

1 grudnia 1939 r.: Byłem jakby w domu. Siedziałem przy żonie i całowałem ją w usta. Był teść.

2 grudnia: Śniła mi się Genia. Treści zapomniałem.

Niedziela 3 grudnia 1939 r.

a) Szedłem jakby z Gąsewa do Szczegli. W Olszynkach u rowu pasło się bydło. Był byk ogromny, podobny do żubra. Chciał mnie bocić. Krzyknąłem na niego i pastuszek odpędził go. Bałem się tego byka.

b) Byłem w Drążdzewie. Szedłem, a właściwie fruwałem szosą na krzyżówki. Tam ruch był wielki z powodu jarmarku w Baranowie. Wiliński stary i jeszcze dwóch chłopów brało się do bicia. Byli gospodarze ze Szczegli. Między innymi był i szwagier Myślak Jan. Spotkałem Kacprzyńskiego Edka, który podpity prosił mnie, ażebym urządził zabawę lepszą i przedstawienie. Wracając niby na skrzydłach zatrzymałem się przy dziewczynach na wprost Żuchowskich. Była Wanda Wilińskich. W mieszkaniu Żuchowskich odbywała się próba. Janka Szewczykówna mówiła mi coś o p. Kamińskim.

Czwartek 7 grudnia 1939 r. Przez te ostatnie trzy noce miałem kilka snów o różnej treści, jednak dobrze ich nie pamiętam. Między innymi śniła mi się Halinka z Danusią. Latały za piłką, która wpadła do wody, ale ją wydobylem. Śnił mi się i Czarus. Inne sny były mniej wyraźne.

Wszak już 15 grudnia a my dalej w lagrze. Pewnie przyjdzie nam świętować w Prenzlau. Fatalnie mię oszukano. Wszak miałem już

jechać do powiatu do protokołu. Tak mi władze niemieckie oświadczyły, gdy samochodem przyjechały do mnie do wsi Drążdzewo. Tymczasem wywieziono mnie w głąb Niemiec do Prenzlau. Siedzę tu znów jako jeńiec wojenny wzięty do niewoli 29 września po kapitulacji Modlina. Dziś akurat mija półtora miesiąca jak zabrano mnie powtórnie do niewoli. Na ogół dni lecą szybko. Mamy tu znośne warunki bytowania. Wprawdzie mieszkamy w garażu samochodowym, jednak ogrzewanym i sienniki leżą na słomie. Wodę zimną do mycia się mamy w kranach na miejscu. Na sali jest tu nas przeszło setka ludzi, kolegów z różnych rodzajów broni i pułków. Są to ludzie wykształceni i inteligentni. Więc miło jest spędzać czas w takim towarzystwie, nawet w niewoli. Dni więc lecą szybko. Poza zwykłymi czynnościami dnia, na które składają się: pobieranie strawy i higiena osobista, mamy wolny czas we dnie i wieczorami. Trochę się uczymy, czytamy gazety niemieckie, a wreszcie rąbiemy w karty i szachy. Czasami wieczorem wygłosi któryś z kolegów referat o różnej treści.

Na ogół każdy z nas zajmuje się czynnością podług własnego zainteresowania. Mamy też własne dzienniki wieczorne. Jeden z kolegów czyta w głos niemieckie gazety po polsku. Dziś prócz dziennika był i referat o wsi polskiej. Referat był rzeczowy i dawał prawdziwy obraz wsi. W przyszłej Polsce wieś musi mieć większe znaczenie i nie może być tej biedy.

Wczoraj był u nas generał von Puttkamer¹⁰³, komendant obozu. Miał odprawę z nami. Obiecał nam dać do użytku nową salę na taką świetlicę. Dziś też przybył do naszej sali niespodziewanie pan generał von Puttkamer w towarzystwie inspektora obozu pana pułkownika Mackensen¹⁰⁴, syna starego 90-letniego już feldmarszałka Mackensena¹⁰⁵, u którego w dniu 6 grudnia był sam kanclerz Adolf Hitler jako w dniu jego urodzin w Prenzlau, a któremu wódz niemiecki podarował własny portret. Gazety pisały o tym szeroko. Również wczoraj byliśmy pierwszy raz na spacerze. Szliśmy szosą w pole 1 km w towarzystwie kilku Niemców z karabinami. Był przymrozek i wiał dość silny wiatr. Dzień był śliczny i słoneczny. Okolica Prenzlau jest ładna, ziemia dobra, urodzajna. Prenzlau jest miastem powiatowym, niewielkim. Widać było wysoką starą katedrę. Od strony południowej otacza Prenzlau dość duże jezioro. Miasto z tej strony wygląda ładnie. Przy tej szosie, którą szliśmy stoją koszary. Widać było ćwiczących żołnierzy niemieckich z bronią i bez broni. Jedna grupa żołnierzy miała widać ćwiczenia karne: tak zwany „kaczy chód”. Inni znów grali w piłkę. Ruch na ulicy niewielki. Za to w powietrzu wielkie loty ćwiczebne nad miastem. Od północnego wschodu miasta jest lotnisko. Codziennie się szkolą piloci. Samolotów jest cała masa i różnych typów. Stale przelatują całymi dniami i nocami ponad naszymi garażami. Niektóre pokazują różne sztuki. Ludności

cywilnej, zwłaszcza kobiet i dzieci nie widzimy tu nigdy. Mężczyźni przychodzą tu tylko na roboty przy budowie ustępów i kuchni dla nas. Nasi żołnierze stykają się z cywilami, gdy wychodzą na roboty do miasta i wiosek. My tu żyjemy własnym życiem. Są tu różne typy kolegów i często można się uśmieć z niektórych. Dużo przybyło nowych oficerów, a ostatnio nawet księży cywilnych z Pomorza. Mamy Msze Św., spowiadamy się i komunikujemy. Dziś też przed chwilą spowiadali księża na naszej sali obok mojego siennika.

19 grudnia 1939 r., poniedziałek. Od kilku dni jest tu przymrozek, a właściwie mróz 4-5-ciostopniowy. U nas tam w Polsce na pewno mrozy są większe. Może są śniegi jak w zeszłym roku. Tu w ogóle, jak mówią tutejsi mieszkańcy, zimy prawie nie ma. Tu jest blisko Morze Północne i nie może być dużych mrozów. Dla tutejszych mieszkańców te kilkustopniowe mrozy to już zima w pełni się nazywa. My Polacy nazywamy je jeszcze przymrozkami. Myślę, że i tu będą jeszcze większe mrozy, gdy przyjdzie styczeń i luty. Wszak Prenzlau jest położone w tej samej szerokości geograficznej północnej, co i nasz powiat leży, tylko kilkaset kilometrów na zachód. Dziś był tu dzień słoneczny i naprawdę piękny. Czysta. Samoloty chodziły bez przerwy. Było ich dużo. Wyglądały jak chrabąszcze w lecie na polu ponad żytem, gdy wieczór się zbliża. Latały i kołowały we wszystkich kierunkach i na różnych wysokościach. Latały różne typy samolotów przez cały dzień. Warkot motorów przez cały dzień ogłuszał nasz obóz. Tak intensywnie szkolą się piloci. W codziennym życiu naszym nie zaszło nic nowego. Chyba to, że obiady jadamy już nie w sypialni, a na specjalnej sali jadalnej, w pobliżu której są kuchnie stałe. Do tej pory kuchnie przyjeżdżały do naszej kompanii. Pomimo ogrzewania trzema piecami, na sali było zimno. Wyżywienie jest zwykłe, trochę przymałe. Z gazet niemieckich widać, że na zachodzie nie ma żadnych ważniejszych wydarzeń wojennych. Niemcy podają swoje wielkie zwycięstwa morskie nad angielską flotą. Natopili masę okrętów wojennych i handlowych. Bolszewicy biją Finlandię. Są już blisko granicy norweskiej.

Mamy już ostatni tydzień przedświąteczny. Na święta mamy być w Prenzlau. Smutne będą święta nasze! Z dala od ojczyzny i rodzin! Tak byłem pewny, że wrócę na święta do domu! Zawiadomiłem już rodzinę. Niechący ją oszukałem. Jeszcze smutniej będzie rodzinie w dniu wigilii i w święta. Wszystko przez tę przeklętą wojnę. Jak straszne i okropne skutki są przegranej wojny! Tysiące rodzin w żałobie i cała Polska! Jednak Bóg nad wszystkim. Pan Bóg nas nie opuści. Wersje krążą po obozie, że jednak mają nas wkrótce zwolnić. Podobno nawet inne obozy już zwolniły oficerów i szeregowych. Mają zatrzymać tylko oficerów starszych, a z młodszych tych, którzy się odznaczyli pracą społeczną. Ile w tym prawdy zobaczymy. Na razie musimy czekać. Wczoraj omówiliśmy sprawę choinki wigilijnej, tu w obozie. Zorganizowaniem wieczoru wigilijnego mają się zająć wybrani koledzy. My dalej łupimy w karty całymi dniami i wieczorami. Zdaje mi się, że my tu będziemy mniej smutni w wigilię i święta niż nasze

¹⁰³ Karl-Jesco von Puttkamer (1900-1981).

¹⁰⁴ Eberhard von Mackensen (1889-1969).

¹⁰⁵ Anton Ludwig August von Mackensen (1849-1945).

rodziny. Zbyt dużo nas tu jest, aby miało nam być tu smutno. [...]

Prenzlau. 22 grudnia 1939 r. Przedwczoraj śniło mi się: byłem w domu, niby w Szczeglinie, niby w Drążdzewie. Wstałem rano i miałem jechać do Makowa, do lekarza w sprawie jakiejś choroby i lekarstwa dla Geni, która niby zdrowa leżała jeszcze w łóżku. Byłem niezdecydowany jechać, bo nie widziałem potrzeby. W rozmowie na ten temat pokłóciłem się z żoną, a nawet dopadłem do łóżka i uderzyłem ją kilka razy w głowę. Poczem wypadłem przed się i miałem siadać na gotową furmankę. Tymczasem kobyła prawie się wyprzęgła i zaczyna uciekać. Łapię ją za kantar i w tym momencie płacząc się w lejc za nogi. Kobyła wychodzi ze mną za otwarte do połowy wrota. W tym momencie przebudziłem się. Koń był niby Gęsiaka.

Sen z 22 grudnia, to znaczy dzisiejszej nocy: Szedłem z Halinką czy Danusią w stronę krzyżówek. Spotkałem kilka dziewczyn starszych z Zochą Szewczakówną, które jakby miały u nas nocować. Niby ktoś koło kościoła w Drążdzewie umarł. Schodzili się ludzie, b) Byłem niby w Sypniewie u ciotki. Ktoś zawołał, że pali się w stronie na Gąsewo. Wypadłem popatrzeć. Paliło się na prawo od Gąsewa i blisko Sypniewa. Ogień szybko przerzucał się w naszą stronę i zaczęły się palić stodoły najbliższe w Sypniewie. Wpadłem do jednej i zacząłem gasić tlejące się małymi płomyczkami miejsca. Gasilem przez uderzenie i deptanie. Wreszcie zacząłem się obawiać, że mogę się spalić. Coś się poruszyło pod nogami, niby jakiś wiór duży. Spojrzałem na dach, stał jeszcze cały. Ogień szalał. Co te sny znaczą?

22 grudnia 1939 r. Jutro już wigilia. W tym roku wypada na niedzielę, ale będzie w sobotę, to znaczy jutro. Już przed chwilą ubrali koledzy choinkę dla nas oficerów i dla żołnierzy. Jest dwie choinki. Nadchodzą już święta. Nie mam z domu żadnej wiadomości ani paczki. Sam wysłałem już sześć listów z Prenzlau, a z Działdowa kilka różnych kartek. Inni oficerowie codziennie dostają i listy i paczki z różnych stron Polski. Wczoraj kol. Kruszewski dostał z Przasnysza dużą paczkę. Dlaczego do mnie ani do Obrębskiego nie przyjdzie list lub paczka? Dziś wykopałem się w łaźni i zmieniłem bieliznę.

23 grudnia 1939 r. sobota! Dziś wigilia! Wigilia dziwna! Dziwna, bo nie 24 grudnia, a 23 grudnia. Przeszkodziła niedziela. Ta wigilia jest dziwna dla wszystkich Polaków, dla całej biednej Polski. Zaś najdziwniejsza dla żołnierzy, podoficerów i oficerów polskich będących w niewoli. Kto by śmiał powiedzieć w zeszlą wigilię, że armia polska zostanie rozbita, a Ojczyzna zalana przez wrogów ze wschodu i zachodu? Nazwano by takiego śmiałka bluźniercą, wariatem. A jednak Polska utraciła niepodległość. Polska została znów wymazana przemocą i zdradą sąsiadów z kart Europy. Dziś Polska nadal żyje tylko w sercach wszystkich rodaków. Wierzmy niezłomnie, że wkrótce znów zajaśnieje jutrzienka wolności dla naszego narodu. Dziś, choć w duszy, naród polski woła nadal Jeszcze Polska nie zginęła! Dziś w dniu wigilijnym, w ten wieczór i noc grudniową, w tę cudowną noc, w której Jezus Chrystus się rodzi, by

zbawić ludy, dziś przy stole wspólnym, w czasie dzielenia się opłatkiem i składaniu życzeń starym zwyczajem oraz w czasie śpiewania polskich kolęd, ze łzami rzewnymi, jak białe ptaki lecą myśli i modły do nowonarodzonego dzieciątka, ze wszystkich zakątków ziemi polskiej leci jeden głos aż do nieba, z gorącą prośbą o litość i zmiłowanie nad naszą Ojczyzną, nad polskim ludem, nad polskim żołnierzem i nad tymi nieszczęśliwymi braćmi rodakami, których huragan wojny dotknął. Dzisiejszy dzień ważny jest dla nas, resztek armii polskiej w niewoli niemieckiej i rosyjskiej. Martwimy się o siebie i o rodziny, które więcej mają zmartwienia nad nami, niż my sami.

Dzisiejszy dzień spędziłem następująco: 1) dziś w nocy śniły mi się moje pszczoły. Były przeniesione na nowe miejsce. Wracaly one z uli na miejsce stare, jak po rozrojeniu. 2) Spacerowałem z Genią pod rękę. Dalej nie pamiętam, choć sen był bardzo wyraźny.

Wstałem chyba ostatni na sali. Lubię się wylegiwać rano. Kol. Obrębski wziął dla mnie kawę i postawił w kubku na kaloryferze. Posłałem siennik, umyłem ręce i zjadłem śniadanie. To znaczy kawałek chleba z kawą. Po śniadaniu zaraz ogoliłem się brzytwą kol. Obrębskiego, bo wołę brzytwę, niż maszynkę, którą jeszcze jestem nie przyzwyczajony się golić. Po ogoleniu umyłem się i wyszedłem na krótki spacer. Na dworze było mokro. W nocy padał deszczyk. Była cały dzień odwilż. Wiał dość silny wiatr. W poprzednie dni były przymrozki. Wróciwszy ze spaceru, oczyściłem buty i zasiadłem do kart. Na obiad o godz. 12 była kawa. Od 12-tej w południe zostałem oficerem służbowym bloku i objąłem służbę po raz pierwszy w niewoli. Wielkiej pracy nie miałem. 1) Najpierw ogłosiłem w obu garażach, że o godz. 15.45 zbiórka wszystkich oficerów w jadalni, w mundurach, bez płaszczy, na wieczór wigilijną. 2) Żeby adiutant spisał Żydów w bloku i miał gotowy spis jutro do godz. 10 rano, dla niemieckich władz. 3) Meldowałem podpułkownikowi, że jesteśmy gotowi w jadalni i czekamy na pana pułkownika.

Jest wieczera. Wchodzi podpułkownik polski. Oficerowie i żołnierze ze 400 osób wstają i pozdrwiają podpułkownika okrzykiem: Czolem panie pułkowniku! Ten bierze opłatek i w imieniu wszystkich żołnierzy i oficerów dzieli się opłatkiem z najstarszym oficerem kpt. Borawskim. Przy stołach dzielimy się opłatkiem z kolegami. Na naszych miskach zupa. Zupa licha, zwyczajna kartoflanka. Chór zbiera się i ma śpiewać kolędy. Choinki dwie już się pałą. Brzmiały kolędy. Śpiewamy i płacemy tak żołnierze, jak i oficerowie. Jemy zupeł. Jemy, myślimy i płacemy. Gra nasza sklecona orkiestra. Przemawia pan kpt. Nowakowski, kolega gra na skrzypcach kolędę. My śpiewamy już wszyscy na sali. Jemy zupeł. Choć licha, smakuje nam. Jemy i myśli nasze przenoszą się do miast i wiosek polskich, do rodzin. Ogarnia nas smutek, wzruszenie i już lecą łzy same prosto na deski stołu, na łyżkę. Człowiek widzi w swojej wyobraźni własny dom, rodzinę zebraną przy stole i dzielącą się opłatkiem. Widać jak płacze żona i dzieci. Płaczą, bo nie mają tatusia i może nie wiedzą, gdzie jest i czy żyje. Na taką myśl łzy same

lecą po policzkach dalej, wpadają jak słoje kropelki do ust i spadają na stół. Trudno się powstrzymać od takich łez. Każdy z nas zapłakał nie tylko nad własną dolą, ale i nad dolą całej Ojczyzny. W tym roku w Polsce była najsmutniejsza wigilia! U nas zupa zjedzona. Każdy głodny dalej. Myślimy, co jedzą dziś w domu. Na niedzielę pośpiewaliśmy mocniej parę polskich kolęd i wieczera wigilijna skończona.

Wracamy na salę, do siebie. Tu dopiero samodzielnie zaczynamy drugą wieczrę, już nie urzędową i nie pod okiem Niemców, jak w jadalni. Tu każdy wyjmuje z walizki kawałek chleba, jest jeszcze kawa i mamy po butelce wina na dwóch. Zaczyna się nowa kolacja. Koledzy grupują się dookoła stołów i grupkami siadają na siennikach. Ja na swoim sienniku stawiam swoją walizkę, nakrywam ją ręcznikiem, stawiam garnuszki z kawą i butelkę wina, chleb, cukier, którego na szczęście dostaliśmy wczoraj, chleb, jabłka, które do tej pory możemy kupić za lagiemarki dowoli. Zaczynamy z kol. Obrębskim znów wigilię. Zaczyna się teraz nieskrępowana niczym polska gościna. Koledzy stają się bardzo życzliwi. Jeden śpiący po sąsiedzku, kol. Tancerz [?] dał nam pół kubka wisien w cukrze, drugi kol. Kwasięborski poczęstował nas tortem, cukierkami i czekoladą. Mieliliśmy i rodzynki. Ja poczęstowałem kol. podchorążego Morawskiego jabłkiem. Zaczynamy jeść. Wino swoje zrobiło. Koledzy zaczynają być weseli. Zaczynamy sobie składać życzenia. Całujemy się, kto kogo popadnie. Jest jedna wspólna rodzina oficerska, wesola, życzliwa, dowcipna, miła. Zaświecono maleńką choinkę, ot taką zwykłą malutką gałązkę z choinki prawdziwej i ustrojona i przybita do półki. Brzmiały polskie kolędy. Jeden lotnik gra na harmonii. Po kolędach rozbrzmiewają piosenki wojskowe. Jest coraz weselej. Schodzą się do naszej drużyny z całej sali, a nawet inne sale przychodzą do naszej. Znów życzenia i dalsze całowania serdeczne. Rozpoczynają się popisy mówców. Jeden kolega nazwiskiem Miernik doskonale przedstawił nam niby przez polskie radio grę w piłkę nożną między Polską a Jugosławią. Świetnie to wypadło. Zdawało się nam, że jesteśmy na boisku i zawody widzimy.

Inny kolega z zawodu artysta teatralny wygłosił nam o ćwiczeniach dywizyjnych wojska polskiego. Znów masa śmiechu. Trzeci wygłosił rozprawę sądową o Jaśku i Zośce. Czwarty przedstawił angielskiego artystę malarza. Było jeszcze wiele innych kawałów. W przerwach grano na harmonii i wszyscy śpiewali. W ten sposób rozerwaliśmy swój smutek. O godz. 10 poszliśmy spać. Jako służbowy pogasiłem światło i ostatni położyłem się do snu. Zanim jednak zasnąłem, myślą przeniosłem się jeszcze do domu w Drążdzewie. Wyobraziłem sobie, że już Halinka śpi już w łóżeczku przy piecu, Czarus z Danusią na moim łóżku, a Genia leży sama na łóżku i chyba jeszcze nie śpi. Może myśli o mnie. A może jeszcze w kuchni sprząta i porządkuje po wieczery wigilijnej. Potem pomyślałem jeszcze o domu w Szczeglinie i Rogowie. Zobaczyłem, co tam porabiają i czy wszyscy wrócili z niewoli, poczem zasnąłem.

24 grudnia 1939 r. niedziela. Ciekawy sen: byłem we czterech kolegów z karabinami na szosie w górach Krzyżewskich jak się jedzie z Makowa. Przejeżdżał tamtędy z Makowa do Gąsewa kanclerz Hitler. Wstąpił do Częścików Stanisława. Byłem i ja tam. Witałem się z Hitlerem, ściskając sobie mocno dłoń. Mówiłem mu swój żal, że jesteśmy niesłusznie przez Niemców prześladowani. On pochwalił porządek i czystość w dwóch izbach, a w kuchni zganił nieporządek. Co to znaczy?

Dziś o godz. 9 byliśmy w garażu na Mszy świętej. W tamtym tygodniu odjechali do domów, czy też innych obozów wszyscy księża. Został jeden do posług i drugi chory. Po Mszy św. był obiad. O godz. 3 po południu kawa na kolację. Wieczór spędziliśmy znów na grze w karty i na słuchaniu różnych kawałów. Dziś popisywało się czterech kolegów. Dowcipni byli. O murarzu, kawał za słony. Po położeniu się na siennik o godz. 10 długo leżałem i nie mogłem zasnąć. Jeden z kolegów zachorował na konwulsje. Może to wybiło mnie ze snu.

25 grudnia 1939 r. Boże Narodzenie. Jak zwykle wstałem o wpół do dziewiątej. O godz. 7 zjadłem na łóżku śniadanie. Usługuje kol. Obrębski. On musi wyjść na papierosa, więc musi wstać. Na sali palić nie wolno. Tylko w Wigilię palili koledzy na sali. Było dużo dymu. O godz. 9 rano Msza Święta w jadalni tłumu. Zapalono dwie choinki. Msza była śpiewana. W zastępstwie organisty śpiewaliśmy wszyscy. Msza święta rozpoczęła się odśpiewaniem kolędy „Wśród nocnej ciszy”. W czasie sumy były jeszcze śpiewane: „W żłobie leży”, „Lulajże Jezuniu”, „Jezus malusieńki”, „Tryumfy króla niebieskiego”, „Bóg się rodzi”, „Gdy się Chrystus rodzi”. Zakończyliśmy odśpiewaniem pieśni „Boże coś Polskę”. Śpiewamy to po każdej Mszy świętej. Po Mszy Świętej ksiądz odczytał ewangelię świętą. Wróciliśmy na salę. Ja położyłem dłuższy czas po dziedzińcu. Było mokro. W nocy padał deszcz. Ciepło. Inny klimat niż u nas. O godz. 11.30 był obiad. Znowu zupa kartoflana z pęczakiem. Najadłem się do woli, bo wdrobiłem w miskę kawał zapasowego chleba. Po obiedzie spałem do godz. 3 po południu, o której przynieśli kawę. Jedliśmy chleb z margaryną, popijaliśmy kawę. Po obiedzie zjadłem trzy jabłka. Dwa razy zagraliśmy w „pufa”. Wskutek nalegania kolegów dokończyłem partii preferansa zaczętego wczoraj. Przegrałem dwadzieścia fenigów. Po grze odpocząłem i popiłem z kol. Obrębskim trochę wina. Resztę zostawiliśmy na jutro. Zjadłem dwa jabłka. Obrębski gra dalej w karty, a ja nakryłem się płaszczem i wyszedłem położyć przed garaż.

Jest godz. 7 wieczór. Na dworze zmiana. Pada śnieg i jest już biało. Rozglądam się wokoło, śnieg wszędzie. Biały dziedziniec, białe dachy, drzewa i płot z drutu kolczastego. Śnieg sypie dalej. Wokół obozu oświetlają śnieg latarnie elektryczne. Widać zasięki z drutu kolczastego i wartownie zbudowane wysokich słupach, oszklone, w których ciągle stróżują niemieccy wartownicy z bronią w rękę. Wokół obozu stoi takich wartowni kilkanaście. Wartownicy mają przy sobie reflektory i nimi porozumiewają się. Jest cichutko. Rzędem stoi aż siedem jednakowych garaży. Jeden zajmujemy my, a dwa inni

żołnierze. Pozostałe garaże mają różne przeznaczenie i są składami. Reszta kolegów oficerów jest obok w drugim obozie, ci w koszarach prawdziwych. Tam jest właściwy obóz nasz. Jest tam ponad dwa tysiące oficerów. My tu w garażach pozostaliśmy tylko dlatego, że tam już nie ma miejsca dla nas. Tam jest i polska komenda naszego obozu. Komendantem obozu całego jest p. pułkownik Trapszo¹⁰⁶. Dużo kolegów nawet z naszego powiatu i pułtuskiego jest właśnie w koszarach za drutami. Niby jest jeden obóz, a w nim ci sami polscy oficerowie, ale nie wolno nam rozmawiać ze sobą. Warta niemiecka ma rozkaz strzelać do rozmawiających. W tej chwili w koszarach cisza i ciemno. Okna są pozastłaniane papierowymi zasłonami u nas w garażach i tam w koszarach. Latarnie na dziedzińcu rzucają swoje światło tylko w dół, od których tworzą się na śniegu jasne plamy. W górze widać w świetle lecące płatki śniegu.

W garażu naszym, z którego przed chwilą wyszedłem gwarno i rojno, słychać głos harmonii. Wyszedłem po wysłuchaniu referatu kol. kpt. Kwiatkowskiego. Z własnego życia układa nowelki o Józce, Lidce i innych. Słuchamy, śmiejemy się z tych jego utworów, a jego bujamy, że są ładne. Jeden kol. napisał dalszy ciąg jednej jego nowelki. Była śmiechu kupa. Kol. kpt. Kwiatkowski był niegdyś carskim oficerem, huzarem w czerwonych spodniach i czerwonej czapce, które w nowelkach ciągle występują. My mamy tę korzyść, słuchając jego nowelek, że czas leci prędzej i że nas to bawi jak stary głądzi. Po powrocie z dziedzińca zagrałem w szachy i warcaby z kol. Kołdrasem. W szachy wygrałem z nim 1:1, a w warcaby 3:0. Po grze skończyłem jeszcze niniejsze pisanie, wyszedłem do ustępu, wróciłem, rozebrałem się i poszedłem spać. Była godzina 10.

26 grudnia, wtorek, św. Szczepan, Prenzlau. Wczoraj długo nie mogłem zasnąć. Leżałem i przewracałem się z boku na bok, rozmyślając jak jest w tej chwili w domu w Drażdżewie, Rogowie i Szczeglinie. Przychodziło mi na myśl spędzanie świąt Bożego Narodzenia w roku ubiegłym i dawniej. Ogromna zmiana! Całe życie w domu dziś wydaje się takie ładne, miłe, takie kochane i wesołe! Co roku mieliśmy gości w święta i sami jeździliśmy do państwa Krzesińskich w Rakach¹⁰⁷. Dziś pewnie też przyjechała do nas rodzina z Rogowa. A może są i p. Krzesińscy, u których rok temu myśmy byli. Pamiętam byli u nas Św. Szczepana z Rogowa sankami i po gościnie, wracając do domu, zawieźli nas do Przytułu, skąd mieliśmy blisko do Raków.

¹⁰⁶ płk. dypl. Tadeusz Trapszo [1894-1940]. Od 9 VII 1933 dowódca 79 pp. w Slonimiu. Awansowany 1 I 1936 do stopnia płk dypl. sł. st. piech. Przeniesiony na stanowisko szefa sztabu DOK VIII w Toruniu. W wojnie obronnej we IX 1939 początkowo pełnił funkcję szefa sztabu DOK VIII, potem od 12 IX 1939 szef sztabu w Grupie Operacyjnej dowodzonej przez gen. M. Tokarzewskiego-Karaszewicza w składzie Armii „Pomorze”. Uczestnik walk w obronie Warszawy.

¹⁰⁷ Raki - wieś w woj. mazowieckim, w powiecie makowskim, w gminie Krasnosielc.

Kiedy znów wrócą te czasy? Tak dumając, późną nocą zasnąłem.

W nocy śniło mi się, że byłem w Drażdżewie u Gosiewskich i Pogorzelskich. Rozmawiałem z nimi i ich dziewczynkami: Basią, Celiną i Danusią. Niby spałem u Pogorzelskich. Okna były zasłonką przesłonięte. U Gosiewskich młócili zboże i wynosili po schodach na górę. Od Pogorzelskich i Walędziaków brałem czerwone buraki na wysadki. Z domu nikt się nie śnił. Wstałem o godz. 8.30 rano. Szybko posłałem siennik, umyłem się, zjadłem śniadanie i poszedłem na Mszę Świętą do jadalni. Dwie choinki się już paliły, a ksiądz ubrany do Mszy Świętej czekał na nas. Zapelniła się sala oficerami i żołnierzami. Msza była śpiewana. W przerwach śpiewaliśmy kolędy jak wczoraj. Zakończyliśmy pieśnią „Boże coś Polskę”. Wzruszenie było mniejsze, niż wczoraj i we wigilię. Po Mszy Świętej obszedłem kilka razy dookoła dziedzińca. Padał śnieg i przykrył ziemię dość grubo. Widać Niemcy jeździli już saneczkami, bo słychać było z szosy dzwoneczki. W Polsce pewno lepsza sanna. Za chwilę zbiórka do raportu. Przychodzi pan pułkownik Trapszo. Będzie nam dziękował za złożone wczoraj życzenia świąteczne. Jest raport. Pan pułkownik dziękował nam za życzenia i nawzajem życzył nam, żebyśmy jak najprędzej wrócili do swych rodzin, do pracy. Z p. płk. Trapszą, który się witał osobiście z każdym oficerem był i Niemiec jakiś lojtnant. Po raporcie był obiad. Dość smaczna zupa kartoflana z pęczakiem.

Po obiedzie grałem w szachy, warcaby, „pufa” i „młynka”. Szarówką spacerowałem po pierwszym śniegu. Po kolacji znów grałem w warcaby z kol. Leleniem z Kacic¹⁰⁸. Przed chwilą zjadłem kawałek chleba z margaryną i cztery jabłka. Za chwilę będzie godz. 8 wieczorem, a z nią modlitwa. Następne dwie godziny można jeszcze grać w karty lub czytać. W ogóle ko kto chce. Tak jak i przez cały dzień żadnego zajęcia nie mamy. O godz. 10 wieczorem pójdziemy spać. Z dniem dzisiejszym kończą się święta Bożego Narodzenia. Przeleciały jak wszystko. Może jutro otrzymam jaką wiadomość z domu. Jutrzejsza poczta ma dużo paczek i listów dla oficerów. O naszym zwolnieniu nic nie wiemy. Tęskno mię do dzieci i żony. Czy Czarus, Danusia i Halinka są zdrowi? Czy są grzeczne i słuchają się mamusi?

Prenzlau, 28 grudnia 1939 r., czwartek, godz. 5.05 wieczorem. Już po świętach. Wczoraj i dziś było dużo listów i paczek dla kolegów. Ja nie miałem jeszcze nic z domu. Wczoraj przyszedł pierwszy list z naszego powiatu, z poczty w Makowie. Dostał go z domu kol. Kornel Kwiatkowski z Perzanowa, gm. Perzanowo. Niektórzy dostali już po kilka paczek. Niektóre paczki ważyły ponad 5 kg. Różne wędliny, chleb, bułki i ciastka. Aż ślina idzie do takich przysmaków. Zobaczę, co do mnie przyjdzie? Czekam. A teraz moje sny dzisiejsze: a) byłem w Szczeglinie na podwórku. Za stodołą zobaczyłem niby gęś, niby kaczkę, poturbowaną niby przez Edwarda. Gęś miała

¹⁰⁸ Kacice — wieś w woj. mazowieckim, w pow. pułtuskim, w gminie Pułtusk.

być Bartczaków. Popatrzyłem na nią, jak uciekła w dołek. Ktoś od Bartczków patrzył na kaczkę i mnie. Udałem, że ich nie widzę i poszedłem dróżką swoją w pole. Jakichś dwóch rolników uprawiało niby naszą ziemię. W tym koń się zbiegał, pociągnął obu chłopów, latał po polu i wróciwszy do mnie zamienił się w chłopca i przemówił do mnie. Uzałem się nad nim i poszedłem dalej, aż w góry niby Pienickie. Tam znalazłem na wierzchołku góry piękne pióro sokoła. Pióro to miało z sążen długości. Wziąwszy to pióro, zacząłem schodzić w dół, aż do pola Rekosza [?] i Pod poty [?]. Wszedłszy na dróżkę pszczołą [?], zauważyłem podejrzanego człowieka. Momentalnie skręciłem z powrotem w zboże i lasek. Tam natknąłem się na kilku ludzi, których udałem, że nie widzę i przykucnąłem. W tym momencie przebudziłem się. b) gdy zasnąłem śniło mi się znów. Niby w Drażdzewie koło Kacprzyńskich, niby w Krasnosielcu przy kościele i szkole stałem nad wodą i patrzyłem, jak fale uderzają o brzegi. Setki lat uderzają tak o tę ziemię, skałę, kamienie, a brzeg dalej się trzyma. Podziwiałem brzeg, że tak zwycięsko walczy z wodą. Była niby wiosna. Raptem znalazłem się niby w Gąsewie na cmentarzu. W kościele się odprawiało. Ja szedłem po cmentarzu tylko w spodniach i szelkach. Wstydząc się spuściłem głowę w dół i szedłem do drugiej furtki. Tam założyłem marynarkę i szedłem już ubrany dookoła kościoła. Chyba ktoś z moich dzieci podbiegło do mnie i wzięło mnie za rękę i szło dalej. Na wprost drzwi do zakrystii usłyszałem znajomy niby głos p. Chrzanowskiego lub pani Chrzanowskiej czy Krysi. Nie zdążyłem minąć tych drzwi, a usłyszałem głos miły swojej żony, która szła do mnie i wołała: „Władziu! Nie nocowałeś z nami. My musieliśmy nocować bez Ciebie”. Podeszła do mnie, do witania się. Była ubrana w jasny kostium. Była bardzo ładna! Głos miała taki miły, przyjemny i taki pociągający, że aż cała pachniała! Poczuliśmy, że tak bardzo kocham żonę, że tak ją uwielbiam i ubóstwiam, jak wtedy gdy była panienką! Jeszcze teraz tę miłość ku Niej czuję, teraz gdy to piszę, to znaczy wieczorem. Pod tym wrażeniem chodziłem dziś cały dzień. Dokąd poszliśmy po skończonym majowym nabożeństwie nie wiem. Obudziłem się już.

Długo leżałem i rozmyślałem, co te sny znaczą. Genia tak wyraźnie śniła mi się pierwszy raz. Jestem Geniu Ci wdzięczny, że się przyśniłaś mi tak wyraźnie, tak bardzo kochana. W tej chwili wszedł na salę kol. Musiał przynieść kilkanaście kartek i listy i paczki. Do nas nie było. Ci, co dostali, cieszą się. Wczoraj śnił mi się kol. Miłunski i Chrzanowiaki w sklepie na krzyżówkach. Jest tu w Prenzlau mróz dochodzący do 12 stopni. Na ogół na sali jest ciepło. Nogi tylko marzną od cementowej podłogi. W nocy byłem przykryty podwójnym kocem, dwoma płaszczami własnymi, żeby jeszcze było cieplej. Dziś, myślę, nakryje się własnym futrem. Śpię na dwóch siennikach. Położyłem jeden na drugi i nie ciągnie tak od podłogi. Obrębski i inni śpią na jednym i przy żelaznych drzwiach, to narzekają, że zimno im w nocy. U nas muszą być większe mrozy. Ciekawy jestem, czy w mieszkaniu jest ciepło żonie i dzieciom, czy mają czym palić. Cóż

oni tam porabiają. Najdłuższe i najnudniejsze są chyba wieczory i noce. Zwłaszcza jeśli nie ma nafty i trzeba iść wcześniej spać. Ja mam elektryczność: aż 7 lamp świeci się na sali. Jednak wolałbym w domu siedzieć nawet po ciemku.

Sny. Poniedziałek 11 grudnia 1939 r. a) Byłem u państwa Kołakowskich w Krasnosielcu. Na rękę nosiłem p. Kołakowską. Podobała mi się. Tuliłem się do niej. Miała nagie, ładne ciało, b) Byłem w domu starym w Szczeglinie. Niemcy w stodole zabierali grykę. Prosiłem, żeby nam nie zabierali resztę paszy, by mieć dla swojej krowy. Nie słuchali. Podziwiali Czarka, że taki mały chłopak, a tak sprytnie gospodarzy. Słomą były obstawione chlewy. Była i Genia, c) Pies.

Nowy Rok. 1 stycznia 1940 r., Prenzlau. Nowy Rok! Dziś z godziną 12 w nocy skończył się stary rok 1939. Był to rok wielkiej tragedii całego naszego narodu polskiego! Rok okropny, który przekreślił niepodległość naszej Ojczyzny, tej pięknej Polski, którą wywalczyli powstańcy 1830 roku, 1863 roku i Legiony Komendanta Józefa Piłsudskiego. Ten wielki dorobek ojców naszych przekreślił feralny rok 1939. Pozostała w nas wiara, że rok nowy 1940 przywróci nam z nawiązką wszystko, cośmy utracili. Wierzmy, że wszystko jest w rękę Boga. Z taką wiarą i nadzieją powitaliśmy rok 1940. Przypuszczam, że w Polsce nie święcono Sylwestra. Chyba była powszechna żałoba. Myśmy tu w obozie jeńców wojennych stary rok zakończyli na rozmyślaniu nad dobrymi czasami. Wspominaliśmy lata ubiegłe i wesołe dni Sylwestra. Były one piękne!

Mieliśmy i tu rozrywkę. Przede wszystkim Niemcy na naszą salę dali nam trzy antaiki piwa do picia. Zorganizował się mały chór i komitet, który zawczasu przygotował i opracował program wieczorku; zaczęło się o godz. 8 wieczorem. Najpierw wystąpił chór, później orkiestra, składająca się z dwóch harmonii i skrzypiec. Potem różne dowcipy odnoszące się do starego roku, naszego pożycia w obozie i oderwane tłuste kawałki. Wszystko było zapowiadane przez jednego kolegę, artystę-rysownika Owidzkiego. Kol. Wojtulewicz (cały kombinator i świetny aktor) najpierw odegrał kawał o Wacku, niezdamym, głupkowatym chłopaku. Treść była różna. Zakończyła się, że ten Wacek na randce rozebrał dziewczynę do naga. Dziewczyna była świetnie namalowana na blacie od stoła i przystrojona z wierzchu w gustowne damskie suknie, zrobione z bibułki i papieru. Rozebrał ją do naga. Wszyscy koledzy podziwiali piękność tego obrazu. Malował ją artysta kol. Owidzki. W tej chwili piszę właśnie na tych drzwiach i tej pięknej Afrodycie. Koledzy dowcipkują. Następnie ten sam Wojtulewicz wystąpił jako ułan polski na drewnianym koniu z lancą. Do tego obrazu przebrał się kol. Brodzki za dziewczynę. Piękna dama była z niego. Oboje odśpiewali kilka piosenek wojskowych i odtańczyli mazura. Był jeden śpiew żydowski, który wykonał chór i jeden podporucznik. Kolega jeden wygłosił rozprawę sądową w obronie Felka zaskarżonego o alimenty przez Mańkę Przytk. Kol. Miernik wygłosił przez mikrofon polskiego radia mecz i odczyt o żubrach w puszczy Białowiejskiej. Wieczór zakończył

się o godz. 11 rozdaniem różnych upominków niektórym kolegom. Śmiechu było bardzo dużo. W przerwach przygrywała muzyka. W ten sposób rozweseliliśmy sobie dzień ostatni tego smutnego i nieszczęśliwego roku.

Po zakończeniu obrazków przemówili jeszcze kilka słów kpt. Borawski i pplk. [w tekście brak nazwiska], którzy życzyli nam wszystkim rychłego powrotu do Ojczyzny i szczęśliwego Nowego Roku. Poczem rozeszliśmy się po swoich salach i do spania. Ja zjadłem sobie trochę chleba suchego i o godz. 11.35 położyłem się do spania. Reszta kolegów zaczęła wyciągać przystane paczki z domu i zbierać się kupkami do wspólnego posiłku. Zaczęli toczyć i pić piwo. O godz. 12-tej światło zgasło na chwilę, poczem koledzy powstali z miejsc i zaczęli sobie składać życzenia noworoczne, całując się wzajemnie. Przylecieli i do mnie i znów było wesoło. Niektórzy z powrotem powstawali, ubrali się i wzięli się do jedzenia. Ja już nie podnosiłem się. Kol. Obrębski spał i nic nie słyszał. On stale choruje na żołądek. Przed chwilą wrócił z dworu i powiedział mi, że wymiotował, co mu się często trafia. Marnie jest w obozie chorym na żołądek. Zasnąłem gdzieś koło godz. drugiej rano.

Wstałem o godz. 8.30, szybko się ubrałem i poszedłem o godz. 9 na Mszę Świętą do jadalni. Msza Święta była śpiewana. W przerwach śpiewaliśmy kolędy. Zakończyliśmy ewangelią, modlitwą za poległych i pieśnią „Boże coś Polskę”. Po Mszy Świętej z pół godziny chodziłem po śniegu sam i rozmyślałem co jest teraz w domu i co nas czeka z nowym rokiem. O godz. 11.30 była zupa kartoflana na obiad. Kolacja o godz. 2.30 minut. Dziś nie mam chęci do żadnej rozrywki. - Zbrzydły mi i karty i szachy. Leżę więc bezmyślnie na sienniku i próżnuję. Chodzą już słuchy, że mają nas w styczniu zwalniać. Podobno inne obozy już zlikwidowane i wielu kolegów jest już w domu. Oby to było prawdą. Radbym wrócić jak najprędzej do domu, z którego do dziś jeszcze nie mam żadnej wiadomości.

Dzień 2 stycznia 1940 r. Sny: a) W domu w Drażdzewie był kol. Chrzanowski z p. Romanową i oglądali doniczki z kwiatami. Weszła żona i wniosła jakieś futro. P. Romanowa oglądała to piękne i drogie futro. Byłem tam i wspólnie rozmawiałem, b) Byłem pod Krasnosielcem na szosie. Widziałem kobiety krzyczące za uciekającym niby polskim żołnierzem. Wskazywały go niby Niemcom. Czasami wydawało mi się, że to ja uciekałem na rowerze w stronę Drażdzewa.

3 stycznia 1940 r. [w oryginale pomyłkowo: 3 grudzień 1939 r.] Geni Imieniny. Dziś Geni Imieniny. Dnia dzisiejszego co roku wieszowałem swojej żonie razem z dziećmi. Dziś dzieci, to jest mała Halinka Janinka - „Księżniczka” mamusi, większa Danusia Krysia - „Królewna” tatusia i najstarszy Czarus Staś - przysły polski ksiądz czy generał wojska polskiego, wieszowały i w tym roku z samego rana. Wyobrażałem sobie dziś rano, leżąc na sienniku, że gdy się rozwidniło, obudziły się dzieci i najpierw pewnie Czarek zeskoczył ze swojego łóżka, poszedł do łóżka mamusi, uklonił się pięknie i powiedział ładny wierszyk. Za nim wieszowała chyba Danusia, a ostatnia przebudziła się Halinka, zeszła ze

swojego łóżeczka i wskoczywszy na mamusi łóżeczko, powiedziała ładny wierszyk. Wszystkie dzieci ucałowały mamusię w imieniu swoim i tatusia, o co je w liście prosiłem. Mamusia pewnie podziękowała dzieciom i dała im cukierków, czekoladkę i ciastek. A że mnie nie było, pewnie mamusia wspomniała o tym dzieciom i zapłakała. Dzieci weszły wszystkie na łóżko do mamusi i zjadały smaczne łacocie, jakie dostały za złożone życzenia. Później było śniadanie.

Dzień chyba i tam dziś ładny i nie mroźny. U nas słonko ślicznie świeci. Przykro jest człowiekowi, że w taki ładny dzień nie może być na imieninach własnej żony. Daj Boże, aby na przyszły rok mógłbym być w domu i winszować żonie wspólnie z dziećmi. Dziś z daleka przesyłam w myśli Ci, ukochana Geniutko, swe najszczerze życzenia. Życzę Ci zdrowia i pociechy z dzieci oraz wszelkiej pomyślności w życiu. Życzę Tobie i Dzieciom, abyście jak najprędzej powitali się z mną w domu, w wolnej Polsce! Kochający W. Kocot.

Większość kolegów oficerów w Prenzlau mieszka w koszarach. Oni warunki mieszkaniowe mają dobre. Mieszkają po kilku lub kilkunastu w pokoikach. Śpią na łóżkach. Natomiast my mieszkamy w garażach samochodowych. Ściany boczne i tylnia są z cegły, a ściana frontowa składa się z samych słupów żelazobetonowych i żelaznych drzwi. Jedne drzwi składają się z pięciu pojedynczych części. Takich drzwi jest pewnie dwanaście. Jednymi drzwiami może wjechać naraz dwa samochody. Długość garażu jest 60 m, a szerokość 12 m i więcej. Na naszej sali jest osiem wielkich okien. Każde okno składa się z ośmiu metrowej wysokości szyb. Dach jest płaski, zbudowany z żelazobetonu. Na naszej sali jest osiem belków żelazobetonowych, poprzecznych i dwa belki podłużne. W jadalni jest aż cztery belki żelazobetonowe, podłużne. Takie garaże mają podłogę cementową. Wzdłuż tylnej ściany są umieszczone kaloryfery. Sala nasza jest oświetlona przez 7 lamp elektrycznych, 50 świec [?]. Garaży jest 8. Śpimy na siennikach na podłodze cementowej, od której ciągnie zimno. Ciągle gramy w karty, szachy, trochę się uczymy w różnych językach, jemy i spacerujemy. Oto nasze monotonne ciągłe zajęcia w lagrze.

Prenzlau, 5 stycznia 1940 r., godz. 9.30 wieczorem. Już jest po modlitwie. Za pół godziny mamy pójść spać. Jest nas dziś bardzo dużo na sali. Chyba około 170 oficerów. Po obiedzie spędzili nas do tej sali i spisali. Mamy wszyscy z tej sali jechać do nowego obozu. Podobno na Górny Śląsk. Może to nastąpić jeszcze dziś w nocy lub jutro. Domyślamy się różnych rzeczy. Ze 30-stu podoficerów i podchorążych z naszej sali przenieśli do sali żołnierskiej i zostają na razie na miejscu. Kol. Obrębski też zostaje. Wczoraj jeszcze o godz. 3 po południu odprowadziłem go na izbę chorych za druty. Nie spodział się, że jedziemy na nowe miejsce. W ten sposób rozchodzimy się i nie wiadomo, gdzie się spotkamy. Stefan Obrębski jest chory na żołądek. Mają go wziąć na dietę. Nie wiem, kto z nas będzie wygrany i kto wpierw wróci do domu. W tej chwili na olbrzymiej sali wyglądamy jak stado dzikich gęsi lub żurawi, które za moment mają się poderwać i lecieć w nieznanne kraje. Tak my się poderwiemy na

rozkaz władz niemieckich i pójdziemy, gdzie oni zechcą. Widzę, że nie sprawdzają się słowa św. [Andrzeja] Boboli, który przepowiedział podobno, że 6-go stycznia Polska uzyska wolność. Daj Boże to jak najprędzej. Niech się dzieje wola Boża. Bóg nad nami. Dzisiejsze sny: a) Byłem niby w domu w Drażdzewie. Przyjechał tam sam kanclerz Hitler Adolf. Urządził natychmiast wielki bal, gdzieś u Szczepańskich na łące czy też u kol. Klajtra [?] w jego folwarku. Na bal zjechało się dużo gości i urzędników niemieckich. Byłem i ja. Zobaczyłem samego kanclerza Hitlera. Siedział na fotelu i był niby zmęczony. Nic nie mówił. Był mocno stary. Obudziłem się. Co znaczy ten sen?

Prenzlau, 6 stycznia 1940 roku. Sobota. Dziś Trzech Króli! Nie zaśpiewaliśmy ani jednej kołody. Nawet nie byliśmy na Mszy Świętej. Nie było. Nie wiemy dlaczego. Jesteśmy podekscytowani wyjazdem. Jutro o godz. 11 przed południem wyjeżdżamy. Dokąd? Nie wiemy. Niemcy co chwila odwiedzają salę i załatwiają ostatnie formalności z wyjazdem. Kilku kolegów zabrali do drugiego obozu na wartownię i bardzo szczegółowo zrewidowali. Był i kol. Tkaczyk. Nic nie znaleźli podejrzanego. Nie będą więc rewidować reszty kolegów, którzy nie nie mają. Lagiermarki oddaliśmy Niemcom w kancelarii. Ja dałem 10 mk. Mamy je otrzymać przy zwalnianiu. Mam wrażenie, że niedługo będziemy zwolnieni do domu. Dziś na sali jest duszno od papierosów i od wyziewów tyłu ludzi. Czas nam leci normalnie, to znaczy walimy w karty i gramy w szachy. Ciekawy jestem, co dziś w domu mówiono o mnie? Czy byli z Rogowa? Czy są wszyscy zdrowi i czy żona martwi się o mnie? Może nie mają co jeść?

Kreuzburg /obecnie Kluczbork w woj. Opolskim – przypis redaktora wydania/, 8 stycznia 1940 r., godz. 8 wieczorem. Już po kolacji i po modlitwie. Jestem w nowym obozie w Kreuzburgu na Górnym Śląsku, w dawnej prastarej dzielnicy piastowskiej. Do granicy polskiej podobno tylko kilkanaście kilometrów. Tu na miejsce przybyliśmy dziś rano na godz. 7.30. Dzieci szły do szkoły. Z Prenzlau wyjechaliśmy wczoraj o godz. 11 przed południem. Jechaliśmy stale przez cały dzień, noc i do rana do godz. 7.30. Z Prenzlau ominęliśmy Berlin i jechaliśmy przez Frankfurt nad Odrą, przez Wrocław i Psie Pole na Śląsk. Przypominały się nam dawne historyczne czasy. Tu widać jest dużo Polaków. W mieście na sztyldach pełno polskich imion i nazwisk. Słyszeliśmy nawet polską mowę. Jedna pani zawołała na córkę: Janka, chodź do domu”. Zawołała umyślnie widać, abyśmy ją słyszeli. Zaś w przemarszu przez miasto jeden jakiś pan chciał mi podać jakiś woreczek, pewnie z żywnością. Przeszkodził temu żołnierz niemiecki. Czujemy, że tu po wioskach i miasteczkach śląskich biją nadal serca polskie, które współczują naszej doli. Nawet kilkusetletnia niewola nie zniemczyła polskiego ludu.

Wzdłuż trasy naszej podróży nie zauważyliśmy ani znaku śladu wojny. Wszędzie cisza i spokój. Ruch na kolejach nieduży. Śnieg pokrył całą ziemię warstwą jednakowej grubości. Mróz był niewielki. Pod Frankfurtem zauważyłem całe stada sarn, które chodziły po polach i szukały pożywienia.

Ziemia tu nierówna, domy są murowane i dachy mocno spadziste. Na Śląsku wioski są duże, a budowa domów podobna do naszych. Obóz tutejszy dopiero się organizuje. Przysyłają tu z różnych obozów żołnierzy, podchorążych i oficerów. Warunki mieszkaniowe są dla nas nawet lepsze, niż w Prenzlau. Zajęliśmy podobno jakiś stary szpital. Dziś po podróży czułem się nie bardzo i sądziłem, że zachoruję na anginę. Po przespaniu się jednak czuję się w tej chwili nawet dobrze. Zostałem tylko z jednym kolegą z lat szkolnych ze Stanisławem Tkaczykiem z pow. pułtuskiego. Reszta kolegów została w Prenzlau lub tu rozeszła się po innych salach. Za chwilę położę się spać. Mam łóżko i nową pościel. Czyściuteńkie wszystko. Wyśpię się jak w domu. W tej chwili siedzący obok koledzy stawiają pasjansa i pilnie patrzą, czy prędko wrócimy do domów. Osobiście mam wrażenie, że chyba wrócimy niedługo. Jednak może upłynąć i kilka miesięcy. Zawsze w tym roku będziemy w domu. Dziś śniło mi się, że byłem w Rakach u p. Krzesińskich. Byłem z koszem po jabłka. Wybrałem się do nich zaraz po powrocie z niewoli. Czy miało to znaczyć, że będziemy tu aż do września? Wszak we wrześniu zbierają p. Krzesińscy kantówki i kalwiny, sen był wyraźny. Zwłaszcza p. Krzesińska i Dziunia były jak żywe. Tak samo we śnie na krzyżówkach niby widziałem swoją kochaną Danusię - tatusia królowę. Była już dużą dziewczynką. Jednak sen nie był wyraźny. Co to ma znaczyć? Kończę i za chwilę idę spać.

Gdy pisałem te ostatnie kilka zdań o snach, na salę weszło kilku Niemców i przeprowadzili inspekcję. Komendant sali zdał im raport. Na sali byli kilkanaście sekund.

Czwartek, 11 stycznia 1940 r., Kreuzburg (Kluczbork). Dziś mija już czwarty dzień naszego pobytu w nowym obozie w Kreuzburgu¹⁰⁹ (Kluczborku). Warunki mieszkaniowe mamy lepsze, niż w garażu w Prenzlau. Mieszkam na sali drugiego piętra z 28 kolegami. Każdy ma łóżeczko i czystą nową pościel. Na razie wyżywienie o wiele gorsze niż w Prenzlau. Chleb 1/4 na każdego dziennie, dodatki do chleba są marne i mało. Obiady liche, chude, a kawa zupełnie nie słodzona. Jest nas już 369 ludzi. Zjechali się tu z różnych obozów z całych Niemiec. Na razie obóz ten się organizuje jako Oflag Nr 8. Gdy będzie wszystko zorganizowane, może i wyżywienie poprawi się. Są apele na placu, względnie na sali z powodu dużych mrozów. Dziś było 34° mrozu. Na naszej sali mamy dość ciepło. Na parterze i innych salach mają zimno. Koledzy z zimnych sal przychodzą się do nas grzać. Życie w obozie idzie trybem normalnym. Z nowych kolegów przybył tu ppor. Kuśmierczyk Mieczysław z Drażdzewy i kol. nauczyciel Nowicki z Karniewa¹¹⁰, i Miecznikowski z makowskiego powiatu. Opowiadaliśmy sobie wzajemnie o naszym życiu w obozie i w czasie wojny oraz o kolegach i znajomych.

Na sali mojej jest wesoło. Oddzieliłem się od drużyny dziedziców, jestem jeszcze w sympatyczniejszym gronie kolegów. Miedzy

¹⁰⁹ W Kluczborku znajdował się Oflag VIII A.

¹¹⁰ Karniewo - wieś gminna w woj. mazowieckim, w pow. makowskim.

innymi jest tu kol. Owidzki, artysta, rysownik i malarz, dziennikarz Wojtulewicz, kanciarz, Miernik inżynier itd. Jest nam wesoło. Jeden kolega ciągle gra na harmonii. Reszta gra w szachy, karty, warcaby, czyta lub uczy się niemieckiego, podobnie jak w Prenzlau. Życie w obozie niewiele się zmieniło. Napisałem przedwczoraj, to znaczy 9-tego, list do żony, a wczoraj, to znaczy 10-go, do Jadźki w Szczeglinie, a dziś znów do państwa Krzesińskich w Rakach. Mam nadzieję, że te listy dojdą dość szybko. Wszak mamy podobno tylko 20 km do polskiej granicy. Kiedy ją przekroczę i w jakich okolicznościach? Dzisiejsze sny: a) Śniła mi się Genia. Byliśmy oboje w pobliżu niby boru przy Kamionce pod Kuchnami. Całowałem się z żoną i pożałowałem jej ciała. Przeszkadzali nam ludzie, b) Byłem niby u ciotki Smolińskiej w jej dachach. Były stare i chłodne. Dobytku nie było. Znać było po nawozie, że konie stały. Konie dzierzawcy. W oborze była głupia Jadzinka Rekoszowa ze Szczeglina Kolonii. Miała rozwolnienie i na zielono zbrzydziła się w stajni, w której sypiała na tym mrozie. Czula się dobrze. Litowałem się nad nią. Ciotka tłumaczyła mi, że głupiej w oborze dobrze, c) U ciotki, niby we wsi niemieckiej bawili się dzieci niemieckie. Należał samolot angielski i zaczął rzucać bomby. Strach ogarnął wszystkich Niemców. Tłumaczyłem im, że lak żołnierze niemieccy na polskie wioski i miasta najechali samolotami niespodziewanie, palili i bombardowali, strzelali nawet do bezbronnej ludności cywilnej. Teraz Anglicy na Niemców napadły i biją ich za niewinnych Polaków. Niemcy zaczęli strzelać do samolotu, ale nie trafili go. Samolot spełnił swe zadanie, oddalił się nieuszkodzony. Co takie sny znaczą?

Kreuzburg, 15 stycznia 1940 r., godz. 8 wieczorem. Dziś mija tydzień jak jesteśmy tu w Kluczborku. Przeleciał tydzień jakich wiele w Prenzlau. Tu okazuje się, że jest obóz w środku miasta w budynku dawnego szpitala dla wariatów. Warunki mieszkaniowe są dla nas lepsze, niż w Prenzlau. Za to wyżywienie jest gorsze. Może się poprawi. Mieszkam na drugim piętrze z 28 kolegami. Jesteśmy nawet zgrani. Nie kłócimy się jeszcze. Dziś przed południem spacerowałem z Kuśmierczykiem i innymi kolegami, potem aż do obiadu pisałem swój życiorys. Opisywałem swoje dziecińskie lata. Po obiedzie znów byłem na spacerze. Rozmawiałem z kolegami o różnych wiadomościach krążących w obozie. Powróciwszy na salę, o godz. 4 po południu otrzymałem pierwszy list od żony, pisany 6-go stycznia, a wysłany 9 stycznia. Szedł więc tylko sześć dni. Ucieszyłem się z listu, bo dowiedziałem się, że żyje brat Edward, szwagier Heniek, Henia i Janek z Edkiem.

Kreuzburg, 16 stycznia 1940 r. Ucieszyłem się z wiadomości, że żona wysłała mi pięciokilogramową paczkę z cukrem i sucharami, którą chyba dziś dostanę. Henia jest wprawdzie chora, ale żyje i nie zginęła w Warszawie. Taka wiadomość też jest dobra. Coś u Niemców tu się zaczyna psuć. W niedzielę zabrakło obiadu dla 45 ludzi. Po wielkich staraniach z naszej strony obiad dodatkowo dostaliśmy i na naszą salę, bo 22 obiady. Wczoraj nie dodali nam jednego bochenka chleba. Dziś znów jest już godz.

9.30, już wołają do apelu, a jeszcze nie było kawy. [...]

Kreuzburg, 20 stycznia 1940 r. sobota, a) Śniła mi się Genia, b) Byłem pod Chodkowem. Zobaczyłem w górze bardzo dużo białych ptaków. Leciły na wschód jak chmara komarów. Były to mowy. Poniżej nich ukazał się jeden czarny ptak, był to jastrząb-orzeł. Opadał na dół, bo miał złamane skrzydło. Opadł. Ja do niego z kijem. Siedział już na zającu i chciał go zdusić. Dobiegłem i kijem zamroczyłem czarnego orła. Chwyciwszy go za głowę, zacząłem go dusić. On, oprzytomniawszy, wbił paznokcie w moje ciało. Uderzyłem go silnie kulasem, zdarłem z niego skórę z piórami i gołego rzuciłem o ziemię. Leżał nagi i konał. Obok ludzie jechali z ucieczki. Wracali do domu. [...]

Kluczbork, dnia 1 lutego 1940 r. Rok temu i dawniej co roku dziś bywały imieniny p. prezydenta Ignacego Mościckiego. W szkołach radość! Kościół, akademie w całym kraju! A dziś? Pozostała rozpacz i żal za utraconą wolnością osobistą i Ojczyzny. Smutna rocznica. Już minęły trzy miesiące jak jestem powtórnie w obozie jeńców w Niemczech. Żyjemy monotennie z dnia na dzień. Wieści ze świata coraz mniej znamy. Tu jeszcze nie dali nam gazet do czytania. Te wiadomości, co krążą po obozie nie wiadomo, czy są pewne. Są duże mrozy. Zima jest stała. Sanna. Noce widne, księżycowe. Ładna zima, ale nie dla nas. Dziś winienem jechać po pensję. Dziś wysłałem list powtórnie do Majewskich. W poniedziałek ubiegły 29 [stycznia] wysłałem do Michalaków. Jeszcze paczki nie mam. Inni koledzy otrzymują po 22 paczki naraz (dziś). Kuśmierczyk, Miecznikowski i Nowicki dostali już po kilka paczek. Ja dopiero jeden list 15 stycznia. Dzisiejsze sny: a) Jechałem z żoną samochodem niemieckim przez Gąsewo. Przed Rekoszami całowałem żonę w oczy, w bardzo ładne oczy. Mówiła, że wyglądam nieelegancko. Samochód stanął na drodze. Żona zauważyła, że spadł letni płaszcz i zaginął, b) Byłem na Wólce przed Mikulakami. Ludzi na drodze było dużo. Od Mikulaków cała rodzina. Szedłem niby z dziećmi własnymi i obcymi; za Wólką usłyszeliśmy warkot samolotu. Leciły 3 czy 4. Rzucały bomby. Dzieci poczęły uciekać. Kazałem im padnąć do rowu. Samoloty przeleciały, c) Byłem niby w Stasi domu w Makowie. Były tylko dzieci. Po wyjściu z domu znalazłem się niby na łące. Zdarłem kawałek darniny i zacząłem zapadać w błoto. Wskoczyłem i zawołałem do kolegów, że jesteśmy w dolinie jakiejś rzeki i trzeba nam uciekać.

Dziś jest tłusty czwartek. Co roku był inny. Dziś na obiad mieliśmy lichą, rzadką zupę. Na kolację nie starczyło kawy dla wszystkich kolegów. Wczoraj byłem chory po szczeniocie przeciw tyfusowi. Dziś już czuje się dobrze. Koledzy przy stołach grają w karty.

13 marca 1940 r. Dziś otrzymałem czwartą paczkę żywnościową: chleb, placek, bułki i kiełbasa. Dzięki paczkom otrzymywanym z domu od miesiąca już nie znam głodu. Mam spółkę z ppor. Tkaczykiem Stanisławem kolegą z lat seminaryjnych z Pułtuską. Uzupełniają się nasze paczki nawzajem.

Mamy z domu słoninę, szynkę, kiełbasę, smalec, cukier, chleb, masło i papierosy. Zaczynamy dobrze się czuć i wyglądać. Chlebem częstujemy kolegów, którzy z różnych powodów z domu nie otrzymują paczek i listów. Nawet w lagrze dobrze, gdy się nie jest głodnym. Tu w Kluczborku właściwie jest nam bardzo dobrze pod względem mieszkaniowym, czystości, obsługi, opieki, współżycia, koleżeństwa i wszelkiej wygody. Jesteśmy weseli i dobrej myśli. Żyjemy beztrudno. Swój obowiązek żołnierski względem Ojczyzny spełniliśmy do ostatka i bez reszty. Tu nadal jesteśmy i czujemy się żołnierzami polskimi. Wierzymy, że skończy się niedługo nasza niewola i że znów będziemy bić się o niepodległość naszej Ojczyzny. Znów będziemy wyganiać wrogów z kraju, którzy napadli na nas nieprzygotowanych do wojny, niby myśliwi na śpiącego zająca.

Tymczasem gwarzymy wesoło, śpiewamy piosenki, gramy w karty, szachy i uczymy się języków, podług upodobania. Osobiście uczę się niemieckiego i rosyjskiego. Czasu mamy masę! Całymi dniami i wieczorami jesteśmy wolni. Zajęty czas mamy tylko rano o godz. 9 i wieczorem o godz. 9 podczas apelów, które trwają zaledwie po kilka minut. Do apelu stajemy na sali w dwuszeregu i Niemcy sprawdzają, czy wszyscy są obecni. Takie jest nasze zajęcie w niewoli. Poza tym śniadanie, obiad, kolacja, rozkaz, modlitwa i higiena osobista wypełnia nam czas. Rozkazy są naszej komendy polskiej, a właściwie kierownictwa obozu. Niemcy zamienili nazwę komendy „na kierownictwo”. Jest kantyna zaopatrująca nas w papierosy, piwo, potrzebne drobiazgi. Pijemy dużo ciemnego piwa. Dobre jest. W Prenzalu mieliśmy pod dostatkiem jabłek. Tu piwa. W kantynie udziały nasze wynoszą po 10 Mk. Otrzymujemy nadal po 24 Mk na dekade. Do domu, żonie i dzieciom wysłałem już 100 Mk. Odesłałem futro z drobiazgami dla dzieci (16 ptaszków, karty, grzebień, 3 ołówki). Życie płynie nam szybko.

Kończy się zima. Szybkimi krokami zbliża się wiosna. Już jest przedwiosnie. Słonko przygrzewa. Dni dłuższe. Tają śniegi. Woda ucieka po pochyłości w różne strony. Nawet ptaszki na drzewach raźniej się kręcą, podśpiewując. Czują wiosnę. A wiosna nadchodzi. Z nią nasze nadzieje rosną. Tej wiosny oczekują w kraju wszyscy Polacy. Z wiosną związane są nadzieje uzyskania niepodległości z powrotem. Wiosna przyjdzie na pewno! Już idzie. Czy przyniesie nam wolność? Zobaczymy. Widać, że i w polityce światowej coś się już robi. Wyraźnie mówią o tym gazety niemieckie, które czytamy codziennie. Dziś podczas apelu inspektor nam oświadczył, że Finlandia i Rosja zawarły pokój¹¹¹ Zobaczymy to w jutrzejszej prasie. Czy ma to jakiś wpływ na sprawę polską? Wszak Rosja to wróg nasz, który zagarnął nam połowę kraju i trzyma. Kiedy ich wypędzimy? Na zachodnim froncie ogień artylerii, praca szperaczy, patroli i drobne potyczki. Niemcy ciągle podają swoje zwycięstwa na morzu. Strasznie topią okręty koalicji. Czy to prawda? Radia nie słuchamy.

¹¹¹ Mowa o tzw. wojnie zimowej między ZSRR a Finlandią w latach 1939-40.

Dziś i w naszym obozie ruch. Zabrali 20 kolegów i wywieźli ich do innego obozu, w głąb Niemiec. Czyżby i nasz obóz likwidowali? Szkoda stąd wyjeżdżać, bo tu poczta i paczki dobrze chodzą, a i do granicy polskiej podobno mamy tylko kilkanaście kilometrów. No i przyzwyczailiśmy się do swoich opiekunów, którzy są na ogół grzeczni dla nas i dobrze się z nami obchodzą. Jednak, gdy zechcą nas gdzieś przenieść, pojedziemy. Nie ma na to rady. Przyjmujemy wszystko na wesoło. Po żołniersku. Szkoda nam się tylko rozstawać z kolegami. Zżyliśmy się tylko ze sobą bardzo i chcielibyśmy się trzymać kupy. Z żywnością nieco lepiej. Tylko te kartofle z łupiną zapoczątkowane w zapustną niedzielę zbrzydły nam już na dobre. Podają nam jak w Polsce wieprzom. Przykre wrażenie wywołuje widok tych kartofli. W zupie były bardzo dobre. Same wystygną, zgłębiają i traca na wartości. Kawy jest pod dostatkiem. Dodatki do chleba są niezłe. Najślabzy jest ser, twaróg podobny do lasowanego wapna. Podobno na święta wielkanocne zamówione jest już wino i piwo w większej ilości.

Palmowa niedziela 17 marca 1940 r. Dziś Mszy Świętej nie było. Msze Święte odbywają się w niedzielę na sali jadalnej. Odprawia ksiądz niemiecki, a koledzy służą do Mszy Świętej. Nabożeństwa takie mają na mnie małe wrażenie. Nie rozczulają. Nawet modlić się szczerze nie można. Ma się przed oczyma księdza obcego, a dla nas wrogiego narodu. Mowa jego podczas wygłaszania kazania lub czytania ewangelii jest mało zrozumiała, twarda i nie trafiająca do naszych serc. Wysłuchamy, ale każdy rozumuje po swojemu. Dla nas Polaków potrzebny i tu jest nasz ksiądz polski ze swoimi kazaniem. Mamy własny chór, który śpiewa podczas Mszy Świętej pieśni nabożne i postne. Nie wiemy z jakich powodów dziś Msza Święta się nie odbyła. Na dworze znów leży śnieg spadły w nocy. Chłodno. Pewnie święta będą zimne.

Wiemy z gazet niemieckich, że między Finlandią a Rosją pokój został zawarty. Finlandia musiała uznać warunki narzucone jej przez Rosję. Niemcy dalej chwalą się zwycięstwami nad koalicją na lądzie, morzu i w powietrzu. Z gazet widać, że ludność polską starają się zjednać dla siebie. Teraz starają się być dobrodziejami. Wygadują na były polski rząd. Ludzi pracy wywożą do Niemiec na roboty rolne. O sytuacji politycznej niewiele wiemy. Tyleco w gazetach niemieckich. Te znów niewiele podają prawdy. Podają ją dla siebie jednostronnie. Od przyjeżdżających kolegów i żołnierzy mamy wiadomości różne i często sprzeczne. Dzisiejsi żołnierze przyjezdni mieli mówić o mobilizacji na Węgrzech. O organizowaniu armii polskiej na Węgrzech w uniformach angielskich¹¹². Takie różne wieści krążą po obozie. Życie tu nasze płynie nadal jednakowo. Są różne dyskusje, przepowiednie i zdania co do przyszłych naszych losów i Polski. Pomagamy sobie nawet wróżbą spodeczka. Ten mówi różne zdania, poważne i śmieszne. Nastąpił duży zapal do rozmowy z duchami. Co wieczór

wróżą po salach. Wiadomości są dla nas raczej przychylne. Mamy być wolni w tym roku i ma być wolną Polska. Jak będzie zobaczymy. Jesteśmy już po obiedzie. [...]

Wielki Piątek, 22 marca 1940 r. godzina 6.45 wieczorem. Jesteśmy po kolacji. Jak zwykle dali nam kawę i kartofle w mundurkach. W ostatnich czasach stałe podają na obiad kartofle w łupinie i ze śmieci jak u nas wieprzom. Do tego jakaś zupa. Dzięki paczkom jestem syty. Nie znamy głodu. A paczki idą z kraju od rodzin naszych, a nawet od Polskiego Czerwonego Krzyża. Dziś jestem nieco przygnębiony. W nocy nie mogłem długo usnąć. Właściwie usnąłem normalnie, tylko zostałem przebudzony. Mianowicie zaledwie zasnąłem obudziły mnie jakieś krzyki. Zapaliło się światło na sali. Przerażony zobaczyłem bójkę dwóch kolegów: ppor. Rewackiego z ppor. Stawirejem. Ten ostatni w szale dusił pierwszego. Pan Rewacki w kłótni wykrzyknął na Stawireja, „że jest kopnięty w mózg”. Ten zerwał się z posłania i przez sąsiada łóżko uniósł z posłaniem Rewackiego, połamiał mu łóżko i chwycił go na szafie. Zeskoczyli koledzy i rozdzielili obu. Rewacki musiał spać na drugim łóżku. Byłem tak przerażony, że długo nie mogłem zasnąć.

Przebudziłem się rano ocieślały. W łóżku wypilem filiżankę kawy bez chleba. Jeść mi się nie chciało. Na apel o godz. 9 wstałem. Po apelu pospacerowałem po dworze. Wróciwszy położyłem się na łóżku. Nie zasnąłem. Przed obiadem rozegrałem dwie partie szachów z kol. ppor. Pawłowskim. Obie partie wygrałem. Obiad. Po obiedzie i odpoczynku w łóżku znów spacer. Wszak dziś pierwszy dzień wiosny. Rzeczywiście powietrze jest miękkie, a nawet popryskuje ciepły, pierwszy deszczyk marcowy. Chowamy się pod dach kamienicy i prowadzimy z kolegami dalszą rozmowę. Mówimy więc, że już mija pół roku naszej niewoli. Że nie tylko Boże Narodzenie, ale i Wielkanoc spędzamy w lagrze. Przykre wrażenie mamy. Przypominają się nam lata ubiegłe, dom, rodzina. Co oni teraz robią w tej chwili. Wszyscy się zgadzamy, że idą do kościołów z dziećmi na pasję, że się modlą w kościołach polskich. Jedni ludzie do kościoła, a inni już wracają. Tak cały dzień. Przechodzą koło domu mego! Pewnie szła i żona moja i moje dzieci. Tak. Oni byli dziś w kościele na pewno. Nie wiem tylko, czy na pewno strażacy z Drażdżewa trzymają straż przy grobie Chrystusa. Czy im wolno? Rozmawiam na ten temat z kolegami. Wywnioskowaliśmy, że warty nie było przy grobach, bo organizacje zniszczone przez Niemców. Pełni melancholii wracamy do sal.

Wstąpiłem na salę do Koldrasa. Po krótkiej rozmowie wróciłem na swoją salę. Niedługo kolacja. Teraz piszę. Kol. Uwidzki Roman, malarz nasz układa swoje obrazki na wystawę, która odbędzie się w poniedziałek. Kol. Pawłowski ściągają pieniądze za rozdane nam papierosy, cygara, wino i piwo na święta. Reszta gra w pokera, brydza, 66 i szachy. Ja piszę. Piszę, bo różne myśli przychodzą mi do głowy. Radbym wrócić do żony i dzieci, do Polski. Nie mogąc wrócić, napisałem kartkę, którą jutro wyślę. Choć ona doniesie o tatiusiu dzieciom wiadomości z Wielkiego Piątku. Oni cieszą się każdą moją kartką. Podobnie jak ja się cieszę z ich listów. Dobrze, kochane

Dzieciaki! Kiedy ja Was i mamusię zobaczę? Czy spełnią się nasze marzenia o wiosnie. Na razie mamy szarą rzeczywistość, pełno różnych przykrości.

W dzisiejszym dniu sam miałem zdarzenie. W czasie przewietrzania sali podszedłem do okna. Stałem na metr od okna i spojrzałem na zosę. W tym momencie skierowałem wzrok na wartownika. Ten łotr już zdejmował karabin i chciał celować we mnie. Szybko odszedłem do drugiego okna i oglądałem się, czy kto nie stoi jeszcze w oknie z kolegów. Nie było nikogo. On ten żołdak pruski chciał na pewno strzelić do mnie, bez uprzedzenia.

Byłem zły. Westchnąłem tylko do Boga i pomyślałem, kiedy my im Niemcom zapłacimy za wszystkie krzywdy wyrządzone narodowi polskiemu. Sądzę, że ta chwila jest niedaleko i pożałują napadu na Polskę. Z gazet wiemy, że na zachodzie ożywiona działalność artylerii, lotnictwa i marynarki. Niemcy ciągle chwalą się zwycięstwem. Co jest prawdą, zobaczymy. Obawiam się tylko, aby Niemcom nie przyszły z pomocą Włochy. Chyba szalone nie będą. Wszak w wielkiej wojnie walczyły przeciw nim razem z Anglią i Francją. Pamiętają tamtą wojnę. Chyba nie pozwolą skokietować się Hitlerowi, który w tym tygodniu jeździł na Brenere i widział się przez 2 1/2 godziny z Mussolinim¹¹³. Chyba wielkich rzeczy Niemcy nie skorzystały, bo prasa milczy. Podnosi tylko serdeczną przyjaźń i przyjęcie, jakiego Hitler z Rybentropem¹¹⁴ doznali. Teraz nadeszła pora, że wypadki chyba potoczą się szybko. Czekamy na nie cierpliwie i spokojnie, bo one muszą być dla nas tylko korzystne. Tej otuchy nam doda ten Chrystus zmartwychpowstały. Wierzę, że razem ze śpiewaniem Alleluja wstąpi w naród polski wielka moc ducha, która przy pomocy z zewnątrz naszych sprzymierzeńców wypędzi nieprzyjaciół z Ojczyzny i przywróci wolność Polsce, Czechom i Austrii. Godzina 8.05.

23 marca 1940 r. Kreuzburg. Wielka Sobota. Dzień rozpoczął się normalnie, jak każdy inny. Dziś po apelu długo spacerowałem. Było bardzo ciepło. Można było nawet postać pod drzewem. Łaziłem i rozmawiałem z kol. Tkaczykiem i kol. Klickim. Rozmawialiśmy o sprawach politycznych. Dowiedziałem im, że wszystko skończy się dla Polski pomyślnie i w niedługim czasie. Po obiedzie ogoliłem się i wykapałem w wannie. Kąpiel w ciepłej wodzie wspaniała. W ubiegły wtorek kąpałem się pod natryskiem. Tu możemy zachować czystość ciała zawsze. Po kolacji odbył się apel. Przybył do kompanii p. ppłk. Gryl, kierownik obozu i mąż zaufania nas wszystkich oficerów. Składał nam życzenia, byśmy wytrwali w niewoli i nie upadali na duchu. Życzył nam, abyśmy niedługo wrócili do wolnej i silnej Polski. Mamy być koleżeńscy i wzajemnie się szanować. Po podziękowaniu p. major złożył nawzajem życzenia świąteczne panu podpułkownikowi. Wtem któryś z kolegów zaintonował Jeszcze Polska nie zginęła”. Myśmy podchwycili

¹¹³ 18 marca 1940 r. doszło do spotkania Hitler-Mussolini w Brenner (wł. Brennero).

¹¹⁴ Ullrich Friedrich Willy Joachim von Ribbentrop (1893-1946) - minister spraw zagranicznych III Rzeszy w latach 1938-1945.

¹¹² Wiadomość nieprawdziwa. Na Węgrzech wówczas nie organizowano jednostek wojska polskiego.

i odśpiewaliśmy jedną zwrotkę. Pan ppłk. Gryl¹⁵ był z nas zadowolony, bo tylko nasza kompania 3 odśpiewała przy nim hymn narodowy po raz pierwszy w niewoli. Wrażenie było duże. Po modlitwie znów towarzystwo zabrało się do gry w karty. Ja przegrałem dwie partie szachów, popiłem winem, piwem i wziąłem się za napisanie tych kilku zdań pamiętnika. Za chwilę pójdę spać.

Wielkanoc. 24 marca 1940 r. Dziś Wielkanoc!!! Największe święto chrześcijan! Święto zmartwychwstania Chrystusa Pana, święto radości! Święto wszelkich nadziei, zwłaszcza dziś dla nas Polaków. Przebudziłem się o godz. 7 rano. O godz. 8 byłem już na Mszy świętej na sali jadalnej. Byliśmy wszyscy w komplecie. W czasie Mszy świętej śpiewał chór złożony z kolegów oficerów i podchorążych. Najpierw zaśpiewaliśmy z chórem „Wesoły nam dzień dziś nastał”, potem „Serdeczna matko” i inne. Zakończyliśmy pieśnią „Z tej biednej ziemi”. Wrażenie było duże, ale nie tak wielkie, jak przy śpiewanych pieśniach w niewoli, kiedy odprawiali księża polscy np. w Działdowie i Prenzlau. Owszem ze słowami „Wesoły nam dzień dziś nastał i alleluja” myśli nasze przeniosły się do kraju, do Polski, do kościołów parafialnych. Oczyma duszy widzieliśmy procesję, księdza z monstrancją, obrazy, chorągwie i tłum rozśpiewany, krążący około kościoła trzy razy. Widać było nawet dziewczynki sypiące kwiatki przed przenajświętszą hostią oraz własną rodzinę i znajomych parafian. Wszyscy byli jak co roku, prócz nas. Nawet dzwony słyszałeś wioskowo! Te nasze w Drażdzewie!

Te obrazy miłe przerywał nam głos księdza niemieckiego i sprowadzał nas do tej sali, a z nią do rzeczywistości, do niewoli. Również jego kazanie mówione łamaną polszczyzną nie robi wrażenia, nie porywa słuchaczy. Mówił nieźle. Nawet wspominał słowo „w Polsce jest zwyczaj wieszania sobie w czasie Wielkanocy” i tym częściowo nas porwał. Miło jest usłyszeć słowo „Polska”, zwłaszcza od wrogów. Po Mszy świętej p. ppłk. Gryl złożył życzenia księdzu. Po wyjściu na podwórku odbył się apel przez władze niemieckie. Wróciwszy na salę, cała kompania zebrała się na naszej sali jako największej. Na wstępie uczciliśmy poległych kolegów chwilą milczenia. Przemówił do nas kol. por. Dajanowicz jako dowódca kompanii 3. Mówił z uczuciem, rzeczowo i bez ogródek. Mówił o Polsce! Wspominał przyczyny upadku Polski, stan obecny nasz i czasy przyszłe. Pod jego wpływem ślubowaliśmy wytrwać i po powrocie do Ojczyzny pracować dla dobra i potęgi Polski. Zakończyliśmy odśpiewaniem hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła” i okrzykiem „niech żyje Polska”! Poczem dowódca kompanii uściśnął dłoń wszystkich kolegów oficerów. Teraz nastąpiło wzajemne składanie sobie życzeń i całowanie się oraz śniadanie.

Śniadanie było obfite. Stoły były zastawione butelkami z winem, piwem, a nawet wódką przyslaną z Polski. Były różne wędliny, ciasto, chleby, babki i inne łakocie przyslane przez

troskliwe rodziny z Polski. Osobiście ze swoim współnikiem kol. Tkaczykiem też mieliśmy: chleb, ciasto, kiebasę, boczek, słoninę, cukier przysłane z kraju. Kawa, wino, piwo, margaryna od Niemców. Jajek nie mieliśmy obaj. Inni koledzy po innych stołach mieli jajka przysłane z Polski. Ja miałem za to pisanki, ale na liście moich ukochanych córek: Danusi i Halinki, które tatusiowi przysłały razem z narysowanymi bażkami. Dobrze, kochane dziewczynki! Pamiętają o swoim tatusiu.

Śniadanie rozpoczęło się od nakrycia stołów obrusami z białego papieru. Prócz prowiantów, stały kwiatki i bażki. Pod wpływem wina, piwa i dobrej zakąski nastroje rosły. Nastąpiło wzajemne ściskanie sobie dłoni, życzenia, całowania, wiwaty i podrzucanie kolegów w górę ze słowami: niech żyją! Przyszli koledzy z innych sal z muzyką na dwóch harmoniach, gitarze i ze śpiewem, niosąc kol. Dajanowicza wysoko na rękach. Wszyscy wiatowali i szli jakby za procesją wokół sali. Niektóry trzymał w rękach podniesiony stołek. Wreszcie zaczęto łąpać się po dwóch i tańczyć mazura, kujawiaka itd. Gdy goście z innych sal odeszli, wszystko się uciszyło, poszedłem na spacer. Na obiad mieliśmy kartofle w mundurkach, kotlet po raz pierwszy w lagrze i zupę ogórkową, której zjadłem aż cztery porcje, tak mi smakowała.

O godz. 3 po południu odbyła się akademie. Piękna była! Sala była wypełniona po brzegi. Było dwóch Niemców lojtnant Majse i inspektor tłumacz. Akademię zagaił jeden z kolegów, a orkiestra smyczków przy akompaniamencie harmonii i gitary odegrała Poloneza. Ślicznie! Klaskali obaj Niemcy. Następnie śpiewał chór i szły deklamacje. Program był obszerny. Wszystko było porządnie opracowane i nastawione na wysoką nutę patriotyczną. Mówiono, śpiewano i grano pieśni o Polsce. Oto one: orkiestra, sygnał baczność, „Córko, czego ty jeszcze chcesz?”, „Piechota”, „Przekwitały paki białych róż”, „Jak ja Kaśki nie dostanę”, „Umarł Maciek”, cała wiązanka. Wiersz Tetmajera: „Dzwony”, „Trzy Marie”, „Zmartwychwstanie”. Chór śpiewał pieśni ludowe o Polsce. Zakończyła orkiestra „Warszawiankę”. Nad program harmonista odegrał jeszcze kilka kawałków na żądanie publiczności. Harmonia była nowa i dziś właśnie na tej akademii wręczona temu koledze przez ppłk. Gryla.

Po akademii długo spacerowałem po parku. Ścieżki były wilgotne. Jeszcze nie obeszło. Do tego dzień dzisiejszy był pochmurny, mglisty i rosił drobny deszcz. Był podobny raczej do smutnych Zadzuszek niż do Wielkanocy. Może jutro będzie ładniej. Po kolacji i po odpoczynku wziąłem się za skreślenie powyższego. Za chwilę apel. Już godzina dziewiąta. Kończę.

Lany Poniedziałek. 25 marca 1940 r. Dzień jest ładny. Od samego świtu ptaszki śpiewają. Ciepło. Czuję wiosnę w powietrzu. Miło jest i przyjemnie. Brak nam tylko swobody, wolności. Z budzącą się wiosną i moja dusza wyrwa się z tych murów obozowych i leci na skrzydłach myśli do Polski, w rodzinne strony i do Drażdzewy, do żony, dzieci i domu. Radbym być tam za wszelką cenę. Daremnie. Nasz budynek szpitalny otoczony jest wysokim parkanem, na którym są jeszcze

druty kolczaste. Druty kolczaste są również przed parkanem. Swobodę ruchu mogą mieć tylko ptaki. Przy każdej bramie zamkniętej na klucz stoi wartownik. Warta stoi również wokół parkanów i drutów. Puszczają tylko swoich. My latamy w kółko ścieżkami niby dzikie zwierzęta po klatce. Spacerować tak nam wolno od apelu rano, od godz. 9 do 6 godz. po południu. Im cieplej tym więcej spacerowiczów.

Dziś Mszy Świętej nie było. Za to mieliśmy od godz. 3 do 5 po południu rewię, a przed południem wystawę malarską. Obrazów było dość dużo. Przeważały portrety kolegów. Były to szkice rysowane ołówkiem. Były też i obrazki malowane farbami. Obrazy były wystawione przez kol. Owidzkiego i jego uczniów oraz ochotników. Było na co popatrzeć. Prócz rysunków, były bardzo ładne wystrzyganki z kolorowych papierków oraz z plastyki pudełka, odpowiednio zrobione i wyrzeźbione. Prace były lepsze i gorsze. Wszystkim zaimponowały karykatury kolegów. Prócz nas zwiedzili wystawę i Niemcy, to jest nasza opieka i obsługa. Pułkownik nasz pochwalił wystawę. Pochwalali ją też sami Niemcy. Pierwsza wystawa malarska udała się.

Rewia był też ciekawa. Chór bardzo liczny odśpiewał cały szereg pieśni polskich. Pięknie kujawiaki odegrała orkiestra. Ładne były też deklamacje. Najciekawszą była piosenka wykonana przez jednego majora. Piosenka aktualna dotycząca życia w obozie pod nazwą: „Muzeum osobliwości”. W tej piosence cała publiczność brała udział, gdyż inspirował najpierw nas poduczył i sami mu śpiewaliśmy refreny. Pięknie zagrał na organce jeden z kolegów. Niby na okarynie. Organka była mała. Grał też harmonista. Wczorajsza i dzisiejsza impreza udały się. Byliśmy pokrzepieni na duchu słowem, piosenką i muzyką polską. Jestem przekonany, że tego pokarmu duchowego mieliśmy daleko więcej, niż rodacy w kraju w czasie obecnych świąt.

Dziś rano było także i oblewanie się wodą. Na niektórych salach wylali na siebie moc wody. Osobiście udziału w laniu nie brałem. Nie byłem obłany. Myślałem cały poranek, jak tam moje dzieci oblewają siebie, mamusię i rówieśników. Dzień minął, z nim święta wiosny. Teraz kolej na szare dni wiosny, na pracę i na wypadki polityczne, w których leży nasza polska nadzieja.

Wtorek 26 marca 1940 r. godz. 9 wieczór. Już po świątach. Przeszły jak wszystko na świecie. Jest znów szary powszedni dzień. Ciepło. Tu już obeszło. Żdźbła trawki zrzucają z siebie brudne grudki ziemi i rosną. Lilie pod kamienicą już urosły do 5 cm. Ożyły i rosły już pod śniegiem. Ptaszki się cieszą. Będąc na przechadzce przed południem, widziałem jak dwa czarne kosy gonili się i zderzały z takim zapamiętaniem, że jeden wyrwałszy się drugiemu, z siłą uderzył kol. Sosnowskiego w plecy. Ten poczuł to, zauważył go i pogroził mu pięścią. Niezwykły wypadek. Czy to pod wpływem świąt, czy budzącej się przyrody zaczynam się denerwować i tęsknić za domem. Radbym lecieć każdej chwili do Drażdzewy, gdzie żona i dzieci. Wciąż myślę o tym i uciekam na spacer. Spaceruję wśród drzew ścieżkami w kółko i znów myślę. Jest nad czym.

¹⁵ Ppłk. Florian Piotr Gryl [1892-1974] – w czasie kampanii wrześniowej d-ca 29 Pułku Strzelców Kaniowskich.

Wprawdzie już u ludzi po świętach, ale tam w Drążdzewie jest dziś trzecie święto. Jest odpust. Co roku dzisiejszego dnia bywało wesoło. Ludzi swoich i z obcych parafii bywało dużo. Po odpuszczeniu bywała zabawa taneczna, strażacka do rana. Do nas przyjeżdżali goście. A dziś? Czy byli z Rogowa, Szczeglina i p. Krzesiński z Raków? Może. Powinni mię zawiadomić listownie. Wiedziałbym, jak spędzono trzecie święto w Drążdzewie. Na ten temat rozmawiałem z kol. Kuśmierczykiem i Świerczem, z którymi długo łąziłem. Główną rozmową naszą było to, kiedy wrócimy do domu. Osobiście liczę na czerwcę i do wolnej Polski. Od jutra biorę się znów za naukę języka niemieckiego. Święta skończone.

29 marca 1940 rok. Sny wczorajsze:
a) Widziałem we śnie żonę. Była w ciąży,
b) Byłem w wojsku polskim przed bitwą. Były dwa pułki: jeden umundurowany w zwykłe, zielone, polskie mundury, a drugi w niebieskie, podobne do niemieckich. Ci drudzy byli bez płaszczy. Nagle liczba wojska zmalała. Pozostała reszta ze mną natknęła się na duże stado dzików. Cofnąłem się do stodoły, na drągi. Za mną wpadł wielki dzik i włożył po drabinie. Z góry uderzyłem go drągiem w plecy i spadł na ziemię. Uciekł. Przebudziłem się. Był dzień.

30 marca 1940 r. Sen: Śniło mi się, że ożeniłem się drugi raz z Myślakówną Sabiną czy Józją. Po weselu bardzo żałowałem tego. Wszak żonę swoją jeszcze miałem. Po weselu nie chciałem spać ani razu z młodą, by w ten sposób mieć powód do natychmiastowego rozvodu, wierząc, że ślub można unieważnić, skoro nie było ślubu naturalnego. Więc mimo namowy ze strony gości weselnych, nie spałem z młodą. Tak mi było żal tego kroku, że ze zmartwienia przebudziłem się. Ucieszyłem się, że to tylko sen. Z tego widać jak bardzo kocham swoją żonę Gieniutkę. [...]

Kreuzburg, dnia 3 kwietnia 1940 r. Już kwiecień. Wiosna w pełni. Muchy i pszczoły latają. Ptaki wróciły i śpiewają na drzewach. Dni lecą szybko. Wypadki na świecie stale zmieniają się. Gazety niemieckie ciągle podają nowe zwycięstwa na morzu i w powietrzu nad Anglią. Są ciągle wymyślania na państwa walczące, jak również na państwa neutralne: Amerykę. Wszystkich winują. Żli są, że Ameryka sprzedaje koalicji samoloty. Rosja ogłosiła neutralność. Włosi jeszcze nie wypowiedzieli się. W tych dniach podobno mają ostatecznie się wypowiedzieć na radzie faszystowskiej. Widać, że coś zaczyna się. Będzie bitwa rozstrzygająca. Potwierdzają to koledzy dopiero co przybyli z Katowic. Dziś byli złapani o godz. 9 rano z cywila lub zabrani z więzienia i przywiezieni do Kluczborga. Oni stwierdzili, że ludność nie tylko polska, ale i niemiecka mają dość Niemców, którzy w tak krótkim czasie swoim zachowaniem się i postępkami zostali znieawidzeni. Ci, co byli przed Nowym Rokiem jeszcze za Niemcami, dziś żalują za Polską. Dawniej mieli wszystkiego pod dostatkiem, dziś bieda, głód. Niemcy wszystko niszczą, zabierają i ciągle kwestują. Nawet z ludnością niemiecką obchodzą się źle. Wszyscy myślą i tęsknią za Polską. Polacy są podobno zorganizowani. Jedni drugich wspierają materialnie, nawet rodowici Niemcy

pomagają naszym w skrytości. Duch w Polsce dobry. Wszyscy przekonani, że będzie dobrze i jeszcze w tym roku.

4 kwiecień 1940 r. Dziś dostałem 6-tą paczkę ze świąt. Wysłana była 29 marca: jajka pisanki pogniecione, kiełbasa, smalec, cukier, 2 medaliki, 3 fotografie, baleron i placek. Dobra paczka. [...]

7 kwietnia 1940 r. Dziś była druga rewia. Był chór, deklamacja, kawały. Przygrywano na organce i harmonii. Wesoło spędziliśmy godzinę.

8 kwietnia 1940 r. Dziś widziałem jak szpaki i inne ptaszki nosiły do klatki różne materiały na gniazdko. Między innymi mały ptaszek, siwy na plecach, boki czerwone, dziób długi, nosił nawet tutki od papierosów. On lubi łązić po pniu drzewa w kółko. Dziś wysłali do żony 4 Mk 80 fenigów.

Kreuzburg, 11 kwietnia 1940 r. Dni bywają chłodne. W nocy przymrozki. Mimo to drzewa zaczynają pękać. Trawka wyrasta spod ziemi. Tęsknię za wolnością. Wczoraj otrzymałem list. Wszystko jest dobrze, tylko żona i dzieci tęsknią za mną. Grusze, czereśnie i częściowo jabłonie w sadzie i szkółce wymarły. Spadło 7 rojów pszczoł wskutek mrozów. Nareszcie wczoraj dowiedzieliśmy się, że Niemcy uderzyły na Danię i Norwegię. Dania już zajęta, mimo sprzeciwu rządu duńskiego. Norwegia jest zajmowana. Mówią nam to Niemcy i ich gazety. Z tego widać, że są już poważniejsze walki między Anglią i Niemcami. Niemcy chwalą się dziś wielkimi zwycięstwami nad marynarką angielską. Co jest prawdą, zobaczymy. Widać jedno: Niemcy są napastnikami na półwyspę skandynawską, jak i na Polskę. Jednak twierdzą w gazetach, że to Anglicy gwałcą nietykalność Danii i Norwegii¹¹⁶. Dla nas uważam to jest ważne, że już wre walka. Przed godziną do naszej sali do jednego z kolegów strzelił wartownik przez okno zamknięte. Kula trafiła oba łufciki i utkwiała w sufit, przecinając drut elektryczny, przewodnik. Strzelił niesłusznie, bo okno było zamknięte. Wypadek ten jest już czwarty z kolei. Strzelają do niewinnych kolegów, nawet w łagrze. Może będą tego niedługo żałować? Dziś Niemcy wysłali żonie 62 Mk 60 fenig. [...]

Kreuzburg, 15 kwietnia 1940 r. Minęło pół kwietnia, a my dalej w łagrze. U nas się nic nie zmieniło w obozie. Natomiast w świecie dużo. Widać to w gazetach niemieckich. Niemcy rzucili się na Danię i Norwegię. Pierwszą opanowali całkowicie. Natomiast w Norwegii trwają walki. Anglicy wspierają skutecznie Norwegów. Biją się. Widać, że wojna na lądzie, morzu i w powietrzu jest krwawa i zażarta. Straty są duże. Tylko czy prawdziwe? Dla nas najważniejsze to, że biją się. Prędzej będzie koniec. Dziś otrzymałem list od żony i córki Danusi. Donoszą, że Halinka chora, futro dostali i drobiazgi. Żona mię zawiadamia, że wszystkich kolegów z gminy i powiatu zabrali. Dokąd? Nie wiedzą. Sądzę, że nie do robót, a do obozu koncentracyjnego. Widać Niemcom pali się grunt pod nogami, kiedy nauczycielstwo,

księży i młodzież wywożą do Niemiec. Spodziewam się, że wszystko wróci w zdrowiu do domów, a oni zapłatę otrzymają. Czekamy, co będzie dalej? [...]

21 kwietnia 1940 r. Sen: Byłem z trzema kolegami w Szczeglinie w domu starym. Najpierw byłem w stodole i za stodołą za swoją potrzebą. Przypomniał mi się zły pies u sąsiada Bartczaka. Wziąłem na niego kamieni i miałem zamiar drząźnić się z nim, by gdy ten wyleci za stodołę, zbić go kamieniami. Pies odzywał się w podwórzu w budzie, ale do nas nie wyleciał. Słyszałem tylko głuche stękanie krowy czy konia w oborze. Potem znalazłem się w starej izbie małej. Z żoną najpierw przywitał się kol. Krzesiński, całując żonę w usta, ku mojemu zgorszeniu. Przywitałem żonę, która zaraz usiadła na ławeczce przy piecu. Poszedłem dalej i zacząłem całować Danusię, śpiącą na stole w ubraniu. Po niej znalazłem na łóżku śpiącą Halinkę też w ubraniu. Całowałem ją, aż się przebudziła. W mieszkaniu była jeszcze Maryśka, Józiek i Mama, siedząca na ławie pod piecem. We wsi byli Niemcy. Nalegałem, aby natychmiast zgaszono światło, bo mogą wejść, gdy będzie się świecić. Obecni i mama odradzali zgaszenia światła. Wyszedłem do sieni i na dwór. Zauważyłem, jak drogą przejeżdżały samochody ciężarowe niby wielkie pociągi z rannymi na wschód. Wypadłem na drogę. Szło wojsko niemieckie. Złapałem kilka kamieni i zacząłem pędzić przez wieś. Oni mnie nie widzieli. Przystanąłem w błocie boso na środku drogi i czekałem aż Niemcy przejdą. Tu obudziłem się.

Rozmyślając nad snem, za chwilę wszedł hauptman niemiecki na salę. Jeden z kolegów, komendant sali Adamkiewicz zapalił elektryczność. Kapitan zdawał się być pod dobrą datą, toć to rocznica urodzin Hitlera. Po zamianie kilku słów hauptman wyszedł. Światło zgasło. Koledzy prawie wszyscy spali nadal. Wstałem, wziąłem zegarek, poszedłem do okna i zobaczyłem, że była godzina pierwsza po północy. Położywszy się spać, rozmyślałem długo nad snem i kilka razy go sobie w myśli powtórzyłem. Był wyraźny. Osoby wszystkie, za wyjątkiem Czarka, widziałem jak żywe. Musi to być sen bardzo ważny, gdyż była w nim i moja matka. Widać coś ważnego stało się w świecie. Osobiście uważam, że sen ten dla nas dobry, bo Matka uspokajała nas, mówiąc, że nam nic nie grozi. W przyszłości okaże się co taki sen znaczy.

Godzina 3 po południu. Dziś cudna wiosna! Dzień słoneczny, cichy, ciepły, miły! Wokół w ogrodzie zielono. Drzewa pękają patrzący, olchy, wiąz i brzozy kwitną. Są kwiatki w ogrodzie. Pszczoły z uciechą zbierają pyłek z wiązów. Brząk w górze. Gdy patrzę na nie, myślę o swoich w Drążdzewie. One też pewno dziś w robocie. Może i u nas już ciepło. Miło jest w naszym ogrodzie-parku. Dusza jednak rwie się do kraju. Rozmawiam z kolegami, kiedy będziem w domu. Są różne zdania. Przeważają glosy, że dopiero za kilka lat. Osobiście jestem innego zdania. Coś stanie się, że wojna będzie krwawa, ale krótka. Moje takie przecucie poparte dzisiejszym snem.

Dziś była znów rewia nr 4 na dworze. Salę Niemcy nam zamknęli, tak że nawet Mszy Świętej nie było. Rewia była wspaniała, jak

¹¹⁶ Mowa o przygotowywanej interwencji brytyjsko-francuskiego korpusu ekspedycyjnego, który ostatecznie wziął udział w walkach w Norwegii w kwietniu i maju 1940 r.

poprzednie. Człowiek był weselszy na duchu. Piękny letni prawie dzionek 20 kwietnia minął mi jak wszystkie dni powszednie. Czegoś tylko oczekuję ze świata, że coś zmieni się na lepsze. Oby jak najprędzej. 20 kwietnia 1940 r. godz. 9 wieczorem.

25 kwietnia 1940 r. Sen: Ojciec jechał gdzieś furą, na której była kołdra, pościel i moje futro. Śniła mi się Danusia i żona. Żona była w łóżku i używała mnie w wiadomej sprawie. W tym miejscu przebudziłem się. [...]

5 maja 1940 r. (wieczór godz. 8.30) Czas leci szybko. Wiosna w pełni. Drzewa kwitną. W ostatnich dniach po niewielkich deszczach ochłodziło się. W naszym życiu obozowym nic się nie zmieniło. Trzeci Maj przeszedł jak zwykły szary dzień. Wprawdzie orkiestra nasza grała w parku przed południem pieśni wojskowe polskie, ale po południu kapitan niemiecki rozpędził próbę chóru ze słowami „zachciało się wam 3-go Maja!”¹⁷. Do pomocy miał ze dwie drużyny wartowników z bagnietami. Jak tam było w kraju!? Smutne czasy! Cała nadzieja, że to się zmieni niedługo. Niemieckie gazety wciąż chwalą się o swoich zwycięstwach w Norwegii. O własnych stratach nie piszą. Nie piszą też [w] nich jakoś o Rosji. Chyba się coś popsulo między nimi. Włochów chwala, ale ci jakoś nie przystępują po ich stronie. Widocznie i koalicja stara się o względy Włoch. Gdzie pójdą, zobaczymy. Nadszedł czas odpowiedni na walkę. Ciepło. Przez te 6 miesięcy chyba zajdą duże zmiany. Może wrócimy do domów i do wolnej Polski. Daj Boże! Wszak oto proszą Boga 35 milionów Polaków. [...]

11 maja 1940 r. Dziś rano po apelu na podwórku jak błyskawica obiegła wieść po obozie, że Niemcy napadli na Holandię i Belgię¹¹⁷. W gazecie na razie było, że wysłali do powyższych państw memorandum. Podobno biją się. Zobaczymy co będzie dalej. Sen: Byłem w Drażdżewie. Był niby pociąg. Uczepiłem się i jechałem z Górki przez błonie, groblę i rzekę. Trochę się zmoczyłem w Orzycu. Nadziei nie straciłem, choć mógł mnie pociąg wepchnąć pod wodę. Naraz zobaczyłem nad sobą łódkę i uratowałem się. Wszystko fruwało w powietrzu.

Zielone Świątki, 13 maja 1940 r. Zimno. Nawet śnieg padał. Jak co roku ogrodnicy pokazują, co umieją. W takie świątki i w niewoli nie może być wesoło. Każdy zamyślony, zwłaszcza, że od 10 maja, to znaczy trzeci dzień, trwa ofensywa na zachodzie, na Belgię i Holandię. Kanclerz Hitler wydał odezwę do wojska, aby szły na przód i walczyły o życie narodu, by zabezpieczyć Niemcom pokój na 1000 lat. Błogosławi wojsku cały naród. Wojsko poszło do ataku na całym froncie, w liczbie 150 dywizji podobno. Ma to być ważna bitwa. Co ona nam przyniesie? Trupów i rannych moc. Kto zwycięży, zobaczymy. Sądzę, że Niemcy osiągną na pewnych odcinkach sukcesy. Jednak całość ataku na pewno załame się. Natrafia bowiem na forty i linie obronne w Belgii, Holandii i Francji. Jeśli zaś Niemcy raz się załamią, upadną na duchu i wojnę przegrają.

¹¹⁷ W dniu 10 maja 1940 r. wojska niemieckie zaatakowały neutralne Belgię, Holandię i Luksemburg.

Koniec wojny przewiduję na ten rok jesienią. Chyba, że Włosi pomogą Niemcom, w co wątpię mocno, to wojna przedłuży się, bo wtedy i inne państwa staną po stronie koalicji np. Ameryka. Atak trwa. Niemcy w gazetach 11 i 12 maja chwalą się, że zbombardowali 72 lotniska i 300-400 samolotów. Koalicja zbombardowała im Fryburg. Walka trwa. A co będzie, zobaczymy. Co słyhać tam w domu u żony i dzieci. Na pewno wyglądają przyjazdu tatusia. Tymczasem ja stąd sam wyjść nie mogę, a do zwolnienia jeszcze daleko, bo zależny jest od końca i wyniku wojny. Trzeba czekać.

Dla rozrywki była dziś o godz. 5 po południu rewia Nr 4: chór, muzyka, deklamacja. Sen: Byłem niby w Krasnosielcu. Widziałem wojsko polskie. Kawaleria na czarnych koniach, fura z sianem dla wojska i samolot ze znakiem: trzy kreski czarne równoległe, który zsiadł się na polach pod Krasnosielcem. Co ten sen znaczy? [...]

22 maja 1940 r. Wojna na zachodzie w pełni. Niemiecka ofensywa zajęła Holandię, większą część Belgii i wdarła się do Francji z kierunkiem na Paryż, od którego są już Niemcy kilkadziesiąt kilometrów. W obozie przynębienie. Z gazet wiemy, że Niemcy strasznie biją Francuzów samolotami, artylerią i czołgami. Przelamali linię Mażinota na 100 km i zdobywają twierdze. Popłoch we Francji. Wejgand¹¹⁸ odwołany z południa na szefa armii do Paryża. Jakie straty zadaje koalicja Niemcom, nie wiemy. Nie podają. Domyślamy się tylko, że walka musi być bardzo krwawa. Dużo kolegów wątpi w obronę koalicji. Osobiście wierzę, że koalicja skutecznie obroni się i wojnę wygra. Jestem spokojny i wcale się nie denerwuję. Mój sen dzisiejszy. 1) Na Kreuzburg nasz naleciały samoloty czarne. Była ich moc. Jak stado kruków jesienią. Warkot potężny! Na Kreuzburg zrzuciły kilka bomb i poleciały pewnie na Berlin. 2) Byłem w Drażdżewie. Szosą na Krasnosielec jechało samochodami moc Niemców. Niby uciekali. I byli nawet bez broni. Szosa była zjeżdżona mocno. 3) Marysia Zegówna z Raków wieszowała mi na imieniny. Tłumaczyłem jej, że moje imieniny są dopiero 27 czerwca. Podziękowałem jej i kawalek odprowadziłem. Co te sny znaczą? [...]

5 czerwca 1940 r. Byłem na polu niby w Drażdżewie. Widziałem jak Niemiec wioził samolot zepsuty na wozie, w parę koni. Raptem konie się zbiegały, samolot spadł. Pędzące konie łapał jakiś człowiek. Nie mógł. Dopiero, gdy nadleciały na mnie złapałem je za lejce i osadziłem na miejscu. Konie były kasztany, stara klacz z młodą. Konie ładne. Namyslałem się, gdzie je zaprowadzić jako zdobycz wojenną. W tym momencie przebudziłem się. Sen: Byłem nad rzeką. Była

¹¹⁸ Maxime Weygand (1867-1965) - francuski generał i prawnik polityk. W 1939 r. powołany do armii po przejściu w stan spoczynku, powołany na dowódcę Armii „Lewant”. 19 maja 1940 r. mianowany Naczelnym Wodzem Sił Zbrojnych Francji i sił alianckich we Francji. Współodpowiedzialny za klęskę i kapitulację Francji. W okresie czerwiec - wrzesień 1940 minister obrony.

ze mną niby moja Danka i pan Chrzanowski. Ten wsiadł do łódki z Danką i grając niby na organce, odjechali od brzegu. Wołałem na nich, aby się wrócili, ale p. Chrzanowski nie słuchał. Odjechał na środek rzeki i łódź zatonała. Widziałem jak Danka wypłynęła na wierzch wody i zaczęła płynąć do brzegu, a p. Chrzanowski za nią. Ja przeraźliwie krzyknąłem i tu obudziłem się. Co te sny znaczą? [...]

Murnau¹¹⁹ 17 czerwca 1940 r. Jestem znów w nowym obozie od 15 czerwca od rana. Z Kreuzburga wyjechaliśmy 13 czerwca po południu, a tu przybyliśmy 15 czerwca rano. Jechaliśmy bez przesiadania. Po wyjściu z obozu zobaczyłem znów miasto i pola: po 5 miesiącach i 5 dniach. Pola ze zbożem wydały mi się cudowne! Wszak przybyliśmy w zimie i leżały śniegi, a teraz już żyto ma kłosa. Człowiek patrzył, jakby się narodził na świat. Po drodze widziałem obsiane wszystkie pola. Drzewa w sadach przeżawiane stały nagie, bo pomrożone. Niektóre się odnawiały i miały drobne listeczki. Może i moje odżyły? Od Drezn drzewa już nie pomarzęły, aż do podnóża Alp, do Murnau. Okolice piękne, bogate, pełno fabryk. Jest spokój, nigdzie śladu wojny, wre praca. Często spotykaliśmy na polach polskich żołnierzy pracujących i polskie dziewczęta. Biedni! Tu olbrzymi obóz. Jest nas ponad 4 tys. oficerów. W tym 8 generałów¹²⁰. Dookoła góry, na których

¹¹⁹ Oflag VII A Murnau - niemiecki obóz jeniecki dla oficerów polskich podczas II wojny światowej, ulokowany w Bawarii w mieście Murnau am Staffelsee. Obóz miał wymiary około 200x200 metrów i składał się z kilku baraków, garaży, placu apelowego, wartowni i budek strażniczych. Po kampanii wrzesniowej przebywało w nim około 1000 jeńców polskich. W szczytowym okresie działalności obozu, po upadku powstania warszawskiego w obozie więziono ponad 5000 oficerów wszystkich szczebli, głównie polskich. 22 marca 1945 r. przybyło jeszcze 381 jeńców ewakuowanych z Oflagu IIC Woldenberg. Szczegółowe informacje na temat oflagu w Murnau oraz losów przebywających tam jeńców: Danuta Kisielewicz Oflag VILA Murnau, Opole 1990 a także: Karl Hartmann, Theater hinter Stacheldraht: polnisches Kriegsgefangenen-theater in Murnau 1939-1945, Marburg/Lahn [Herder Institut] 1998. Opublikowano również pamiętniki i wspomnienia jeńców m.in.: Wojciech Rawski, Wspomnienia z wojny wrzesniowej 1939 i obozu oficerskiego w Murnau, Tarnobrzeg 1998; Tadeusz Kazimierz Gruszka, W Murnau „Hove: Caldra House, 1994; Stefan Majchrowski, Za drutami Murnau, Warszawa 1970.

¹²⁰ Więźniami oflagu w Murnau byli w przeciagu ponad pięćciu lal generałowie dywizji: Władysław Bortnowski, Tadeusz Kutrzeba, Tadeusz Piskor, Juliusz Rómmel, generałowie brygady: Roman Abraham, Franciszek Alter, Władysław Bończa-Uzdowski, Leopold Cehak, Jan Chmurowicz, Walerian Czuma, Franciszek Dindorf-Ankowicz, Juliusz Drapella, Janusz Gąsiorowski, Edmund Knoll-Kownacki, Wincenty Kowalski, Jan Kraszewski, Józef

widać leżą jeszcze śniegi. Są piękne! Deszcze padają. Mieszkam w garażu, gdzie mieszczą się 2 kompanie. Około 400 ludzi. Ciasno. Łóżka są trzypiętrowe. Żadnej wygody. Szkoda za Kreuzburg. Było nas mało! Traktowali nas dobrze. Dziś zapisują do Rosji. Namyślam się, co robić. 14 czerwca wzięty Paryż.

18 czerwca 1940 r. Sen: 1) Byłem w Drążdzewie w szkole z najmłodszymi dziećmi. Pauza. Spotkałem nowego księdza proboszcza, przywitałem się z nim i mieliśmy się klócić, ale nie doszło. 2) Henia Gralakówna. 3) Niemcy.... [...]

28 czerwca: Byłem niby w Rogowie. Śnili mi się teściue. Dzielili niby z geometrą ziemię dla nas z Genią. Z teściową się całowałem i chyba z Krysią. Byłem też w obcej okolicy i chciałem wracać do domu.

29 czerwca, Piotra i Pawła: 1) Byłem na wsi. Widziałem dwa młode ptaszki szare. Jeden miał czerwoną główkę, a drugi jasnoniebieską. Starszych rodziców nie było. Ptaszki dały się złapać mi. Puściłem je po obejrzeniu. 2) Widziałem jadących mężczyzn na rowerach szosą od Krasnosielca na Drążdzewo w boru. Jeden był ojcem mojego ucznia.

Niemcy zawarli rozejm z Francją, która skapitulowała sromotnie i okryła się hańbą¹²¹. W stosunku do Francji my Polacy wyszliśmy jeszcze z chwałą z tej wojny. Anglicy biją nadal Niemców przeważnie samolotami. Polskie wojska wycofały się do Anglii i część do Szwajcarii, gdzie zostali internowani. Pogłoski chodzą o zwolnieniu inwalidów i rezerwy. [...]

Wtorek, 30 lipca 1940 r. Śnił mi się kanclerz Hitler. Był w naszym domu w Szczeglinie. Był mój ojciec, matka, Czarek, jakiś dygnitarz polski i on. Miał mapę w rękę, pokazywał nam na mapie dokąd będzie sięgać Polska, do której dołączył część Niemiec południowych. Ja pragnąłem tylko, aby nasze ziemie wróciły, a obcych nie chcemy. Hitler po załatwieniu sprawy położył się spać na łóżku obok Czarka. Nakryłem ich płaszczem. Odjechał w dobrej przyjaźni z nami. Co to za sen? 1 sierpnia 1940 r. otrzymałem list i paczkę z 2 fotografiami żony. [...]

6 sierpnia. Otrzymałem paczkę z jabłkami, ogórkami i pomidorami. Kwieciński, 5 Mk., Miecznikowski 3 Mk, Nowicki 1 Mk, Żabiński 3 Mk, Tkaczyk 3 Mk, Machciński 1 Mk, Motyl 5 Mk, Wieczorek 1 Mk, Kwasiborski 1 Mk, Open 2 Mk. [...]

Murnau dnia 13 sierpnia 1940 rok o godzinie 4 pp nadałem paczkę zawierającą co następuje: 2 lalki za 25 mk

1 zegarek złoty firmy Chronometr Nr

Kwaciszewski, Stanisław Małachowski, Czesław Młot-Fijałkowski, Bernard Mond, Zygmunt Piaseczki, Waclaw Piekarski, Zygmunt Podhorski, Emil Przedzrymirski-Krukowicz, Bronisław Przyjałkowski, Zdzisław Przyjałkowski, Jan Jagmin-Sadowski, Antoni Szyling, Stanisław Taczak, Wiktor Thommée, Juliusz Zulauf oraz kontradmirał Józef Unrug.

¹²¹ 22 czerwca 1940 roku, o godzinie 18:50 generał Wilhelm Keitel reprezentujący stronę niemiecką i gen. Charles Huntziger w imieniu Francji podpisali w Compiègne układ o separatystycznym zawieszeniu broni.

611072

ołówek kolorowy

mydełka

1 masielniczka

manierka do miodu

torebki-woreczki [...]

Dziś, to jest 30 sierpnia otrzymałem paczkę z wędliną, pomidorami, 2 serami i 5 jabłkami. Dziś akurat mija rok jak po południu o godz. 2-giej wyruszyłem do wojska przez Krasnosielec, Maków, Pułtusk. Byłem wtedy dobrej myśli i wesół. Wierzyłem w zwycięstwo Polski, jeśli będzie wojna. Tymczasem w niecały miesiąc wrzesień Niemcy i bolszewicy opanowali Polskę, a my po kapitulacji Modlina i Warszawy jesteśmy od 11 miesięcy w niewoli. Dziś spodziewamy się, że Anglia i Polska jednak zmagą Niemców i Polska powstanie w granicach dawniejszych. Wierzymy, bo Anglicy z Polakami bombardują już od kilku dni Berlin. Może jeszcze z rok posiedzimy tu, ale wrócimy do wolnej Polski. Wczoraj w obozie Niemcy zastrzelili kol. ppor. zaw. Kordziwskiego Bolesława, który chciał uciekać przez druty. Co ten rok nam przyniesie? Jeśli da Bóg zdrowie, zobaczymy. [...]

12 wrzesień 1940 r. Sen. Śnił mi się Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski. Byliśmy w Szczeglinie u rodziców. Był przebrany niby za kapitana czy naczelnika straży pożarnej o 3 gwiazdkach. Poznałem go. Pokazałem mu książkę z jego wyjątkami pisma. Poznał ją, przyznał się, że jest jej autorem, tylko rozdziały książki powinny być niektóre przestawione. Był zadowolony z mojej gościny. Zalił się, że teraz w tych trudnych czasach nawet rodzina odwraca się do niego, co jest mu bardzo przykro. Po gościnie oświadczył mi, że będzie pamiętał moją życzliwość i przywiązanie, i że odplaci się mi dobrem. Prosił, żeby mu wskazać drogę do Woli do kuzynów Dębińskich. Pokazałem mu drogę prosto przez łąki. Poszedł. Ja się przebudziłem. Wyszedłem na dwór i do ustępu. Warta czuwała. Lampy świeciły. Cicho. Wróciwszy do łóżka zasnąłem. [...]

Murnau, 7 października 1940 r. Sen: Byłem w Gąsewie. U Wielechowskich zauważyłem ładne owoce. Nie tylko nie wymarzył drzewa, ale miały ładne gruszki i jabłka. Przyglądałem się gruszkom razem z właścicielem. Miałem zamiar zamówić te późne gruszki da siebie. Wtem uwagę naszą pochłonął samolot, który leciał z zachodu na wschód. Raptem samolot fiknął koziółka na wznak i zaczął spadać. Zaś ze wschodu razem z chmurą niby z zasłoną dymną ukazała się cała masa samolotów niby rosyjskich i popędziły na zachód. Myśmy się schowali za dom u Koterwasów. Przybiegł Niemiec z rewolwerem i coś bełkotał do mnie. Odpowiedziałem mu, że nie rozumiem i przebudziłem się. [...]

Murnau, 10 października 1940 r. „Modlitwa dla przebywających na obczyźnie”. O Boże, musiałem opuścić dom i wszystkich tych, do których serce moje jest najbardziej przywiązane. W niepokoju o los i zdrowie moich drogich! zwracam się do Ciebie, o Panie, z prośbą. Weźże ich, o Boże, w ojcowską opiekę; swoją. Broń nasz dom i wszystkich w nim zostających od wszelkiego nieszczęścia. Zachowaj te drogie sercu memu osoby od wszystkiego złego na duszy i na

ciele. Ratuj, gdy pomoc własna niedostateczna im będzie. W dusze zaś moją wlej, o Panie, uspokojenie. Naucz mnie przynajmniej cicho znosić tęsknotę za nimi i obywać się bez radości i pociech, jakich bym przy nich zażywał. Niech ten rozdział hartuje duszę moją, aby mężnie znosiła wszystkie ciężary życia w tym oddaleniu. Utrzymuj mnie na tej obczyźnie w miłości Twojej, zachowaj od zepsucia i pokus grożących mi tak bardzo. Strzeż mnie od błędów herezji i bałamuctwa przewrotu. Niech Opatrzność Twoja święta ma nas wszystkich w swojej opiece, wtenczas nie będzie się lękało ani strachało serce moje! Pod Twoją Opiekę nas oddaję, bo „kto się w opiekę poda Panu Swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu, śmieje rzecz może, mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga”. W tej ufności oczekuję tej błogiej chwili, w której wraz z nimi w zdrowiu i radości zobaczę, aby razem z nimi Ciebie wielbić i miłować. Amen. [...]

25 listopada 1940 r. Sen: Byłem na starym podwórku w Szczeglinie obok szopy. Kura wodząca kurczaki zrobiła krzyk. Postraszył ją jakiś robak. Podeszedłem do drzewa i zauważyłem piórka z kurczaka. Domyśliłem się, że robak wpadł pod gałęzie leżące obok szopy. Tego zdania była i moja mama, która na ten czas znalazła się w ogródku, obok w szczytce starego domu. Wziąłem gałąź i zacząłem straszyć robaka. Ten wypadł spod drzewa i uciekał przez ścianki za stodołę, w pole, a ja za nim. W tym biegu przebudziłem się, a robaka nie było.

4 grudnia 1940 r. Śniła mi się babka śp. Rozalia Chaubowicz z Sypniewa. Byłem niby w Sypniewie. Był staw przy rzece. Po stawie pływały deski i sztachetki. Babka brodziła i niby pływała na balu grubym po stawie i ratowała deski. Zaczęłem pomagać i zamoczyłem się. Część desek popłynęła na rzekę, gdzie ludzie łowili je, wyciągając spod lodu. Po wyjściu z wody uderzyłem dziewczynę niby Jurgałów, która uciekła do domu z krzykiem, b) Byłem niby w Szczeglinie w drodze pod Klikami. Od strony Pszczołów jechałem wozem drabiniastym. Halinka wskoczyła do mnie na wóz. Genia była przed Pszczołami i zaczął ją jakiś mężczyzna cywilny. Widziałem to sam. Przebudziłem się. c) Gonila mnie pszczoła uprzykrzona

8 grudnia 1940 r. Dziś wysłałem kartę z życzeniami Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku do żony, teściów, Józka i Krzesińskiego. Dziś byłem u Komunii świętej i generalnej absolucji.

11 grudnia 1940 r. Dziś po południu nadałem paczkę z lalką i 3 torebkami dla Dziuni Krzesińskiej. Lalka kosztuje 22 Mk. [...]

Wielkanoc, 13 kwietnia 1941 r. Dziś o godzinie 7.30 rano mieliśmy Mszę Świętą w hali oszklonej. Mrozu nie było. Ale śniegi leżą dookoła na pobliskich górach. Wczoraj śniła mi się mama w starym domu, a dziś siostra Maryśka. Czułem się dziś nietęgo. We dnie spałem, spacerowałem i oglądałem fotografie dzieci i żony. Myślałem, co oni tam robią w Drążdzewie? Niemcy 6 kwietnia akurat w Palmową niedzielę ruszyli na Jugosławię i Grecję, do świąt zajęli podobno

już Saloniki¹²². Co będzie? Czy zdobędą Bałkany? Jeśli tak, to kiedy i gdzie i kto ich pokona? Co na to powie Rosja i Turcja? W Afryce odbierają Anglii Cyrenejkę, Bengazi i Dernę¹²³ zajęli. Najbliższy czas pokaże zmiany na Bałkanie i Afryce. Kiedy Ameryka wystąpi zbrojnie? Oby nie za późno!

15 kwietnia 1941 r. Kalendarzyk bezpłodności: „Dni płodne są u kobiet: od 12 do 19 dnia włącznie po miesiączce. Pozostałe dni są bezpłodne”. Dziś odpust w Drażdżewie. Jak on wygląda? Kto u nas jest na gościach? [...]

Dnia 23 kwietnia 1941 r. poszedłem na izbę chorych, pokój nr 73 na ucho lewe. Chodziłem do opatrunku od stycznia do dziś i nie chce się zagoić.

Zobaczę, co na izbie chorych będzie? Badana krew 6.500, a mocz 1012, waży 61 kg bez ubrania, wzrost 163 cm, temp. 36,6. [...]

Dnia 23 kwietnia 1941 r. poszedłem na izbę chorych z uchem. Wyszedłem dnia 28 kwietnia (5 dni). Przez ten czas do ucha nikt nie zajrzał. Byłem więc bez opatrunku. Raz tylko dr Majewski wlał mi do ucha wody utlenionej i dał proszki „pronto sil”. Badali mi krew, mocz i mierzyłem temperaturę. Wyniki krwi 6.500, mocz 1012, temp. 36,6, waga 61 kg. Wzrost 163 cm. Po wyjściu z izby chorych dostałem zwolnienie z apelu na 4 dni. Dziś po południu pójdę znów do specjalisty laryngologa majora z uchem. Ono mnie nie boli. Są jednak słabe wycieki przez styczeń, luty, marzec i kwiecień. Czasami wypłynęły kropelki krwi. Dlatego to ucho mię niepokoi i radbym je wyleczyć jak najszybciej. [...]

Dnia 24 maja 1941 r. po apelu powiesił się na strychu bloku E jakiś oficer polski, nieznan. Ukrywał się przed Niemcami. Powstał tam pożar i gasząc, odkryli tam wisielca. Pochowano go bez honorów. [...]

Dnia 22 czerwca 1941 r. Około południa rozeszła się wieść po obozie, że rano wybuchła wojna między Rosją a Niemcami. Rzekomo

bolszewicy napadli na Niemców. Job ten krążył cały dzień.

Dnia 23 czerwca 1941 r. Od rana wieść o wojnie Rosji z Niemcami powtarza się. Mówią to sami Niemcy. W obozie radość nie do opisania. Koledzy klepią się nawzajem, ściskają sobie ręce, gratulują, nawet gadzuszka potwierdziły działania na wschodzie, entuzjazm doszedł do punktu kulminacyjnego. Sam z radości, będąc tylko w majtkach kąpielowych i boso, machnąłem kilka podskoków w górę. Poczem wysłuchaliśmy przemówienia kanclerza Hitlera z gazety. Okazuje się, że Rosja jest w ścisłym kontakcie z Anglią. Pierwsze walki w niedzielę odbyły się uderzeniem na lądzie i w powietrzu. Zobaczymy jak się potoczy wojna dalej. Jedno jest pewne. Niemcy wojnę przegrają. Koniec musi być nawet w tym roku. Ucierpi co prawda lud polski, bo działania znów są na terenie Polski. Jednak te ofiary są zawsze konieczne dla wolności i niepodległości ukochanej Ojczyzny.

Dnia 22 czerwca 1941 r. Sen: „Byłem wolny. Znajdowałem się niby na terenie Rosji z Czarkiem, któremu opowiadałem o znaczeniu gospodarczym Syberii. Przed nami płynął strumyk uregulowany. Wskoczyłem do niego i by pokazać Czarusiowi, jak to się jedzie na powierzchni wody, siedząc. Obejrzałem się na Czarka, a ten już wskoczył za mną i jechał na fali jeszcze szybciej. Wyrzedzając mnie, nie zdążyłem go chwycić. Wybiegłem wtedy na ląd i starałem się mu zalecieć. Jednak prąd wody był szybszy. Wtem zauważyłem zakręt rzeki w prawo na zachód, w której stała po pas niby Helena Dziubińska. Zawołałem na nią, aby łapała Czarka. No i złapała go. Wtem obok Czarka znalazła się uratowana i Halinka. Co taki sen znaczy dziś?

Dnia 26 czerwca 1941 r. godz. 5 po południu. Przed chwilą spałem na wózku na dworze. Śniło mi się, że byłem w Szczeglinie na polu za Łąckami. Była niby wojna. Cofałem się przed nieprzyjacielem do naszych Łącków, gdzie położyłem się na wznak. Wtem ktoś przeskoczył w poprzek mnie, małą nóżką dotykając lekko mojego brzucha. Otworzyłem oczy i widziałem Halinkę. Obok mnie leżał Czarus z prawej strony. Przyłożyłem swoje usta do jego ucha i dmuchałem w nie. Wskoczyły z ucha kropelki pomarańczowej cieczy. Żał mi go było, że pewnie mu ucho skaleczyłem. On odpowiedział, że go nie boli. Tu przebudziłem się. Co ten sen znaczy? W tak krótkim czasie znów śni się mi Halina z Czarkiem.

Dnia 27 czerwca 1941 r. Sen: Po nieprzespanej nocy z powodu upału i pluśkiew, które tak się rzuciły tej nocy na mnie, że musiałem opuścić łóżko i resztę nocy przespać na ławce, na kocu pod płaszczem, na drzemkę popołudniową wybrałem się z siennikiem na dwór, pod blok. Usnąłem, śniło mi się, że obserwowałem ciekącą wodę tutejszej kanalizacji, która zmywała śmieci. Raptem znalazłem się w Polsce. Narzekałem na bolszewików i płakałem w rozpacz, że tak mordują niewinny naród polski. W płaczu przebudziłem się.

Dziś dnia 27 czerwca 1941 roku kupiłem kamasze wojskowe od kol. Marcela W. za 25

Mk. [...]

Dnia 15 lipca 1941 r. Jestem po kolacji. Jest godzina 5 po południu. Dziś moje urodziny. Dziś w południe skończyłem 41 rok życia. Kawał życia, a tak prędko przeleciało. Czuję się fizycznie i moralnie doskonale. Tym bardziej, że dziś od rana same dobre wiadomości! Pierwsze to, że kol. dr Krapiec Rudolf, dr Chrzanowski i dr Wróblewski zostali zwolnieni do cywila do Łodzi. To było raczej dobre dla nich, osobiście skorzystałem tyle, że dr Krapiec odstąpił mi swoją kartkę obiadową, no i upoważnił mię do odebrania paczek nadesłanych na jego 2 nalepki przez moją żonę. Nie będę potrzebował się z nim dzielić. Miałem zamiar mu odstąpić każdej połowę, jako że on mi udzielał lekcji niemieckiego. Przebrali ich na cywilów i pojechali. Ale to mało ważne. Wielu już tak odjechało, jako proklamowani.

Natomiast gazety niemieckie podają same dobre wieści. Oto one: 1) Prezydent Roosevelt wydał rozkaz wojsku i marynarce, aby strzelali bez ostrzeżenia każdy statek niemiecki i samolot. Oznacza to, że już wojna Ameryki z Niemcami jest. Niemcy muszą wojnę przegrać. Bo Rosji, Anglii i Ameryce nie dadzą rady. 2) Ambasador polski w Moskwie, a bolszewicki przy rządzie polskim w Londynie zaczęli urzędowanie. 3) Pakt Anglii z Rosją¹²⁴. Nie zawrze pokoju żadne państwo oddzielnie z Niemcami. Współdziałanie. Z tego widać, że spodziewana wojna polsko-bolszewicka w przyszłości nas nie czeka. Sprawa Polski jest całkowicie załatwiona pomyślnie dla nas Polaków. Podobno nawet na wschodzie mamy mieć rozszerzone granice po Kamieniec Podolski, Chocim i Mińsk¹²⁵. Bolszewicy mają mieć wynagrodzenie innymi terenami. Jak będzie, zobaczymy. Zawsze coś prawdy w tym jest. Spodziewam się jeszcze w tym roku być w domu. Zaś na pewno przyszłe urodziny wśród żony i dzieci spędzę w Drażdżewie. Co daj mi Boże. Dziś dnia 15 lipca 1941 r. otrzymałem paczkę z 4 lipca na Krapieca. [...]

Murnau, 26 sierpnia 1941 r. Stare kartofle w mundurkach jedliśmy 18 lipca. Nowe kartofle w mundurkach dostaliśmy dopiero dziś dnia 26 sierpnia 1941 roku. Wczoraj było trochę młodych kartofli w zupie, też z łupiną. Przez cały przednówek karmili nas zupami, prawie sama woda. Tylko w niedzielę bywał makaron z mięsem też rzadki.

Dnia 29 sierpnia 1941 r. Wyrwałem górny ząb z lewej strony za 2 Mk 50 fen. ze znieczuleniem. [...]

Dziś dnia 15 września byłem pierwszy raz u lekarza z uchem. Wskutek zimna zaczyna się znów wyciek

Dziś, dnia 15 września otrzymałem paczkę z ciastkami, 1 funt miodu, słoninę, cukier, sucharki. Paczka dobra.

Jednego zastrzelili w drutach w zeszyłym roku, niby pijanego, jednego na korytarzu, 3-go ranili na korytarzu, 1 się powiesił w E bloku, 10 ucieka z G 18 lipca 1941 kanałami podziemnymi od ogrzewania czy wodociągu.

¹²² Włochy zaatakowały Grecję już 28 października 1940 r. Wojska włoskie zostały powstrzymane i odrzucone, a w grudniu oddziały greckie wkroczyły do południowej Albanii. Poparcia Grekom udzielili Brytyjczycy, wysyłając swoje siły ekspedycyjne. Obecność Brytyjczyków w Grecji i niepomyślny rozwój sytuacji politycznej w Jugosławii doprowadził do niemieckiej inwazji na oba te kraje 6 kwietnia 1941 r. Niemcy już 12 kwietnia wkroczyli do Belgradu, do 30 kwietnia opanowali lądową część terytorium Grecji.

¹²³ Kontrofensywę Brytyjczyków przeciw Włochom rozpoczęto już 8 grudnia. Po ciężkich walkach, 11 grudnia odbito Sidi Barrani. Do 15 grudnia Brytyjczycy całkowicie wyparli Włochów z Egiptu i rozpoczęli pościg. Alianci wkroczyli do Cyrenajki, kierując się na Bardię, gdzie umacniali się Włosi oczekując ataku. 3 stycznia rozpoczęto atak na Bardię, miasto opanowano 5 stycznia. Postępy brytyjskich wojsk doprowadziły do zablokowania Tobruku dzień później. Oblężenie trwało od 7 do 22 stycznia, do lutego cała Cyrenajka znalazła się w rękach aliantów. Alianci opanowali ważne porty i forty: Tobruk, Bengazi, Fort Capuzzo, Bardię.

¹²⁴ Układ brytyjsko-radziecki zawarto 12 sierpnia 1941 r.

¹²⁵ Nieprawdziwe informacje związane z zawarciem układu Sikorski-Majski w dniu 30 lipca 1941 r.

Tych złapali po kilku i kilkunastu dniach w kierunku granicy szwajcarskiej. I Tucki uciekli przez bramę na rowerze 12 września 41 r. Kilku zmarło zwykłą śmiercią. [...]

Dziś dnia 23 września otrzymałem paczkę bez nalepki: 5 bułek dużych pszennych i 4 małe. Piękne! Bez pleśni. Spadła jak z nieba. Zakwalifikowana była do zwrotu, jednak wydali. Spodziewałem się paczki jednokilowej małej, a otrzymałem przeszło 3 kg. Za jedną bułkę wagi 575 gramów kupiłem nalepkę od kol. Witaka, za nr 18 poszła. Dziś śniło mi się, że odwiedziłem babkę, niby w Sypniewie. Wracałem z jakiejś wycieczki. [...]

Dziś dnia 28 października 1941 r. otrzymałem fotografię żony z synem Czarusem, która przysłała w paczce 6 października 1941 roku, a którą mi dopiero dziś wydali. U nas tu spadł pierwszy śnieg 12 października. Po tygodniu zginął z okolicy i gór najbliższych. Dnia 22 października spadł drugi śnieg i ten leży do dziś. Wygląda wszędzie białą, jak w zimę. Dziś był przymrozek i śniegu dopadało jeszcze. Moje warzywo jeszcze siedzi na grządce i strąki. Trochę przemarzło. Niemcy zabrali Charków w Rosji. Anglicy i Ameryka jeszcze nie uderzyli od zachodu. Bombardują tylko Niemcy lotnictwem. Tymoszenko¹²⁶, Budienny i Woroszyłow¹²⁷ odeszli w głąb Rosji i organizują nowe armie. Na ich miejsce przyszły nowe wojska syberyjskie i nowi dowódcy z Żukowem¹²⁸. Niemcy jeszcze wciąż idą naprzód i chcą zdobyć Moskwę i Petersburg. Utrudnia im już wczesna zima. Co będzie dalej, nie wiemy. Spodziewamy się natychmiastowych działań Anglii i Ameryki. Domaga się tego ludność angielska i wojsko. Cywile ofensywy lotniczej druzgocącej, a wojskowi inwazji na Niemcy. Zobaczymy. [...]

Dnia 18 listopada 1941 r. Śnieg spadł 22 października leżał do 11 listopada. Już tydzień minął pięknej pogody. Po zniknięciu śniegu 13 listopada zerwałem ostatnie strąki i zebrałem buraczki i cebulę z własnej grządki. Dziś 18 listopada widziałem jak zaraz za szosą obok koszar naszych chłop siął i bronował i w drugim miejscu kobieta siiała, a chłop bronował. Po łąkach ludzie trzęśli nawóz. Na tle murów słonko dziś dopiekało. Niemcy w Rosji posuwają się tylko na Krymie. Zdobyli Karcz. Na odcinku Moskwy i Leningradu zostali zatrzymani i są w defensywie. Wczoraj Roswell¹²⁹ podpisał ustawę o uzbrojeniu statków handlowych i o wysłaniu ich na wody zagrożone. Oznacza to zniesienie ustawy o neutralności. W Japonii obraduje Kongres przez 5 dni. Co będzie dalej?

Dnia 20 listopada 1941 r. otrzymałem

¹²⁶ Siemion Konstantynowicz Timoszenko (1895-1970), radziecki dowódca wojskowy, marszałek ZSRR podczas II wojny światowej.

¹²⁷ Klimient Jefriemowicz Woroszyłow (1881-1969), radziecki wojskowy i polityk, marszałek ZSRR, trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego.

¹²⁸ Geоргий Konstantynowicz Żuków (1896-1974) - marszałek radziecki.

¹²⁹ Franklin Delano Roosevelt (1882-1945), prezydent USA w latach 1944-1945.

paczkę z 26 października: chleb, cukier i szynka. Dobra świeża paczka.

Dziś dnia 22 listopada 1941 r. otrzymałem paczkę z podziału: chleb, 4 jabłka, 1 kalarepa i kilka marchewek, może trochę lepiej niż 1 kg razem, w miejsce mojej paczki z chlebem nadanej w Przasnyszu dnia 3 listopada bez nalepki, której mi nie wydali, a która poszła do ogólnego podziału. Stawałem i ja do tego podziału. Przed tym jednak musiałem złożyć podanie, że jestem potrzebujący chleba i proszę o przydział paczki żywnościowej. W ten sposób w miejsce swojego chleba, którego pewnie było przeszło 3 kg, otrzymałem inny chleb, jak wyżej.

Dziś dnia 24 listopada 1941 r. otrzymałem paczkę z nr 19 (pierwszą październikową): kasza jaglana, serek, boczek, 900 g. masła. Piękna paczka i świeża. [...]

Dziś dnia 1 grudnia 1941 r. wysłałem list z opłatkiem. Wczoraj byłem u generalnej absolucji i u Komunii Św. Przedwczoraj prasa niemiecka podała, że Gondar padł, a z nim cała Abisynia wolna od Włochów¹³⁰. Wczoraj zaś prasa niemiecka podała po raz pierwszy w tej wojnie (a już trzeci rok idzie), że Niemcy byli zmuszeni wycofać się z Rostowa. Tłumaczą się, że rzekomo ludność cywilna im dokuczała na tyłach i wycofali się, aby ich ukarać. Słowa prasy niemieckiej: „W sposób sprzeczny z wszelkim prawem narodów ludność cywilna bolszewicka walczy i strzela do Niemców w Rostowie i okolicy. Wycofali się, aby zorganizować zapłatę i odwet”. Osobiście zdaje mi się to mocno podejrzane. Musi to być większe cofanie się przed kontrofensywą bolszewicką, którzy atakują na całym froncie, a Niemcy chwalą się, że ataki odpierają krwawo i są już 50 km od Moskwy. Co będzie dalej, zobaczymy.

Dziś dnia 5 grudnia 1941 r. otrzymałem po raz drugi, zamiast własnej paczki z chleba bez nalepki, trochę chleba, kilka sucharów i 2 cebulki razem około 1 kg z podziału. [...]

Dnia 6 grudnia 1941 r. Anglia wysłała ultimatum do Węgier o wycofanie wojsk z Rosji. Dnia 7 grudnia Anglia wypowiedziała wojnę Finlandii, Węgrom i Rumunii. Dnia 8 grudnia Japonia wypowiedziała wojnę Ameryce i Anglii. Dziś dnia 9 grudnia prasa niemiecka rozpisuje się o wielkich sukcesach japońskich w pierwszym dniu wojny. Mieli japończycy napaść na Filipiny, Manilę, Singapur, Hawaje i inne porty, lotniska i konwoje morskie. Natopili wiele okrętów i strącili 90 samolotów nieprzyjacielskich amerykańskich i angielskich, a sami stracili tylko 2¹³¹. Tłumaczą to zaskoczeniem. Tymczasem okazuje się, że Roswell wiedział o wszystkim i był przygotowany. Jeszcze na 2 godz. przed 11 godziną, to jest przed wypowiedzeniem wojny, Japończycy czytali notę Roswelta. O godz. 6 rano uderzyli Japończycy, a o 11 wypowiedział wojnę. 9 grudnia Ameryka i Anglia wypowiedziały wojnę Japonii. Waszyngton, San Francisco i New York w pogotowiu przeciwlotniczym. Sytuacja szybko wyjaśnia się. Co dalej? Niemcy w Rosji i Afryce tylko

¹³⁰ Ostatni włoscy obrońcy skapitulowali w Gonderze 28 listopada 1941 r.

¹³¹ Chodzi o atak floty japońskiej na amerykańską bazę Pearl Harbor na Hawajach w dniu 7 grudnia 1941 r.

odpierają ataki.

Dnia 10 grudnia otrzymałem paczkę. Fasola 2 kg, masło, polędwica, 80 dkg miodu i kawałek słoniny.

Dnia 11 grudnia Niemcy wypowiedziały wojnę Ameryce. Czyli znów Ameryka jest w wojnie z Niemcami po upływie 24 dni po zawieszeniu ustawy o neutralności. Jak w 1917 roku.

Śnieg leżał znów tylko od 4 do 11 grudnia 1941 r. i stajał. Dnia 13 grudnia otrzymałem kartę od żony pisaną 28 listopada 1941 r. - jako odpowiedź na moją kartę z dnia 10 listopada 1941 r. Dziś dnia 15 grudnia otrzymałem 1 koszulę z podziału amerykańskich paczek.

Dziś dnia 15 grudnia zapłaciłem 2 Mk 10 fen. składki na fundusz obozowy (żołd dla żołnierzy naszych i fundusz wdów i sierot) plus 1 Mk składka członkowska korpusu oficerskiego 13 pp na wdowy i sieroty na konto funduszu gwiazdkowego, 1 Mk i 90 fen. za pranie 2 koszul i 1 kałesonów oraz 60 fen. na gazetę „Völkischer Beobachter”. Razem 5 Mk, 60 fen. Pieniądze miałem 6 Mk za sprzedanie 1 kg fasoli i 3 Mk 60 fen. za sprzedanie 20 dkg miodu z własnej pasieki. Musiałem sprzedać część paczki otrzymanej, bo cały żołd wysyłam co miesiąc żonie i dzieciom do Drądzewa (72 Mk miesięcznie).

Dziś dnia 16 grudnia 1941 r. otrzymałem paczkę: 1 placek i 1 kg słoniny grubej. Ładna paczka! Dnia 13 grudnia 1941 r. wymieniłem swoje spodnie wojskowe z cywila jeszcze na nowe belgijskie, a mundur czeski wyfasowany w Prenzlau wymienili mi na nowy francuski.

Dziś dnia 18 grudnia wysłałem nalepkę żywnościową do Ameryki pod adresem: „Polish Central Council 9 Eld Str. New Haven Conn USA. Do Bolka nie wysłałem, bo jeszcze nie odpowiedział mi na list z Wielkiego Piątku tego roku 11 kwietnia 1941 r.

Wczoraj, to znaczy 18 grudnia 1941 r. do łaźni naszego obozu przyszli po raz drugi bolszewicy się kąpać. Koledzy zaczęli im podawać przez okienko łaźni papierosy i chleb. Sam podałem kawałek fasowanego chleba w rękę, która najdalej wystawała w okienku. Byli zgłodnieli. Widziałem ich z bliska. Z przerażeniem stwierdziłem, że to przeważnie nieletnie dzieci. Było z 8 i takich co może mieli 12, 13, a najwyżej 14 lat. Mój Czarek 12-letni na pewno przewyższałby tych ośmiu. Teraz wierzę, że mają Niemcy trzy miliony jeńców bolszewickich, ale większość to cywile. Łapali liście kapusty zablocone z naszych grządek przy wejściu do łaźni. Podobno strasznie biedni.

Dnia 17 grudnia znów spadł śnieg i leżał do 23 grudnia. W wigilię padał deszcz był silny wicher. Dnia 28 grudnia spadł mały śnieg i rozpoczęły się mrozy. Do tej pory prawie zimy nie było.

Zliczenie:

1) Od 1 listopada 1939 r. do 31 grudnia 1940 r., razem 14 miesięcy, otrzymałem żołdu od Niemców - 1008 Mk

W tym czasie (14 miesięcy) wydałem osobiście - 315 Mk

W tym czasie wysłałem żonie i dzieciom - 693 Mk

2) Od 1 stycznia do 31 grudnia 1941 r.

włącznie otrzymałem żołdu 864 Mk

W ciągu tego roku wydałem z żołdu tylko 4 Mk

Żonie (Edward 15, Józkowi 21 i Heni 31 wysłałem, ks. Stach 7 = 74) 860 Mk

-74 Mk

z tego samej żonie i dzieciom przez rok 1941 wysłałem 786 Mk 3) 693 Mk wysłałem do domu od 1 XI 1939 do 31 XII 1940 r. 860 Mk wysłałem do domu i rodzinie w 1941 roku 1553 Mk wysłałem od początku niewoli do końca grudnia 1941 r.

Dziś dnia 22 grudnia 1941 r. mija pół roku jak Niemcy prowadzą wojnę z bolszewikami. Niemcy byli już w Rostowie i 50 km od Moskwy; Leningrad mieli otoczony, a Hitler w maju oświadczył, że go głodem zdobędzie. Dziś słyhać, mówią to gazety niemieckie, że Niemcy cofają się niby dla wyrównania frontu, celem przejścia do defensywy, celem zdobycia opału dla ogrzania żołnierzy i dogodniejszego przeżymowania oraz by lepiej przygotować nowe uderzenie na wiosnę. Zdaje mi się jednak, że to jest mydleniem oczu, a prawdą jest to, że bolszewicy przerwali front na całej linii i dzięki mrozom i śniegom mają przewagę nad Niemcami i pędzą ich w szybkim ataku. Podobno już Smoleńsk odbity. Tu zaś Niemcy zbierają ciepłą bieliznę dla wojska. Radio i prasa moskiewska, amerykańska i angielska podobno radośnie alarmuje świat o wielkich sukcesach bolszewickich. Dzisiejsze gazety niemieckie donoszą, że kanclerz Hitler objął sam naczelne dowództwo i wydał odezwę do narodu i wojska.

Dzisiejszy sen ranny, to jest godz. 5 rano dnia 22 grudnia 1941 r. Byłem niby w Rogowie na ogrodzie, gdzie rosło duże warzywo. Spotkałem tam kurę z kurczakami. Dwa kurczaki oddzieliły się i piszczały. Jednego kurczaka złapałem i przyglądałem się jego piórkom, prawie szybom. Wtem nagle oślepiła mnie straszliwa jasność. Ze strachu przymrugnyłem oczu i czekałem wybuchu bomby lub pioruna. Jasność stawała się potężniejsza i usłyszałem w powietrzu syk. Obudziłem się. Elektryczność świeciła już na sali, a kol. Tkaczyk i Stolarski ubrani wybierali się odnieść menażki z grochem i fasolą do kuchni, by ugotować to na wigilię. Tłok w kuchni był już od rana.

Dziś dnia 22 grudnia 1941 r. otrzymałem kartę od Jadzi i żony. (pierwsza odpowiedź na moją kartę z dnia 24 listopada, a druga z dn. 8 grudnia).

Dziś dnia 28 grudnia 1941 r. wysłałem do domu drugą nalepkę grudniową i kartę do Edwarda pisaną po niemiecku. Dziś pierwszy raz mróz wszedł nam na okno. [...] Dziś dnia 28 grudnia 1941 r. nad ranem śniło mi się: Byłem z kol. Gołaszewskim ppor. i innymi kolegami w domu w Drążdzewie. W sypialni spały dziewczyny z Czarkiem. Żony nie było. Szukałem w innych pokojach i znalazłem ją niby w jadalni samą śpiącą na otomance, zastawioną rowerem. Po przebudzeniu się była rumiana na twarzy i bardzo piękna. Skryła się do snu niby przed żołnierzami bolszewickimi czy niemieckimi. Więcej nie rozmawiałem, bo się przebudziłem.

Luźne notatki: Święta Bożego Narodzenia w 1939 roku było najsmutniejsze w Prenzlau. Byliśmy świeżo po kłęsce i głodni. Dali tylko zupy kartoflanej wieczorem w wigilię. Wigilia

w 1940 r. w Murnau w garażu była już weselsza i nie taka głodna. Już choć chleba mieliśmy pod dostatkiem w garażu G. Zaś w tym roku dzięki paczkom od żony i częściowo zagranicznym miałem wszystkiego obficie: chleb, szynkę, boczek, słoninę, poledwice, ciasto, ser, miód, groch, fasolę, piwo, ciastka i wiele drobnych potraw, które ładnie i smacznie na wigilię było zrobione i podane do pięknie przystrojonego stołu. W pokoiku naszym nr 55 jest nas jedenastu. Zrobiliśmy składkę żywności, plus z obiadów zostawiliśmy: rybę, kartofle, margarynę, marmeladę itd. i wspólnie przygotowaliśmy kolację. Było tak dużo jedzenia, że w Boże Narodzenie kończyliśmy potrawy. Pokoik przygotowaliśmy i przystroiliśmy bibułkami i obrazkami różnych ilustracji. Może da Bóg, że to ostatnia wigilia na obczyźnie, co daj nam Boże. Dnia 26 grudnia, mieliśmy opłatek 13 pp, przemawiał ppłk Rój, kpt. Kaczmarek. Dziś dnia 5 stycznia 1942 r. wysłałem nalepkę żywnościową pierwszą styczniową tego roku.

Dziś dnia 5 stycznia 1942 r. śniło mi się: 1) Byłem niby w Sielc-Kolonii, niby u Rogalów. Przygotowywali w domu do wesela z naszym Edwardem. Edwarda jeszcze nie było i spodziewaliśmy się jego przyjazdu skądś. Tymczasem w piwnicy ukazała się woda z kranu i zaczęła zapełniać piwnicę i mieszkanie. Przyszedł majster, coś poprawił i woda opadła. Przed sienią było dużo gąsiaków białych i siwawych. Były bardzo ładne i urodziwe. Mieli je Rogale dać Edwardowej w posagu. 2) Byłem niby na wolności i też pod Krasnosielcem niby na kolonii koło gościńca. Widziałem panienki ładnie ubrane wychodzące z rzeki i zmoczone, weszły na korytarz jakiegoś domu. Ludzie mnie poznali i zaopiekowali się mną, dając mi żywność. Była też jakby moja mama i jedna z sióstr. Nie chciałem narażać ludzi na szkany ze strony Niemców i prosiłem ich, żeby o mnie nic nie mówili, a ja miałem zamiar jeszcze odwiedzić p. Krześcińskich w R. i wrócić do obozu jeńców i zameldować się samemu na wartowni. Byłem ubrany po wojskowemu. By nie pokazywać się w Krasnosielcu, postanowiłem iść przez Bagieniec. Tu przebudziłem się. Co oznaczają te sny? [...]

Dnia 7 i 8 stycznia 1942 r. sen : 1) Byłem w Warszawie niby przy moście Poniatowskiego. Tam obserwowałem dziewczęta w czasie gimnastyki. Instruktorami były niby Niemki. Jedną była instruktorką niby p. Kazia Krępska czy p. Olszewska. Była bardzo ładna, jak wszystko dookoła niej. Z 8 stycznia: Byłem niby w Pułtusku z kolegami. Sam byłem w mundurze polskiego oficera, a koledzy po cywilnemu. Na Trzeciego Maja (w październiku) była jakaś propagandowa mowa Niemca. Zaczęto nas przesładować. Koledzy się gdzieś rozpierzchli i znikli w tłumie. Zostałem sam w tłumie w mundurze. Niemcy nie mogli mi nic zrobić. Napuścili na mnie chłopców, by ci mię sprowokowali. Zaczęli więc dogadywać mi. Ja ich zawstydziłem: „Chłopcy! Jesteście tacy mali, więc niegrzecznie jest czepiać starsze osoby” i odszedłem. Wszedłem do jakiegoś mieszkania i tam dziewczyny polskie prosiły mnie, żebym się ukrył w ich mieszkaniu.

Zgodziłem się przespać na łóżku, bo byłem bardzo zmęczony. Tu przebudziłem się. Co te sny znaczą? Chyba naprawdę będę w październiku w Warszawie i Pułtusku. [...] Dziś dnia 25 stycznia 1942 roku śniła mi się nad ranem Genia, Danusia, Edward i ks. Stach Grabowski. Byliśmy wszyscy niby w Szczeglinie. I tak Genia przygotowywała obiad. Ja niby przeszkadzałem i prosiłem o coś, jak w każdym śnie, gdy mi się przyśniła. Wtem wszedł do izby Edward. Był młody, elegancko ubrany i bardzo ładny. Nie mówił nic. 2) Byłem za stodołą, chciałem pójść do ustępu, ale włożyłem dziurę z boku od spodu, a nie drzwiczkami. Obok bawiła się sama Danusia. Kopała dołki i niby piekła placki. Wtem podbiegła dziewczyna Bartczaków [i bije] Danusię wicią. Wypadłem z ustępu i odpędziłem ją. Widziała to stara Bączkowa, która już nie żyje. Poszedłem do mieszkania Bartczaków. Stary spał. Opowiedziałem mu co zaszło i prosiłem, żeby zganił córcę. On zaczął mi opowiadać o starszej córcę, która chodzi do szkoły w Gąsewie i którą nauczyciele bardzo lubili. Jeden z nich, p. Romanow, nawet przychodzi po nią na próby do teatru. 3) Wróciłem od Bartczaków do domu. Zostałem ks. Stacha i wielu mężczyzn. Dużo było gospodarzy z Rogowa. Namawiałem ks. Stacha, żeby wygłosił pogadankę dla gospodarzy. On początkowo się wzbierał, ale po zasłonieniu lampy zaczął mówić. Był i jego brat starszy. [...]

Dziś dnia 27 stycznia 1942 r. wysłałem drugą nalepkę żywnościową do Ameryki pod adresem: „Polish Relief Committee 602 E. Streicher Str. Toledo 6 USA”

Dziś dnia 27 stycznia 1942 r. otrzymałem paczkę od żony nadaną w Krasnosielcu, druga grudniowa z zawartością: chleb, 1 kg cukru, 1/2 kg masła, słonina, 1 serek, miód (śliczne), nadana w Krasnosielcu dnia 16 stycznia 1942 roku.

Dziś dnia 27 stycznia nad ranem śniło mi się, że byłem w Drążdzewie na Górcę. Niby przyfrunąłem na podwórko do Kowalewskich Stanisławów. We wioskach naszych było pusto. Niemcy wypędzili wszystką ludność z wioski w kierunku na południe. Jadąc rowerem gdzieś pod Pienicami spotkałem jadących p. Krześcińskich i innych mieszkańców Raków. Rozmawiałem z Krześcińskimi, żartując z nich, po co wyjeżdżają ze wsi. Lepiej było siedzieć na miejscu, mówiłem.

Dziś dnia 29 stycznia 1942 r. nad ranem śniło mi się, że byłem na zabawie w gimnazjum męskim w Pułtusku. Tańczyłem z małymi dziewczynkami i śmiałem się wesoło.

Dziś dnia 2 lutego 1942 r. z okazji imienin Danusi i Czarusia w miesiącu nadałem im po 10 Mk oraz żonie 50 Mk, razem 70 Mk.

Dziś dnia 2 lutego otrzymałem list z dn. 23 stycznia od żony, jako odpowiedź na list z 6 stycznia 1942 r. (po przerwie 7 tygodni). [...]

Dziś dnia 2 lutego 1942 r. w Matkę Boską Gromniczną nad ranem śniło mi się: „Byłem na pienickim polu Gamdzyka z Genią przy szosie obok naszej granicy ze Szczeglinem. Przechodził tamtędy Zygmund Gamdzyk ze Szczeglina (który już może od 10 lat nie żyje, umarł młodym chłopakiem). Ten niósł na

plecach wielką czarną tablicę, niby do Krasnosielca. Uginał się chłopak pod jej ciężarem. Ja wracałem niby skądś do Drażdżewy. Żał mi się zrobiło Zygmunta i kazałem mu położyć tę ciężką tablicę na roli. Wtedy ja, gdy zajdę do Krasnosielca czy Drażdżewy, to po niego obiecałem przysłać furę. On niby mi odpowiedział, że byłoby to dobrze, ale że ja zajdę dopiero do Drażdżewy za 3 do 5 godzin. Więc długo będzie mu czekać. 2) Potem nie wiem co się stało, bo znalazłem się w mieszkaniu u Rekoszów Franków na Szczeglinie-Kolonii. Rozmawiałem z Rekoszową starą. Thumaczyłem jej, że wiem, że jej mąż Franciszek Rekosz nie żyje, że również nie żyje jej bratowa Czarna Rekoszową i tak dalej. 3) Potem, nie wiem skąd, wzięła się tam Kryśka Chrzanosowska, taka jeszcze nieduża, jak wtedy, gdy była w drugim oddziale. Tak cieszyłem się tą Krysią, tak ja głaskałem i tak bardzo mi się podobała. 4) Potem nie wiem gdzie Kryśka znikła, a na jej miejscu zjawiła się żona. Ale wtedy już byłem w Drażdżewie w sypialni na łóżku. Tak bardzo całowałem Geniutkę! Była cała naga. Całowałem całe ciało i włosy. Tu przebudziłem się. Zawsze przebudzę się w momencie, gdy najbardziej pragnę żonę posiadać. Zawsze coś nam przeszkodzi, gdy już zabieram się do najmilszego zbliżenia. Tak bywa stale.

Sen z dnia 2 lutego 1941 roku: Byłem na polach pod Chodkowem, koło szkoły. Zobaczyłem jadące fury z zachodu. Przyjrawszy się im lepiej, poznałem gospodarzy z Bobina, Grzybek, Chodkowa i okolicznych wiosek. Wtedy zawołałem: ludzie skąd jedziecie? Oni odpowiedzieli, że z ucieczki. Dziwiłem się, nie mogłem tego zrozumieć. Była jesień, stałem na kartoflisku. Z dała jeszcze stały radliny kartofli z suchą nacią. Gdy tak stałem i patrzyłem na jadących, zauważyłem w górze nadlatującego czarnego ptaka. Leciał prosto na mnie. Spadł w kartofle ze złamanym skrzydłem. Poznałem, że to był znak. Schwyciłem kulasa żelaznego, który obok mnie leżał i zabiłem go. On rzucił się na mnie z dziobem i pazurami. Skórę z piórami zdarłem z niego, a czerwone, drgające mięso rzuciłem silnie rozgniewany o ziemię. Byłem bardzo zadowolony, że zabiłem tego nienawistnego ptaka. Cóż ten sen znaczy? (Już minął rok, a noszę go zawsze świeżo w pamięci. Jeśli połączę go teraz ze snem o Zygumencie Gamdzyku, to oba coś wróżą na pewno ważnego. Oba sny były w jesieni na kartoflisku. Chyba to, że w tym roku jesienią naprawdę będę w domu wolny). [...]

Dziś dnia 6 lutego 1942 r. otrzymałem paczkę od żony: pierwsza styczniowa, wysłana drugiego i w Krasnosielcu. Zawierała: słoninę, chleb, 4 duże pierniki, kaszę, masło, cielęcinę. Szła krótko i była świeża, dobra. [...]

Dziś dnia 9 lutego 1942 roku nad ranem śniło mi się: 1) Byłem w Szczeglinie w starym domu. Miałem zranioną nogę prawą: zdarta skóra na szerokość i długość dłoni z wierzchu na samym piszczelu. Mama moja miała mi ranę opatrzyć. Matka stała obok mnie zdrowa i nic nie mówiła. 2) Między Ejdydami a Świerczami na drodze w Szczeglinie znajdowałem się z ojcem żyjącym i też nic nie mówił jak matka. Patrzyłem na krowę naszą idącą do domu gościńcem w stronę Bujaków.

3) Śnił mi się także Wicek stryjów, też żywy i nic nie mówiący. Co te sny znaczą? Chyba to są sny przestrogi dla mnie, pochodzące z zaświata, od zmarłych osób w rodzinie. [...]

4 maj 1942 r. Sen: Byłem w mundurze w Krasnosielcu. Wypożyczyłem rower i chciałem wyjechać z Krasnosielca w stronę Szczeglina. Siedzący Niemiec przed domem poczty zatrzymał mnie i zarekwirował mi rower. Wprowadził mię do jakiejś szopy. Rower przerzucił przez płot niby z drutów kolczastych. Poczem zaczął rozmowę ze mną, przeplatając wyrazami polskimi. Ujrawszy moją gwiazdkę oficerską zaczął nabierać dla mnie respektu, zmieknął i zaczął mi schlebiać. Pragnął zachować sobie łaski moje i wydał mi rower. Wyglądał na starego cywilnego Niemca. Zrozumiałem, że czuje koniec wojny przegranej dla Niemców i mogę tu być kiedyś potrzebny. Dlatego stał się tak dobry dla mnie i wydał mi rower. Prosił tylko, bym wyjechał niespodzianie z Krasnosielca i zbejm go nie wydał. Tu przebudziłem się. Rozwidniało się. Sen ten uważam za dobrą wróżbę dla siebie. Na pewno w tym roku otworzą nam bramę i wyjdziemy za druty. [...]

Dziś dnia 6 maja 1942 r. w nocy śniło mi się: przez sen słyszałem alarm syreny. Wyła przeraźliwie. Byłem w domu w Szczeglinie. Lampa się świeciła w mieszkaniu, a wszyscy spali. Zerwałem się i budziłem Edwarda, Józka, Maryskę i młodsze siostry. Krzyczałem, by zgasili światło. Oni spali. Zacząłem ich tarmosić za rękaw. I nie mogłem się dobudzić. Krzyczałem z całej siły. I tu się przebudziłem. I o dziwo: syrena naprawdę wyła! Niemcy pogasili światło na placu, a nawet napadli do bloku naszego G i zgasili nocną żarówkę. Był prawdziwy alarm. Była godzina 3 w nocy. Był to drugi alarm tej nocy. Pierwszy się odbył zaraz z wieczora. Ale tego nie słyszałem. Tak spałem twardo. Warkotu motorów ani błysków światła nie było ni słychać ni widać. Widać bombardowanie się odbywało gdzieś dalej. Od połowy kwietnia naloty na Niemcy są prawie co noc, a nawet w dzień. Dzisiejszy sen daje mi do myślenia, że może Meiningen był bombardowany, gdzie jest Edward. Czyżby to było przeczucie? [...]

Dziś dnia 11 maja 1942 r. wymieniłem pantofle amerykańskie nr 6 na nr 7 (które otrzymałem w kwietniu czy marcu).

Dziś dnia 11 maja 1942 r. otrzymałem paczkę z domu (druga kwietniowa), która zawierała: 2 chleby, 1 kg miodu i pudełko smalcu; nadane 30 kwietnia w Krasnosielcu. Świeżutkie i bardzo dobre.

Dziś dnia 13 maja 1942 r. godz. 6.30 popołudniu stałem z kolegą Jarzębińskim, inżynierem z blokiem D blisko drutów przy bramie i budce. Obok siedziało i stało jeszcze kilku kolegów. Szosą przechodzili ludzie i jeździły normalnie wozy i samochody. Wtem dwie panienki, nadszedłszy nad bramę i zobaczywszy, że wartownik na budce był tyłem odwrócony do szosy, jedna z nich z prawej strony głośno zawołała: „Dzień dobry!” Myśmy mimo woli odpowiedzieli: „Dzień dobry!”. Naturalnie jedni wymówili to głośnie, drudzy ciszej z obawy, by Niemiec nie zauważył. Ten nic nie zauważył, bo widać nie znał nic po polsku. One naszą odpowiedź słyszały. Jak bardzo miło człowiekowi słyszeć swoją polską! W Kreuzburgu słyszałem zdanie

polskie: „skąd przyjechałista” raz, a tu drugi raz. Te same panienki obserwowaliśmy dalej. Gdy z naszego obozu wyjechało aulo z przyczepką, w której wożą nam mleko, a w tym momencie stało w niej dwóch naszych strzelców jadących do Murnau widać po banki z mlekiem, a nadjechawszy nad te dwie panienki, gdy te zobaczyły samych polskich żołnierzy, ta z lewej strony wyjęła chusteczkę i machała za nimi. Musiały to być Polki. Może to były dziewczęta wzięte na roboty do Niemiec. Ubrane były gustownie i nieźle. Dziwiłem się tylko, że przy dniu powszednim spacerowały.

Dziś dnia 14 maja 1942 r. otrzymałem kartę od Edwarda z 11 maja 1942 jako odpowiedź na moją kartę z 13 kwietnia. Przerwa trwała w naszej korespondencji przeszło pół roku.

Dnia 15 maja 1942 r. w sklepie komisowym bloku B kupiłem letnie kombinezony za 7 Mk. [...]

Przepowiednie Murnau dn. 26 maja 1942 r. 1) 17 V 42 r.: Aktywność niemiecka z pewnym powodzeniem, równocześnie i aktywność angielska. 2) 8 czerwca 1942 r.: Silna aktywność rosyjska z powodzeniem. 3) 22 lipca: aktywizacja angielsko-rosyjska, silne powodzenia. 4) 13 sierpnia 1942: wybitna aktywność USA. 5) 5 września: aktywność niemiecka sparaliżowana aktywnością rosyjską. 6) 27 września: aktywność angielska z powodzeniem. 7) 19 października: aktywność angielska z powodzeniem. 8) 30 października 1942 r.: aktywność USA z powodzeniem. 9) 2 grudnia 1942 r.: Polska, Rosja i Anglia po wojnie. [...]

Dziś dnia 21 maja 1942 r. przyjechali nowi oficerowie do nas ze XII, A. Hadamar. Ponieważ tam oni mieli 2 razy dziennie apel, więc wkrótce po ich przyjeździe są i u nas 2 apele. Mielśmy powitanie w hali oszklonej u generała Thommee. [...]

Dziś dnia 28 maja 1942 r. kupiłem kombinezony z naszego sklepu komisowego za 16 Mk 80 fen. Pieniądże w wysokości 8 Mk miałem od Nowickiego, który winien był mi od września 1941 r. za spodnie, a resztę dołożyłem ze sprzedaży miodu 1/4 kg za 15 Mk. Nowicki okazał się podłym kolegą. Z zapłatą za spodnie trzymał mię 8 miesięcy. Gdy brał spodnie, chleb kosztował 8 Mk, a gdy oddawał dług, chleb kosztował około 20 Mk. I to sam nie odniósł, tylko posyłał Kuśmierczyka i Radziszewskiego. Oddał przez złość i nakłamał. Ja właściwie byłem tylko pośrednikiem. Spodnie brał od Radziszewskiego, który moje sobie zatrzymał, a jemu dał swoje do wymiany. Nie warto dopomóc nawet koledze, zwłaszcza jeśli jest nierzetelny i głupi.

Dziś dnia 30 maja wyrwany miałem zęb u góry z lewej strony ostatni za 3 Mk. Bałem się go rwać. Dziś mieliśmy pierwszy raz drugi apel dzienny o godz. 6 po południu jak w Hajdamar. [...]

Dziś dnia 2 czerwca 1942 r. wysłałem nalepkę 1 czerwcową do żony.

Dziś dnia 3 czerwca 1942 r. w naszym sklepie komisowym kupiłem serwetkę na stół za 2 Mk 10 fen. dla Danusi.

Dziś dnia 4 czerwca otrzymałem paczkę od żony (1 majowa): bułeczki, kielbasę, słoninę, cukier rozsypany, a w nim 4 jajka, z których 1 było zbite, ale nie zepsute. [4v]

Paczka świeża, wszystko dobre.

Dziś dnia 6 czerwca kupiłem koszulę z kołnierzykiem za 1 bochenek chleba.

Dziś dnia 8 czerwca 42 r. z naszego obozu uciekło 14-tu oficerów. Na rannym apelu staliśmy przeszło trzy godziny. Podobno gdzieś podziemnymi kanałami od kanalizacji uciekli. Do 11 czerwca zostali wylapani już wszyscy i ukarani 14 dniowym aresztem za uszkodzenie kanalizacji i posiadanie cywilnych ubrań.¹³²

Dziś dnia 9 czerwca 1942 r. kupiłem buty z cholewami od kol. Sadowskiego Stefana za 60 Mk i 1/4 bochenka chleba. Na te buty mam zaciągnąć pożyczkę 50 Mk z funduszu kantynowego. W międzyczasie pożyczyłem od kol. Tkaczyka 20 Mk i wpłaciłem kol. Sadowskiemu akonto. Następnie 10 czerwca sprzedałem własne stare buty za 25 Mk oraz książkę angielską Kaluma za 80 papierosów „PWT Sporty” przedwojenne kol. Jareckiemu z Pułtuską. Drugie 20 Mk wpłaciłem akonto butów 11 czerwca, które otrzymałem ze sprzedaży własnych. Dnia 12 czerwca sprzedałem 70 papierosów i zapłaciłem ostatnie 20 Mk kol. Sadowskiemu. W ten sposób przyszedłem do dobrych butów. Mam więc dobre buty, dobre pantofle i dobre kamazse. Mogę jechać do domu.

Dziś dnia 13 czerwca 1942 r. otrzymałem paczkę (druga majowa) z 2 czerwca. Zawierała: suchary chleba i ciasta, kielbasę, pudełko miodu, mydła kawałek i fasolę, a w niej 6 jajek, z których 2 były zbitne i ocementowały fasolę. Dobre bez pleśni.

Dziś dnia 13 czerwca w malej sali jadalnej odbyło się powinszowanie imienin generałowi Szilingowi Antoniemu¹³³ przez oficerów 8 dywizji połączone z herbatką, pogadanką i uściśnięciem ręki przez generała.

Dziś dnia 14 czerwca 1942 r. mieliśmy w naszym bloku G zawieszenie i poświęcenie obrazu serca Pana Jezusa: śpiewy chóru, przemowa ks. kapelana pułkownika Zakuty, modlitwy. [...]

Orzeczenie mjr Branikowskiego laryngologa z dnia 23 czerwca 1942 r. w Murnau: „ppor. Kocot Władysław 1900 r. W rodzinie na uszy nikt nie chorował. Chorób powtarzających się nie było. Z liczego rodzeństwa (13) dwóch braci nie żyje. Pozostałe rodzeństwo zdrowe. Nie chorował. Wyciek z ucha lewego od roku 1920 po pęknięciu bębienka na skutek wystrzału koło ucha. Wyciek trwa do dnia dzisiejszego z krótkimi przerwami. Obecnie wyciek trwa bez zmiany, prócz tego w ropie pokazuje się krew. Szum i pisk w uchu lewym. Zawroty głowy przy nagłych ruchach. Weber

¹³² W Murnau było pięć prób ucieczek. Pierwsza: kpt. Mamunowa, który uciekł z aresztu do wewnątrz obozu w 1940 r., druga: ucieczka do wewnątrz obozu Alojzego Nestorowicza, trzecia (tu opisana) - grupy kilkunastu oficerów drogą kanalizacyjną na zewnątrz obozu. Czwarta to brawurowa ucieczka ppor. Steckiego i piąta, ucieczka jednego oficera na oczach wartownika na wieży strażniczej.

¹³³ Antoni Szylling (1894-1971), generał, podczas kampanii wrześniowej dowódca Armii „Kraków”. Krajem W. Kocota, gdyż urodził się w Płoniawach, pow. Maków Mazowiecki.

na ucho lewe. R na lewe -, prawe +. Słuch na ucho lewe przedłużony. W uchu lewym śluzowo-ropna wydzielina zmieszana nieco z krwią. Błona bębienka ze znacznym ubytkiem w części napiętej w tylnym i dobrym kwa-drancie. Przez przedziurawienie wypadnięta śluzówka jamy bębienkowej pokryta granulacjami. Ucho prawe: błona bębienka wciągnięta, nieco zmętniała w tylnych odcinkach. Rozpoznanie: ropne przewlekłe zapalenie ucha środkowego lewego z ziarniną. Kwalifikuję się do leczenia szpitalnego.” Murnau dn. 24. VI 1942 r. [...]

Dnia 10 lipca o godz. 7 rano wyjechałem z Murnau do Freisinga przez Monachium. Po drodze spotkałem grupy dziewcząt (chyba chorwackie) i Serbów z bolszewikami. Wróciłem z Freisinga¹³⁴ do Murnau 24 lipca. Ucho zagojone bez specjalnych starań.

Mme Krasieńska Izabela Lyon 8 Tyte¹³⁵ d'or France. 12 lipiec 1942 r. żywnościowa. (Razem z powyższą kartką załączyłem w liście i nalepkę żywnościową 13.VII 1942 r.). [...]

28 lipiec 1942 r. Nalepka ubraniowa: Maria Czapelska, Lisboa Rua Rodri-go da Franseca 49/1 Portugal. [...]

Dziś dnia 6 sierpnia 1942 r. otrzymałem dwie paczki: na nalepkę drugą czerwową i pierwszą lipcową. Paczka z nalepką czerwową zawierała: ciasto, suchary chlebowe, serek, cukier i kielbasę. Była ona tu w obozie już 21 lipca, ale poszła za mną do Freisinga i przysłała tu dopiero po 2 tygodniach (minęła się ze mną w drodze). Druga paczka, z 1 lipcową nalepką była nadana 25 lipca i zawierała: suchary chlebowe, ciastka przeszło 60 sztuk, lipcowego miodu butelkę i powideł z truskawek 1 butelkę. Ta paczka była świeżutka. Natomiast w pierwszej, mimo że szła miesiąc, tylko kielbaska i serek były pokryte pleśnią z wierzchu. Po zeszkrobaniu i umyciu kielbaski paczka była pierwszorzędna. Z obu jestem bardzo zadowolony. [...]

Dziś dnia 18 sierpnia otrzymałem paczkę: 1) duża puszka miodu z mojej pasieki 2) duży ser 3) 2 duże pierniki i kawałek oraz 4) 20 ciastek i 5) kielbasę. Nieszkodliwa pleśń była tylko na serze i kielbasie. Tą nalepkę francuską wysłałem okazynie z Freisinga pod zmyślnym nadawcą przez kol. Jakobsche, który dał ten list żołnierzowi, który mówił, że jest Austriakiem. Jakiś niezły był chłop, kiedy listy nasze wrzucił do skrzynki pocztowej.

Dziś dnia 20 sierpnia godz. 3 po południu poszedłem do izby chorych na (influerę) grype. Wyszedłem zdrowy z izby chorych dnia 31 sierpnia 1942 r.

Sen: Dziś 31 sierpnia 1942 r. nad ranem śniło mi się, że kolega pocztowy przyszedł do mnie z listą, na której było moje nazwisko napisane z niemiecka. Ta lista wskazywała, że jest dla mnie paczka z Ameryki. Nie było powiedziane, czy to paczka żywnościowa czy bieliźniana. Ucieszyłem się bardzo i z tej radości przebudziłem się. Dziś dnia 31 sierpnia dali nam pierwszy raz młode kartofle.

¹³⁴ Freising (pol. Fryzyna) - miasto w Niemczech, w kraju związkowym Bawaria, w rejencji Dolna Bawaria, leży 33 km na północ od Monachium, nad rzeką Izarą.

¹³⁵ Powinno być: Tete.

Dotychczas dawali po dwa stare, zepsute.

Dziś dnia 1 września 1942 roku minęło trzy lata jak Niemcy napadli na Polskę i wybuchła wojna. Do tej pory bili wszystkich i podbili wiele państw. Jednak pod koniec tego roku, to znaczy w lecie odwróciło się szczęście od nich i teraz oni są bici przez bolszewików na terenach Rosji, a przez Anglików w Afryce i lotnictwem bombardują całe miasta w Niemczech. Skutki już widać i dają się odczuć. W gazetach niemieckich sądzą, że Niemcy już zrozumieli swoją walkę beznadziejną z koalicją i jeśli nie w tym roku jeszcze, to najwyżej za kilka miesięcy wiosny muszą skapitulować. Już niedługo koniec wojny w Europie. Tego jestem zdania.

Dziś z pierwszą dekadą września miałem do wysyłki 78 Mk. Dziś 2 września 1942 r. nadałem żonie 75 Mk, a 3 Mk pozostało. [...]

4 września 1942 r. Sen spełniony: Stosownie do mojego snu z dnia 31 sierpnia 1942 r., który zaraz zapisałem rano po przebudzeniu się jak powyżej, dziś naprawdę dostałem paczkę żywnościową z USA z Toledo, która 31 sierpnia przybyła tu transportem ze stacji do obozu. Tak samo jak we śnie, byłem czytany przez pocztowego pierwszy. Sen się sprawdził i urzeczywistnił. Tak byłem pewny tej paczki po tym śnie, że dzisiaj po apelu porannym przygotowałem naczynia i poskładałem je do pudełka. Lecz po apelu porannym nie było kartki mojej na paczkę, dopiero otrzymałem ją z pocztą obiadową. Teraz wierzę, że i wiele moich snów innych nad ranem wyraźnych spełni się. Musi być łączność ludzi ze światem pozagrobowym.

Dziś dnia 4 września 1942 r. otrzymałem z USA z Toledo paczkę żywnościową, która zawierała: kawę, kakao, mleko, sardynki, śliwki, zupa w postaci makaronu i zaprawa do niej, tabaka fajkowa, konserwa mięsna, kostki zupy. Dobra, zwłaszcza że za darmo na nalepkę dodatkową wysłaną dnia 27 stycznia 1942 r., a nadana w Ameryce 22 maja 1942 r.

5 wrzesień 1942 r. Sen: Byłem w Rogowie u teściów. Mieli mieszkanie zmienione przez nowe otwory: nowe drzwi i nowe okna. Również była nowa podłoga, nie przybita z powodu braku gwoździ. Ja też gwoździ nie miałem u siebie. Wtem wypuścili niby starego naszego buhaja na buhaja nowo zdobytego, maści siwej, sinej, niby ciemno zielonej. Byki rzuciły się na siebie z wielką mocą. Były jednakowo silne. Walczyły ze sobą dzień i noc na polu. Domownicy mniej się bali, niż ja. Ja wesłem [s] ze strachu na skrzynię, pudła i szafę. Patrzyłem nad ranem drugiego dnia, jak byki z dała na polu walczyły ze sobą. Były umordowane oba, ale walka trwała. Pokłękaly na przednie nogi i stały tylko na zadach i bodły się nawzajem. Całe pole nasze w Rogowie jak okiem sięgnąć było skopane racicami i rogami. Dwa byki były już tak zmęczone walką, że jeden drugiemu nie mógł zadać skutecznego ciosu, a tylko bodły się łbami i napierały własnym ciężarem. Zaprzagnąłem zakończyć tą walkę byków. Pomyślałem, że gdybym miał długi bat, potężny z doczepionymi gwoździami, to może odważyłbym się tam podejść i je rozpedzić. Zawahałem się w postanowieniu ze względu na niebezpieczeństwo i przebudziłem się. Na jawie już postanowiłem sobie, że najłatwiej oba byki będzie zastrzelić z karabinu.

Rozejrzałem się, było już po kawie, godz. 8 rano. Dumalem nad snem cały dzień, aż [musiałem] go pod wieczór zapisać. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że walka tych byków oznacza walkę czerwonych bolszewików z ciemno-zielonymi Niemcami. Po roku walki obaj przeciwnicy są już bardzo wyczerpani na wschodzie. Jest czas, żeby Anglicy i Amerykanie zakończyli już walkę. Oni mogą to uczynić swoją bronią bardzo łatwo.

Niedziela dziś dnia 6 września 1942 r. wysłałem nalepkę żywnościową do Ireny Myślakówny w Szczeglinie, okazjna, dodatkowa ze względu na pleśń. [...]

Dziś dnia 9 września otrzymałem paczkę z nalepką nr 14 (pierwsza sierpniowa), która zawierała: śliczny boczek, suchary chlebowe, puszka miodu i dwie cebule. Śliczne! Chociaż papier był porożrywany.

Dziś dnia 10 września 1942 r. śniło mi się, że Niemcy skapitulowały. Za chwilę miał do nas zgromadzonych na sali przemówić niby Polak, niby Anglik tej kapitulacji z urzędu. Ja schwyciłem z radości linijkę, centymetr i mapę chciałem mierzyć tereny przydzielone Polsce. [...]

Sen: Dziś dnia 13 września 1942 r. śniło mi się, że byłem niby w domu w Szczeglinie. Prócz mamy i ojca mojego i kilkoro z domowników spali u nas i obcy mężczyźni razem z naszą rodziną. Tym byłem bardzo zgorzany i wstydiłem ojca i mamę, którzy byli żywi. Nie pamiętam, co mi odpowiedzieli.

Sen: Dziś dnia 14 rano śniło mi się: z p. Obrębskim i innymi kolegami założyłem się, że wyjdę poza druty z obozu i Niemcy mię nie upilnują. Jakoś znalazłem się na szosie. Nie miałem zamiaru uciekać. Chodziło tylko o zakład, by go wygrać. Stojącego na szosie Niemcy zauważyli i zaczęli mię kłuć bagnietami i moją krew zbierać od jakiś rurek szklanych, mówiąc, że i tak zostaną rozstrzelani. Tłumaczyłem im, że ja nie chcę uciekać, a tylko chodzi o zakład. Prosiłem, żeby mię zaprowadzili do komendy obozu, do kpt Dymerta. Tłumaczyłem im po polsku i po niemiecku. Oni zamiast do Dymerta zaprowadzili mnie do paki. Tam było już kilkunastu kolegów. Warunki bytowania tam były opłakane. Sen powyższy sprawdził się o tyle, że rzeczywiście po dwóch latach, dziś o godz. 3 po południu nasza kompania 2-ga poszła do jeziora szosą kąpać się. Ciekawe. Kąpałem się ja przez 20 minut w Eglingu, jak nazywa się to jezioro.

Dziś dnia 15 września otrzymałem paczkę (druga sierpniowa), która zawierała: 1 puszka z miodem, suchary chlebowe i 5 pierników. Piękna!

Dziś dnia 15 września 1942 r. wysłałem nalepkę (2 sierpniowa) do Rogowa. [...]

W nocy z 19-go na 20 września był większy nalot na Bawarię, a zwłaszcza Monachium. Obserwowaliśmy bombardowanie Monachium. Śliczny był widok: reflektory, pociski świetlne szybkostrzelnych dział (po 6 sztuk jak paciorki w łuku), pękające w górze granaty pojedyncze, rakiety o świetle czerwonym i niebieskim angielskie oraz błyski wybuchów bomb lotniczych. Szkody musiały być znaczne. Niemcy podali tylko 65 ludzi zabitych w prasie. Następna prasa doliczyła się do 108 zabitych. [...]

Dziś dnia 21 września byłem w kąpieli w jeziorze (2 razy). [...]

Dziś dnia 26 września 1942 r. zadeklarowałem żonie 50 Mk (pozostała 1 Mk).

Dziś dnia 29 września 1942 r. wysłałem nalepkę żywnościową (1 X) do Francji na adres: Izabela Krasieńska, Lyon 8 Tite d'or France.

Dnia 30 września rzucałem kulą, a 1 i 2 października 1942 roku na boisku grałem w siatkówkę i skakałem. Było ciepło. Za piłką biegałem tylko w majtkach kąpielowych. Potem myłem się cały w umywalni w zimnej wodzie.

Dziś dnia 5 października 1942 r. otrzymałem paczkę z Francji z Lyonu na nalepkę wysłaną 16 lipca (druga lipcowa) wysłaną z Freisinga, która zawierała: 3 tabliczki czekolady, razem 375 g, 4 paczki biszoptów, 1 paczkę piernika, 32 ciastka, 250 g cukru, 250 g makaronu - kaszki, 1 duża kostka Magi, 1 konserwa mięsna 250 g, 40 g tytoniu, 20 papierosów. Dobra. Grunt, że darmowa. Nic dziwnego, że jak powyżej, dnia 29 września wysłałem nalepkę powtórnie.

Dziś dnia 6 października 1942 r. o godz. 3 popołudniu był alarm lotniczy. Anglicy po raz pierwszy w dzień nalecieli Bawarię. Z tego widać, że Anglicy całkowicie panują w powietrzu. To wróży szybki koniec wojny i naszej niewoli. [...]

Dziś dnia 7 października wysłałem nalepkę żywnościową do Szwajcarii na adres: Comité Internationale de la Croix Rouge, Geneve Agence Centrale des Prisonniers de Guerre, La Suisse (Schweitz). (Nalepka dodatkowa za zrzeczenie się paczek żywność na bielizniane.)

Dziś dnia 8 października 1942 r. otrzymałem paczkę od żony na nalepkę pierwszą wrześniową, która zawierała: suchary chlebowe, z kilogram boczku, z 1/2 kg kiełbasy, 1/4 kg cukru i 1 jabłuszko. Doskonała paczka.

Dziś dnia 8 października. 1942 r. kupiłem sobie od kolegów (na ogłoszenie moje) 2 koszule zielone za dwa chleby fasowane. Jedna zupełnie nowa, a druga raz prana. Zakup ten mogłem skutecznie dzięki temu, że otrzymałem do żony większą ilość sucharów, no i 2 paczki zagraniczne własne i podziałową (2 chleby ważą 3 kg). Niedrogo.

Dziś dnia 9 października 1942 r. otrzymałem 1/3 paczki podziałowej amerykańskiej.

Dziś dnia 13 października 1942 r. otrzymałem od Danusi paczkę na drugą nalepkę francuską wysłaną przez kol. Worwę z Freisinga do żony (nalepka kosztowała mię 15 papierosów angielskich), która zawierała: bułki pszenne, suchary chlebowe i 22 pomidory. Wszystko świeżutkie i bez pleśni. Piękna! Wysłałem nalepkę żywnościową do Francji nieokupowanej do: Vichy Hotel de Sewilla France, Zofia Bolander Mme (druga październikowa). [...]

Dziś dnia 18 października 1942 r. kupiłem sobie za bochenek chleba niebieską koszulę z kieszonkami od kolegi z bloku F drużyna 6-ta. Mówił, że raz prana (chleb 11/2 kg).

Dziś dnia 19 października kupiłem 3 pary skarpet wełnianych białych za 1 bochenek chleba fasowanego. Również dziś w bloku naszym od kol. Purzyckiego Wł. kupiłem buty - saperki za 50 Mk. Akonto wpłaciłem mu 19

Mk i kakao 100 g w cenie 6 Mk. Pozostałe 26 Mk mam zapłacić 10 listopada r. bież. Tak skarpetki, jak i buty kupiłem z zamiarem wysłania ich do domu. Tam bieda. Podług pisma NKO (niemiecka komenda obozu) będzie wolno wysłać zbędną bieliznę i obuwie. Przygotowałem niezłą paczkę i czekam na wysyłkę. A może Niemcy nas zbudują z tą wysyłką paczek. Zobaczymy.

Dziś dnia 21 października wysłałem 3 nalepki żywnościowe (dwie listopadowe i jedna grudniowa - pierwsza). Pierwszą listopadową wysłałem na adres: Kołakowski Stanisław, Waluś i Romek w Obrębku poczta Przasnysz, a drugą listopadową i pierwszą grudniową bez pieczętki do żony. [...]

Dziś dnia 24 października kupiłem ręcznik z czerwonymi paskami amerykański za 75 papierosów angielskich od Nr 325 B. A 396.

Dziś dnia 26 października 1942 r. nadałem żonie 50 Mk (pięćdziesiąt).

Sen: 1) Dziś w nocy z 26/27 śniło mi się, że w niewoli miałem krowę własną. Chcąc jej dać jeść, poszedłem do stodoły Bawara, wziąłem snopek owsianki i niosłem przez podwórko do obory. Po drodze spotkał mię gospodarz i był niezadowolony, że biorę mu słomę. Po niemiecku wytłumaczyłem mu, że krowie trzeba dać jeść. 2) Potem znalazłem się z kolegami niby na szosie. Przechodziły dzieci niemieckie, którym kolega chciał dać kartkę z nalepką pocztową. Dziewczynka nie wzięła, więc te padły na szosę. Podniosłem je. 3) Wtem znalazła się przy mnie Olesia ciotki, którą chciałem przywitać i pocałować w usta oraz macie. Nagle znikły obie. 4) Dookoła były Niemki i Niemcy. Postanowiłem wrócić do obozu przez furtkę, którą wyszedłem. W furtce na piasku jakaś dziewczyna świeżo napisała liczbę 1939 (czy też 1949). Liczbę tą napisała w tej myśli, aby mnie dać znać, że właśnie w tym roku wyjdę z niewoli. Obudziliśmy się długo myślałem o znaczeniu tej liczby. Pierwsza stanowi 3 lata jak dostałem się do niewoli. Chyba ona to była. Drugą musiałem sobie dodać i dlatego ją zapamiętałem. Piszę to dopiero wieczorem 27 października 1942 r.

Dziś dnia 28 października 1942 r. otrzymałem paczkę od teściów z Rogowa, nadawaną w Ploniawach. Zawierała: puszka smalcu, cukier i około 70 ciastek. Paczka bardzo dobra. (Na nalepkę 2 wrześniową). [...]

Przepowiednia wygłoszona przez medium podczas seansu spirytystycznego odbytego w dniu 23 września 1893 w pałacu jednego z polskich arystokratów w Małopolsce (Wielopolskich)¹³⁶.

„1) W dwa lat dziesiątki nastaną te pory, Gdy ogień z nieba wytryśnie. Spełnią się wtedy pieśni Wernyhory, Świat cały się krwią zachłyśnie.

2) Polska powstanie ze świata pożogi, Dwa orły padną rozbite.

Lecz długo jeszcze los jej jest złowrogi, Marzenia ciągle niezbite.

3) Gdy lat trzydzieści we łzach i rozterce Trwać będą cierpienia ludu

Na koniec przyjdzie jedno wielkie serce I samo dokona cudu.

4) Gdy czarny orzeł znak krzyża splugawi,

¹³⁶ Powinno być: Wielogłowski. Jest to tzw. *Przepowiednia z Tegoborza*.

Skrzydła rozłoży złowieszcze. Dwa padną kraje, których nikt nie zbawi Siła przed prawem jest jeszcze.

5) Lecz czarny orzeł wyjdzie na rozstaje, Gdy oczy na wschód obróci, Krzyżackie siejąc swoje obyczaje, ze złamanym skrzydłem powróci.

6) Krzyż splugawiony razem z młotem padnie. Zaborcom nic nie zostanie.

Mazurska ziemia Polsce znów przypadnie, a w Gdańsku nasz port powstanie.

7) W ciężkich zmaganiach z butą Teutona Świat znów się krwią zrumieni. Gdy północ wschodem będzie zagrożona W poczwórną jedność się zmieni.

8) Lecz na zachodzie nikczemnie zdradzony przez swego wyzwolenca. Złączon z kogutem dla lewka obrony Na tron wprowadzi młodzieńca.

9) Złamana siła mącieli świata Tym razem będzie na wieki. Rękę wyciągnie brat do swego brata, Wróg w kraj odejdzie daleki.

10) U wschodu słońca młot będzie złamany. Pożarem step jest objęty. Gdy orzeł z młotem zajmą cudze łany Nad rzeką w pień jest wycięty.

11) Bitna Białoruś, bujne Zaporozie, pod polskie dążą sztandary. Sięga nasz orzeł aż po Czarne Morze. Wracając na szlak swój stary.

12) Witebsk, Odessa, Kijów i Czerkasy, to Europy bastiony.

[11] A barbarzyńca aż po wieczne czasy Do Azji ujdzie strwożony.

13) Warszawa środkiem ustali się świata, lecz trzy są Polski stolice. Dalekie błota porzuci Azjata, a smok odnowi swe lice.

14) Niedźwiedź upadnie po drugiej wyprawie. Dunaj w przepychu znów tonie. A kiedy pokój nastąpi w Warszawie, Trzech królów poi w nim konie.

15) Trzy rzeki świata dadzą trzy korony pomoczańcowi z Krakowa. Cztery na krańcach sojusznice strony Przysięgi złożą mu słowa.

16) Węgier z Polakiem, gdy połączą dłonie. Trzy kraje razem z Rumunią.

Przy majestacie polskiego-tronie Wieczną połączą się unią.

17) A krymski Tatar gdy dojdzie do rzeki, choć wiary swojej nie zmienia, Polski potężnej uprosi opieki i wierna będzie ta ziemia.

18) Powstanie Polska od morza do morza. Czekajcie na to pół wieku. Chronić nas będzie stale łaska boża, więc cierp i módl się człowieku."

Przepisałem w Murnau, dn. 3 listopada 1942 r. [...]

9 listopada 1942 r. Sen. Dziś śniło mi się, że tworzyłem rząd polski. Koledzy nie chcieli się godzić na kandydatów na ministrów jednogłośnie. Mówili, że jedni byli za bardzo lewicowcy, a drudzy za bardzo narodowcy lub monarchiści. Jeden kandydat na ministra uzyskał zgodę wszystkich.

Sen: 10 listopad 1942 r. Byłem na wolności w wiosce niemieckiej koło Murnau. Rozmawiali ze mną kobiety, dzieci i mężczyźni, ale potajemnie jedni przed drugimi. Wystrzegali się jedni drugich. Często stawali mię jedzeniem. Byłem ubrany po oficersku. W ogródku układałem słomę pod oknem dla pozorów, że pracuję jako jeniec żołnierz. Jedna Niemka pytała mię się

w zaufaniu, czy można przejechać do Ameryki. I czy to prawda, że Niemcy wytopili wszystkie łodzie Amerykanom i Anglikom. Oświadczyłem jej, że to bajda niemiecka. Ja otrzymuję nawet paczki żywnościowe z Ameryki. Ona też niedowierzała gazetom niemieckim. Ma wyjechać do Ameryki. Już miała paszport. Sam dobrowolnie wróciłem do obozu. Wracając, chciałem ominąć dziecko siedzące na podłodze, ale nie znalazło się na przeprosinach. Więc Niemka powiedziała mi, że powinienem mu powiedzieć „Were bite”. I tu się przebudziłem rano. Było już po kawie. Sen wyraźny. Were - francuskie, bite niemieckie. Razem ma oznaczać „proszę zejść”. Ciekawy sen. Francuskiego nie znam.

Dnia 11 listopada 1942 r. otrzymałem paczkę od Ireny Myślakówny na nalepkę dodatkową z 6 września, która zawierała: bułka pszenna, ciastka i cukier. Świeża, dobra paczka. [...]

Dziś dnia 12 listopada otrzymałem paczkę od żony na trzecią nalepkę francuską wyslaną z Freisingu przez kol. Worwę, która zawierała: fasolę, suchary chlebowe, ciastka, powidła z zielonych pomidorów, szczołeczkę do zębów i proszek do zębów. Ładna. Nadana 26 października w Krasnosielcu. [...]

Dziś dnia 19 listopada 1942 r. wysłałem jeden portret własny namalowany przez Dyzia za przegranych 5200 papierosów w szachy. [...]

Sen. Dziś w nocy nad ranem dnia 28 miałem sen następujący: Byłem w Załogach nad stawkiem przy ogródku Chodkowskich Br. I Franusia. Obok mnie była moja mama niby z pierzyna czy też poszwą z pierzyny, którą puściła do wody. Woda w stawku była czysta. Pierzyna zaczęła szybko pływać wokół stawu pędzona wiatrem niby łódź motorowa. Wszedłem do wody, chwyciłem poszew i przyłożyłem ją kamieniami przy samym brzegu, by nie odplynęła na środek. Następnie sam popływałem po stawku mając małe czółenka. Było około 9 kaczek. Postraszyłem je. One dały nurka. Każdą wychodzącą spod wody uderzałem w wysuwający się dzióbek deską. One nurkowały dalej i zebrały się pod kamiennym płotkiem Franusiów Chodkowskich. Po drugiej stronie stawku pod Dominikami Chodkowskimi zauważyłem naszych generałów z generałem Thommée, który kazał krzyknąć mi „baczność”. Droga od Bobińskich i Marciniaków szła załaska straż ogniowa z orkiestrą i sztandarem na moje i generałów powitanie. Były i dziewczęta z kwiatami. Przebudziłem się. Było rano. Sen ten uważam za jakiś ważny, bo była i moja mama. Rzeczywiście dzisiejsze gazety w południe przyniosły nam wiadomość, że Niemcy zajęli Tulon. Była walka floty francuskiej z Niemcami.

Sen. Dziś dnia 29 listopada nad ranem śniła mi się znów mama. Byliśmy w domu w Szczeglinie. Przyszła kobieta po prośbie. Mama dawała jej kartofle z burakami czerwonymi. Byłem zdania, że mama jej za dużo nakładła na talerz. Ciekawe, że już drugą noc śni mi się mama.

Dziś nad ranem 1 grudnia 1942 r. śniło mi się, że byłem z Halinką moją w stodole na drągach. Trzymałem ją za rączkę. Drąg się ruszyły jej pod nogami i zaczęła spadać. Trzymałem ją silnie i przebudziłem się. Może to nawet była Danusia. Sen ten uważam za

niedobry.

Dziś dnia 2 grudnia 1942 r. otrzymałem paczkę nadaną w Makowie, która zawierała: kilka bułek plecionych, sucharków z chleba, 2 cebule, 1/4 kg masła, puszcza smalcu i pasta do zębów. Trochę spleśniały z wierzchu sucharki chleba, jakieś słodkie niby z burakami cukrowymi. Paczka święteczna. [...]

Dnia 5 grudnia 1942 roku była w obozie wielka ścisła rewizja całego obozu przeprowadzona przez wojsko, gestapowców i cywilów niemieckich w sile kilku kompanii. Zabrali nam moc rzeczy, a zwłaszcza wszelkie pisma, notatki itd. Moje bruliony były zabrane wszystkie wraz z niniejszym zeszytem, w którym piszę. Zwrócili mi to wszystko w kopercie dopiero 20 stycznia 1943 roku. Przez ten czas przerwy odpisy listów pisałem w Halinki zeszyty między wierszami, a jeden pierwszy odpis w zeszyty, gdzie przepisany klucz niemiecki. Teraz następne listy i notatki będę wpisywał dalej w tym zeszyty razem.

Dziś dnia 25 stycznia 1943 roku przed apelem rannym nadałem paczkę do domu zawierającą: 1 serwetka, 3 pary skarpet, 1 koszula nocna, 1 koszula ciepła, mały rozmiar, 1 kombinezon damski, 1 swetr ciepły biały w rodzaju koszuli, 4 ręczniki, 7 pustych torebek, 1 mydło do golenia, 1 mydło czerwone, 4 ołówki, 1 kaftan przechodzony od piżamy i jedną parę trzewików futbolowych zgodzonych od kol. Kwiecińskiego za 40 Mk, które niestety nie poszły, bo Niemcy je aresztowali (w wykazie były zapisane jako bućki poranne).

Dziś dnia 26 stycznia 1943 r. powyższa paczka odeszła. O buty starałem się u kpt. niemieckiego Pohla. Nie chciał przyjąć moich wyjaśnień. Butów nie oddał. Byłem w naszej kancelarii u adiutanta obozu i u p. płk. Kubickiego, jako głównego męża zaufania. Może je kiedyś dostanę. Teraz muszę jednak zapłacić 40 Mk koledze. Mimo wszystko cieszę się, że paczka poszła i że to, co poszło warte jest kilka razy więcej po 40 Mk, których żona nie dostanie. [...]

Dziś dnia 4 lutego 1943 r. lutego złożyłem egzamin z zoologii w zakresie W[yższego] K[ursu] Nauczycielskiego. [...]

Dziś dnia 12 lutego złożyłem egzamin z botaniki w zakresie Wyższego Kursu Nauczycielskiego przed komisją: 1) dyrektor Sokołowski; 2) profesor-doktor Wilczek; sekretarował prof. Zadrozny. Miałem 3 tematy: 1) rośliny zarodnikowe a kwiatowe; 2) byliny; 3) ks. Mendel Grzegorz¹³⁷. Zdałem¹³⁸.

Dziś dnia 16 lutego 1943 r. wysłałem nalepki Heni Makociowej w Szczeglinie. [...]

Dziś dnia 25 lutego otrzymałem paczkę od żony (druga styczniowa), która zawierała: placek z całej blachy, boczek i kawałek chleba. Dobra, bez pleśni.

Dziś dnia 2 marca 1943 r. wysłałem nalepkę do żony w Drądzewie.

¹³⁷ Gregor Johann Mendel, Grzegorz Mendel (1822-1884) - austriacki zakonnik, augustinianin, prekursor genetyki.

¹³⁸ W Murnau organizowano kursy nauczycielskie zaliczane po wojnie jako wyższe niepełne wykształcenie. Szerzej na ten temat w rozdziale V.

Dziś dnia 6 marca 1943 roku wysłałem czerwoną nalepkę bratu Teofilowi w Ameryce na adres: Brat Teofil Kocot, Stamford Conn. 42 Szadlow Place Anglia. W Anglii powinni przekreślić Anglię, a napisać USA.

Dziś dnia 8 marca nad ranem śnił mi się ks. Edmund Rzewnicki, który był u mnie w szkole w Drądzewie, gdzie byłem kierownikiem szkoły. On się o tym dowiedział i przyszedł w sutannie, ale tylko patrzył i nic nie mówił. Potem byłem niby w Szczeglinie, gdzie niosłem grochówkę z kotłem. Żalowałem, że nie wstawiłem kotła na wóz Myślakowi Stanisławowi, który był żywy i jechał na koniu. [...]

Dziś dnia 16 marca 1943 otrzymałem paczkę od żony na nalepkę z 1 lutego, która zawierała: boczek bułeczki i chleb trochę spleśniały. [...]

Dziś dnia 25 marca otrzymałem paczkę od żony na nalepkę wysłaną w liście.

Dziś dnia 28 marca 1943 r. wysłałem żonie nalepkę żywnościową 1 kwietnia.

Dziś dnia 31 marca 1943 r. otrzymałem paczkę od Heni ze Szczeglina, która zawierała: paczki (45 sztuk), chleb i kielbasę. Paczka bardzo dobra, tylko trochę było pleśni.

Dziś dnia 1 kwietnia 1943 r. otrzymałem paczkę od Dziuni Krzesińskiej, która zawierała: chleb duży, puszkę smalcu i kielbasę. Paczka bardzo dobra.

Dziś dnia 2 kwietnia nad ranem śnił mi się Edward. Jechaliśmy obaj na rowerach niby do Pułtuska przez wioski za Makowem. Oglądaliśmy gospodarstwa i spotykali ludzi.

Dziś dnia 4 kwietnia nad ranem śniło mi się, że byłem w domu wśród rodziny. Miałem w rękę krzyżyk, broszkę, pierścień, względnie medalik z kryształkiem. Gdy spojrzałem w kryształek zobaczyłem czerwonym drukiem pisane: „Koniec wojny 1943 r.” Dacie przyjrzałem się trzy razy. Wyraźnie widziałem 1943 r. Uradowany powiedziałem to obecnym. Wtedy dzieci, a zwłaszcza Danusia wołały: „Tatusiu i ja zobacze!” Nie dałem im do rąk, bo jeszcze chciałem zobaczyć dzień i miesiąc końca wojny. Gdy szukałem tego w szkiełku, przebudziłem się. Było rano. Koledzy pili już kawę. Sen ten upewnia mnie, że jednak w tym roku będzie koniec wojny z Niemcami.

Dziś dnia 5 kwietnia otrzymałem paczkę z Lyonu z Francji od p. Izabeli Krasieńskiej na nalepkę wysłaną 29 września 1943 r. Dobra. [...]

Dziś dnia 9 kwietnia otrzymałem paczkę od Zofii Bolander z Vichy z Francji (słabszą niż z Lyonu).

Dziś dnia 10 kwietnia wysłałem nalepkę do Lyonu do Francji na Izabelę Krasieńską, [dopisek na marginesie:] otrzymałem 16 VII 1943 r. [...]

Dziś dnia 17 kwietnia 1943 r. otrzymałem paczkę od żony, która zawierała: słoninę, kielbasę, ciastka, makaron i 18 jajek, dalsze sześć jajek były zbite oraz fotografię żony z Czarusiem i Halinką, a także drugą z Heniusiem Krzesińskim. O fotografii Heńka wiedziałem, a pierwsza była dla mnie wielką, miłą niespodzianką. Nalepka była nr 6 (druga marcowa).

Dziś dnia 19 kwietnia 1943 r. otrzymałem paczkę ze Szwajcarii, z Genewy, na nalepkę wysłaną 5 października 1942 r. Paczka zawierała: 2 czekolady 400 g, 3 torebki młeka w proszku, 2 puszki dzemu, 2 puszki fasoli

konserwowej, 1 puszka fasoli z konserwą mięsną, 1 puszka konserwy mięsnej. Dobra i droga paczka.

Dziś dnia 20 kwietnia nadałem Edwardowej 20 Mk, Heni 25 Mk, żonie 75 Mk i Halince na 9-te urodziny i imieniny 100 Mk. Mogłem tyle wpłacić, gdyż sprzedałem papierosy, 4 czekolady, 2 sery, 1 kielbasę, 2 biszkopty i 2 pierniki za 118 Mk, które wpłaciłem dziś do depozytu i zaraz nimi zadysponowałem. Mogłem to sprzedać, gdyż naprawdę obejdę się bez tego, tak mam dużo żywności. Pewnie, że zjadłbym wszystko, ale i tam trzeba im pomóc. [...]

Dziś dnia 27 kwietnia 1943 r. otrzymałem paczkę od żony, która zawierała: 2 kawałki słoniny, woreczek fasoli z 1 jajkiem całym, 3 zbite i wyschły, 1 puszkę miodu, torbę ciastek i fotografię Krysi, która tak wyrosła i się zmieniła w dorosłą panienkę, że [nie] poznałbym jej. (Pierwsza kwietniowa)

Prof. Bartłomiej Groch. 1937 Ks. Bronisław Markiewicz str. 122.

- 1) „Kiedy Wielkanoc przypadnie na świętego Marka¹³⁹,
I gdy wówczas kogut trzykrotnie zapieje,
Wtedy Germania się ucieszy (Niemcy katolickie)
Węgry się wyzwolą,
Italia powęźmie nowe postanowienie,
Turek Moskali porazi,
A polska będzie triumfowała.
Cały świat będzie wołał biada!” (To przepowiedział święty Waclaw)

Stara polska wizja:

- 2) „Gdy Wojciech Paschę poświęci,
Święty Antoni Zielonymi Świątkami,
A święty Jan Bożym Ciałem będą objęci¹⁴⁰
Świat cały wstrząśnie więzami!
Francja trzy razy zagrzmi.
Austrię wyjarzmi, Węgry wyzwoli,
Polskę dźwignie z niewoli.
Prusy się zachwieją,
Rosja zadrży i upadnie,
Turcy łzami się zaleją.
Papież całym światem zawładnie.”

Przepisałem powyższe przepowiednie w Murnau 27 kwietnia 1943 r. [...] Dziś dnia 16 maja 1943 r. wysłałem nalepkę żywnościową do Szwecji na adres: Zuzanna Przybyszewska, Sztokholm, Komandorsgasse 16/3 Schweden. [Powyżej dopisek:] Otrzymałem dnia 28 grudnia 1943 r., bardzo dobra: smalec, miód, 3 konserwy, rodzynki. [...]

Dziś dnia 31 maja 1943 r. otrzymałem paczkę od żony nadaną w Makowie na nalepkę z 1 maja r. bież., która zawierała 1 woreczek

z kaszą gryczaną, suchary chlebowe i 35 ciastek.

Dziś dnia 1 czerwca 1943 r. wysłałem nalepkę żywnościową do Vichy na ręce Zofii Bolander (1 czerwca). [Poniżej dopisek:] Otrzymałem dnia 6 września 1943 r. [...]

Dziś dnia 4 czerwca 1943 r. obciąłem włosy na zero. Kiedy odrosną będą chyba w domu. Anglosasi bombardują Pantelarię¹⁴¹.

Dziś z 5-go na 6 czerwca miałem służbę w bloku, drugi raz.

Dziś dnia 7 czerwca 1943 r. otrzymałem kartkę od Wacława Szewczaka z USA, odpowiedź na kartkę z 9 grudnia 1942 r. Ciekawe, że od mojej rodziny dawniejszych kartek nie otrzymałem.

Dziś dnia 7 czerwca wyfasowałem angielską bluzę krótką.

Dziś dnia 9 czerwca r. bież. otrzymałem od żony paczkę zawierającą: kawałek słoniny, kielbasę, suchary chlebowe, ciastka, makaron, puszkę z miodem i 2 lusterka do golienia (jedno oddałem kol. Chrzęzanowskiemu, któremu zbiłem).

Dziś w Zielone Świątki dnia 14 czerwca 1943 r. wysłałem nalepkę żonie.

Dziś dnia 2 lipca 1943 r. z bloku G przeprowadziliśmy się do A na strych południe. [...]

Dziś dnia 5 lipca rozeszła się wieść smutna dla nas, o tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego, premiera polskiego rządu w Londynie¹⁴². Na drugi dzień gazety niemieckie potwierdziły tę wiadomość. Wł. Sikorski zginął w katastrofie lotniczej w 4 minuty po wystartowaniu z Gibraltaru. Z Sikorskim zginął jego córka Leśniowska¹⁴³, szef sztabu gen. Klimecki¹⁴⁴, 3 pułkowników, 1 adiutant, sekretarz osobisty Sikorskiego, drugi pilot angielski uratował się spadochronem (śmierć ta wygląda na sabotaż ze strony Anglików i bolszewików [według Niemców]¹⁴⁵. [...]

Dziś dnia 14 lipca przeniosłem się ze strychu IV południe na parter na salę Nr 31 z Pazikiem.

Dziś dnia 16 lipca 1943 r. otrzymałem paczkę z Lyonu na nalepkę z 10 kwietnia 1943 r., która zawierała: mydło, 1 paczkę tytoniu, 1 papierosy, 1 piernik, 2 magi duże, cukier, groch, makaron. Mąkę grochową, 2 czekolady 1/2 kg i pierniczki. [...]

Dziś dnia 28 lipca 1943 r. otrzymałem paczkę od żony (druga czerwcową) z sucharami, smalcem i fotografią Melci.

Dziś dnia 2 sierpnia 1943 r. wysłałem nalepkę żywnościową do Lyonu na Izabelę Krasieńską.

Dziś dnia 11 sierpnia 1943 r. otrzymałem

¹⁴¹ Pantellaria - wyspa włoska między Sycylią a Tunezją.

¹⁴² General Władysław Sikorski zginął 4 lipca 1943 w niejasnych okolicznościach w Gibraltarze.

¹⁴³ Zofia Leśniowska (1917-1943). Ciało córki gen. Sikorskiego po katastrofie nie odnaleziono.

¹⁴⁴ General Tadeusz Apolinary Klimecki (1895-1943).

¹⁴⁵ Autor trafnie i niemal na bieżąco skonstatował do dziś nie do końca wyjaśnione okoliczności katastrofy w Gibraltarze.

paczkę od żony (pierwsza lipcowa), która zawierała: suchary chlebowe czarne i białe, 1 puszkę z miodem (1 litr), 1 małą puszkę z powidłami z truskawek.

Dziś dnia 14 sierpnia nadałem nalepkę do żony (druga sierpniowa). [...]

Dziś dnia 17 sierpnia 1943 r. otrzymałem paczkę (druga lipcowa) zawierającą: sucharki chlebowe, ciastka, miód, 1 jajko (reszta była potłuczona) oraz fotografię żony z Halinką w stroju jak była u generalnej komunii św.

18 sierpnia 1943 r. Same dobre wiadomości dziś: 1) Czarus ukończył dziś 14 lat. 2) Sycylia padła. 3) Dziś dali nam pierwszy raz młode ziemniaki. Stare skończyli nam dawać z dniem 16 sierpnia 1943 r. [...]

Dziś dnia 30 sierpnia wysłałem nalepkę do Lyonu na Izabelę Krasieńską. [Poniżej dopisek] Otrzymałem 27 grudnia: była licha i zniszczona, niecała.

Pismo do przewodniczącego komisji egzaminacyjnej WKN: Ppor. Kocot Władysław, Oflag. VII A Blok Al. 31. Dnia 31 sierpnia 1943 r. Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej Wyższego Kursu Nauczycielskiego przy Kursie Nauczycielskim w Oficerskim Obozie Jeńców Wojennych w Murnau.

Podanie. Niniejszym uprzejmie proszę o dopuszczenie mnie do egzaminu w zakresie grupy B (geografia) Wyższego Kursu Nauczycielskiego w terminie jesiennym 1943 roku. Grupę A (przedmioty pedagogiczne) i naukę o Polsce Współczesnej mam ukończone przed wojną w Zamościu w 1928 roku, a odpowiednio zaświadczenie jest w domu. Urodziłem się 15 lipca 1900 r. we wsi Szcze-glin Poduchowny, gm. Sypniewo, pow. Maków Mazowiecki woj. warszawskie. Szkołę powszechną rosyjską ukończyłem w 1915 r. w Sypniewie, Preparandę Nauczycielską w 1918 r. w Pułtusk, Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Pułtusk w 1923 r., trymestr WKN w Zamościu w 1928 r. oraz zoologię i botanikę w zakresie WKN ukończyłem wiosną 1943 roku tu w obozie. Egzamin praktyczny mnie jeszcze nie obowiązywał. Od 1 lipca 1923 r. do 15 września 1928 roku byłem kier. czteroklasowej publicznej szkoły powszechnej w Chodkowo-Załogi, gm. Płoniawy, a od 16 września 1928 roku do 31 sierpnia 1939 r. stałem nauczycielem pięcioklasowej pub. szk. powsz. w Drążdżewie, gm. Krasnosielc. Razem mam 16 lat pracy nauczycielskiej. Mam żonę i troje dzieci. Ppor. Władysław Kocot.

Przerobiona lektura: 1) Nałkowski: „Geografia fizyczna”; 2) Lewiński: „Życie ziemi”; 3) Friedberg: „Zasady geologii”; 4) St. Pawłowski: „Geografia dla klas wyższych, 1.1: Geografia ogólna”; 5) St. Pawłowski: „Geografia dla klas wyższych, t. II: Kraje i morza europejskie”; 6) St. Pawłowski: „Geografia dla klas wyższych, t. III: Kraje i morza pozaeuropejskie”; 7) St. Konikiewicz: „Mineralogia”; 8) St. Lencewicz: „Geografia Polski”; 9) St. Srokowski: „Geografia gospodarcza (ogólna)”; 10) St. Srokowski: „Geografia gospodarcza Polski”; 11) R. Brann: „Mineralogie”; 12) Bruhns-Ramdohr: „Petrographie”. [W rogu kartki dopisek:] Jak wyżej w dniu 11 listopada 1943 r., będąc na izbie chorych złożyłem nowe podanie

o dopuszczenie mnie do egzaminu z fizyki i chemii, który miał być około 20 listopada. Będę składał, o ile nie wyjadę do Freisingu na ucho.

Dziś dnia 4 września gazety ogłosiły, że Anglosasi lądują na bucie Włoch¹⁴⁶. [...]

Dziś dnia 6 września 1943 r. otrzymałem paczkę z Vichy z Francji na nalepkę z 1 czerwca 43 r. zawierającą: 1/2 kg cukru, 1,4 kg kakao, piernik, sucharki, 1/4 kg czekolady, dżem, makaron, groch, mąka, zupa, 3 paczki papierosów (60 sztuk).

W nocy z 6 na 7 września był straszliwy nalot na Monachium, aż szyby drżały.

Dziś dnia 8 września 1943 r. wymieniłem kalesony stare wojskowe na nowe niemieckie w magazynie. Dziś dnia 8 września 1943 r. otrzymałem paczkę amerykańską różną: 11/2 paczki kakao, grysik, płatki, 1 mydło, 2 buliony magi, 1 czekolada.

Dziś dnia 8 września 1943 r. otrzymałem 1/2 paczki amerykańskiej. 21 kolejka: 1/2 puszki mleka, 1/2 czekolady, 50 papier., 1 mydełko, rodzynki, 3 konserwy, łosoś, sucharki, ser, margarynę.

Dziś rano 9 września 1943 r. rozeszła się wieść w obozie, iż Włochy kapitulowały. Kilku kolegów mieli czytać to w gazecie w budynku komendy u obsługi niemieckiej. Ponieważ gazety dzisiaj nie przyszły - Völkischer Beobachter¹⁴⁷, więc ogół kolegów wierzy, że to jest prawda, ale się niecierpliwi i czeka do jutra. Sam słyszałem w izbie chorych jak jeden porucznik mówił do generała Abrahama¹⁴⁸ „sam czytałem: generał Badolio¹⁴⁹ wysłał prośbę do generała Ajzenchawera (angielskiego)¹⁵⁰ o przyjęcie kapitulacji bezwzględnej włoskich oddziałów. Generał angielski kapitulację takową przyjął. Zawieszenie broni włoskiej było już 3 września, a kapitulacja 8 września wieczorem”. Przypisek mój: to dziwne, że mimo zawieszenia broni między Włochami a Anglikami, a gazety niemieckie podawały komunikaty wojenne swoje i włoskie do 8 września włącznie. Ciekawy jestem co jutrzejsza prasa przyniesie nam. W każdym razie jest to duża oznaka, że wojna się kończy w tym roku.

Dziś 10 września przyszły gazety i rzeczywiście prawda. Musolina¹⁵¹ związano

jak barana i wysłano na jakąś wyspę. Włochy zdradziły Niemców. Kapitulowały 8 września na rzecz Anglików.

Dziś dnia 11 września 1943 r. po apelu zdałem egzamin z administracji na kierownika szkoły przed komisją 2 inspektorów szkolnych: Szczerbickiego i dyr. Borowieckiego. Zdawało nas sześciu. Zdali wszyscy.

Dziś dnia 12 września wysłałem nalepkę do Vichy we Francji na Zofię Bolander. [Powyżej dopisek:] Otrzymałem 27 grudnia 1943 r. jako świąteczną. Bardzo dobra. [...]

Dziś dnia 13 września 43 zabolalo mię znów ucho: był pierwszy wyciek po 1 roku i 2 miesiącach. [...]

Dziś dnia 24 września 1943 r. od godz. 15 do 18 zdawałem egzamin pisemny z geografii na temat: „wpływ lodowca na rzeźbę kraju” Zapiisałem 2 1/2 strony arkusza. W komisji egzaminacyjnej zasiadali: generał Piekarski, ppłk. Kowalski, dyr. Borowiecki, prof. Bilewicz, Boczar, Stańko - wykładowcy, Wygocki i Ługowski. Zadowolony byłem z tematu.

Dziś dnia 28 września 1943 gazety podały o opuszczeniu Smoleńska przez Niemców.

Dziś dnia 29 września wysłałem nalepkę żywnościową do Lyonu na Izabelę Krasieńską.

Dziś w nocy z 2 na 3 października. 1943 r. Anglicy nalecieli silnie na Monachium i okolice. Wielkie straty. [...]

Dziś dnia 6 października 1943 roku składałem egzamin ustny z geografii WKN przed komisją: generał Piekarski, ppłk. Kowalski, profesorowie: por. Borowiecki jako przewodniczący (dyrektor gimnazjum), Boczar, Stańko, Wygocki. Miałem tematy: 1) mapa, podziałka, siatka kartograficzna. 2) Ruchy ziemi i ich znaczenie. 3) Położenie Polski, obszar, granice. 4) Ukształtowanie pionowe. 5) Budowa geologiczna i gleby Polski. 6) Europa Wschodnia (Rosja). Odpowiadałem bez przygotowania na wszystkie pytania. Trochę mi pomieszał generał Piekarski o ruchu ziemi, szerokości geograficznej i monsunach, pasatach i prądach. Po mnie odpowiadał kol. Czajkowski Jan. Po małej przerwie, w czasie której wyszliśmy, postawiono nam stopnie i po zawołaniu nas odczytano je nam. Ja dostałem z pracy pisemnej i dziś ustnej stopień dobry. Kol. Czajkowski dostateczny. [...]

Murnau dnia 23 października 1943 r. Choroba ucha znów powróciła. Widać nadziębilem się i miałem katar. Dr laryngolog mjr Bronikowski przeładowany pracą zlekceważył chorobę, nie starał się ucha szybko zobaczyć. Gdy byłem u niego rano, wcale do ucha nie zaglądał, tłumacząc się, że światła mu brak. W obiad znów widać brał mię za kogo innego, bo mię łąjał, że nie przychodzę mu regularnie. Gdy tymczasem stawałem mu się zawsze na rozkaz. Zresztą gdy byłem u niego, to zamiast przypatrzeć się w ucho dobrze i szukać rady, to on zajrzał od niechcienia, dmuchnął proszkiem, włożył trochę waty i już kazał uciekać. Nawet nie zobaczył, czy wypadło co tam proszku. W ogóle mię zbywał. A dnia 21 października posmarował w nosie jakimś smarowidłem, kazał się napić wody, włożyć do ucha gumowy wężyk, a sam gruszką gumową wpędał mi powietrza do nosa przez trzy razy. Ten zabieg jego wybitnie pogorszył mi chorobę, bo zwiększył się wyciek i ból głowy, a w nocy z 22 na 23 nawet zbierało

¹⁴⁶ Wojska alianckie (brytyjskie) lądowały w Kalabrii w ramach operacji „Baytown” 3 września 1943 r.

¹⁴⁷ Gazeta niemiecka, od 1920 r. organ prasowy NSDAP, ukazywała się do 30 kwietnia 1945 r.

¹⁴⁸ Roman Józef Abraham (1891-1976) – generał brygady WP, dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii podczas wojny obronnej 1939 r. W niewoli przebywał w oflagach: Krotoszyn, Königstein IV B, Johannisbrunn VIII E i Murnau VII A.

¹⁴⁹ Pietra Badolio (1871-1956) – włoski wojskowy i polityk, objął stanowisko premiera Włoch po zdymisjonowaniu Benito Mussoliniego, 3 września podpisał, a 8 września oficjalnie ogłosił kapitulację Włoch.

¹⁵⁰ Dwight David Eisenhower (1890-1969) – generał armii amerykańskiej dowodzący w Europie, następnie 34. prezydent USA.

¹⁵¹ Chodzi oczywiście o Mussoliniego.

mi się na wymioty, zaś dnia 23 po południu znów łąał mię, że nie przychodzę. Gdy mu odpowiedziałem, że chodzę tak jak mi każe, to odpowiedział, że to nieprawda. (Widać dziad mi nie poznaje). Jednocześnie oświadczył mi, że jedynym wyjściem jest operacja, gdzie grozi całkowita utrata słuchu oraz nie gwarantuje za powodzenie operacji. Dopiero gdy mu oświadczyłem, że we Freisingu zaleczyli mi ucho przez waciki i wlewanie spirytusu salicylowego, to dopiero wtedy napisał mi receptę. Kazał przyjść z nią 25 października o godz. 14:30 do Niemca z butelką i 5 Mk, gdyż on w izbie chorych spirytusu salicylowego nie ma. Mógłby być to od razu mi dać, nie aż choroba ucha się zaostrzyła i rozszerzyła. A może spowodował to sędzia Dąbrowski, któremu się poskarżyłem przedwczoraj. W każdym razie choroba ucha znów mię martwi na dobre. [...]

Dziś dnia 23 listopada nadałem Danusi 55 Mk, a wszystkim paczkę zawierającą: 2 koszule nowe (zielona i niebieska w paski), 1 ciepłe kałesony nowe (kupione we Freisingu od Włocha za 150 papierosów angielskich), 1 kombinezon (przechodzony przeze mnie), 1 ręcznik przechodzony, 1 chusteczka nowa, 4 czekolady amerykańskie i 2 kawałki czekolady francuskiej, 1 mydelko do golenia, 1 mydelko amerykańskie i 1 torebka rodzynek. Przesyłka kosztowała 100 papierosów angielskich. Pudełko i sznury dał mi Edmund, który też miał paczkę przez kogoś wysłać. Miała odejść natychmiast ekspresem. [...]

Dziś dnia 7 grudnia 1943 r. wiadomym tylko mnie sposobem przesłałem do Freisinga 380 papierosów (angielskich 300 i 80 francuskich) kol. Kosznikowi, który miał załatwić nimi moje długi z pobytu w szpitalu oraz wysłać paczuszkę żonie, która powinna zawierać: 1 koc lotniczy włoski kupiony od Włocha za 270 papierosów (wielki, ciepły i piękny koc, nadaje się nawet na palta dla dziewczynek lub na jesionkę dla żony), 13 mydeł różnej wielkości amerykańskie i angielskie, 1 para pantofli moich oraz 1 ręcznik nowy. Paczuszka prawdopodobnie będzie nadana dziś 8 grudnia, chyba że przed świętami naprawdę nie będą przyjmowali paczek na pocztę. Wtedy będzie gorzej. Gdyby obie paczuszki doszły byłyby wielkim skarbem dla rodziny mojej. [...]

Dziś dnia 27 grudnia otrzymałem 2 paczki z Francji: Vichy i Lyonu a 28 grudnia otrzymałem szwedzką ze Sztokholmu. Szwedzka i świąteczna z Vichy były bardzo dobre. [...]

Dziś dnia 3 stycznia 1944 r. otrzymałem paczkę z domu: chleb, opłatek, smalec, cebulę, makaron. [...]

Dziś dnia 25 kwietnia 1944 r. otrzymałem paczkę z domu nadaną 15 marca: boczek, polędwica, 3 jajka, cebula i bułki z ciastkami; była mocno spleśniała, a tylko jajko pisanka Danusi była cała i nadawała się do zjedzenia.

Dziś dnia 29 kwietnia wysłałem nalepkę żywnościową do Genewy. [Obok dopisek:] Otrzymałem 1 marca 1945 r. kanadyjską.

Dziś 2 maja 1944 r. otrzymałem paczkę z Miechowa: białe suchary, słoninę i cukier; raz. 5 kg.

Dziś dnia 3 maja 1944 r. otrzymałem 1/2 paczki egipskiej z kolejką szczęścia: miód, daktyl, dżem, masło, konserwa.

Dziś dnia 13 maja 1944 r. wysłałem nalepkę

żywnościową na adres: Com-mittee of Aid for Polish Prisoners of War, Jerusalem P.O. Box 1010 Palestyna.

Dziś dnia 14 czerwca wysłałem nalepkę żywnościową do Lyonu na ręce I. Krasieńskiej. Mme Szczeniowska Sybilla, Cairo, 30 Sh. Monsour, Egipt. Wysłałem nalepkę 31 VII 1944 r. Wysłałem na śmiech, gdyż nie wierzę, abym ją otrzymał. Wojna się kończy.

Notatka z 21 września 1944 r. z Murnau

Dziś po apelu popołudniowym o godz. 16 zostałem wezwany do oficera obozowego w NKO. Zgłosiłem się u niego z adiutantem obozu kpt. Miodowskim, który był jako tłumacz. Niemiecki oficer obozu odczytał mi treść pisma, a adiutant Miodowski przetłumaczył mi na polski następująco: Na skutek mojego podania wysłanego do Komendy Policji w Makowie Komenda Policji (Gestapo) w Płocku zawiadamia. Pietrusiński Benjamin, pracownik Urzędu Gminy Krasnosielc na skutek wrogięgo ustosunkowania się do państwa niemieckiego został przez policję 9 marca 1944 r. aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym Mathausen. Benjamin Pietrusiński ur. 7 lipca 1906 r. w Goszczynie z matki Franciszki z Białkowskich.

Dnia 13 stycznia 1945 r. wysłałem nalepkę do Szwecji do Zuzanny Przybyszewskiej

Dnia 31 stycznia 1945 r. wysłałem nalepkę do Szwecji na ręce Zuzanny Przybyszewskiej

Adresy paczkowe:

London S.W.I. 34 Belgrave Square
Czerwińska Janina Madame Zofia Szumieńska
Lisboa Rua R. da Fonseca 49
Janina Rychewiczowa Istambul Ayas-Pasa 26/8
Turquie - Turkei Krasieńska Izabela Mme Lyon 8 Tete d,or France

Zofia Bolander Vichy Hotel de Seville
France Maria Czapelska Lisboa Rua Rodrigo da Fonseca 49/1 Portugal
Comité Internationale de la Croix Rouge Agence Centrale des Prisonniers de Guerre, Genève, La Suisse (Schweitz)

Adres do Bejrutu: Comité d'Aide aux Prisonniers de Guerre Polonais Beyrouth (Liban) B.P. 689.

Mme Janina Rychlewicz Le Caire 34 Avenue de la Reine Nazli Egipte 10. Mme Krajewska Krystyna Colis du Prisonnier, 18 Rue Fonad I. Ale-xandria Egipte

Przeczytane książki:

„Nasi za granicą” N.A. Lejkin - czerwiec 1942 r. Murnau „Życie Warszawiaków (sprawy kryminalne)” Wiecha - 15 lipiec 1942 r. Freising

„Zew krwi” Jack London -16 lipiec 1942 r. Freising „Pod smaganiem Samumu” F.A Ossendowski -17 lipiec 1942 r. Freising „Zwyczajnie towarzyskie w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte” - 19 lipiec 1942 r. Freising.

„Pamiętnik Mikołaja II-go od 1890-1917 r.” 514 stronik. Dnia z 16 na 17 lipca 1918 roku wymordowanie rodziny carskiej przez Jurowskiego i 9 czekistów w Ekaterynburgu¹⁵² w domu Ipatiewa - 22 lipiec 1942 Freising

„Dwie kobiety” - 24 sierpień 1942 r. izba chorych Murnau (grypa) „Opowieść o dwóch miastach” - 27 sierp. 1942 r. Karol Dickens, Murnau „Opuszczeni” W.J. Locke - 186 str. 28

¹⁵² Jekaterynburg.

sierpień 1942 r. izba chorych Murnau (grypa) „Wojowniczy duch” Pearl S. Buck - 273 stronice 30 sierpień 1942 r. Murnau, izba chorych, grypa.

„Ludzie stamtąd” Maria Dąbrowska. Cykl opowieści - 244 str. dnia 2 września 1942 r.

„Romans na wsi” Zdzisław Kłeszczyński - 150 str. Murnau 5 września 1942 r.

„Ameryka nieznaną” I. Ilf i E. Pietrow 1935 - 160 str. „Tajemnicze krainy” Conan Doyle - 2 tomy, 152 i 140 stronice.

Epilog

W dniu 29 kwietnia 1945 roku obóz w Murnau został wyzwolony przez wojska amerykańskie:

Na szosie zobaczyłem pędzące trzy ciemne samochody osobowe. Gdy pierwszy samochód zbliżał się do bramy wieży wartowniczej i zaczął hamować, czołg amerykański oddał kilka strzałów do samochodu. Najpierw ostrzelano samochód ostatni, potem środkowy i pierwszy. Ostatni samochód zatrzymał się i zaczęli z niego wyskakiwać Niemcy - jedni padali do rowów, a inni uciekali w stronę Murnau. Zaś z pierwszego samochodu wychylił się niemiecki oficer i oddał strzał z pistoletu. Jednocześnie sam zwałił się na ziemię. Był ciężko ranny. Nikt nie pośpieszył mu z pomocą. Leżał w odległości 8 kroków ode mnie.

Okazało się, że strzał z pistoletu ugodził naszego komendanta obozowego, kpt. Pohla. Stało się to podczas przekazywania władzy polskiemu podpułkownikowi. Polscy lekarze zanieśli kpt. Pohla na izbę chorych i tam się nim opiekowali. Żołnierz amerykański, opuściwszy czołg, z pistoletem w ręku zbliżył się do rannego niemieckiego oficera. Mały Amerykanin, ujrawszy czerwone kłapy oficera, nie namyślając się, przybliżył pistolet do głowy Niemca i strzelił. Odpiął zegarek, zdjął z palców pierścienie, a po odpięciu płaszcz, wyciągnął portfel i odszedł do swojego czołgu.

[Tego samego dnia jeńcy dowiedzieli się, że ostatni komendant kpt. Pohl nie był ich wrogiem. Należał do angielskiego wywiadu]:

Kapitan Pohl wkrótce wyzdrowiał. Był ranny w szyję od kuli wystrzelonej z pistoletu przez niemieckiego oficera. Ten oficer od trzech dni czekał ze swoimi SS-manami na nasze przybycie w dolinę po swoją śmierć. Komendant obozu, kpt. Pohl zwlekał z naszym wymarszem w góry. No i tylko przypadek zrzucił, że wszyscy ocaleli. Kpt. Pohl i czołg amerykański uratowali nam życie. Kpt. Pohl był prawdziwym opiekunem jeńców.

[Następne miesiące spędził Władysław Kocot nadal w Murnau]:

Nikt nas nie wzywał do powrotu. Dla nas Polaków było to bardzo przykre. Wszak to my - oficerowie, podoficerowie, żołnierze Wojska Polskiego pierwsi podnieśliśmy rękawicę rzuconą nam przez Hitlera i Stalina i stanęliśmy do walki zbrojnej na śmierć i życie. A po kapitulacji Warszawy i Modlina dostaliśmy się do niemieckiej niewoli. Za nasze bohaterskie walki w obronie Polski w 1939.

Władysław Kocot



Ziemia o ludzkiej twarzy

Krasnosielczanin pośród romantyków i pozytywistów

Artur ZYGMUNTOWICZ

Wprowadzenie

W 1999 roku magazyn „Podróże” ogłosił konkurs „Podróżnik roku 2000” w trzech kategoriach: Polska, Europa i Świat. Do konkursu można było zgłaszać swoje teksty, zdjęcia, wspomnienia. Jury konkursu stanowili wybitni przedstawiciele związani z tematyką podróży - Elżbieta Dzikowska, Tomasz Tomaszewski, Beata Pawlikowska i Ryszard Kapuściński. Do ścisłego finału dostał się wtedy, ze swoim reportażem z Puszczy Knyszyńskiej Artur Zygmuntowicz, absolwent dziennikarstwa Wyższej Szkoły Dziennikarskiej imienia Melchiora Wańkowicza w Warszawie, rdzenny krasnosielczanin, mieszkający obecnie we Wrocławiu. Ze względu na ciekawe podejście do kwestii ochrony zasobów naturalnych dzikiego rysia w lasach białostockich był zapraszany do programów telewizyjnych i radiowych, w tym do prowadzonego przez Beatę Pawlikowską w radiu Zet programu „Świat według blondynki”. Po piętnastu latach Artur Zygmuntowicz wraca do reportażu. Mówi że już na stałe.

Twierdzi, że jeszcze nie jest podróżnikiem, ale na pewno już nie jest turystą. W roku 2003 przejechał samotnie autostopem przez całe Stany Zjednoczone, zaczynając w Tucson, wzdłuż południowej granicy USA, a następnie na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża do Nowego Jorku. Wernisaż wystawy zdjęć z podróży zorganizował prowokacyjnie na prowincji, w niewielkim ale wyjątkowym Tykocinie (kręcono tam film „U Pana Boga za piecem”), chcąc pokazać, że wielki ośrodek miejski nie jest warunkiem sukcesu. Impreza przeszła wszelkie oczekiwania, na wernisażu zjawili się tyle osób, że w centrum Tykocina (ogromny plac) i na przylegających uliczkach zabrakło miejsc parkingowych, co odnotowały z dumą białostockie media.

Pytany o najciekawszą podróż bez zastanowienia wymienia rok 1990 i podróż do Kazachstanu w czasie protestów w Alma Acie, tuż przed uzyskaniem przez Kazachstan niepodległości. Przez pewien okres zajmował się wystawiennictwem, między innymi podróżował po Polsce z kontrowersyjną wystawą najbardziej prowokacyjnych rysunków satyryka Andrzeja Mleczki.

Jest miłośnikiem Czech, czeskiej literatury, kina i piosenki literackiej. Zagorzały fan twórczości barda Jaromira Nohavicy. Republikę Czeską przejechał kilkakrotnie wzdłuż i wszerz. Rowery. Czechy, Gruzję i Węgry uważa za najlepsze destynacje na samodzielne wyprawy, z pominięciem biur podróży.

Na co dzień, od ponad dwudziestu lat pracuje w firmach farmaceutycznych. W związku z miejscem pochodzenia ma tylko jedno marzenie – chciałby, aby Krasnosielec doczekał się cyklicznego, tłumnie odwiedzanego przez gości z całego kraju Festiwalu Filmowego.

Stawomir Rutkowski



Stuposiany
Ustrzyki Dolne
Przemyśl
Lubaczów
Zwierzyniec
Krasnystaw
Włodawa
Terespol
Borsuki
Korczew
Drohiczyn
Bielsk Podlaski
Białystok
Korycin
Suchowola
Gabowe Grądy
Augustów

Rozdział I. Cisza i ciemność

Część 1 „Cisza”

rzadko. Albo wcale. W wielu domach noma jest, że cały dzień gra radio lub telewizor, nawet gdy nikt nie śledzi programu. Narkotyk ten uzależnia równie mocno jak inne, chociaż nie upadła i przez to wydaje się nieszkodliwy. Jestem jednym z uzależnionych od hałasu.



Fragment wystawy stałej w Kinie Konkret, w tym m.in. jedyna ocalała tablica informacyjna oraz oryginalne podkowy, uprzęż i tabliczki z imionami koni.

„Wpadnij wieczorem to pogadamy”- to zdanie wypowiedziane jest codziennie przez miliony ust. Słyszeliście je Państwo w tej lub innej wersji setki razy. Prawda?

A czy zdarza się Państwu mówić: „Przyjdź wieczorem to pomilczymy” albo: „Przyjdź w sobotę to posiedzimy w ciszy”? Pewnie

Z racji pracy zawodowej przez wiele lat zmuszony byłem korzystać z hoteli i pierwszą rzeczą po wejściu do pokoju było zawsze włączenie telewizora lub radia. Uciekałem przed ciszą. Wielu ludzi tak jak ja, nie lubi ciszy, a przywołując związane z nią skojarzenia stwierdza, że więcej jest tych negatywnych.

Mówi się o „ciszy przed burzą”, o „martwej” czy „głuchej” ciszy, o „grobowej” czy „niezręcznej”, a nawet o „krzyku ciszy”! Zdecydowana większość unika ciszy - może poza nauczycielami (złóżcie wizytę w którejkolwiek szkole podstawowej w czasie przerwy między lekcjami a zrozumiecie o co mi chodzi), czy innymi ludźmi narażonymi w pracy na nadmiar decybeli. Ale zauważcie Państwo, że potrzeba tej ciszy, zwanej często „ciszą błogą” wynika ze zmęczenia, ze znużenia hałasem, dźwiękami i szumem. „Potrzebuję chwili ciszy” możemy usłyszeć, a jest z tym pragnieniem spokoju podobnie jak z dotkliwym głodem - chcemy zjeść cokolwiek aby się nasycić, a nie aby dopieścić podniebienie wyrafinowanym smakiem wyszukanej potrawy. Powtórzmy to zdanie jeszcze raz, tym razem z odpowiednim akcentem:

„Potrzebuję chwil ciszy”...

Potrzebujemy jej niewiele, na moment, na chwilę, tylko po to aby odpocząć i znów wrócić do świata hałasu, który jest naszym naturalnym środowiskiem. Podobnie jak z urlopem, który może być i udany i miły, ale jest jedynie odskocznią od naturalnej codzienności wypełnionej pracą. Mamy z ciszą kontakt sporadyczny, zdawkowy i jest to często cisza niepełna i warunkowa, stworzona przez okoliczności, a czasem wynikająca z niepisanej umowy, że są miejsca jak świątynie, las czy apteka, gdzie należy zachowywać się ciszej niż gdzie indziej. Ale mamy jednocześnie świadomość, że Cisza może być inna, naturalna, niekrępująca i przyjemna, że nie musi być tylko lekiem na hałas, na zmęczenie, na zgiełk. Istnieje gdzieś Cisza taka, która nie musi nas koić, leczyć, reanimować, ani też nie jest ani martwa, ani głucha. Po prostu jest i może być z nią naszej duszy po drodze. Słyszeliście Państwo o kompozycji „4'33”” Johna Cage'a? Utwór ten składa się z samej ciszy. Pełna orkiestra zasiada na scenie, stroi instrumenty, zgłasza gotowość, a gdy dyrygent daje batutą znać, zapada cisza na cztery minuty i trzydzieści trzy sekundy. Muzycy siedzą w bezruchu i patrzą na dyrygenta. A potem publiczność bije brawa. Wyglądać to może z pozoru na awangardowy performance, ale mijają lata i utwór jest ciągle wykonywany przy pełnych salach. Sądzę, że z powodu tęsknoty za Ciszą. Tą prawdziwą. Pisana wielką literą. Być może udało się Państwu ją znaleźć. A jeśli nie, to śpieszę z podpowiedzią gdzie jej szukać.

W środku Bieszczad, w dolinie potoku Głębokiego i nieopodal jego ujścia do Sanu leży wieś Zatwarnica. Spytajcie o były park konny i Kino „Końkret”. O kinie za chwilę, ale wróćmy do Ciszy. Do Zatwarnicy z Sanoka dowiózł nas autem (plus rowery i sakwy) teść Daniela. Zaparkowaliśmy naprzeciw kina i zaczęliśmy wypakowywać rowery - ot nic niezwykłego. Wcześniej, w aucie prowadziliśmy normalną rozmowę przetykaną męskimi dowcipami różnego lotu, które śmieszają facetów zwłaszcza wtedy gdy obok nie ma kobiet. Było wesoło i dość hałaśliwie. Po wyjściu z auta rozejrzeliśmy się dookoła. Pogoda była wymarzona - niebo błękitne, roślinność wiosennie zielona, powietrze rześkie, choć nieruchome. I wtedy do mnie to



Kino Konkret – nie kłuje reklamą. - tablica z repertuarem.



Kino Końkret podczas seansu specjalne, na ekranie film dokumentalny o ostatnim parku konnym w Bieszczadach. Od lewej: Jarosław Kleinert i Danie Przychodzień – towarzysze podróży z pierwszych trzech dni trasy.



dotarło. Popatrzyłem na Jarka i Daniela. Nic nie mówią, troczyli sakwy do rowerów. Zaraz potem podziękowali teściowi za przywiezienie i zrobili to obaj podobnie - spokojnym, jakby ściszym głosem. Całkowicie nieświadomie dostroili się do panującej wokół Cisy. Ja również uściślałem dłoń naszemu kierowcy i podziękowałem za podwiezienie. Przeprowadziliśmy rowery na drugą stronę drogi, zaparkowaliśmy je opierając o ścianę. Drzwi do Kina były otwarte. Zauważyłem gospodarzy zanim oni zauważyli mnie. W środku było jeszcze ciszej niż na zewnątrz.

Cisza w Kinie okazała się jeszcze bardziej intensywną, wyczuwalną, zauważalną i wręcz dającą się dotknąć. To był mój pierwszy w życiu kontakt z Ciszą przez wielkie C. I tu wydarzyło się coś niezwykłego - ja, znany z robienia hałasu i zamieszania wokół siebie, z ciągłego gadania, ruchu i akcji nagle zamilkłem. Powiedziałem jedynie kilka słów

na przywitanie, po czym stanąłem pięknie zdumiony i po raz pierwszy w czterdziestokilkuletnim życiu usłyszałem siebie w takiej wersji:

- Przepraszam, ale ta cisza i spokój tak mnie zaskoczyły, że całkowicie nie wiem ani co powiedzieć, ani jak się zachować. Zabrakło mi słów... Mam tak pierwszy raz w życiu, ale szczerze mówiąc wcale mi to nie przeszkadza...

Spojrzałem na Gospodarzy tego Wyjątkowego Miejsca. Uśmiechali się wyrozumiale. Uśmiech mieli na ustach, w oczach i w niespiesznych gestach. Uśmiechali się Oni i uśmiechała się do mnie Cisza. Po chwili w środku pojawił się Daniel i Jarek. Przywitali się z gospodarzami, ściszym, spokojnym głosem. Wszyscy milczeliśmy przez chwilę i była to chwila czystej nie skażonej, choć nie spodziewanej przyjemności. Od przyjazdu do Zatwarnicy nie minęło więcej niż dziesięć minut, a ja już wiedziałem, że kiedyś tu wrócę.

Ktoś z Państwa może pomyśleć - „o co chodzi z tą Ciszą? Facet nie był nigdy w lesie, nad jeziorem, czy na wsi?”. Otóż facet był i na wsi i w lesie i w jaskini i w wielu, wielu miejscach, ale dopiero w tym miejscu spotkałem Uśmiechniętą Ciszę, której można dotknąć. Oczywiście rodzi się pytanie, czy Cisza tam mieszkająca objawia się każdemu, czy tylko nielicznym, ale na to pytanie nie znam odpowiedzi. Wiem jedynie, że warto spróbować.

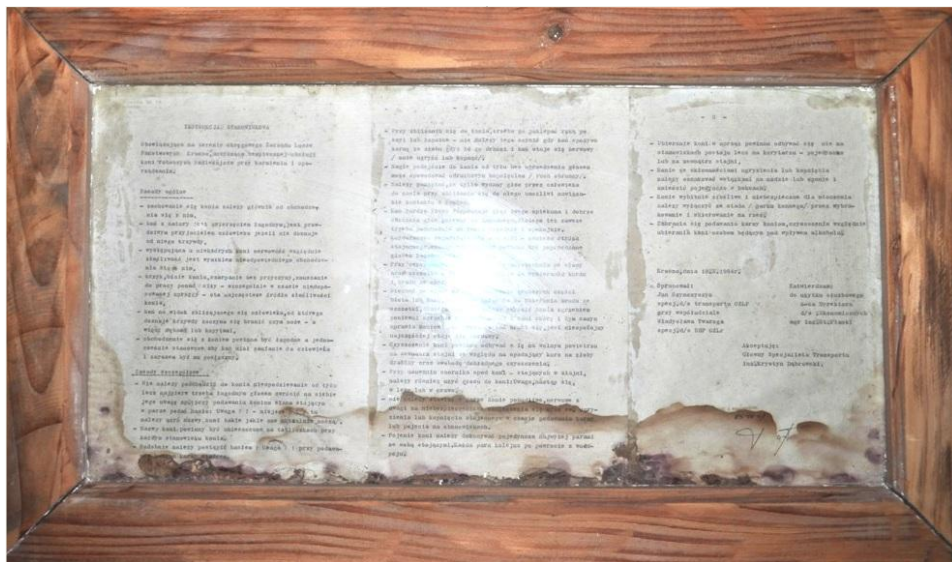
Część 2 „Jareccy”

UWAGA NIEDŹWIEDŹ
!!!

Numerami kontaktowymi osób, do których prosimy dzwonić w razie zagrożenia:

Tomasz Różycki	668-328-851
Tomasz Baran	664-727-964
Marek Brański	602-271-137

Czasem norma w Bieszczadach resztę Polski szokuje.



Instrukcja obsługi konia z czasów PRL.



Jola Jarecka i aktorzy z Drohobycza.

Ona - Jolanta Jarecka, absolwentka filologii polskiej i Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego - jej osiągnięciami chwali się Jagiellonka na swojej stronie internetowej (i słusznie!). Absolwentka Kolegium języka angielskiego, studiów podyplomowych z historii, pedagogiki szkolnej i animacji teatralnej. On - Robert Jarecki - z wykształcenia geograf, również po UJ. Przedsiębiorca.

**Ona - żona.
On - mąż.
Oni - Rodzina. Pełna,**

bo jest też Junior (te informacje podaje ze względu na czasy, w których to że kobieta jest żoną, a mężczyzna mężem nie jest aż tak oczywiste). Ich najnowsze i wspólne dzieło to Kino „Końkret” i Pracownia Artystyczna „Na dwie ręce”. Romantycy i pozytywiści, bo trzeba być wyjątkowym romantykiem, aby wpaść na pomysł otworzenia kina w niepełna dwustu osobowej miejscowości, a jednocześnie pozytywiścią na całego, aby ten pomysł skutecznie zrealizować i rozwijać. Pracownia i kino znajdują się

w odrestaurowanym przez Jareckich drewnianym budynku, który był częścią byłego Parku Konnego. Pojemność sali kinowej to zaledwie dwadzieścia dwa miejsca na wygodnych kanapach, zatem Końkret jest prawdopodobnie najmniejszym kinem w Polsce. Co prawda sala kinowa „Salon” w Krakowskim Centrum Kinowym ma mniej, bo jedynie dwadzieścia miejsc, ale całe Centrum to pięć sal, na w sumie 325 miejsc, więc tytuł „najmniejsze kino w Polsce” należy się Końkretowi.

Kino ma w swoim repertuarze trzy stałe pozycje - filmy z Bieszczadami w tle - „Hasło” Bielskiego, „Wolną sobotę” Staronia i „Kino objazdowe” Jędryki, oraz zmiennie coś z bieżącego, ale niszowego repertuaru światowego. Mało tego. W kinie organizowane są warsztaty literackie, spotkania autorskie, koncerty, a nawet spektakle teatralne. W czerwcu 2015 roku w Końkrecie wystąpił z komedią muzyczną „Natalia Poltawka” teatr im. Jurija Drohobycza z Drohobycza. Aktorom towarzyszyła orkiestra teatralna. Wystój miejsca świetnie nawiązuje do jego przeszłości - na ścianach wyeksponowano odnalezione utensylia, wykonane przez wozaków tabliczki z imionami koni, oficjalne dokumenty, zdjęcia i tablice z czasów funkcjonowania parku

konnego. Oprócz tego powoli tworzy się stała wystawa poświęcona kulturze Bojków.

W czasie gdy oswajaliśmy się z Ciszą, Jola Jarecka (gospodarze szybko zaproponowali przejście na „ty”) przygotowała nam herbatę. W końcu mogliśmy porozmawiać.

– Skąd pomysł na kino w takim miejscu?

– Wygląda to na szaleństwo?

– Trochę tak.

– Teraz już są efekty, ale na początku, na etapie pomysłu wielu ludzi, łącząc z naszymi znajomymi reagowało podobnie - wątpiąc w naszą psychiczną kondycję. A pomysł na kino? Chcieliśmy ocalić pozostałości po Parku Konnym, ale nie ograniczać się tylko do renowacji - chodziło nam o stworzenie miejsca, które będzie żyło - kino w naszej ocenie było dobrym pomysłem. Po pierwsze oboje jesteśmy miłośnikami sztuki filmowej, więc kino w tym miejscu to coś jednocześnie dla nas i dla gości. Dwa - właśnie tu, w Zatwarnicy kręcono te filmy które mamy w repertuarze, więc w sposób naturalny jest to miejsce związane z kinem. Oprócz tego prowadzimy tu pracownię artystyczną, wierząc w to, że z czasem miejsce to stworzone jako swoiste centrum kultury będzie w stanie się utrzymać ze swojej działalności.

– A z czego obecnie żyjecie?

– Jarek prowadzi tartak, a ja pracuję w Domu Kultury. Z tego też powodu zarówno kino jak i pracownia funkcjonują w dni wolne od pracy.

– To wszystko brzmi pięknie i romantycznie, ale czy są jakieś racjonalne przesłanki pozwalające na przekonanie, że w dłuższej perspektywie czasowej Wasze dzieło się utrzyma i rozwinie?

– Owszem. Bieszczady są miejscem odwiedzanym przez kilka typów turystów. Są oczywiście tacy, którym wystarczy kilka godzin nad Soliną, rejs statkiem, pstrąg z grilla i pluszowy delfin w napisem „Pamiętka znad Soliny”, ale coraz większa jest liczba gości szukających innej, aktywnej, nietypowej oferty. Chcą spędzić czas inaczej niż do tej pory, robiąc coś wspólnie w gronie rodziny czy przyjaciół, chcą cieszyć się efektami wspólnego tworzenia, spróbować czegoś nowego i poznać nowych ludzi. Dla takich właśnie gości mamy masę propozycji - warsztaty haftu, czy innych technik zdobniczych typu decoupage i sutaż, warsztaty teatralne i lekcje kreatywnego pisania, interaktywne lekcje przyrodnicze i historyczne, warsztaty produkcji mydła, czy bardzo popularny ostatnio questing.

Mały subiektywny przegląd kin

Krakowskie Centrum Kinowe. Miejsce ciekawe nie tylko ze względu na panującą w nim ciekawą atmosferę, ale również ze względu na przeszłość. To tu w sali Saskiej (obecna nazwa sali - Reduta) książę Józef Poniatowski organizował bale i rauty dla krakowskiej elity; to tu Ignacy Paderewski osobiście akompaniował Helenie Modrzejewskiej, tu również działał teatr i kabaret, a z miejscem tym, w różnej formie współpracowali Mrozek, Szymborska czy Penderecki.

Dolnośląskie Centrum Filmowe czyli wrocławski DCF, który powstał w roku 2010 na miejscu dawnego kina „Warszawa”. Kino funkcjonowało tu jeszcze przed wojną, nosiło wtedy nazwę Palast-Theater, a otwarto je w 1910 roku. Kino było niezwykle popularne. W pierwszych czterech latach swojej działalności sprzedano ponad milion biletów. Niezły wynik. DCF jest obiektem nowoczesnym, ale z klimatem. Nie ma tu prażonej kukurydzy, jest za to bar z kawą, herbatą winem i piwem. Przed filmami nie puszcza się reklam, a jedynie zapowiedzi. Ale jeśli na seans pojawi się niewielkie i rozpoznawalne dla obsługi grono widzów, to bywa, że po krótkiej konsultacji obsługa nie marnuje prądu i puszcza film bez zapowiedzi. Repertuar studyjny plus przeglądy i festiwale. I swojska atmosfera.

Kino Pionier 1907 ze Szczecina. Nosi tytuł najstarszego kina na świecie - ma nawet certyfikat Księgi Rekordów Guinnessa, ale inne kina (np. francuskie L'Idéal Cinéma) istnieją dłużej. Kino Pionier 1907 to dwie sale - większa - historyczna, zaś druga zwana „Kiniarnią” jest połączeniem kina i kawiarni - seans ogląda się siedząc przy stoliku, a filmy są odtwarzane z terkoczącego projektora ustawionego na barze, co tworzy niepowtarzalny klimat. Od czasu do czasu kino prezentuje filmy nieme, którym towarzyszy taper grający na dziewiętnastowiecznym pianinie.

Charlie Monroe Kino Malta z Poznania. Dwie nieduże sale, fotosy aktorów w holu, klimat małego, starego amerykańskiego kina i obsługa mentalnie nie poznańska, co w moich ustach jest komplementem. Repertuar podobny jak w innych tego typu kinach i niskie ceny biletów. Za nieduże pieniądze można zorganizować seans na zyczenie, czy imprezę z filmem w programie. Polecam szczególnie goszczącym w Poznaniu w sprawach służbowych. Po wyczerpującym, całodziennym i najczęściej traumatycznym kontakcie z Poznaniakami tu można się zregenerować.

Kino Przedwiośnie w Krotoszynie i Warszawski Teatr Polonia łączy postać Zygmunta Kałużyńskiego. W Przedwiośniu jest hotel z tabliczką „Zygmunt Kałużyński”, a Teatr Polonia był kiedyś Kinem Polonia - ulubionym kinem Zygmunta Kałużyńskiego i pierwszym po wojnie kinem w stolicy. Dla miłośników twórczości Pana Zygmunta miejsca sentymtalne.

Kino w Krasnosielcu. Niestety nieistniejące. Mieściło się w remizie strażackiej w centrum miejscowości. Kinem opiekował się Pan Krawczak, który kopie filmów i projektor przechowywał w domu. Za pomoc w przenoszeniu sprzętu z domu do remizy można było oglądać film za darmo. Zimą, na kilka godzin przed seansem trzeba było napalić w piecu, aby ogrzać pomieszczenie. Za tę robotę też zostawało się na seansie za darmo. To było moje pierwsze kino i pierwszy film na dużym ekranie. Pamiętam dokładnie - był to „Zorro” z 1975 roku, w reżyserii Tessariego i z Alainem Delonem w roli głównej. Dziś w Krasnosielcu nie ma kina, co jest ironią losu, bo właśnie tu, w tej małej mazowieckiej miejscowości urodzili się Harry, Samuel i Albert Warnerowie, założyciele wytwórni filmowej Warner Brothers.

Kino którego nie polecam - Nowe Horyzonty we Wrocławiu. Co prawda repertuar ma bardzo dobry (często pokrywający się z repertuarem DCF-u), a oprócz filmów wyświetla się również przedstawienia operowe i teatralne, ale kino to odwiedza zbyt wielu snobów, szczególnie podczas Festiwalu Nowe Horyzonty. W programie tego festiwalu na kilka prawdziwych perełek (np. filmy Whita Stilmana) wyświetla się całą masę filmowych średniaków i sporo nudziarstwa; ale snoby udają zachwyconych, co tworzy specyficzną atmosferę trudną do zniesienia.

– Questing?

– Popularna definicja to turystyka z zagadkami. Jest to coś w rodzaju gry terenowej, która kończy się odnalezieniem skarbu. Uczestnicy otrzymują mapy, opis zadań, które stopniowo realizowane doprowadzają do celu, a po drodze, jakby przy okazji zdobywają wiedzę o miejscach, na których zabawa się odbywa. Największym plusem tego jest to, że łamigłówki i zadania angażują uczestników i integrują w sposób absolutnie fenomenalny, a poza tym, nawet ze zwykłej, oklepanej ścieżki turystycznej potrafią uczynić miejsce fascynujących odkryć i przygody.

– Jednym słowem stawiacie na budowanie relacji?

– Zdecydowanie. Nasze seanse filmowe też są nietypowe, bo zazwyczaj kończą się dyskusją przy kawie i czymś słodkim. To nas wyróżnia, ale nie robimy tego na siłę, ani dla reklamy.

– Hmm?

– Po prostu dobrze się z tym czujemy i przychodzi to nam w sposób naturalny.

– Podziwiam... Ale przecież to nie jest takie proste. W tygodniu jedna praca, a w weekendy praca druga, może inna, może pełna wyzwań, na pewno satysfakcjonująca, ale na dobrą sprawę to też obowiązek. Nie poświęcacie zbyt dużo dla tego pomysłu? Inaczej spytam - co musielście stracić aby ten projekt realizować?

– Tu będąc i robiąc to co robimy, nie czujemy żebyśmy cokolwiek poświęcili dla idei. Poza tym jesteśmy tu razem, co scala jeszcze bardziej naszą rodzinę. Nasz syn też tu się dobrze czuje. Zatem to ma sens. Na ten moment widzimy więcej zysków niż strat. Po pierwsze - część naszego pokolenia, świadomie lub nie, bierze udział w wyścigu szczurów, a my świadomie jesteśmy poza. Po drugie żyjemy w innym, całkowicie indywidualnym rytmie, spokojniejszym, spowolnionym, ale nie leniwym czy nudnym, bo tu dzieje się sporo. A najważniejsze jest to, że przebywamy w miejscu, które razem wybraliśmy i w którym czujemy się lepiej niż gdzie indziej. Dla porównania - w zeszłym roku wybraliśmy się na urlop do Wiednia. Pewnego dnia szliśmy przez to miasto, co prawda piękne, ale hałaśliwe i niespecjalnie pachnące, pora była zdaje się śniadaniowa i z braku laku, bo wszystko było zamknięte weszliśmy na śniadanie do wiadomego sieciowego fast foodu i wtedy Jola rozplakała się pytając, dlaczego zabrałem ją na urlop do Wiednia, a nie do Zatwarnicy. Rozumiesz?

- Rozumiem. Byłem tam. I nie tęsknię...
- No właśnie - a poza tym to właśnie tu jest niewytłumaczalnie magicznie - ale tego nie da się opowiedzieć... Ważne jest to, że można tu fajnie poskładać myśli, co dla mnie - osoby piszącej jest niezwykle istotne...
- No a poza tym mamy siebie, pracujemy razem, wspieramy się, żyjemy...

W tym momencie wyłączyłem dyktafon. Lubię gdy dorośli ludzie, trochę między wierszami, jedynie delikatnie zbliżając się do dosłowności mówią o tym najpiękniejszym uczuciu; ale pozwólcie Drodzy Czytelnicy, że słowa które padły, delikatne gesty które pojawiły się wraz z nimi i spojrzenia które zwięczyły te niespodziewane misterium, zostaną moim prywatnym wspomnieniem z tego miejsca. Wspomnieniem którego możecie mi zazdrościć...

Na koniec pogadaliśmy jeszcze o dotychczasowych dokonaniach Joli, o postępkach we współpracy z miejscowymi, planach na przyszłość; o tym, że renowacja Parku Konnego oszacowana wstępnie na podstawie oględzin obiektu jako inwestycja o sumie X, z każdym kolejnym tygodniem zmieniała się w inwestycję 2 razy X, 3 razy X i tak dalej... Trochę też o naszej rowerowej trasie na północ Rzeczypospolitej, o optymizmie, kinie, o tym jak się rozwijają (lub zwijają - kwestia gustu) Bieszczady, o sklepach objazdowych i kontaktach z człowiekiem, który przywozi chleb i świeże warzywa, o wolności... Na koniec obejrzelśmy wystawione na ścianach Kina Końkret oryginalne pamiątki związane z Parkami Konnymi, przeczytaliśmy autentyczny z lat siedemdziesiątych regulamin BHP, dotyczący obsługi koni, który spodobał by się Stanisławowi Barei, po czym pozegnaliśmy gospodarzy. Na zewnątrz było jeszcze ciszej, niż przed godziną.

- Cicho tu - powiedział Daniel wsiadając na rower - i bardzo spokojnie...

Przytaknęliśmy z Jarkiem bez słów, a Daniel dodał:

- Jakby człowiek nie znał historii tych okolic, to mógłby pomyśleć, że tu zawsze tak było cicho...

Nie skomentowaliśmy tego, co Daniel powiedział, chociaż wiedzieliśmy o czym mówi. Ruszyliśmy w stronę Stuposian. Po drodze zatrzymała nas jakaś para na rowerach. Przyglądali się uważnie naszym odbłaskowym kamizelkom na których mieliśmy nadrukowany plan naszej trasy wzdłuż wschodniej granicy:

- Panowie, a dokładnie to gdzie jedziecie?

- Pod Augustów.

- Ten na Mazurach? Tą drogą?

- No tak.

- To ile już macie przejechane?

- 10 kilometrów - odpowiedzieliśmy chórem i wszyscy zaśmialiśmy się głośno.

- No to szczęśliwej podróży - odpowiedzieli Spotkani Po Drodze.

- Po paru minutach byliśmy pod schroniskiem w Stuposianach (w końcu to jedynie 16 kilometrów z Zatwarnicy), które przywitało nas zamkniętymi drzwiami i kartką z napisem: „Uwaga niedźwiedź” Zacząłem się nagle śmiać. Koledzy popatrzyli zdziwieni:

- Ten niedźwiedź tak Cię rozbawił, czy to że

Park Konny

Ściąć drzewo to jedno, ale wyciągnąć je z gestwiny w miejsce z którego da się je załadować na ciężarówkę i przetransportować dalej to oddzielana robota. Na terenie nierównym, nierządno grząskim, porośniętym krzakami, oraz innymi, większymi lub mniejszymi drzewami, zadaniu mógł sprostać jedynie słoń lub koń. A że słoń w Bieszczadach raczej niewiele, to do tej niewdzięcznej i ciężkiej pracy wykorzystywano konie. Poza tym, mimo że mówimy o czasach dość niskiej świadomości ekologicznej, to pewne minimum było zachowane- tak zwana zrywka, czyli wyręb odbywał się najczęściej zimą- ścięte drzewo upada na ziemię z ogromną siłą, a śnieg stanowi swoisty amortyzator zabezpieczający przed zniszczeniami zarówno glebę jak i pozostały, młody drzewostan. Użycie do tej pracy koni, a nie dostępnego wtedy ciężkiego sprzętu (ciągniki gąsienicowe) miało ten sam powód co dobranie terminu zrywki- minimalizowało szkody. W ubiegłym stuleciu (niezorientowanym przypominam że mamy XXI wiek), w czasach intensywnej eksploatacji Bieszczad, nadleśnictwa tworzyły „parki konne”, na które składały się najczęściej- stajnia dla koni, kuźnia, warsztat rymarski i miejsca noclegowe dla pracowników leśnych, którzy ze względu na znaczne odległości i problemy z komunikacją nocowali na miejscu .(Drodzy rodzice- mam dla Was zadanie- wytłumaczcie swoim dzieciom, dzieciom XXI wieku, że po pierwsze- mało kto miał wtedy swój samochód, a po drugie- śniegu spadało tyle, że zasyły sięgały dwóch metrów, więc nie dało się jeździć, że...)

Takich parków konnych było w Bieszczadach kilkanaście, (źródła podają różnie- najczęściej 13 lub 14), a w stanie nadającym się do renowacji i odbudowy przetrwał tylko ten w Zatwarnicy. Dlaczego przestały istnieć? Po pierwsze z przyczyn ekonomicznych- utrzymanie koni i parków konnych wraz z pracownikami generowało coraz większe koszty- tańsze dla Lasów Państwowych okazało się zlecenie prac związanych z wycinką na zewnątrz, w związku z czym pod koniec lat osiemdziesiątych, a ostatecznie w roku 1991 parki konne jako dodatkowe jednostki w ramach poszczególnych nadleśnictw zostały zlikwidowane. Mniejszy, ale realny wpływ na rezygnację z pracy koni miały też protesty ekologów i obrońców praw zwierząt, którzy podkreślali wyjątkowo ciężkie warunki pracy koni, których nie łagodziło, najczęściej właściwe podejście zrywkarzy do zwierząt, czy wewnętrzne regulaminy Parków Konnych, które miały na celu ochronę koni. Zachowała się oryginalna „Instrukcja stanowiskowa” autorstwa inżyniera Krystyna Dąbrowskiego, traktująca o zasadach obchodzenia się z końmi. Oprawiona w ramę i szkło jest do obejrzenia na żywo w Kinie Końkret-ostatnim Parku Konnym w Bieszczadach.

schronisko zamknięte?

- Nie, coś zupełnie innego. Przypomniała mi się scena z filmu „Kino Objazdowe”, który mają tam w repertuarze. Już Wam mówię- tam jest taka akcja - przyjeżdża facet do

Parku Konnego wyświetlić film, ale nie ma dla kogo, bo wszyscy poszli zarobić na nagonce, bo jakiś waźniak przyjechał na polowanie. Na miejscu został jedynie stróż. Tyle tylko, że niespecjalnie zainteresowany seansem. Ale operator się nie poddaje i tłumaczy starszemu panu, żeby korzystał z okazji, bo tu w Parku Konnym to konie zawsze będzie miał, a kina to raczej nie. I to mnie właśnie rozbawiło - bo stało się dokładnie odwrotnie.

- Obejrzyj przy okazji- odpowiedział Jarek, po czym poszedł szukać kogoś kto by nam otworzył kwatere.

Część 3

„Czysta ciemność i brudne światło”

Na opiekunkę schroniska nie musieliśmy długo czekać. Nie trzeba było nawet dzwonić - ktoś z przechodzących dał znać właściwej osobie, że pod schroniskiem kręci się trzech facetów na rowerach i z bagażami. Oto pozytywna strona życia na wsi - wieści rozchodzą się szybko i trafiają do właściwego źródła. No, chyba że ma się coś do ukrycia, to wtedy inaczej się widzi te sprawy, co może potwierdzić nie jedna Kowalska, co to z Nowakiem, gdzieś tam pod lasem...

Schronisko w Stuposianach było naszym świadomym wyborem. To w nim mieści się Centrum Informacyjne Parku Gwiezdnego Nieba „Bieszczady”. Wieczorem mieliśmy pójść na pokaz astronomiczny, ale niestety zachmurzyło się do tego stopnia, że musiało nam wystarczyć spotkanie z tymi, którzy przy tym projekcie pracowali. Oto nasi goście- Pavol Ďuriš mieszkający w Bieszczadach Słowak oraz Jakub Doliwa, na co dzień pracownik Urzędu Gminy Lutowiska, który pojawił się wraz z małżonką Iloną. Pavol i Jakub należą do tego typu zapaleńców, którzy zarażają entuzjazmem w pięć minut i sprawiają, że temat który był nam obcy, nowy i raczej obojętny, potrafi nas wciągnąć i pochłonąć, sprawić, że później zaczynamy czytać na dany temat, szukać informacji, rozpytywać i niezauważalnie przechodzimy przez wszystkie etapy:

obojętność

- zainteresowanie

- hobby, a w skrajnych przypadkach - pasję.

Moja wiedza w temacie astronomii dla amatorów przed spotkaniem w Stuposianach była na przeciętnym, czyli niskim poziomie. Kilka razy, w ramach wycieczek w szkole podstawowej odwiedziłem planetarium w Olsztynie, które wtedy zrobiło na mnie piorunujące wrażenie, a w szkole średniej z inspiracji nauczyciela od fizyki Pana Profesora Nieczaja (Profesorze - chylę czoła, nie tylko za ten wyjazd, ale za całość) zorganizowaliśmy wycieczkę do obserwatorium astronomicznego we Fromborku, która już coś w umysłach zostawiła, co prawda u każdego inaczej i na różnym poziomie, włączając w to, co typowe dla nastoletnich chłopaków parujących testosteronem, wątek randkowy, który wspomnę, bo to z autopsji...

Otóż spacer w bezchmurną noc spełniał oczekiwania obu stron - dziewczętom wypełniał definicję romantyzmu, a chłopcom dodawał odwagi, bo w ciemnościach jakoś łatwiej było robić kolejne, małe kroki... A w praktyce wyglądało to tak, że objętej w pół koleżance pokazywało się niebo i zaczynało od komentarza, że Wielki Wóz, to tak naprawdę jedynie część Wielkiej Niedźwiedzicy i, że tu trudno zrozumieć z czego ta nazwa wynika, bo podobieństwo do niedźwiedzia jest raczej umowne (w tym momencie dziewczynę ścisłało się jakby mocniej, przysuwając ją do siebie, a jednocześnie obserwując jej reakcję).

- Ale popatrz Aniu (Agnieszko, Moniko, etc...) na te kilka gwiazd i pomyśl chwilę - połączone linią, jaki stworzyły by kształt..?

Dla ułatwienia pokazywało się Gwiazdozbiór Orła lub Łabędzia, bo rzeczywiście przypominają te zwierzęta i było prawie pewne, że dziewczyna zgodnie, że to ptaki jakież, które my jeszcze nazwiemy z łaciny, bo Łabędź to „Cygnus”, a Orzeł to „Aquila”, ale co tam ptaki - popatrz tu jest jeszcze Andromeda, a tam Kasjopeja...

I gdy przy Kasjopei sprawy nie posuwały się do przodu (postęp poznawało się po tym, że dziewczynie nie przeszkadzała dłoń, która jakoś dziwnie zsunęła się nieco poniżej linii bioder) należało wytoczyć najcięższe działo:

- A wiesz który gwiazdozbiór jest moim ulubionym? Ooo, ten - Warkocz Bereniki, chociaż powinno się mówić Warkocz Berenike; wiesz, to była wyjątkowa kobieta, żona Ptolemeusza Trzeciego...

Jak Warkocz Berenike nie zadziałał, to nie zadziałało nic... Chociaż pewien kolega, który też był na tej wycieczce we Fromborku, miał taki przypadek - zaczął klasycznie - od wstępu o Wielkim Wozie, a wtedy dziewczyna mu przerwała:

- A co ty myślisz, że ja tego nie wiem? Patrz! Tu jest „Ursa Major”, tu „Ursa Minor”, obok „Draco” i „Cepheus”, dalej „Cygnus” i „Lyra”, no przecież to oczywiste - daj spokój i się zdecyduj, czy chcesz gadać o gwiazdach, czy się całować?! Wspominam tę historię z pewnym sentymentem, bo rzeczywiście tak było, że pocałunki, czy trzymanie ręki na dziewczęcej piersi (ale przez barierę ubrań i stanika) było dla wielu szczytem marzeń, a do



Od lewej: Pawol Liwisz, Jakub Doliwa z żoną Iloną. Przed tablicą informacyjną i teleskopem ...

JASNOŚĆ NOCNEGO NIEBA W PORÓWNIANIU DO JASNOŚCI NATURALNEJ

<p>więcej niż 10-krotna</p> <p>Droga Mleczna jest niewidoczna na niebie można dostrzec mniej niż 100 gwiazd. Całe niebo pokryte jest luną miejską. Jasność nieba jest taka jak przy pełni Księżyca</p>			
<p>4 do 10 – krotna</p> <p>Bardzo jasne niebo. Droga Mleczna jest niewidoczna blisko horyzontu. Nad głową widoczna jest słabo lub wcale. We wszystkich kierunkach większość gwiazd niknie w lunie miejskiej</p>			
<p>2 do 4 – krotna</p> <p>Okoliczne miasta są widoczne nad horyzontem jako świecące kopuły. Droga Mleczna jest pozbawiona szczegółów, niebo jest jasne.</p>	<p>1,33 do 2 – krotna</p> <p>Ubytek gwiazd jest wyraźny, ale niebo jest względnie ciemne. Droga Mleczna jest wciąż bogata w szczegóły. Luny odległych miast są widoczne przy horyzoncie w wielu kierunkach.</p>	<p>1,11 do 1,33 – krotna</p> <p>Niebo wygląda pięknie, ale wiele gwiazd przy horyzoncie znika w słabych lunach odległych miast. Droga Mleczna jest dobrze widoczna na całym niebie.</p>	<p>mniej niż 1,11 – krotna</p> <p>Prawdziwie ciemne niebo. Droga Mleczna jest szeroka na pół nieba. Jest tak jasna, że obiekty nią oświetlone rzucają cień. Wyglądem przypomina marmur.</p>

Mapa jasności nieba.



Jakub Doliwa – wyjątkowy pracownik Biura Informacji Turystycznej w Lutowiska /Ma moc/ i Autor opracowania!

„ostatniej bazy” dochodziło się po długim czasie, albo wcale. I nikomu to nie przeszkadzało. Chodziło o to, by gonić zajaczką, a nie o to by go złapać.

Ja przepraszam za te dygresje, ale wspomnienie wizyty w planetarium pomogło mi, a może i Państwu pomóc zrozumieć ideę Parku Gwiezdnego. Dlaczego seans w planetarium robi na większości takie wrażenie? Bo w sposób sztuczny, ale efektowny pokazuje nam niebo którego nie znamy, pokazuje nam niebo takie, jakie moglibyśmy oglądać, gdyby nie emisja sztucznego światła, zwana „zanieczyszczeniem światłem”. Światło emitowane przez domy, lampy uliczne, samochody, reklamy, podświetlone budynki zaburza obraz nocnego nieba - co w rezultacie utrudnia specjalistom obserwacje astronomiczne, a przeciętnemu Kowalskiemu zabiera możliwość obcowania z wyjątkowym i naturalnym pięknem nieba. Dlatego na całym świecie powstają tego typu parki,

czyli strefy, gdzie w sposób świadomy i planowy, bazując oczywiście na naturalnych warunkach, ogranicza i reguluje się emisję światła. Bo jak się tego przynajmniej w kilku miejscach nie ureguluje, to z czasem będzie g...o widać.

Co Słowak robi w Polsce? Pavol zainteresował się astronomią już jako dziesięcioletek, kiedy zaczął uczęszczać do kółka astronomicznego. Później hobby przerodziło się w pasję, z czasem zaczął odwiedzać tego typu miejsca na świecie, gdzie zobaczył w jaki sposób funkcjonują parki ciemnego nieba i w sposób naturalny chciał tę wiedzę wykorzystać na Słowacji. Teren Parku Narodowego Połoniny na terenie słowackiej części Bieszczad jest miejscem wymarzoną do obserwacji astronomicznych, ze względu na małą gęstość zaludnienia i niską emisję światła, ale ciekawość przywiodła Pavla w polskie Bieszczady, bo jak wynikało z profesjonalnych map - tu Pavel uprosił przekaz - zainteresował go obszar w naszych Bieszczadach zaznaczony na mapie jako „strefa czarna”, czyli miejsce

o najmniejszej emisji światła. I tak zaczęła się jego przygoda z Rzeczpospolitą - przyjechał raz, potem kolejny, potem znów - z czasem poznał podobnych sobie pasjonatów, między innymi Roberta Burego, który miał już doświadczenie w realizacji pewnych projektów (Karpackie Niebo) i tu został. Dziś pełni rolę głównego koordynatora Parku Gwiazdowego Nieba „Bieszczady” i trudni się astrofizyką. (Postać Roberta Burego to oddzielny temat - znamy się tylko przez telefon, ale gdyby pasjonatów oceniać w dziesięciopunktowej skali, to Robertowi dalbym punktów jedenaście. Należy do tego typu ludzi, w kontakcie z którymi (choćby przez telefon), już po pięciu minutach czujemy się tak, jakbyśmy się znali od lat, zjedli beczkę soli, wypili basen piwa i mieli wspólną kochankę)

Ale wracając do wątku głównego - do realizacji pomysłu udało Pawłowi i drużynie zaangażować wiele osób i instytucji. W każdym razie na wstępnym etapie, gdy podpisano memorandum w sprawie, w projekcie brały udział: Gminy Lutowiska i Komańcza, Bieszczadzki Park Narodowy, Lasy Państwowe - Nadleśnictwa Lutowiska i Stuposiany, Zespół Karpackich Parków Krajobrazowych w Krośnie, Wydział Inżynierii Środowiska Politechniki Krakowskiej, Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie - Obserwatorium Astronomiczne na Suhorze, Fundacja Bieszczadzka, Bieszczadzka Agencja Rozwoju Regionalnego, Fundacja Przyroda Karpat, Zespół Szkół w Lutowiskach. I tu pojawia się rola naszego drugiego gościa w schronisku w Stuposianach - Jakuba Doliwy, który jako pracownik gminy Lutowiska został oficjalnie oddelegowany do udziału w realizacji programu. Spytałem Jakuba, z czego bierze się jego zaangażowanie, widoczne na pierwszy rzut oka i wykraczające poza urzędniczą normę (co istotne - w schronisku w Stuposianach spotkaliśmy się późnym wieczorem, w prywatnym czasie Jakuba i jego żony), a on mi odpowiedział, że po pierwsze entuzjazm Pavla, Roberta i innych jest tak pozytywnie zaraźliwy, że nie można się temu oprzeć, a po drugie - gdy poświęci się nieco czasu tej problematyce to dość prędko dochodzi się do wniosku, że temat jest istotny. A poza tym, pomijając sprawy służbowe i obowiązkowe przy projekcie, to astronomia, nawet na poziomie odbiorcy laika - widza czy słuchacza, podana w taki sposób jak to robi Pavel czy Robert jest ciekawa sama w sobie. Ogromne zainteresowanie pokazami organizowanymi przez Pavla i ilość osób które wracają przywołując kolejnych widzów i słuchaczy to potwierdza.

Jasna strona ciemności

Przy pierwszym kontakcie zwrot „zanieczyszczenie światłem” może budzić zdziwienie, bo przecież światło zawsze kojarzyło się z czymś dobrym, a ciemność była symbolem zła. W Piśmie Świętym mamy „synów światłości” czyli tych dobrych, oraz po przeciwległej stronie tych złych - „synów ciemności”, a sam Jezus nazywa siebie „Światłem Świata”. Mityczny Prometeusz przynosi ludziom ogień, a z nim światło, co zmienia ludzki byt na lepszy. Od starożytności do współczesności, choćby w literaturze symbolika ta się nie zmienia - od „Boskiej Komedii” poprzez „Makbeta” aż do „Ocalonego” Różewicza mamy dobre światło i złą ciemność. Stąd już bliska droga do popularnych: „oświeconego” i „ciemniaka”. Nic więc dziwnego, że gdy po raz pierwszy słyszymy o „zanieczyszczeniu światłem” bezwiednie pytamy: „No dobrze, ale o co chodzi?”

Chodzi o kilka spraw, pomijając kwestie obserwacji astronomicznych, zarówno amatorskich, jak i pół czy w pełni profesjonalnych.

Ekonomia. *Sztuczne światło nie bierze się z powietrza, tylko z pieniądza. Oczywiście ulice i chodniki powinny być oświetlone, ale po co oświetlać niebo? Kuliste lampy, tak powszechne i popularne, 60% swojej pracy posyłają w kosmos. Do tego dochodzi problem zabrudzeń. Okrągły, szklany klosz wymaga częstszego czyszczenia, niż lampa kierunkowa składająca się z metalowej pokrywy, wymagającej sporadycznego czyszczenia i szklanego, płaskiego wylotu światła, który z natury brudzi się trudniej. Mało kto się nad tym zastanawia, a szkoda, bo istnieją technologie które dają możliwości znacznego zmniejszenia kosztów oświetlenia publicznego na które zrzucamy się wspólnie. Ale problem nie tylko w rodzaju lamp i metod oświetlenia. W wielu miastach automaty obsługujące latarnie ustawione są na określone godziny i bywa tak, że na przelomie czerwca i lipca, o godzinie pół do piątej rano, gdy na zewnątrz jest całkiem jasno, latarnie uliczne święcą sobie w najlepsze, czasami aż do szóstej.*

Zdrowie. *Jakość snu jest jednym z czynników wpływającym na naszą kondycję. Hałas jest utrudnieniem oczywistym. Podobnie światło. Jego nadmiar w naturalnej porze snu zmniejsza wytwarzanie melatoniny, która odpowiada w organizmie za regulowanie naturalnej zmiany rytmów: snu i aktywności. Dlatego coraz bardziej popularne są rolety dające całkowite zaciemnienie, a zewnętrzne światła stałe, zmienia się na regulowane czujnikami ruchu. Zmiany w samopoczuciu są dostrzegalne z miejsca.*

Ekologia. *Przede wszystkim zacząć należy od tego, że zdolność postrzegania światła u zwierząt i człowieka różni się znacznie. Część fal niewidoczna dla nas, będzie widoczna dla zwierząt i może je dezorientować, a tu zaręczam na 100%, że niewiele jest w przyrodzie gatunków, które jak człowiek zamontują sobie rolety. Dezorientacja zwierząt aktywnych w dzień wpływa na rozregulowanie ich naturalnych rytmów, wpływa na reprodukcję, gwałtowną migrację i osłabienie populacji. A zwierzętom aktywnym nocą, dla których ciemność jest naturalnym sprzymierzeńcem podczas żerowania silne światło przeszkadza, gdyż najzwyczajniej je oslepia. A co ma zrobić Pan Świetlik gdy przyjdzie czas na bara-bara z Panią Świetlikową, a jasno jest tak że jej znaleźć nie może? Ma do niej zadzwonić z komórki i umówić się w Hiltonie?*

Podsumowując - kształtowane przez tysiąclecia ekosystemy, funkcjonujące w warunkach stałego biologicznego rytmu, od ponad stu lat są rozregulowane coraz intensywniej i na coraz większym obszarze. Dlatego potrzebni są Ci, którzy zwrócą uwagę na fakt, że istnieją możliwości neutralizowania ujemnych stron rozwoju cywilizacji.

Dziś sporo dokonań za nimi, a jeszcze więcej przed. Przede wszystkim trzeba było wykonać masę pracy, aby przekonać wódcy terenu do idei, co nie jest takie proste, gdyż Bieszczady, mówiąc najdelikatniej rozwijają się różnie. Z jednej strony mamy kierunki ambitne, wymagające czasu na rozwój (np. Kino „Kofekret”), powoli zmieniające otoczenie, które mają tę wadę, że dochód z podatków przynoszą gminom umiarkowany, a z drugiej strony mamy barbarzyńską komercjalizację widoczną przykładowo w okolicach Soliny, gdzie powstaje ośrodek za ośrodkiem, sklep za sklepem, stragan za straganem, wszystko w dzikim tempie, ale z korzyścią dla budżetu. Pokusa dla władzy jest spora.

Na szczęście dwie gminy weszły do programu. Przed nimi niełatwe zadania. Pierwsze - redukcja emisji światła w miejscach publicznych. Lampy o kloszach kolistych świecących we wszystkie strony należy zastąpić lampami z oprawami kierującymi światło w dół, korzystne było by też wymienienie żarówek rtęciowych na sodowe. Ale wyzwanie jest większe - tam gdzie decyduje gmina pewne decyzje są łatwiejsze, ale pozostaje masa zabudowań prywatnych, istniejących i stale przybywających domów, gdzie potrzebna jest edukacja, w końcu, jak to podkreśla i Pavol i Jakub, nikt celowo nie zaśmieca zbędnym światłem, ani też celowo zbędnie nie marnuje energii. Ale też nikt nie da się przekonać do zmian bez argumentów. Zatem pracy jest masa. Tu warto podkreślić, że nie chodzi o to aby dwie gminy tańczyły jak im zagra grupa pasjonatów. Park Gwiazdowego Nieba to szansa na rozwój astrofizyki. „Astro” nie „agro”. Ponieważ Park Bieszczadzki jest drugim takim miejscem w Polsce (jako pierwszy powstał Izerski Park Ciemnego Nieba na Dolnym Śląsku), a pasjonatów obserwacji nieba i nocnej fotografii mamy w Polsce tysiące, jest szansa na znaczną liczbę gości, których przyciągną miejscowe warunki. Po drugie, astrofizyka zdecydowanie wydłuża sezon. Astrofizycy początkujący korzystają z organizowanych pokazów, a ci którzy przeszli już na wyższy stopień wtajemniczenia, przyjeżdżają z własnym sprzętem. Teoretycznie wystarczy czekać aż przyjadą. Nic bardziej błędnego. Astrofizyka jest aktywna nocą, a w dzień musi odespać. Pod niego należy dostosować i warunki noclegowe jak i godziny posiłków, zorganizować tak funkcjonowanie, aby pozostali goście aktywni w dzień nie przeszkadzali tym aktywnym nocą i na odwrót, co wymaga wysiłku i dość często inwestycji, albo konkretnego sprofilowania oferty. Stąd szkolenia, pokazy, specjalne broszury wyjaśniające jak rozwijać turystykę przyrodniczą, regularne spotkania z miejscowymi organizacjami turysty-

czynnymi, które mogą rozszerzyć swoją ofertę i masa innej, bieżącej pracy. Utworzono i wyposażono Centrum Informacyjne w Stuposianach (w budynku schroniska w którym nocowaliśmy) w teleskopy do obserwacji dziennych i nocnych, utworzono platformy obserwacyjne, zamontowano stacje pomiarowe służące do badania stanu ciemnego nieba, składające się z przyrządu do pomiaru zanieczyszczenia światłem nocnego nieba, kamery i stacji pogodowej. Trwa współpraca z partnerami na Słowacji, planowana jest budowa obserwatorium w legendarnej Chatce Socjologa, etc, etc, etc...

Czy Pavol, Jakub, Robert i pozostali będą za dziesięć lat świętować sukces? To zależy również od Was Drodzy Czytelnicy. Zachęcam do odwiedzenia najbliższego planetarium, a jeśli wybieracie się Państwo na południowy wschód, wybierzcie się do Jasła - w Liceum numer 1 prężnie działa otwarte dla turystów obserwatorium astronomiczne i oczywiście nie zapomnijcie umówić się na pokaz z Pavlem. Zróbcie to, co nam się wtedy nie udało. Dotknijcie gwiazd. Bo my, właśnie po to tu jeszcze wrócimy.

Tym którzy chcą wiedzieć więcej polecam strony internetowe:

www.astrokarpaty.net/pl
www.otryt.bieszczady.pl/pl/obserwatorium
www.ciemnieniebo.pl
www.llojaslo.pl
www.gwiazdnebieszczady.pl

filmy fabularne:

„Rancho Texas”
„Wolna sobota”
„Kino objazdowe”
„Hasło”

ROZDZIAŁ II

„O tych, których nie spotkaliśmy i co los daje w zamian”

Część 1

„Łysy pojechał do przychodni”

Schronisko w Stuposianach pożegnaliśmy chwilę po siódmej rano. Padało i było zimno. Daniel z Jarkiem ograniczyli się do przeciwdeszczowych kurtek, ja zaś chciałem być cwańszy i założyłem plastikową żółtą pelerynę, która według zapewnień producenta miała mi gwarantować niemal stuprocentową ochronę przed wiatrem i deszczem. Tyle teorii. Szczelne to cholerstwo było, tyle tylko, że peleryna owa, wyprodukowana została z jakiegoś materiału, który przy niskiej temperaturze tracił swoją elastyczność i usztywniał się niemiłosiernie, zamieniając rowerzystę w sztywny żagiel o znacznej powierzchni. Byłoby to pewnie dobrym rozwiązaniem, gdyby wiatr tego dnia wiał w plecy i popychał tę nietypową żaglówkę, ale ponieważ los chciał inaczej i wiatr wiał na przemian- albo z boku, albo centralnie

Bieszczadzkie zakapiory

Ten pierwszy, to ktoś niespecjalnie pachnący. Niechlujnie ubrany, w szmaty wiekowe i od wieków nieprane. Z długą siwą brodą i włosami równie siwymi, maskującymi twarz tak, że nie wiadomo, czy to zniszczony czterdziestolatek, czy rzeński luzak przed osiemdziesiątką. Wąsy siwe, ale porudziałe od tytoniowego dymu zasłaniają usta, kryjąc odpowiedź na pytanie: czy jest tam jeszcze choć jeden ząb? To nieważne, bo prze nie-usta uźbione lub nie, warto płynię w gardło piwo zafundowane przez turystę. Za kolejne opowie jeszcze kilka bieszczadzskich historii, wzruszy turystę opowieścią, że kiedyś, za dobrych czasów, siedział przy kufku z Belonem... Albo przynajmniej z Nadoptą. Pozwoli turyście zrobić zdjęcie ze sobą, licząc na kolejne zimne z pianką, albo kieliszek czegoś bardziej męskiego z zakąską.

Ten drugi też najczęściej ma brodę. I włosy podobnie długie. Ale starannie uczesane i widać, że zadbane, czyste. Nosi kapelusz. Filcowy, albo jeszcze lepszy - skórzany, porządnie uszyty. Odzież, stylizowana ni to na myśliwego ni to na leśniczego sprawia wrażenie, że mamy do czynienia co najmniej z... traperem. Wprawne oko dostrzeże styl, jakoś obuwia i reszty garderoby, starannie dobrane dodatki - pas, kapelusz, jakiś amulet, lub naszyjnik. Ten drugi ma nawet komórkę, czasami adres mailowy i konto na portalu społecznościowym. Rzeźbi, albo na czymś gra, pisze i występuje przed publicznością. Hoduje owce, konie, albo jest przewodnikiem. Wynajmuje kwatery, żyje z pracy. I z popularności. Nie wciska nachalnie turystom romantycznego kitu, a jak już coś opowiada to z sensem. Budzi szacunek i zazdrość w miejskich typach, którzy w chwilach kryzysu żalują, że kiedyś też mogli rzucić wszystko w diabły i przenieść się pod Tarnicę. Co łączy tych dwóch brodaczy? Często decyzja sprzed lat, by uciec z miasta. Przyjechali w Bieszczady z różnych powodów - szlachetnych, lub całkiem podłych; co brodaczo to historia, ale to już przeszłość - dziś łączy ich tylko ładne lub nie, kwestia to bowiem gustu - określenie: „Bieszczadzki Zakapior”. Równoległe funkcjonują też określenia „leśny człowiek” lub „Bieszczadnik”. Bieszczadnikami nazywają się często sami Ci, którzy przenieśli się w te dość ciężkie do życia tereny, ale ani nie wyróżniają się specjalnie wyglądem, ani też nie próbują ekonomicznie skorzystać na popularności zakapiorskiej tematyki. Mało tego, przeszkadza im fakt, że Bieszczady są promowane poprzez tę mityczną już postać. Trwa zatem dyskusja, a wyrażane poglądy są skrajne. Dziennikarz Andrzej Potocki w książce „Majster Bieda czyli Zakapiorskie Bieszczady” daje nam przegląd tych, którzy zasługują na szczególną uwagę i miejsce w historii. Jego fascynacja jest widoczna i oczywista. I zaraźliwa. Wiadomo - serce nie służy. Dla odmiany, w książce „Nieodkryte Bieszczady istnieją naprawdę” autor, Pan Barnaba Mądrecki pisze: „(...) Na potrzeby turystyki stworzono wymyśloną postać zakapiora, następnie przyklejono jej różne twarze istniejących ludzi.

w twarz, miałem dodatkową trudność w pokonywaniu oporów powietrza, lub kłopoty z utrzymaniem równowagi, szczególnie gdy mijały nas ciężarówki, a z braku innej możliwości jechaliśmy drogą publiczną o dość sporym natężeniu ruchu. Jarek też nie miał najlepiej. Jazda pod górę, gdy nie ma się pedałów SPD (lub innych tego typu) nie należy do łatwych, a trasa mimo że krótka, bo to niecałe czterdzieści kilometrów, była dość wymagająca ze względu na sporą ilość podjazdów. Tylko Daniel miał się w tej sytuacji dobrze, będąc wprawionym w rajdach rowerowych. Już słyszę rechot tych, co pokonują rocznie tysiące kilometrów- dla nich to było by nic, ale my pod dojechaniu w końcu do Ustrzyk byliśmy na serio z siebie dumni.

Pod drodze, w miejscowości Czarna zajeżdżaliśmy pod warsztat Pana Adama Gliniczewskiego, znanego pod pseudonimem „Łysy”, z którym byliśmy umówieni. Przyjeżdżaliśmy prawie dwie godziny przed czasem. Łysiego nie było, ale mieliśmy do niego numer na komórkę. Okazało się, że musiał jechać do Ustrzyk do lekarza. Zaproponowaliśmy, wydawało się nam, dość rozsądnym rozwiązaniem - my pojedziemy dalej w stronę Ustrzyk, a on zadzwoni do nas jak wyjdzie z przychodni, spotkamy się gdzieś po drodze lub w samych Ustrzykach. Łysy nie zadzwonił. Może coś mu dodatkowo wypadło, może zapomniał, a może najzwyczajniej hołduje zasadzie spotkania się w umówionym wcześniej miejscu? Nie wiem tego. W każdym razie spotkanie z bieszczadzkiem, (nie brodatym) „zakapiorem” przeszło nam koło nosa. Przyjdzie zatem wrócić, aby na żywo zetknąć się z mitem.

Dziwnym zjawiskiem jest intuicja

W trakcie telefonicznej rozmowy z „Łysym” czułem, że do spotkania nie dojdzie i co zaskakujące- punkt podróży który miał status bardzo ważnego, nagle przestał ważyć. Mogliśmy przecież poczekać te półtorej godziny, tym bardziej, że na dobrą sprawę nie mieliśmy większych planów na popołudnie, ale coś mi mówiło, żeby jechać dalej. I pojechaliśmy. Nie minęła godzina, gdy uwagę całej naszej trójki zwróciła tablica informująca ile to metrów mamy do galerii „Barak”. Wystarczyło skrócić w lewo.

- Panowie - powiedziałem zatrzymując rower - jeśli ktoś wymyślił taką nazwę dla galerii, to ja chcę tego kogoś poznać.

- My też - odpowiedzieli koledzy chórem. O ile dwóch facetów to chór, ale mniejsza o to...

Część 2 „Róża i Krzysztof”

I tak trafiliśmy do Galerii „Barak”, którą zapewne byśmy ominęli, gdyby doszło do spotkania z „Łysym”. Gospodarze przywitani nas z otwartymi ramionami okazując zyciwe zainteresowanie naszą wyprawą, które w połączeniu z panującą w galerii wyczuwalną, miłą atmosferą dało nam poczucie psychicznego komfortu, co było niezwykle ważne szczególnie dla mnie, bo malarstwo i rzeźba w kontakcie bezpośrednio oneśmielają mnie, ale też wprawiają w stan dyskretnej euforii. W galerii, czy w muzeum malarstwa czuję się jak intruz. Jak barbarzyńca. Ignorant. Ale jednocześnie jestem podekscytowany. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale tak jest - swobodniej i bez tej gamy nastrojów czuję się z albumem w rękę, na prywatnej kanapie niż w muzeum, czy galerii. Może to naturalna reakcja beztalentna na kontakt z dziełem? Pewnie tak. Może też kwestia braku rozeznania w temacie, bo nie umiem dzieła ocenić profesjonalnie - coś mi się podoba, lub nie. Przypominam tu filmową postać Joe Berlina (Woody Allen) z komedii „Wszyscy mówią Kocham Cię”, który chcąc zaimponować Von Sidell (Julia Roberts), miłośniczce sztuki Tintoretta, uczy się na pamięć tekstu o artyście, który zaczyna się od słów: „Gwałtowność pociągnęła jego pędzla...”, ale Bogiem a prawdą tej gwałtowności ani nie widzi, ani nie rozumie. Mam podobnie - można mi godzinami tłumaczyć, o co chodzi w fowizmie, ale mi zostaje w głowie, że jakiś facet namalował trawę na niebiesko, a niebo na zielono i że to było zabawne. Podobają mi się pejzaże Vlaminka, ale na pewno nie portrety Keesa Van Dongena. Są koszmarnie. Wiem, wiem, według fachowców to dzieła, ale jako ignorant mam prawo do braku zrozumienia. Tym bardziej, że specjaliści się też mylili. Przykład? Proszę bardzo. Gauguin chciał zaprezentować swoją „Madonnę z dzieciątkiem” Muzeum Luksemburskiemu. Odmówili przyjęcia za darmo! Renoir i Cézanne mieli sporo trudności z akceptacją dla Van Gogha! A obraz „Efekt śnieżny” Gustawa Caillebotte'a pewien kupiec nabył w galerii tylko ze względu na ładną ramę, a obraz chciał wyrzucić! Czuję się zatem usprawiedliwiony! Lubię Dalego, chociaż wydaje mi schematyczny, podobnie jak Sętowski czy Miró, ale coś w nich jest. Mam kolekcję reprodukcji Wyspiańskiego w formie kart pocztowych i lubię do nich wracać, ale popularne „Słoneczniki” Theo Van Gogha to nie dla mnie. Jak się mieszkało trochę na wsi to słoneczniki... Za końmi nie przepadam, ale te namalowane przez Wierusza Kowalskiego są wyjątkowe. Więcej w nich życia niż w żywych. I nie śmierzdzą. „Bitwa pod Grunwaldem” i „Hołd Pruski” nie muszę mnie

Zakapiorzy

Ciężko jest uznać, że są oni godni podziwu. Sami zakapiorzy są wygodni dla turystów. Wycieczki chętnie słuchają niestworzonych historii a przewodnicy mają jak zapelnąć czas przejazdu z miejsca na miejsce. Znaczna grupa bieszczadzkich osiedleńców nie związała się z alkoholem i dziś patrzy z boku, z niedowierzaniem na cale zakapiorskie zamieszanie. Zdumiewa ferment wokół „Kapliczki Pamięci”, zakapiorskie żebractwo na parkingu w Cisnej i powszechne okradanie pól namiotowych, położonych bliżej centrum wsi. Mocne słowa.

Jednak bez względu na ocenę zjawiska, nie da się przeoczyć faktu, że pojawiło się ono tylko w Bieszczadach, a nie na Podhalu, czy na Kurpiach. Wpłynęły na to pewne okoliczności. Po wysiedlaniu z tych terenów Ukraińców, Bojków i Łemków powstał ogromny obszar do zagospodarowania, charakteryzujący się wyjątkowymi walorami przyrodniczymi, sporym potencjałem gospodarczym (lasy, a co za tym idzie potrzebne w wielkich ilościach drewno), z przeciwwagą trudnych warunków bytowych, niewielką ilością słabych jakościowo dróg i wyjątkowo ciężkim zimowym klimatem. W takim miejscu osiedlali się Ci, którzy mieli w sobie siłę, (albo przekonanie o jej posiadaniu), do stawienia czoła „okolicznościom”. Władza też robiła swoje, aby w Polskę poszedł przekaz o dzikiej ziemi do zagospodarowania, co było pociągającą wizją dla poszukiwaczy przygód, marzycieli, romantyków i pionierów. A także dla życiowych rozbitków szukających drugiej szansy i pewnej liczby wykojeńców. Wśród tak barwnych typów, mało widoczni stali się miejscowi oraz Ci, dla których decyzja o przeniesieniu się w Bieszczady, była świadomym wyborem między miejską, odhumanizowaną egzystencją, a prawdziwym życiem w miejscu, gdzie ludziom bliżej do siebie.

Tak czy inaczej, z czasem mit narastał, aż doszedł do obecnej postaci. Na tle szarej rzeczywistości PRL-u legenda Bieszczad lśniła jak diament karmiąc wygłodzoną wyobraźnię. A popeerelowska rzeczywistość pozornego kapitalizmu, z korporacyjnym, bezdusznym podejściem do „człowieka - trybu-cyfr” w firmowej maszynie i bezwzględny wyścigiem szczurów, okraszona do tego obrzydliwym szambo-osem sceny politycznej, stała się dla wielu szarym tłem, na tle którego mit ludzi żyjących poza systemem, w zgodzie ze sobą, z przyrodą, w opozycji do komercji wystrzelił z siłą i blaskiem fajerwerków. A może nie mit, tylko intrygujący folklor, który ewoluuje i się zmienia? I ten wyjątkowy kulturowy byt ciągle uwodzi, kusi i wciąga, bo co by się nie działo, jak daleko nie poszła by atomizacja, to zawsze zostanie się wielka liczba tych, którzy będą tęsknić za ziemią o ludzkiej twarzy. Tak czy inaczej, temat jest dyskutowany, a życie toczy się swoim rytmem. Złoty bieszczadników, zakapiorów czy leśnych ludzi przyciągają masę uczestników - autentycznych ludzi gór, mistrzów autokreacji i niestety - również zwykłych meliniarzy szukających okazji do naciągnięcia na darmowe piwko podekscytowanych turystów.

Temat rzeka - więc warto sięgnąć do literatury, blogów, filmów, piosenek. Nie trzeba szukać daleko - internet pełen jest prasowych artykułów, dyskusji i filmów o bieszczadnikach i Bieszczadach, wystarczy wpisać w wyszukiwarkę słowo „zakapior”, „Bieszczady”, „Bieszczadnik”. Ilość materiałów jest zaskakująco duża - od wywiadów z Bieszczadnikami, po profesjonalne analizy etnologów, czy wnikliwe artykuły prasowe. Warto się w nie zagłębić, poczytać, poznać różne opinie, zanim wybierzemy się w Bieszczady, które ze swoimi ciekawymi osiedleńcami, artystami-samoukami i nie do podrobienia klimatem wiszącej w powietrzu poezji, są rzeczywiście miejscem wyjątkowym.

przekonywać stroną warsztatową - dają czystą satysfakcję, że i my kiedyś skopaliśmy dupsko Helmutom. Pokręcone to moje tłumaczenia więc posłużę się przykładem jak malarstwo na mnie działa. W komedii „Jaś Fasola - naddająca totalny kataklizm” z Rowanem Atkinsonem w roli głównej, oglądamy wymyślone perypetie obrazu „Arrangement in Grey and Black, Portrait Of The Artist's Mother” znanego pod popularną nazwą „Matka Whistlera”. Nie mogłem doczekać się końca filmu, żeby móc zacząć szukać dlaczego ten obraz a nie inny został wybrany do filmu, dowiedzieć się o nim więcej, o epoce, o artyście, a później szerzej o malarstwie amerykańskim, co skończyło się najprościej jak można, czyli na kupieniu albumu „Malarstwo Amerykańskie” wydawnictwa Arkady, które poza reprodukcjami daje ciekawą lekcję w temacie, napisaną językiem dostępnym dla takich laików jak ja.

Pewnie zamęczam Państwa, więc przechodzę dalej - pomijając kwestie artystyczne, galeria taka jak „Barak” utrzymuje się ze sprzedaży. Rowerzysta-sakwiarz, obladowany ekwipunkiem z założenia jest klientem marnym, lub żadnym. Nie kupi, bo nie ma jak się z zakupami zabrać, choćby chciał. Nie ma więc po co specjalnie się nad nim pochylać. Ta świadomość połączona z moim osobliwym podejściem do sztuki wprawia mnie w zakłopotanie, ale gospodarze swoim miłym podejściem wyleczyli mnie (przynajmniej na tę chwilę) z obsesji. Pytanie o to co robimy i czego szukamy było szczere. I po kilku minutach czuliśmy się jak wśród starych znajomych.

- Kogo szukacie? - spytali nas wprost, jednocześnie proponując herbatę.

- Ognia i wody, czyli takich którzy są jednocześnie i romantykami i pozytywistami.

- No to dobrze trafiliście.

- Jakiesz szczegóły?

- Proszę bardzo. Pochodzimy z różnych miejsc, z Siedlec i Rzeszowa, a połączyły nas Bieszczady. To chyba wątek romantyczny? No i oczywiście chęć bycia ze sobą, ta pewność która działa bez rubryk i wytycznych, która nie ma ani ceny, ani normy - jest niemierzalna, obojętna na komputer i nie podlegająca amortyzacji, to też jak najbardziej świat romantyczny. Prawda? Idźmy dalej - decyzja, żeby to miejsce, które było i sklepem monopolowym i tak zwanym lumpeksem zamienić na galerię było szalonym marzeniem, któremu nie dawano cienia szansy, a jednak udało się i minęło ponad dwadzieścia lat...

- ...

- Bo tu musiał dojść element pragmatyczny. Pomysł na galerię to jedno, realizacja drugie. Ze świata idei trzeba przejść do świata remontu, adaptacji, kurzu i przeciekającego dachu. Z pragnienia życia w określonym klimacie trzeba przejść

do planu - czym ma być to miejsce, kto ma być odbiorcą, jak chcemy go znaleźć, jak ocenić jego oczekiwania, aby znaleźć równowagę między osobistą satysfakcją płynącą z promowania sztuki i rzemiosła artystycznego, a zapłaconą składką na ubezpieczenie. Może mały przykład. Wiele lat temu weszliśmy głębiej w świat ceramiki, który co prawda od dawna nas pociągał, ale dzięki współpracy ze studentami z Wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych, poszliśmy krok dalej. I tu jest sedno sprawy - marzenia, aby to robić to jedno, a poznanie techniki pracy, czyli godziny normalnej nauki rzemiosła, czy decyzja o inwestycji - typu piec do wypalania, to dwa, mamy więc oba światy - ten romantyczny i rozważny. Na szczęście można je pogodzić. Teraz siedzimy przy herbacie i rozmawiamy sobie luźno, ale nasze życie to nie tylko podejmowanie w galerii - gości mniej lub bardziej zainteresowanych wystawionymi pracami - tylko myślenie do przodu. Na dzień, tydzień, miesiąc czy rok. I masa pracy. Satysfakcjonującej, ale pracy.



Właściciele Galerii „Barek” /po prawej/ wraz z gośćmi.

- Dobrze się w tym czujecie?
- Dwadzieścia lat to kawał czasu, na który składają się sukcesy, jak i chwile zwątpienia. Sukces uskrzydla, a niepowodzenie zasmuca. Ale po pierwszej fali złych emocji skłania do myślenia, do kreatywności, szukania rozwiązań. Zmusza do działania. Chyba lepszego scenariusza na życie nie moglibyśmy wymyślić. Ale dość o nas. Wy teraz nam powiedzcie, jak do nas trafiłście?
- Zaśmialiśmy się w trójkę jednocześnie:
- Przez przypadek. Zbyt wcześnie pojawiliśmy się na spotkaniu z niejakim „Łysym” i nie chcąc czekać pod pracownią pojechaliśmy dalej, licząc na to, że spotkamy się po drodze. Zaintrygowała nas nazwa waszej Galerii. I jesteśmy. A „Łysy” nie zadzwonił.
- Interesują Was jego rzeźby, czy tematyka zakapiorska?
- W tym momencie to drugie.
- To Wam los spletał figła, bo trafiliście do ludzi, którzy z tym zjawiskiem się nie utożsamiają, chociaż u zarania naszej przygody Krzysztof mieszkał u Rysia Krzeszewskiego, czyli „Prezesa”, gdzie się poznaliśmy i gdzie poza innymi doświadczeniami, Krzysztof nauczył się rzeźbić.
- „Prezes” to jeden z zakapiorów?
- To jest dość nieszczęśliwe określenie, bo obecny szum wokół tematu, nawet gdyby nie miał miejsca nie zmienił by faktu, że „Prezes” to rzeczywiście barwna postać. Człowiek z kolorową przeszłością, którego koleje losu poszły tą, a nie inną drogą. I bez względu na to w jaką ramkę wsadza się go dziś - zakapiora czy osadnika, to jest on sobą Ryśkiem „Prezesem” - ciekawym człowiekiem, który przeszedł przez masę przemian, zanim stał się tym kim jest. Znamy się, lubimy i szanujemy.
- Czy mamy rozumieć, że ten mit żyje własnym życiem, a tak zwani zakapiorzycy dystansują się od tego?
- Postawy są różne. Są tacy, których to

zaszufladkowanie mierzi, jak i tacy, którym

Mielerze i retorty

Kolejne słowa z bieszczadzkiego słownika to: „smolarze”. „retorta” i „wypały”.

Zjawisko wypalów kojarzone jest z Bieszczadami, ale miało szerszy zasięg terytorialny. Wypał to miejsce, w którym smolarze w specjalnych retortach produkowali węgiel drzewny. Retorty są dość nowym wynalazkiem, pochodzą z początku lat osiemdziesiątych. Zaprojektowano je w SGGW w Warszawie, tak, aby spalanie odbywało się z minimalną ilością tlenu i z jak najmniejszymi stratami materiału bazowego (buk, olcha). Do pojawiania się retort, węgiel wypalano tradycyjną (i mniej ekonomiczną) metodą w specjalnych stosach, zwanych mielerzami.

Ponieważ proces wypalania wymagał całodobowej kontroli, wypały były jednocześnie miejscem pracy i pobytu smolarzy. Miejscem wyjątkowo niekomfortowym - bez bieżącej wody i bez elektryczności. Pył i popiół, smoła i sadza wciskały się w każdy zakątek skóry, we włosy i między zęby osiadały na rzęsach i pod paznokciami. Tylko najtwardsi, czy najbardziej zdesperowani wytrzymywali takie warunki bytowe, które wraz z fizyczną ciężką robotą (celowo napisalem robotą, a nie pracą) stawały się testem na wytrzymałość. Zarówno fizyczną, jak i psychiczną, gdyż wypały funkcjonowały w pewnym oddaleniu od osad i smolarze nie mogli korzystać z naturalnej dla innych profesji przeciwwagi, jakim jest codzienny powrót po godzinach pracy do rodziny, domu, czy znajomych. Warunki te sprawiły, że smolarze stali się grupą charakterystyczną, z własnym systemem wartości, etosem.

Wypały znikają z krajobrazu z dwóch przyczyn. Pierwsza ma związek z ekologią, mimo że nie udowodniono szkodliwości wypalów dla środowiska, a drugi powód to ekonomia, czyli o niebo tańsza produkcja na Ukrainie. Zniknięcie smolarzy z bieszczadzkiego krajobrazu to prawdziwa strata, szczególnie dla tych, których nie kręci widok napompowanych sterydami i głupotą dupków z miejskiej siłowni, tylko woleli by spędzić kilka chwil z prawdziwym twardzielem, który ma coś do powiedzenia o życiu.

łatka nie przeszkadza, a wręcz potrafią ją wykorzystać, a nawet wzmacniać mit, rozkręcać modę. Ich prawo. Wiecie, z naszego punkt widzenia ludzi mieszkających tu od lat, pośród mnóstwa najróżniejszych wydarzeń, które tu mają miejsce, zjawisko zakapioryzmu, jest jednym z wielu, składającym się na całość tego czym są dziś Bieszczady. Ale nie najważniejszym. Zostańcie kiedyś na dłużej, a przekonacie się, że jesteście w miejscu wyjątkowym, i to nie dzięki tej subkulturze, ani dzięki nowym hotelom z wieloma gwiazdkami i SPA.

- Ale my już to wiemy...
- Tak?
- Daniel pochodzi z Sanoka i spędził tu mnóstwo czasu, edukuje nas po drodze, a po drugie podróż zaczęliśmy od kina „Końkret”, a dokładniej od jego twórców i od Parku „Gwiazdne Bieszczady”...
- I?
- Jesteśmy oczarowani!
- Zaczęliście najlepiej jak to było możliwe. Witamy w Naszych Bieszczadach.
- Bardzo nam miło. Ale zmienimy teraz temat. To są wszystko Wasze prace?
- Nie. No właśnie, występujemy tu w podwójnej co najmniej roli - artystów i marszandów. Wystawiamy prace naszych przyjaciół i znajomych. Są to osoby związane z Bieszczadami. I co ciekawe, nie są to jedynie absolwenci uczelni artystycznych, ale i amatorzy, samoucy, na co dzień trudniący się czymś innym. W tym gronie znalazł się i nauczyciel i urzędnik, filozof i drwał.
- Coś ich musi łączyć..?
- My to nazywamy szczerością artystycznej wypowiedzi, ale nie tylko o to chodzi. Osoby współpracujące z nami łączy też podobny system wartości, chęć przebywania ze sobą, czy dzielenia się doświadczeniem. Ale nie oznacza to, że wystawiamy byle co, tylko dlatego, że kogoś lubimy. Wystawiane prace są pojedynczymi egzemplarzami o unikatowym charakterze, są wartościowe pod względem

artystycznym. Taki wymóg stawiamy też sobie - nie prowadzimy seryjnej produkcji. Nasza ceramika, ta użytkowa czy dekoracyjna jest wykonywana ręcznie, ręcznie jest szkliwiona i malowana. Staramy się też używać takich technik, które sprawiają, że nasze prace mają dużą trwałość i odporność na ścieranie, co jest szczególnie istotne przy ceramice użytkowej, takiej jak zestawy kawowe czy obiadowe. Moglibyśmy o tym opowiadać w nieskończoność, ale lepiej pokażemy Wam co tu mamy.

Już po kilku minutach oglądania szumiało mi w głowie. Rzeźby, obrazy, witraże, ikony, świeczniki, patery, serwisy i zegary, wyroby z lnu i biżuteria. Bezwiednie przestałem słuchać co mówią gospodarze, oddając się przyjemności oddychania wśród dzieł, prac czy przedmiotów nieprzypadkowych, niepowtarzalnych i w prostym ujęciu - ładnych. A do tego „z duszą”. Wyobraziłem sobie co może tu się dziać nocą, gdy Krzysztof i Róża pogaszą światła i zamkną za sobą drzwi. Przypuszczam, że postaci z obrazów rozmawiają szeptem ze sobą, a malowane kwiaty kołyszają się lekko jakby na wietrze. I pachną.

Część 3 „Trzeba umieć Namalować konia”

Cięzko było wyjść z Galerii, ale nie chcieliśmy nadużywać gościnności. Pojechaliśmy w stronę Ustrzyk, a Daniel stwierdził, że poznanie Róży i Krzysztofa to coś o wiele fajniejszego, niż cały ten zakapioryzm. Zgodziłem się z nim, ale mimo wszystko zostało w głowie jeszcze na tyle ciekawości, żeby kiedyś do sprawy wrócić przy kolejnej wizycie. Ale nie chciałbym szukać po omacku. Po południu spotkałem się z Panią Lucyną Sobańską z Fundacji Bieszczadzkiej, (którą poznałem wcześniej przez telefon i dzięki której dowiedziałem się o Jareckich i kinie „Końkret”. Pani Lucyno - dziękuję za wszystko!). Zapytałem więc, kogo z tego grona warto by poznać. Nie zastanawiała się ani przez chwilę i wskazała kilka osób: Krystynę Rados, która ma największą wiedzę w temacie „Bieszczadnik-Zakapior”, Ryszarda Denisiuka „Burego” i Jana Dareckiego znanego pod pseudonimem „Jano Pustelnik”, którzy chętnie poświęcą swój czas szczerze zainteresowanym. Podzieliłem się z Panią Lucyną wrażeniami z wizyty w „Baraku”.

– Pani Arturze, czy ma Pan świadomość, że to nie jest po prostu zwykła galeria?
– Co ma Pani na myśli?
– To, że to jest już instytucja. Ale w dobrym tego słowa znaczeniu. I to z wielkim dorobkiem. Bo to są pionierzy. Barak jest pierwszą prywatną galerią w Bieszczadach. To raz. Druga sprawa, to, że oni konsolidują środowisko, promują miejscowych artystów, wychodzą dalej, bo mieli już wystawy na wyjeździe - na pewno i w Warszawie i Krakowie. Na miejscu też się dużo dzieje.

Wernisaże, spotkania. Zawsze ciekawie zaaranżowane, w niebanalnej oprawie. Jest też oferta dla gości - warsztaty ceramiczne, czy malowania tkanin. Pani Róża zajmuje się też teatrem i... sama nie wiem czym jeszcze! W każdym razie ludzie tacy jak Oni to największe bogactwo Bieszczad i mamy wielkie szczęście, że osiedlili się właśnie u nas.

– A w czym według Pani tkwi tajemnica ich wyjątkowości. Przecież musi być w Polsce więcej takich miejsc.

– Podobnych w profilu? Owszem. Ale tu Panie Arturze, chodzi o nie to „co?” oni robią, tylko „jak?” to robią. I o to jakimi są ludźmi. Ale aby zrozumieć trzeba być z nimi. Choćby przez chwilę.

Pożegnałem się z Panią Sobańską i poszliśmy z chłopakami na spacer po



Dusiolki na straganie w Ustrzykach Dolnych.

Ustrzykach. W ścisłym centrum rzucają się w oczy Ukraińcy sprzedający na ulicy cukierki i chałwę. Chodzą od człowieka do człowieka oferując słodycze, ale każdy wie, że poza cukierkami mają też alkohol - pół litra czystej wódki za 10zł, ukraińską brandy (zwaną przez nich koniakiem) za 20 i piwo po 2 złote za butelkę. Budzi to dziwne uczucia, szczególnie gdy podchodzi starsza pani, na oko już po siedemdziesiątce, błagająca, abyś kupił wódkę której nie potrzebujesz. Po paru minutach, gdy już widzi, że nie sprzeda ci butelki, zostawia Cię z wyrzutami sumienia, że nie pomogłeś starszej pani. Miejscowi są już uodpornieni, ale jak się przez to przechodzi pierwszy raz, to nie wiadomo jak się zachować.

Było dość ciepło, więc kolację zjedliśmy na zewnątrz, dzieląc się wrażeniami z kolejnego dnia. W pewnym momencie Daniel, nawiązując do wizyty w „Baraku” powiedział:

– Tam wszystko było ładne. I takie normalne, chodzi mi o obrazy, a nie jakieś dziwne esy floresy, w których nie wiadomo o co chodzi...
– Bywają fajne esy floresy - wtrąciłem.
– No tak - odpowiedział Daniel - ale dlaczego niektóre są nawet ciekawe, a inne to zwykły chłam?
– To proste - tym razem odpowiedział mu Jarek - artysta musi umieć „namalować konia”, czyli mieć podstawy, warsztat. Kiedyś pewien znajomy witrażysta mi to wytłumaczył. Taki na przykład Picasso malował kobiecie oko na czole i ludzi z trójkątów, ale to był efekt poszukiwań twórczych, rozwoju i świadomego wyboru. I powstawały dzieła, kubistyczne zdaje się i inne, też pokręcone, ale wartościowe. Co nie znaczy że nie potrafił malować realistycznie. Potrafił i to jak! Czyli umiał „namalować konia”. Gorzej jest, gdy

„artysta” maluje tylko esy floresy, chłapie farbą po płótnie i po nim skacze, ale gdyby mu przyszło namalować konia, to by się ośmieszył, bo nie ma bladego pojęcia o podstawach. I stąd różnica. Jak esy floresy robi mistrz, to coś w nich jest, a jak pajac, to wychodzi byle co.

– Dobre to określenie. „Namalować konia”. To można odnieść do wielu rzeczy...- głośno zastanawiał się Daniel.

– A wiecie - Jarek ciągnął temat - jakie było pełne nazwisko Picassa?

– Nie.

– Nauczyłem się kiedyś na pamięć, żeby wygrać zakład. On się nazywał: Pablo Diego José Francisco de Paula Juan Nepomuceno María de los Remedios Cipriano de la Santísima Trinidad Ruiz y Picasso.

– Jaja sobie robisz?

– Założymy się?

Tym którzy chcą wiedzieć więcej polecam:

- książki:

„Bieszczady w PRL-u” Krzysztof Potaczła

„Majster Bieda czyli Zakapiorskie Bieszczady” Andrzej Potocki

„Bieszczady, tam gdzie hucyły, diabły, hucyły, Ukraińce” Stanisław Kryciński,

„Nieodkryte Bieszczady istnieją naprawdę” Barnaba Mądracki

„Wspomnienia handlarza obrazów” Ambroise Vollard

- artykuły prasowe:

„Wszyscy Stworzyliśmy Bieszczady” - wywiad Renaty Radłowskiej z Dr Patrycją Trzeszczyńską-Dremel „Gazeta Wyborcza/Duży Format”

„20 lat bieszczadzkiej Galerii „Barak” - wywiad i artykuł Anety Gieroi na portalu biznesistyl.pl

- strony internetowe:

www.barak.art.pl

www.facebook.com/galeria.barak

- filmy:

Cykle dokumentalne TVP Rzeszów „Zakapiorskie Bieszczady” i „Bieszczadzkie Klimaty”

ROZDZIAŁ III

„Pizza i śpiew, a nawet piłka kopana, czyli historie opowiadane miliony razy, ale warte opowiedzenia po raz kolejny plus jedna opowieść całkiem nieznaną”

Część 1

„Opatentować pizzę?”

Ustrzyki opuściliśmy łamiąc regułę, żeby na koniec pobytu w Bieszczadach kupić Dusiołka na pamiątkę. Tu znów mamy oddzielną historię, bo dzisiejszy „bieszczadzki dusiołek” to niewielka, kilkunastocentymetrowa rzeźba, przedstawiająca pociągłą ni to twarz ni to głowę, wisior i talizman jednocześnie, której przypisuje się najróżniejsze moce - są dusiołki na mocną głowę, na porost włosów, chroniące przed biedą i niechcianą ciążą. Dusiołek antykoncepcyjny użyty zgodnie z instrukcją gwarantuje 100% skuteczności. Instrukcja użycia dusiołka antykoncepcyjnego jest prosta - jak się kobiecie pojawi ochota, to ma usiąść na krześle, dusiołka włożyć między kolana, ścisnąć i trzymać, aż ochota przejdzie. Dusiołki w obecnej formie wymyślił, co potwierdza i Rysiek Denisiuk „Bury” i dziennikarz Andrzej Potaczała, sam Jędrzek „Połonina”, kolejny z bieszczadników, czy jak ktoś woli jeden z najsłynniejszych zakapiorów. Temat okazał się trafiony w dziesiątkę - nie każdy turysta wyda pięć dych, czy stówę na konkretną rzeźbę, ale piąta za dusiołka nie pożałuje. A wyrzeźbienie takiego wisiorka to też kwestia paru minut, więc wszyscy są zadowoleni. Pomijając fakt, że pierwotny dusiołek to typ groźny i demoniczny (sama postać wzorowana na złych duchach z wierzeń słowiańskich pochodzi z wiersza Bolesława Leśmiana „Dusiołek”, gdzie jest on zjawą, złym duchem - symbolem zła; co sprawia, że osoby bardziej wrażliwe na kwestie spirytystyczne takiej pamiątki nie kupią, ale mówimy o mniejszości...), któremu adaptacja na rynek pamiątkarski zamieniała złe moce na dobre i wyrwała diabelskie zęby, trzeba się zgodzić, że jest pewną alternatywą dla pamiątek w rodzaju ciupagi góralskiej z napisem „Pozdrowienia z Kołobrzegu” czy pluszowego Delfina z napisem „Pamiątka z Soliny”. Z drugiej strony fakt, że postać ta od momentu pojawienia się w wersji pamiątkarskiej, obrosła w tak wiele legend i przypowieści, zasługuje na uwagę etnografów.

Z Ustrzyk do Lwowa, przepraszam za przejęzyczenie, do Przemysła jedzie się trasą malowniczą... Proszę się przejęzyczeniu nie dziwić. Kto choć raz tam był, na Łyczakowie, czy na cmentarzu Orłąt, ten wie, że będąc tak blisko granicy można się pomylić... A kto nie był, niech jedzie. Ale ostrzegam lojalnie - to nie jest łatwa wyprawa - bo wyobraźcie sobie Państwo, że widzicie jak rodzinną kولی Waszej prababki nosi na szyi flama alfonsa, który zgwałcił i okradł Wam matkę.

Do Przemysła jedzie się z Ustrzyk trasą malowniczą, mijając po drodze nieczynne już retorty, przy których jeszcze niedawno kręcili się smolarze.

Przemysł wart jest oddzielnej wizyty. Twierdza przemyska, wyznaczone trasy



W pizzerii Galicyjskiej Krzysztofa Dominiaka z Przemysła zawsze jest kolejka. Po lewej zdjęcia osób znanych – warto to samemu obejrzeć.

rowerowe i sporo atrakcji w samym mieście i okolicy zaspokoją najbardziej wymagającego gościa. Jak ma się odrobinę szczęścia, to trafi się na mówiącego z lwowskim akcentem taksówkarza, profesora, przechodnia. Ale my nie chcieliśmy liczyć na łut szczęścia. Przyjechaliśmy do Przemysła poznać kogoś, kto sprawi, że poczujemy się jak we Lwowie.

Jeszcze w toku przygotowań z pomocą przyszedł nam Paweł Mrozek, student Politechniki Wrocławskiej, pochodzący z Przemysła sąsiad z bloku i przyjaciel domu:

– Sąsiad - Paweł tak do mnie się zwraca - jak ty chcesz cokolwiek w Przemyslu, wokół Przemysła i o Przemyslu, to jest jeden człowiek, który wie wszystko, którego wszyscy znają i który nie odmówi pomocy.

– Kto taki?

– Długa historia. Krzysztof Dominiak. Uczyłem się z jego córką. Wyobraź sobie taką sytuację - przeciętny zjadacz chleba kupuje jakąś kolorową gazetę, bo chce się dowiedzieć, co tam słychać u aktorów, polityków czy sportowców. U ludzi znanych. A co robi ktoś znany, gdy kręci się w okolicy Przemysła? Chce wiedzieć co słychać u Krzysztofa Dominiaka. I najczęściej go odwiedza.

– To co on takiego robi?

– Pizzerię prowadzi.

– I to wystarczy? Tysiące ludzi prowadzi pizzerię...

– Pizzeria to tylko wstęp. Ja Was z nim umówię. Naprawdę fajny człowiek i chętny do pomocy. Sam zobaczysz.

„Pizzeria Galicyjska” została założona w 1978 roku przez Irenę i Krzysztofa Dominiaków. Od początku serwowała specyficzną „pizzę po przemysku” w trzech wersjach - z kaszą, cebulą i kiełbasą. Do dziś jadłospis się nie zmienił, a do lokalu przychodzi trzecie pokolenie klientów. Od 2013 roku „pizza po przemysku” jest chroniona prawem patentowym. „Pizzeria Galicyjska” jest jedynym lokalem w Polsce dla którego hasło reklamowe ułożyła Agnieszka Osiecka.

Krzysztof Dominiak z miejsca zaproponował przejście na „ty”, zaznaczając, że najpierw

trzeba zjeść, a potem możemy rozmawiać.

– Co Ci sprawia największą frajdę przy prowadzeniu lokalu?

– Sporo rzeczy. Po pierwsze niewątpliwym sukcesem związany z tym, że wokół zmieniają się mody i gusta, a my cały czas z niesłabnącym powodzeniem robimy swoje. Zdarza się, że klienci którzy wyemigrowali, dajmy na to dwadzieścia lat temu, pojawiają się w mieście i chwala, że smak przez lata się nie zmienił. Sporo jest tego, ale największą frajdę sprawia reakcja Włochów, zapatrzonych w swoją kuchnię, którzy z początku kręcą nosem, a potem zamawiają dodatkowe porcje! I jeszcze biorą na wynos.

– Jakie były początki tego lokalu?

– Pierwszy lokal kwalifikowany jako pizzeria powstał już w latach siedemdziesiątych decyzją zarządu PSS Spółem, zdaje się przy ulicy Szewskiej, potem jak wiadomo były problemy z zaopatrzeniem, produktami, rynkiem. To miało też swój wpływ na recepturę. Potem pizzerię przeniesiono do obecnego lokalu i prezes PSS-u poprosił moją żonę, aby poprowadziła ten lokal oczywiście pod państwową egidą, a potem zaproponowano jej przejście na działalność gospodarczą. Ja do żony dołączyłem w 1991 roku i tak szczęśliwie działamy do dziś.

– Czym zajmowałeś się wcześniej?

– Pracowałem i w rozrywce i kulturze, między innymi w Wojewódzkim Domu Kultury, czy w Łódzkiej Estradzie.

– Stąd liczni aktorzy i muzycy w gronie Twoich znajomych?

– Zgadza się. Wtedy powstało hasło reklamowe naszej pizzerii.

– Czy to jest ta historia opowiadana milion razy?

– Ta sama. No może nie milion, ale dziesiątki razy. I dziesiątki razy opisana w mediach. Tyle tylko, że jak ja później czytam te wywiady, to okazuje się, że pomijane są okoliczności, a to miało miejsce podczas imprezy teatralnej, która sama w sobie jest godna uwagi, zainteresowania i wizyty tu na wschodzie, bo to prawdziwa gratka dla miłośników teatru.

– Słuchamy zatem.

- To było podczas „Biesiady Teatralnej” w Horyńcu Zdroju, cyklicznej imprezy, która odbywa się tam od trzydziestu paru lat. Pracowałem wtedy przy jej organizacji. Pierwotnie impreza nosiła nazwę „Przegląd Amatorskich Zespołów Teatralnych Małych Form”. W 1990 roku, w jury zasiadali profesor Bardinini jako przewodniczący, Agnieszka Osiecka i na pewno Jerzy Markuszewski i zdaje się Bogusław Sobczuk i Andrzej Jarecki. Lepszego jury nie można by sobie wymarzyć. No i wiecie, obecność takich tuzów też coś mówi o randze tego wydarzenia. Prawda? Na mnie osobiście wrażenie robiła Agnieszka ze swoją energią. Przesłuchania trwały od mniej więcej czternastej do dziewiętnastej, potem jurorzy się naradzali, większość szła wypocząć, a ona siedziała z nami do późnej nocy, wiecie - „nocne Polaków rozmowy”, by potem iść jeszcze pisać przez jakieś dwie godziny. Spała niewiele, by zaraz po śniadaniu prowadzić zajęcia z młodzieżą. Wulkan energii. Gdy dowiedziała się, że moja żona prowadzi pizzerię, zaproponowała, że napisze krótkie hasło reklamowe w zamian za siedem „pięćdziesiątek” winiaku. I tak powstało hasło

„Nasza pizza Was zachwyca”

- zapisane na kartce papieru. Coś mnie wtedy tchnęło, aby poprosić ją o dopisek „Nie będę rościć żadnych pretensji”.

- Dopisała?

- Tak, ale za następne siedem „kolejek”. Oryginał tej umowy mam oprawiony w ramki, wisi w lokalu.

- Ciekawa historia.

- Mam więcej do opowiedzenia, ale może to na wieczór przełożymy?

- Zgoda, ale powiedz nam jeszcze jedno. Co sprawia, że Ci wszyscy znani ludzie tak się do Ciebie garną. Lista Twoich gości jest imponująca.

- Przyczyna jest prosta. Pracując w Estradzie sporo jeździłem po kraju i poznałem ich życie od podszewki, od zaplecza. Wielodniowe trasy, autokary, hotele różnej jakości, funkcjonowanie poza domem, to nic atrakcyjnego, to ciężki kawałek chleba. I gdy już osiadłem w Przemyślu, zacząłem pracę w Domu Kultury, to gdy pojawiali się artyści, wiedziałem jak o nich zadbać, jak zorganizować im pobyt, aby byli zadowoleni, bo wcześniej, w tym jak to mówią cygańskim życiu poznałem ich potrzeby. To wszystko. A z drugiej strony, to ja mam też trochę taką estradowo-kabaretową duszę, więc się rozumiemy, dobrze czujemy w swoim towarzystwie. Henryk Talar napisał mi kiedyś i ten wpis jest do obejrzenia w pizzerii, że jak by się zwolniło miejsce na zmywaku, to on ten etat rezerwuje dla siebie. No ale dość o mnie. Szukaliście prawdziwego Lwowianina, takiego z krwi i kości. Sporo tu takich, ale mam dla Was specjalnego gościa. Za cztery godziny macie spotkanie, a teraz lećcie do hotelu się przebrać, odstawić rowery.

Pomknęliśmy do hotelu „Albatros”, gdzie czekała nas niespodzianka. Chcieliśmy uregulować za nocleg z góry, ale Pani z recepcji odpowiedziała:

- Panowie nie płacicie.

Batiar

Batiar - lwowski „człowiek ulicy”. Słowo pochodzi prawdopodobnie z języka węgierskiego („betyar” - awanturnik, ulicznik), i upowszechniło się w czasach zaboru, gdy Lwów należał do Austro-Węgier. W kulturze popularnej, wizerunek biednych, ale sympatycznych i uczuciowych batiarów upowszechnili Szczepecio i Tońcio, bohaterowie przedwojennej audycji „Wesoła Lwowska fala”, znanej w całej Polsce i słuchanej regularnie przez kilka milionów widzów. Batiarzy tworzyli subkulturę, z własnym systemem wartości, gwarą, stylem ubierania się. Wielu z nich utrzymywało się z drobnych kradzieży, głównie kieszonkowych, czasami z wymuszeń w stylu „kup pan cegłę”. Lwowscy kieszonkowcy przeszli do historii sztuki złodziejskiej - swój fach ćwiczyli na specjalnych manekinach z dzwoneczkami, a ich metody kopiowali kieszonkowcy Londynu i Rzymu. W czasie wojny polsko-ukraińskiej i polsko-bolszwickiej (1918-1920) wielu z nich walczyło w oddziałach ochotniczych obok studentów i robotników, harcerzy i urzędników obronie Lwowa. Współcześnie we Lwowie próbuje się w wskrzesić pozory kultury batiarów, oczywiście na pokaz i dla zarobku na turystach.

- Jak to?

- Szef powiedział, że macie nocleg gratis.

- Serio?

- Serio. Jak chcecie wiedzieć dlaczego to go spytajcie. Drugie drzwi po prawej. Dla ułatwienia - szef nazywa się Zygmunt Ziober. Delikatnie zapukaliśmy do drzwi. Przedstawiliśmy się, dziękując jednocześnie i pytając o powód takiej decyzji.

- Krzysio Dominiak powiedział mi o Waszej wyprawie i całym projekcie. Spodobała mi się idea, więc postanowiłem dołożyć do tego małą cegiełkę. Siadajcie Panowie. Kawa, herbata?

Pomyślałem wtedy, że oto jestem na prawdziwym polskim wschodzie i że scena taka była by niewyobrażalna w Poznaniu. Przysiedliśmy na chwilę, a moją uwagę zwróciło zdjęcie naszego gospodarza w stroju sędziego piłkarskiego stojącego obok Michela Platini.

- Pan jest sędzią piłkarskim?

- Byłem. Do roku dwutysięcznego. Byłem sędzią międzynarodowym FIFA. Ale zaczynałem od tak zwanej C-klasy.

- A co to takiego, bo kiepscy z nas kibice.

- To najniższa grupa ligowa. Amatorska. Wioska gra przeciw wiosce. W dużym uproszczeniu.

- Możemy jeszcze Pana pomęczyć chwilę w temacie, bo Pan dobrze wpisuje się w klimat naszego projektu, który na dobrą sprawę opiera się na spotkaniach z ciekawymi ludźmi.

- Czasu mam niewiele, ale proszę pytać.

- Jak się zostaje sędzią?

- Każdy ma inną historię. Ja byłem lekkoatletą. Tyle, że miałem pecha, bo żółtaczka na trwałe wyeliminowała mnie z wyczynowego sportu. Sędziowanie to jednak nieco mniejszy wysiłek fizyczny; lekarz sportowy wydał zgodę i tak trafiłem do piłki nożnej.

- Jest Pan kibicem jakiejś konkretnej drużyny?

- Nie. To jest w moim przypadku niemożliwie, bo mnie tak ta praca wciągnęła, że jak teraz trafię na jakiś mecz, to zamiast patrzeć na grę zawodników, obserwuję pracę sędziów. Skrzywienie zawodowe.

- Pamięta Pan mecz największej rangi który Pan sędziował?

- Oczywiście. To było w 1994 roku w grudniu, eliminacje do Mistrzostw Europy. Niemcy pokonali Mołdawię trzy do zera.

- A najśmieszniejszą sytuację Pan pamięta?

- W niższych klasach co chwilę się coś działo. Kiedyś zaatakowała mnie krzesłem pewna Pani za odgizdanie karnego, a żeby było ciekawiej, Pani ta była pielęgniarką odpowiedzialną za medyczne zabezpieczenie meczu. Innym razem mecz się nie odbył, bo gospodarze nie przygotowali boiska i nie wysypali linii końcowych, a gdy im zwróciłem na to uwagę, odpowiedzieli, że nie ma potrzeby, bo oni wiedzą, gdzie się kończy boisko i kiedy jest aut. Po negocjacjach w końcu wzięli się do pracy, ale zaczęli z dwóch stron i linie rozminęły się w połowie boiska o parę metrów. Uparli się, że nie poprawią tego i meczu nie było. Mam całą masę takich doświadczeń. Starczyło by pewnie na książkę.

- A co poza rangą, ilością kibiców i tak dalej różni mecz międzynarodowy od meczu w najniższej klasie z punktu widzenia sędziego?

- Bardzo dużo, ale zasadnicza różnica, to margines tolerancji dla błędów na boisku. Gdyby w meczu najniższej klasy stosować się sztywno do przepisów, to w wielu przypadkach, po dwudziestu minutach, na skutek czerwonych kartek w grze zostali by jedynie dwaj bramkarze. Ale takie mecze, a może otoczka wokół nich, miała też swój niepowtarzalny klimat.

- Co ma Pan na myśli?

- To, że po meczu na stadionie Benfiki Lizbona nikt nie zaproponuje sędziemu żurku ze swoją kielbasą.

Część 2

„Lwowiak z Przemyśla urodzony w Łodzi, czyli krótki wieczorek z piątku na wtorek”

Wieczorem ponownie spotkaliśmy się z Krzysztofem i gośćmi których zaprosił, czyli z Teresą Kuczerą-Król i Janem Nowakowskim z zespołu Fidelis, grającego lwowski folklor. Po kolacji musieliśmy trochę powalczyć z gościnnością Krzysztofa, bo uparł się, że ureguluje rachunek, a my tak samo jak on uparliśmy się że teraz nasza kolej, w związku z czym zastosowaliśmy fortel. Daniel z Jarkiem realizowali „rozchodniaczki”, a ja pod pozorem wyjścia do toalety zapłaciłem przy barze. Ten fortel wspominam dlatego, że możecie Państwo mieć kiedyś podobną sytuację i warto wiedzieć, jak przechrztyć kresowiaków. No chyba, że jesteście z Poznania i lubicie jak ktoś płaci za Was w knajpie...

Ale wróćmy do rozmowy. Poniżej przeczytacie Państwo w miarę uporządkowaną wypowiedź Jana Nowakowskiego, ale w realu to tak nie wyglądało. Jan z Krzysztofem mówią i śmieją się jednocześnie, między poważniejsze wypowiedzi wrzucają często żart mniej lub bardziej sprosny, jeden drugiemu przerywa, wchodzi w słowo, dogryza, harmider przy tym robią taki, jakby było ich kilkunastu a nie dwóch. Włosi znani z hałaśliwości przy stole, czy Gruzini mogli by od nich się uczyć. Pani Teresa, osoba spokojna, stonowana i zrównoważona co chwilę musiała ich strofować, jakby byli uczniami gimnazjum, co ich dodatkowo nakreśla do rozrabiania. Jednym zdaniem - cud miód, tym bardziej, że Jan mówi z pięknym lwowskim akcentem; kto widział filmy „Będzie lepiej” czy „Włóczęgi” ten wie o czym mówię, przy czym Henryk Vogelfänger (Tońcio) i Kazimierz Wajda (Szczepcio) to jednak w jakimś stopniu kreacja, a Jan Nowakowski to czyste krwi naturszczyk. W pewnym momencie, gdy opowiadał o historii jakiejś piosenki lwowskiej, to ją po prostu zaśpiewał przy stole. Jeśli tak wygląda lwowski temperament, to też chcę być lwowiakiem.

Nie lwowianinem, słownikowo, tylko lwowiakiem, tak jak On.

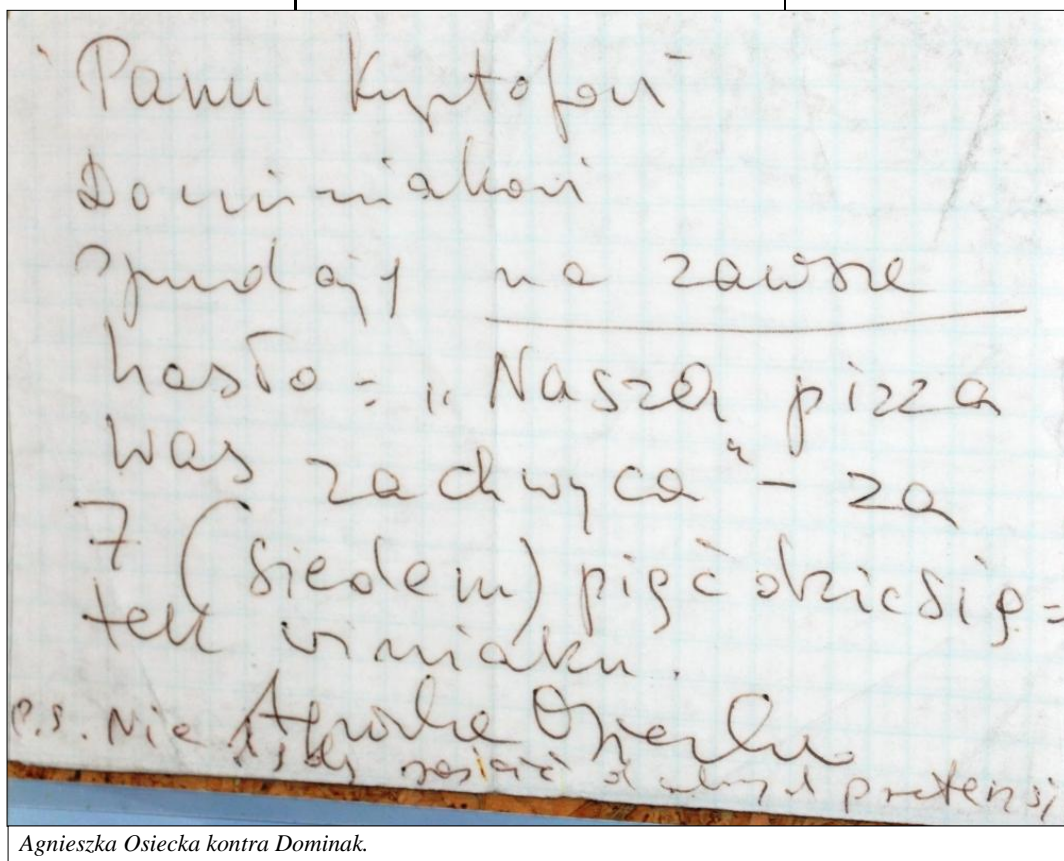
- Panowie, to że ja lwowiak założyłem zespół folkloru miejskiego, to sprawa naturalna, bo jak każdy wie, lwowiacy nawet jak mówią, to śpiewają. Folklor miejski przed wojną miały na dobrą sprawę dwa miasta - Warszawa i Lwów, a Lwów był pod tym względem wyjątkowy, bo

tam mieliśmy piosenkę na każdą okazję - jak tylko coś się wydarzyło, z miejsca powstawał utwór, nawet biesiadne „Sto lat” Lwów miał w swojej wersji, z inną melodią i słowami: „Pierwsza na zegarze bije, towarzystwo dalej pije, biesiadnicy wszyscy są pod gazem...” i tak dalej. Nawet Paryż nie ma tylu piosenek o sobie, co Lwów. Ja mieszkam na osiedlu, gdzie osiadło sporo kresowiaków - ludzi ze Lwowa, Drohobycza Sambora czy Mościsk, gdzie myśmy do Przemyśla przenieśli w sobie te miasta, ten klimat, tę poezję życia z sercem na dłoni, uczciwe życie, tak jak rodzice uczyli. Tu przez jakiś czas było tak, że nikt nie pilnował, czy zamknął drzwi na klucz jak do sklepu szedł, czy gdzieś. Bo

Lwowiak wiecie, nie tylko miejsce urodzenia, czy zamieszkania, ale to charakter człowieka - weźmy takiego Krzysia Dominiaka - mieszka w Przemyślu, przyjechał z Łodzi, ale on już jest też lwowiakiem, chce czy nie. No i myśmy zebrali grupę i zaczęliśmy grać, odtwarzać te piosenki, archiwizować. Po pracy oczywiście, bo każdy z nas zawodowo robił coś innego. I ludziom się podobało, bo było w stu procentach autentyczne, wiadomo, my jak ten ostatni Mohikanin... O właśnie, kiedyś Stasiu Wielanek, ten od Kapeli Czerniakowskiej nagrał płytę z lwowskimi piosenkami, ale to kresowiakom nie podeszło, bo nie było autentyczne- podobnie by pewnie było, gdybyśmy my nagrali ich warszawskie piosenki. I tak mijały lata, graliśmy w Polsce wszędzie, nie da się policzyć tego, za granicą też byliśmy wiele razy, poza Ameryką, bo mi wizy nie chcieli dać, ale najwięcej przyjemności jest z grania dla naszych, na różnych festiwalach kultury kresowej... Do telewizji nas chcieli, nawet coś tam się działo po drodze, bo Pani Terentiew się nasz zespół podobał, ale

wierny”. Ja wiem, że są tacy, co się śmieją z tego, że my tak się nad tym Lwowem rozczulamy, ale to ich sprawa. Bo wiecie - Lwów to i Szczepcio i Tońcio, ale i Ossolineum i matematyczna Szkoła Lwowska, Stefan Banach i Hugon Steinhaus. Orleńta Lwowskie i Łyczaków, a obok tego batiarzy i folklor. Zwykłość obok niezwykłości. Batiara to ja nawet raz zagrałem, u Janusza Majewskiego w filmie „Mała matura 1947”. Znacie reżysera? Powinniście - „C.K. Dezerterzy” to też jego robota... Mała była ta moja rola, ale jest. Gdzieś tam dyskutują, że co tam batiar - zwykły łobuz i włóczęga, ale to nie tak. Często i łobuz, często i włóczęga, ale na pewno nie „zwykły”. Tak samo jak Kraków miał „andrusa”, Warszawa „kozaka”, tak myśmy „batiarów” mieli. Ech długo by opowiadać... jednej kolacji nie starczy, chyba że jak mówią w

„krótki wieczorek z piątku na wtorek”



Agnieszka Osiecka kontra Dominak.

o to wtedy tak. Przyjdźcie kiedyś, to pogadamy jak ludzie przez kilka dni.

Tym którzy chcą wiedzieć więcej polecam:

artykuły i felietony:

- „Wypal węgla drzewnego w Bieszczadach w przeszłości i obecnie” - autorzy Edward Marszałek (Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Krośnie) i Władysław Kusiak (Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu),

materiał

dostępny w Rocznikach Bieszczadzskich nr 21, lub na stronie internetowej Bieszczadzkiego Parku Narodowego

- „Polski Lwów” felieton dostępny na stronie www.ha.art.pl, autor Ziemowit Szczerek

strony internetowe:

- www.biesiada.horyniec.info
- www.pizzeria-galicyska.pl
- www.kapelalwowskafidelis.pl

książki:

- „Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 roku”, Zofia Kurzowa, Jerzy Habela

- „Genialni. Lwowska szkoła matematyczna”, Mariusz Urbanek

myśmy na to nie patrzyli, żeby karierę robić, czy pieniądze, tylko nam o granie chodziło, ot co. Do Lwowa i do Mościsk często jeździmy, bo nas Towarzystwo Kultury Polskiej zaprasza, konsulaty czasami też, gdzie i kieliszek czegoś na wzmocnienie postawią, normalni ludzie. W Londynie też graliśmy, rząd na emigracji nas zaprosił i Ambasada Polska. Prezydent Kaczorowski nas podejmował. On miał żonę z Sambora... Żonę generała Andersa też miałem okazję poznać. To jest wiecie satysfakcja, gdy zarówno zwykli ludzie, jak i wybitni podchodzą, dziękują za koncert i gratulują... A wiecie skąd nazwa Fidelis? Bo w siedemnastym wieku papież nadał miastu Lwów tytuł „Semper Fidelis” czyli „zawsze

ROZDZIAŁ IV

„Jaja i sex”

Część 1

„Ale jaja”

Po wczesnym śniadaniu pożegnaliśmy gościnną Przemysł. Cel - Lubaczów, skąd Daniel z Jarkiem mieli zorganizowany transport do Wrocławia. Lubaczów był celem oczywistym - nie tylko chodziło o rozsądne wyznaczenie trasy, ale też o fakt, że Lubaczów jest jednym z tych miejsc, które się nikomu z niczym nie kojarzą, oczywiście poza miejscowymi, którzy tu chodzili do szkoły, tracili cnotę lub pracę, zyskiwali pierwszych przyjaciół lub wrogów. Przypominam sobie dialog na przystanku PKS, nie p

koncentracją. O co pytałeś?

- Za dostałeś po głębie?

- Za remizą.

Moja słabość do tego typu miast bierze się z tego, że właśnie w nich jest statystycznie większa szansa na spotkanie samouków, kolekcjonerów, natchnionych konwertytów, społeczników, wynalazców, czy prawdziwych ekologów, zawsze chętnych do podzielenia się swoimi pasjami przy paru kufelkach w barze „U Zenka”. Drugą cechą charakteryzującą mieszkańców takich miejscowości jest ta, że poza wąskim, ale dość aktywnym i nerwowym gronem takich, co lubią komuś przyłać, bo jest spoza ich miasta, istnieje grupa dziesiątków, a może setek ludzi bezinteresownych i chętnych do pomocy. Proszę wyobrazić sobie wizytę w popularnej miejscowości pełnej hoteli i pensjonatów. Wchodzicie Państwo do baru i skarżycie się barmanowi (ale tak, aby inni goście też słyszeli), że nie udało się wam znaleźć żadnego noclegu, bo sezon w pełni, a godzina dość późna... W najlepszym przypadku skierują was na dworzec kolejowy podając dane GPS. A w innym miejscu, poza głównym szlakiem turystycznym, czy biznesowym, gdzie jeden hotel i jeden pensjonat na krzyż, z miejsca zaczną dzwonić, dopytywać, szukać. A jak już się nie znajdzie naprawdę nic, to wcisną do jakiegoś internatu, do siebie do letniej kuchni, czy w najgorszej wersji na strych do wuja Stefana. A czasami ugospzczą u siebie po królewsku i będą się naprawdę wstydzić, czerwienić, wykręcać i mitygować, gdy rano zechcecie Państwo odwzajemnić się gotówką. Gdzie ich spotkać? W barach, pizzeriach, kebabowniach. Sprawdziłem to wielokrotnie.

Od Lubaczowa do Borsuków nad Bugiem miałem jechać sam. Daniel wyznaczył trasę bocznymi drogami, z małym odcinkiem ruchliwej trasy samochodowej Przemysł-

Medyka. Pogoda była piękna, a trasa jak z marzeń - boczne, mało uczęszczane drogi i parę miejsc wartych zatrzymania na chwilę - w tym miejscowość o intrygującej nazwie Wielkie Oczy, gdzie i odrestaurowana synagoga, pełniąca obecnie funkcję biblioteki, klasztor z parkiem i zgrabna cerkiew unicka, która jeśli ktoś się nad nią nie pochyli, za parę lat rozsypie się w drobny mak. Wyjątek po trasie, bo wszystkie te cerkiewki po drodze były dobrze utrzymane. W Lubaczowie nie byliśmy umówieni z nikim - przyjęliśmy założenie, że warto dla odmiany spróbować improwizacji - niech miejscowi wskażą nam kogoś, kto będzie pasował do naszego projektu. Takie rozwiązanie zdawało się nam dobrym pomysłem - w końcu cały nasz wyjazd opierał się na założeniu, że w każdej, nawet najmniejszej miejscowości żyje ktoś, kogo używając języka „Teleexpressu” można

robotę do następnych wyborów, które wujek burmistrz przereźnie, więc nie ma co się spinać. To naprawdę widać na pierwszy rzut oka i po pierwszej minucie rozmowy. I nigdy nie ma nic pośredniego - albo dobrze przygotowani profesjonalisci, albo tępi etatowcy po znajomości. Pół na pół.

Dlatego postanowiliśmy zacząć od źródeł nieoficjalnych. Ale wcześniej przydałby się jakiś obiad. Knajpę wybraliśmy pierwszą z brzegu i znów okazało się, że nasze odblaskowe kamizelki z opisem trasy zrobiły za nas robotę. Pan kelner, facet potężny i na oko dwumetrowy z miejsca zapytał nas co to za trasa rozpisana na plecach. Odpowiedzieliśmy, że jedziemy trasą „od człowieka do człowieka” i że w prawie każdej z tych miejscowości jesteśmy z kimś umówieni, ale w Lubaczowie nie.

- Panowie - spytał po chwili - a może być ktoś spoza Lubaczowa?

- To zależy jak daleko, bo mamy już dziś parę kilometrów za sobą - odpowiedziałem w imieniu ekipy.

- Horyniec pasuje?

Popatrzyłem pytająco na Daniela, w końcu to jego tereny, więc zna odległości.

- Godzina dwadzieścia główną drogą, ale trasa nieciekawa bo dużo samochodów, a drogami bocznymi to jakieś dwie i pół godziny. Mogę zadzwonić do teścia i spytać czy mógłby podjechać do Horyńca. Pod warunkiem że warto - tu Daniel spojrzął na Pana Kelnera.

- Pewnie że warto. Ja jestem z Horyńca właśnie, więc wiem co mówię. Jedźcie w ciemno i zapytajcie o największego w mieście jajcarza. Zanim się z nim spotkacie będziecie mieli zagadkę kim jest. A jak, powiedzmy, piąta spytana osoba na mieście nie będzie wiedzieć o kogo chodzi, to wtedy zadzwonicie do mnie, a ja wtedy pomogę - tu Pan Kelner napisał na kartce swój

numer i podał Danielowi.

Wzmocnieni obiadem i ufnymi w to, że facet nie robi nas w trąbę postanowiliśmy jechać dalej. Po drodze zastanawialiśmy się, kim może być „największy jajcarz w mieście” i zgodnie doszliśmy do wniosku, że musi to być jakiś lokalny kabareciarz. Zatem spotkanie może być ciekawe, bo popularne kabarety, ciągle puszczone w telewizji już się nam opatrzyły. Wszyscy lubimy „Jadłopadawcę”, ale ileż razy można to oglądać? Zresztą, czasy takie, że to kabaret to prężny biznes, więc poza paroma fajnymi grupami pcha się na scenę cała masa cieniawców, którym się wydaje, że jak przekrzywią głębie i będą mówić niewyraźnie to z miejsca będzie śmiesznie. Okazało się, że nie tylko mi, ale również chłopakom zdarzyło się obejrzeć jakiś program teoretycznie kabaretowy i nie zaśmiać się ani razu, ani nie



Leszek Kłysewicz ze swoim dziełkiem.

nazwać „pozytywnie zakreconym”. Ograniczał nas jedynie czas, bo za kilka godzin miał przyjechać teść Daniela. Ale od czego pomysłowość. Doszliśmy do wniosku, że są trzy źródła informacji nieoficjalne - kelnerzy/barmani, taksówkarze i fryzjerzy, którzy znają wszystkich miejscowych, orientują się w bieżących plotkach i sensacjach, trzymają rękę, a może bardziej ucho na pulsie. Czwarte źródło, oficjalne, traktowane przez nas w ostateczności, czyli jakaś jednostka urzędowa typu wydział promocji lub biuro informacji turystycznej. Tu oczywiście istniało pewne ryzyko straty czasu - tak się bowiem składa, że te oficjalne instytucje, czyli Wydziały Promocji Miast lub Gmin i biura informacji turystycznej, są albo bardzo merytoryczne, chętne do współpracy i dobrze zorientowane, albo odwalające robotę tak aby się nie narobić, bo w końcu i tak jest to

zrozumieć, jakim cudem publiczność się śmieje. Może jesteście smutasami? A z drugiej strony, nie tylko ja - przeciętny amator, ale i znawcy tematu widzą to podobnie - tu przypomniało mi się nagranie z łódzkiej Piwnicy „Przechowalnia”, w którym Pan Andrus z Panem Poniedziałkiem spytała Panią Stefanię Grodzką, czy według niej jako specjalistki w dziedzinie, oni tzn. Andrus z Poniedziałkiem, ze swoimi twarzami mogą robić kabaret, na co Pani Stefania, z właściwym sobie polotem odpowiedziała, że (tu cytuję z pamięci): „nie ma obecnie takich twarzy które by nie robiły kabaretu”. Trudno o lepsze posumowanie tego, co w ostatnich latach serwuje szeroko rozumiana rozrywka. Bo z jednej strony Pan Andrus i Poniedziałki, KMN, mistrz Malicki z ekipą, pełen pozytywnej energii „Potem”, Grupa Mozarta, Pan Ireneusz Krosny, a z drugiej strony pozał się Boże... no po prostu aż żal wymieniać nazwy tych estradowych trup. Zastanawia mnie jedno i jak kiedyś będę miał okazję, to spytam Pana Andrusa jak się czuje podczas kabaretowej imprezy, których teraz zatrzesienie, gdy zapowiada na scenie miernotę. Co wtedy myśli? Albo telewizyjną przypomnę tylko dwa przykłady z tego co było - serial „KOC” i nie istniejący dziś kabaret „Łoża 44”. Pamiętacie Państwo? I teraz porównajcie to sobie z tym co jest - rozrywką typu „Idol” gdzie Pan Jakub Wojewódzki „drze łacha” nie tylko z tych, którzy przesadzili w samoocenie swoim muzycznych umiejętności, ale też z uczestników z wyraźnymi dysfunkcjami, gdzie naprawdę nie trzeba być ani psychologiem, ani psychiatrą, aby dostrzec umysłowe ułomności. Ale gdzie tam - Pan Jakub Wojewódzki z drugim chamem, Panem Maciejem Rockiem, podbijali oglądalność żerując bezczelnie na intelektualnej biedzie ludzi z widocznym upośledzeniem. Uff, zrobiło się nam poważnie po trasie do Horyńca, ale tak już jest z rozrywką, że nie tylko bawi, ale czasami uczy, czasami wzrusza, a czasami wkurza i gotuje krew.

- I często nudzi - dodał na koniec Jarek.

Na szczęście dla naszej równowagi psychicznej jedziemy do Horyńca Zdroju, gdzie poznamy - takie żywiliśmy przekonanie- lokalnego kabareciarza, a może całą grupę. Pierwszy człowiek spytany o jajcarza nie miał pojęcia o czym mówimy, podobnie drugi. Zaczepiony na ulicy trzeci zapytał, czy może chodzi nie o „jajcarza” tylko „drapacza jaj”, Pana Kłysewicza, ale widząc nasze zdziwione miny, wykręcił się brakiem czasu i poszedł sobie. Weszliśmy do zakładu fryzjerskiego i zapytaliśmy, czy działa tu jakaś grupa kabaretowa, kim może być „jajcarz”, ewentualnie „drapacz jaj” i czy to może być Pan Kłysewicz. Odpowiedź była pełna - nie ma tu żadnej lokalnego kabaretu, a jeśli chodzi o Pana Kłysewicza, a dokładnie o Pana Leszka Kłysewicza, tu ludzie różnie mogą go nazywać, ale na pewno chodzi o niego, bo on jest znany z tego, że uwaga - wykonuje rzeźby w ptasich jajach. I jeśli chcemy się z nim spotkać, to Pani da nam numer telefonu, a on - Leszek Kłysewicz, na pewno chętnie się z nami spotka. Nie zwlekając zadzwoniliśmy pod wskazany numer telefonu. Pan Kłysewicz okazał się miłym człowiekiem i chętnym na

ewentualne spotkanie, tyle tylko, że w tym właśnie momencie jest w Anglii z wizytą i jedyne co może zaproponować to podanie zamiaru do żony, która pokaże nam jego prace. Umówiliśmy się jeszcze na rozmowę przez Skype i udaliśmy się pod wskazany adres. I chociaż byliśmy z początku zawiedzeni, że z kabaretu nici, to przyszło zgodnie przyznać, że warto było pojawić się w Horyńcu, aby zobaczyć prace Pana Leszka Kłysewicza- Drapacza jaj. Pan Leszek mieszka z żoną, na osiedlu składającym się z kilku niewielkich bloków. W piwnicy urządził warsztat, gdzie w ptasich jaj wyczarowuje prawdziwe cuda. Sporo drobnych narzędzi, wiertła dentystyczne i własnej konstrukcji wyciąg (bo jaja w czasie obróbki pyłą niemiłosiernie) stanowią trzon warsztatu. Pani Kłysewicz zaprosiła nas do mieszkania, gdzie pokazała nam całą kolekcję rzeźbionych jaj, od perliczych po strusie, oraz swoje prace - jaja zdobione poprzez oklejanie materiałami, nićmi, koralikami i czymkolwiek, co fantazja podpowiada. Oprócz rzeźb czysto ozdobnych Państwo Kłysewicz wykonują też szkatułki, cukiernice, czy inne przedmioty użytkowe, które łączy jedno - są niepowtarzalne. Ciężko było oczy oderwać od tych arcydzieł, ale nie chcieliśmy nadużywać gościnności, a po drugie Jarek z Danielem musieli już jechać. Pożegnałem kolegów z żalem, ale cóż, tylko tyle mieli wolnego. Życie, kurde blat.

Rozmowa z Panem Leszkiem Kłysewiczem. Przez Skype.

- Czy lubi Pan jeszcze jajecznicę?

- Owszem i powiem Panu, że bardzo lubię. Wiem o co Pan pyta, ale to nie jest tak, że ja muszę zjadać taką ilość jaj, żeby mieć potem w czym rzeźbić. Wydmuszki gotowe są normalnie do kupienia, chociażby przez internet.

- A wydmuszki strusich jaj?

- Tak samo, chociaż nie są tanie. Puste jajo strusia to 30-35 zł, a pełne około 100 zł.

- Skąd taka cena? Skoro jajo strusie to odpowiednik 20-25 jaj kurzych, to w prosty sposób przeliczając na masę, to jajo strusia jest koszmarnie drogie!

- Owszem, ale tu cena wynika głównie z niecodzienności tego produktu na półkach, a nie z jego kosztów wyhodowania, czy wyjątkowych właściwości.

- Rozumiem. A proszę mi powiedzieć, ile jaj Pan już przerobił na rzeźby?

- Samych strusich około czterdziestu, a wliczając wszystkie, w tym kurze grubo powyżej tysiąca, chociaż dokładnie nie liczyłem. Ważne jest, że moje jaja powędrowały do - z tego co wiem, co najmniej dziesięciu państw poza Polską.

- A skąd w ogóle pomysł?

- Zainspirował mnie pewien hobbysta, którego zobaczyłem w telewizji, który co prawda miał inną technikę, ale inspiracja była na tyle mocna, że zacząłem pierwsze próby. Technika którą obecnie się posługuję to efekt wieloletnich prób i błędów.

- A jak się Pan czuje, gdy tuż przed końcem pracy, opracowane jajo rozsypuje się w proch?

- Przyznam, że nie jest to uczucie przyjemne. Na szczęście z czasem, dzięki wprawie i doświadczeniu takich wypadków jest niewiele.

- Rzuca Pan wtedy mięsem?

- Nie, to chyba jest kwestia charakteru. Gdybym miał to uczucie jakoś nazwać, to było by to coś pomiędzy zawodem a smutkiem. Na szczęście, dzięki koncentracji, dobrze działającym wiertłom i znajomości materiału, a każde jajo ma inną strukturę, wypadki są rzadkością.

- Na jakich jajach Pan pracuje?

- Strusich, gęsich, kurzych i perliczych, ale mam też kilka prac wykonanych w jajach gołębih. A moje ulubione to jaja gęsie. Lubię je jako materiał, bo łatwo poddają się obróbce. Z kolei jaja strusie to nie tylko wycinanie wzorów, ale też tworzenie płaskorzeźby, bo jaja te dają takie możliwości. Więc tu jest wyzwanie, bo tworzenie płaskorzeźb to wyższy stopień wtajemniczenia.

- Jednym słowem rozwój. Żona nie gniewa się na Pana, że poświęca Pan masę czasu jajom, a nie jej?

- Żona podziela moje hobby. Sama zdobi jaja swoją techniką, a mi pomaga przy szkatułkach, bo to sporo dodatkowej pracy przy wyścielaniu, oklejaniu i zdobieniu. Tak więc nie ma problemu.

- Świetnie. A jakie wyzwania przed Panem?

- Technikę szlifów trzeba doskonalić cały czas. Pięć lat temu nawet nie myślałem o takich efektach jakie mam dziś. Obecnie chciałbym trochę doposażyć warsztat - Japończycy produkują rzeźbiarskie szlifierki przystosowane do pracy w tego typu materiałach, o niebo lepsze niż narzędzia stomatologiczne. Właśnie to by dało mi jeszcze większe możliwości doskonalenia prac. Dziś widzę jeszcze masę niedoskonałości w tym co robię.

- Życzę zatem powodzenia!

- Dziękuję!

- I jedno pytanie na koniec - skąd pomysł na pseudonim „Drapacz jaj”?

- To syn wymyślił. Przemysław jednocześnie i zabawnie i lekko drwuznacznie i nieco zagadkowo - w sumie oryginalnie. A Panu się podoba?

- Owszem. Żałuję tylko że nie spotkaliśmy się na żywo, ale obiecuję pojawić się w Horyńcu. Miło było Pana poznać Panie Leszku.

- Mi również. Wszystkiego dobrego.

Muszę tu wrócić, aby odwzajemnić się za prezent - Pani Kłysewicz podarowała mi gęsie jajo rzeźbione w serduszka, które wiedziałem że będą się podobać mojej sześciolatce. Tymczasem lecę dalej. Zamówiłem sobie masaż nóg, bo trochę już doświadczyły po trasie, a poza tym wieczorem ruszam na „fajf”. W końcu jestem w Sanatorium.

Część 2 „Fajf”

Jak sama nazwa wskazuje chlebak służy do noszenia granatów. Fajf - którego nazwa pochodzi podobno od godziny piątej, zaczyna się zgodnie ze swoją nazwą o siódmej, a kończy zazwyczaj tuż przed dwudziestą drugą - w większości sanatoriów obowiązują cisza nocna - po 22-iej, drzwi są zamykane na głucho i kto nie zdąży na czas albo musi przekupić ochronę, albo poszukać noclegu gdzie indziej, a to kosztuje. Stąd dyscyplina która nie obejmuje tych, którzy są w uzdrowisku na własny koszt, poza systemem refundacji. Tyle tylko, że Ci którzy przyjechali całkowicie na swój koszt, są najczęściej parami lub z rodzinami i przejawiają o wiele mniejszą ochotę do zabawy.

Fajf jest nieodłącznym elementem sanatoryjnego krajobrazu - rodzajem zabawy tanecznej czy dancingu. Wstęp jest płatny, od 5 do 15 złotych w zależności od uzdrowiska i jakości lokalu, czasami opłata obowiązuje jedynie w piątki i soboty. Do tańca, na syntezatorze przygrywa jeden muzyk, czasami duet, ale pełnych zespołów, z gitarą, basem, perkusją i klawiszami w zasadzie już się nie spotyka. Dominują złote przeboje, od lat pięćdziesiątych do obecnych. W przeciwieństwie do dyskotek i klubów dla małałatów, ilość decybeli nie męczy, a poza tym co kilka utworów jest paru minutowa przerwa - na posiłek (niektóre lokale mają pełną kuchnię), toaletę czy rozmowę. Atmosfera przypomina polskie wesela, parkiet jest zawsze pełny - nie jeden młody technotłumok byłby zdziwiony widząc, jak jego stateczna na co dzień babcia wywija na parkiecie. Tańczy się zazwyczaj w parach, czasami solo, ale dominująca grupa wiekowa, czyli 50-70 lat, to Ci dla których taniec to coś obowiązkowo w duce.

Nie zna życia kto nie służył w marynarce - mówi stare przysłowie - podobnie jest z fajfami - nie byłeś w na fajfie - nie byłeś w kurorcie. To tu bije jego serce - nie w pijalni wód, czy na zabiegach, ale właśnie w na fajfach. Kobiety w strojach wieczorowych, z tego sezonu lub sprzed kilku lat, mężczyźni najczęściej w marynarkach i pod krawatem. Pelen przegląd - od naprawdę wyszukanych strojów i eleganckich ozdób, po częściowo znoszone, albo już nie leżące jak trzeba okrycie kupione dwadzieścia lat na ślub córki wujka Władka ze Skierniewic. Pelen przekrój. Bywają też goście ubrani luźniej - kobiety w codziennym makijażu, a w luźnych niezobowiązujących ubraniach, faceci w dżinsach. To ci którzy wpadli na fajf przez przypadek, lub ci, którzy się kreują na luzaków. Trudno to ocenić na pierwszy rzut oka. Zachowania grzeczne, czasami eleganckie, z odrobiną luzu przyprawionego alkoholem - bo w końcu to zabawa, a nie stypa. Oprócz gości sanatoryjnych pojawiają się na fajfie łowcy okazji, o których nawet powstała satyryczna piosenka T-Raperów znad Wisły - Maxi Kaz. Nie pamiętacie Państwo? Przypomnę fragment: „W Ciechocinku, tam gdzie dom zdrowy, Maxi Kaz rusza na łowy. Na deptaku czai się na panie, każda szansę dziś dostanie.” Facetów w stylów „Maxi Kaz” można poznać po tym,

że pojawiają się w lokalach pierwsi, zajmują miejsca najlepsze do obserwowania tego co się dzieje na sali i polują w parach. Są to faceci najczęściej koło sześćdziesiątki, mieszkający gdzieś w granicach powiatu. Dziwne to polowania jednak, bo pływające sarenki przed sztucerem nie uciekają. Mówi się o sanatoryjnych romansach sporo, że każdy znajdzie sobie kogoś do pary, że sodoma i gomora. Ale żeby z tego wyciągać ogólny wniosek o całość populacji? Nie przesadzał bym, w końcu jaki procent Polaków korzysta z refundowanych sanatoriów? Niewielki. A jaki procent spośród tych, którzy są w uzdrowisku chodzi na fajfy? Też pewna część. Miałem okazję być kiedyś odbyć wycieczkę po wszystkich dancingach typu fajf w Kudowie. We wszystkich lokalach tego typu bawilo się jakieś trzysta osób, co biorąc pod uwagę ilość kuracjuszy i zwykłych turystów, którzy też na fajfy wpadają, daje mały procent. Od tego odejmijmy tych którzy przychodzą jedynie potańczyć i skala tej niby sodomy i gomory się zmniejsza. Wniosek - przygody szukają ci, którzy w sprzyjających okolicznościach także poza sanatorium robili by to samo. A tu jest po prostu łatwiej, bo istnieje klimat akceptacji. I tyle. Ale pójdźmy dalej. Jakaś część tych osób to osoby samotne - wdowy i wdowcy, którzy szukają kogoś na serio. Jakaś część tych ludzi, to Ci, którzy żyją w średnio udanych związkach, gdzie życie intymne już w zaniku, albo i pogrzebane na amen - trudno ich zakwalifikować do jednej grupy ze zwykłymi rozpustnikami. Są też i prawdziwie chorzy, którzy szukają odcisnąć do tego z czym będą musieli się zmierzyć już wkrótce. Są też tacy, którzy szukając emocjonalnej bliskości trafiają na fajf i czasem dają się ponieść klimatowi. Te i inne przypadki po bliższym przyjrzeniu się sprawie rzucają nieco inne światło na mit o powszechnym sanatoryjnym rozpasaniu.

Warto przejść się na fajf - szczególnie gdy się jest tuż przed lub zaraz po czterdziestce. Wtedy na chwilę jest się znów młodzieżą. Warto się wybrać na fajf grupą, lub nawet z małymi dziećmi, jeśli lubią poskakać przy muzyce, bo nawet jeśli dzieje się coś nie dla dziecięcych oczu, to poza lokalem i nie publicznie. Imprezy te mają klimat wesela, są nawet o niebo spokojniejsze, alkoholu spożywa się znacznie mniej, a uczestnicy fajfów są bardzo otwarci i tolerancyjni dla gości wszelkiego typu - dla mnie, siedzącego z książką w kącie i dla grupki dzieciaków, które co prawda przeszkadzają w tańcu, ale są w swoich pływaniach i podskokach przemiłe. A już ojciec tańczący na parkiecie z sześciolatką na sto procent wzbudzi aplauz i dośnianie od tańczących brawa. Oczywiście warto wcześniej miejsce sprawdzić, bo chociaż większość lokali jest przyzwoicie prowadzona, to sporadycznie zdarzają się speluny, gdzie nijak z dziećmi.

Warto pójść na fajf, bo zwyczaj ten zaniknie. Zaniknie z dwóch przyczyn. Po pierwsze odejdzie z pokoleniem obecnych pięćdziesięciolatek - młodszy wychowani są już na innego typu rozrywkach i fajf w swojej formule ich nie pociąga, a po drugie sanatoria są dla państwowego systemu zdrowia zbyt obciążeniem, środki przeznaczone na tę formę będą stale zmniejszane, a warunki przyznawania refundacji coraz bardziej restrykcyjne, model częściowej odpłatności

będzie ewoluował w stronę coraz większego udziału pacjenta, aż do symbolicznego udziału państwa - z sanatoriów będą korzystać albo ci chorzy (tacy którzy nie przyjadą po rozrywkę, tylko skupią się na leczeniu), których rehabilitacja będzie niemożliwa w miejscu zamieszkania, albo ci, których będzie, a to dzięki dobremu, prywatnemu ubezpieczeniu, albo dzięki zamożności stać na kurort. Jedni i drudzy nie będą fajfem zainteresowani.

Horyniec Zdrój jest jednym z najmniejszych polskich uzdrowisk. Wieczorny fajf odbywa się w dwóch miejscach. W pierwszym było niewiele osób, więc przeniosłem się do drugiej knajpy. Tłumów nie było, w końcu to środek tygodnia, wszystkiego jakieś dwadzieścia osób. Usiadłem przy stoliku blisko dwóch panów w garniturach, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali na sanatoryjnych myśliwych. Podśuchiwałem ich udając że czytam książkę. Nie zwracali na mnie uwagi - rozmawiali swobodnie. Starszy miał ewidentnie większe doświadczenie i tłumaczył młodszemu finansową stronę przedsięwzięcia jakim jest podryw w sanatorium, z bardzo precyzyjnymi szczegółami dotyczącymi płacenia za drinki - chodziło o to, kiedy należy zaproponować coś na swój koszt, a kiedy pozwolić kobiecie płacić za siebie. Po czym poznać czego kobieta oczekuje, aby z jednej strony nie być odebrany jako skąpiec, lub odwrotnie - żeby nie czuła się do czegoś zobowiązana bo druga strona płaci. Było słychać, że pan myśliwy ma duże doświadczenie i tyle samo zimnego wyrachowania. Jak doszedł do tego, że najtaniej jest brać piwo, bo przy jednym można przesiadzić nawet godzinę, przestałem słuchać, bo zrobiło się obrzydliwie.

Kilkanaście minut potem grajek zapowiedział „Panie proszą Panów” i wiedziałem, że czas na parkiet. Na fajfach mężczyzn jest zawsze mniej, więc na sto procent będzie się poproszonym do tańca. Według kanonu sanatoryjnej grzeczności kobiecie się nie odmawia, choćby miała jedną nogę, trzy zęby, kaprawe oczy i wąsy. Dlatego poproszony zgodziłem się z udawanym entuzjazmem, przepaszając na wstępie, że taniec nie jest moją najmocniejszą stroną. Potem nastąpiło „Panowie proszą Panie”, więc uznałem, że miło będzie, jak teraz ja poproszę tę Panią, która poprosiła mnie i o dziwo, kobieta ta zgodziła się mimo ciężkiej próby jaką przeszła ze mną na parkiecie. Ten drugi taniec, bardziej energiczny musiał ją jednak wymęczyć na tyle, że wróciła do swoich koleżanek i przy kolejnym „Panie proszę Panów” już mnie nie szukała. Ale w jej miejsce pojawiła się Maria. Zaproszenie przyjąłem chętnie i z przyjemnością, Maria ze swoim wiekiem 50+ była obok mnie najmłodszym uczestnikiem imprezy, a poza tym wyróżniała się brakiem sylwestrowej kreacji, wyjątkową urodą i czymś nie do opisania w spojrzeniu. Sanatoryjnym zwyczajem szybko zaproponowała przejście na „ty”. Po jednym wolnym i jednym szybszym tańcu zaproponowała odpoczynek przy barze. (Tu powinienem wtrącić, że na tego typu potańcówce piosenki dzieli się na wolne i szybkie, oraz na śpiewane po polsku i w języku ogólnym. Z języka ogólnego korzystają soliści nie znający angielskiego (włoskiego, hiszpańskiego, czy innego obcego) którzy

zapisują fonetycznie zagraniczne utwory ze słuchu i potem jak słyszą, tak śpiewają. Jeśli kiedyś powstanie fanklub piosenek śpiewanych w języku ogólnym, to z miejsca się zapiszę i będę płacił podwójne składki.)

Marię ciekawiło co robię na fajfie. Nie pasowałem jej wiekowo, więc zapytała wprost, czy czasem nie jestem jednym z tych – o których słyszała jedynie - którzy szukają zarobku, czyli żigolo.

– A wyglądam na takiego?- spytałem.

– Nie wiem. Nigdy kogoś takiego nie wiedziałam. Ale wolałabym żebyś nie był. Przepraszam za to pytanie.

– Nie ma problemu. Nie jestem. Mało tego, nawet nie wiedziałem, że to w Polsce działa. Kojarzyłem takie sytuacje bardziej z jakąś Tunezją i brzydkimi jak noc Niemkami.- odpowiedziałem.

– Widocznie przyszło to i do nas, ale to jeszcze nic. Słyszałam dziś mało ciekawą historię z szantażami. Jakaś szajka. Najpierw podrywają kobiety, adorują, a gdy już dojdzie do konkretów, to okazuje się że w pokoju była ukryta kamera. No i kłopot gotowy.

– Może to tylko plotka?

– Może tak, może nie. Teoretycznie jest to możliwe.

– Wystarczy nie szukać przygód.

– Żeby to było takie proste...To jest trudne do zrozumienia...

– Ale chciałbym. Zawsze mnie interesowało co czują Ci ludzie, co myślą, co ich motywuje. To musi być ciekawe.

– To niewykonalne - co człowiek to inna historia.

– A Twoja?

– Moja jest banalna. Dzieci wyszły z domu i zrobiło się co najmniej dziwnie. Wcześniej były one, ich przyszłość i praca. Została praca i cisza. I albumy ze zdjęciami. Ale sami jesteśmy sobie winni, bo wiesz - to jest jakiś koszmar, szczególnie jeśli chodzi o łóżko. Po dzieciach przez długi czas nie miałam najmniejszej ochoty, reagowałam nerwowo na zaczepki męża, w końcu dał sobie spokój, a gdy mi po czterdziestce się na nowo odezwało, wtedy on już nie chciał - wyżywał się w pracy. I oboje udawaliśmy, że tematu nie ma. Nie rozmawialiśmy o tym w ogóle. Energia poszła w dzieci. A lata mijały. Do mnie dopiero niedawno dotarło, że ten ostatni raz to był kilkanaście lat temu. A może to moja wina, że już na początku nie pomyślałam o jakiejś terapii dla siebie, albo dla nas obojga...

– Żadnych romansów?

– U mnie to niewykonalne. Mieszkam w niedużej miejscowości, a na dodatek pracuje w Urzędzie Gminy - każdy mnie zna. A mój mąż prowadzi jedną z większych firm w okolicy - podwójnie się nie da. A może by się dało, ale nie poznałam nikogo, kto by mi odpowiadał - sama nie wiem...

– Stąd sanatorium?

– Nie. To nie tak, jak myślisz. Ja niestety się tu leczę. Ale, no właśnie - jest jedno ale. Jeśli poznam tu kogoś, kto będzie o mnie zabiegał i wzbudzi coś więcej niż sympatię, to nic nie wykluczam. Pewnie to słabe lekarstwo, ale jeśli samotność, taka dosłowna jest straszna, to samotność we dwoje jest chyba jeszcze gorsza...

Dwa miesiące później napisałem do Marii

Rzucanie mięsem

Drodzy czytelnicy. W tym rozdziale pojawiły się wyrazy wulgarne. Przepraszam, jeśli kogoś uraziłem, ale w jednym miejscu był to cytat dosłowny, w drugim precyzyjne wyrażenie uczuć.

Przekleństwa stosowane jako przecinki są odrażające, ale używane z rzadka i w odpowiednim momencie stanowią piękny akcent, stwarzają efekt humorystyczny lub pomagają w stopniowaniu. Nie sposób zapomnieć jakie słowo było hasłem otwierającym wąż w „Seksmissji”, prawda? Gdy na co dzień nie przeklinająca osoba powie nam że jest wkurwiona, to wiemy, że nie jest to zwykle zdenerwowanie i że musiało wydarzyć się coś wyjątkowo złego. O takim odczuciu pisałem w związku z Panem od Łabędzi.

Inna sytuacja - przychodzi do nas szef i mówi, że podpadliśmy. Mało kto się tym przejmie, bo podpadanie u szefa jest stałym elementem bycia podwładnym, ale gdy szef powie, że mamy przejebane, z miejsca wiemy, że czas rozglądać się za nową robotą. Pozostając przy relacjach pracodawca-pracownik, warto podkreślić, że jest ogromna różnica między zwolnionym z pracy (taki może dostać nawet odprawę), wyrzuconym na zbity pysk (wypowiedzenie w trybie natychmiastowym, ale bez dyscyplinarnej) a wypierdolonym z roboty. Ten ostatni dostał na pewno zwolnienie dyscyplinarne. Umiejtne posługiwanie się wulgaryzmami pomaga stworzyć dzieło. XIII Księga Pana Tadeusza, autorstwa hrabiego Fredry pełna jest brzydkich wyrazów, które nie przeszkadzają, a wręcz tworzą odpowiedni klimat.

Nawet w Ewangelii można znaleźć fragmenty z pikantnymi określeniami. Jezus kuszony przez Szatana odpowiada mu: „Idź precz Szatanie”, chociaż wielu tłumaczy podaje, że użyte w języku hebrajskim określenie, eufemistycznie tłumaczone w polskich przekładach na „Idź precz” było tak dobitne i jednoznaczne, że powinno się je tłumaczyć na „Wypierdalaj!”, co mówiąc szczerze bardziej pasuje do sytuacji.

Mam zatem nadzieję, że mnie Państwo zrozumieliście i nie gniewacie się za rzucenie mięsem. Więcej w tej opowieści wulgaryzmów nie będzie.

maila z pytaniem, jak potoczyły się sprawy w wiadomym temacie. Odpisała, że nie poznała nikogo ciekawego, chociaż adoratorów nie brakowało. A co do zdrowia, to bez większym zmian. Czyli średnio.

ROZDZIAŁ IV

„Nie lubię barmanów”

Z Horyńca wystartowałem jak zwykle koło siódmej. Po wycieczce na dancingu zasnąłem szybko i głęboko. Z Marią rozmawiałem do końca imprezy, a potem jeszcze trochę spacerowaliśmy. Chciała się wygadać, a ja, jak rzadko kiedy złapałem nastroj do słuchania. A może chciałem pobyć z atrakcyjną kobietą?

Pewnie i to i to. Na koniec poprosiła, abym opisał jak najmniej z naszej rozmowy i zmienił jej imię. Zrobione.

Masaż spełnił swoją rolę - fizycznie czułem się wyjątkowo dobrze. Mało tego. Gdy masażysta dowiedział się, że przyjechałem rowerem do Horyńca aby poznać Pana Kłysewicza, dał mi 30% rabatu od cennika. Po raz drugi przeszła mi przez głowę myśl, że taka sytuacja nie mogłaby się wydarzyć w Poznaniu.

Parę kilometrów za Horyńcem okazało się, że zostawiłem w pensjonacie kartkę z rozpiską trasy którą mam jechać, ale nie martwiło mnie to zbytnio - koniec języka za przewodnika i bez pośpiechu, bo w Zwierzyńcu nie byłem umówiony z nikim. Potrzebowałem małej przerwy na pranie, korespondencję i parę telefonów. W pierwszej wsi, gdy pojawiła się droga z opcją w prawo lub w lewo, ale bez znaków drogowych, zapytałem miejscowych spod sklepu jak mam jechać. Znudzeni, zaczynający dzień od piwa i jabola zrobili sobie zabawę i skierowali mnie w niewłaściwą stronę, co w rezultacie sprawiło, że zamiast niecałych sześćdziesięciu, przejechałem prawie sto kilometrów. Ale i tu Fortuna trzymała moją stronę. Kilkanaście minut po rozmowie z burakami spod sklepu dojechałem do wsi leżącej na szlaku architektury drewnianej. Koło cerkwi stał podobny do mojego turystyczny rower z sakwami. Dwudziestoparolatek (na oko) biegał wokół cerkwi i w zawrotnym tempie robił zdjęcia.

– Witam. Jak leci? - zagailem.

– A dzień dobry. Wszystko ok. - odpowiedział młodziak z angielskim akcentem- Cześć jestem Leon.

– Artur. Artur Zygmunto-wicz.

– A ja Leon Kojot. Naprawdę.- Te „naprawdę” gość musiał dodać, bo aż zakrzusilem się ze śmiechu - Naprawdę tak się nazywam, ale nikt aż tak się nie śmiał jak ty!

– Przepraszam Cię - próbowałem zapanować nad swoim entuzjazmem - ale pomyślałem że to dobre imię dla bohatera komiksu, czy kreskówki, a tu realny facet z krwi i kości i jeszcze mówiący z akcentem. Jesteś ze Stanów czy z Anglii?

– Ze Stanów, ale to długa historia. Chcesz herbaty? Mam termos. Fajne te cerkwie. Wszystko gra. A ty gdzie jedziesz - Leon trajkotał mieszając tematy - bo to już ostatnia cerkiew i muszę coś pomyśleć, ale ty wiesz co ja mam z tym imieniem. Z początku to mnie irytowało ten Leon i Leon, jakby głusi byli, a potem się przyzwyczaiłem.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...- odpowiedziałem.

Leon wyłączył się na sekundę na czas wydobywania termosu i nalewania herbaty.

– Masz kubek, ja z termosu się napiję.

– Dzięki.

– Bo widzisz - Leon wrócił do tematu - ja naprawdę nazywam się Leo, ale jak mówiłem tak, jak się to wymawia po angielsku, to ludzie robili głupie miny, więc zacząłem mówić po polsku - Leo, ale też nie dało z tym rady, bo ludzie tylko „Panie Leonie, Panie Leonie”, no wiesz...

– Leo to mało popularne imię w Polsce.

– No właśnie. Ja się nazywam Leo Fitzgerald Coyote, to nic niezwykłego za Oceanem, ale niektórych polska wersja bawi, więc i ja

mam ubaw jak mówię, że jestem Leon Kojot. Ale nikt się nie śmiał, aż tak jak ty. Skąd jesteś?

- Obecnie z Wrocławia.
- Nie byłem jeszcze. Ale pojedę. Chyba... To daleko, na zachodzie. - Leo znów zawiesił się na chwilę, co dało mi możliwość wtrącenia paru słów
- A Ty skąd dokładnie jesteś? Po polsku mówisz świetnie.
- A dziękuję, ale sporo słów nie znam. O co pytasz? A, skąd jestem. Cholera wie. Mieszkam w USA, ale urodziłem się w Kanadzie. Ojciec jest Kanadyjczykiem, z plemienia Dene...
- Indianin? - przerwałem zaciekawiony- nie wyglądasz...
- Słowiańskie geny - Leo zarżał jak koń - i dobrze. To po mamie mam. Polka z patyka strugana.
- Dlaczego dobrze?
- Długi temat. Bycie w Stanach czy Kandzie Indianinem to żadna przyjemność, może kiedyś pogadamy o tym. Ale oczy mam po ojcu. Brązowe...
- A co z twoją mamą nie tak? Powiedziałeś...
- Polka z patyka strugana. Dziadek tak mówił. Zresztą gdyby nie on i babcia, to nie znał bym polskiego. Mama uważa że jeden garb-półindiański wystarczy. Bo polskość to garb drugi. Dlatego nigdy nie mówiła do mnie po polsku i dziadek się wściekał. To jest głupie, bo my mamy niedużą knajpę z rusztem i czasami Polacy przychodzą, ale mama nie rozmawia z nimi po polsku, tylko po angielsku, chociaż zdarzają się tacy, co słabo mówią po angielsku, e tam, szkoda gadać. Gdzie jedziesz? - Leo nagle zmienił temat.

- Do Zwierzyńca. A później do Krasnegostawu, potem dalej na północ aż pod Augustów, do wsi staroobrzędowców.
- Co to takiego?
- Staroobrzędowcy?
- No.
- Dość ciekawa mniejszość religijna. Etnicznie to są Rosjanie, ale spolszczeni. Wyznają tradycyjne...

Opowiedziałem Leo o staroobrzędowcach, o mojej podróży i planach. Ponieważ było mu wszystko jedno gdzie jedzie, postanowił jechać z mną aż do Włodawy. Nuda mi nie groziła. Leo trajkotał jak nakręcony. Trzy lata temu przyleciał pierwszy raz do Polski, mówił wtedy słabo, tyle ile nauczył się od dziadków. Jego mama pochodzi spod Inowrocławia. Za komuny leciała z harcerzami i ZSMP z wycieczką na Kubę, ze śródlądowaniem w Kanadzie, gdzie razem z innymi, w sumie dość sporą grupą wyszli ze strefy tranzytowej i poprosili o azyl. Po paru latach dołączyli dziadkowie, ale nie odnaleźli się ani w Kanadzie, ani w USA, a języka nauczyli się niewiele. Trzy lata temu Leo wraz z matką przyleciał do Polski z prochami dziadków, bo chcieli być pochowani u siebie w wsi i chociaż matka nie chciała aby Leo z nią leciał, to on się uparł. Przylecieli pod koniec października, pogoda była okropna, ale rodzina okazała się całkiem w porządku. I przyszedł w końcu pierwszy listopada.

- Mówię ci Artur, to był szok dla mnie. U nas wiesz jak wygląda Halloween. Rozwrzeszczane dzieci, cukierki, lampiony

Panie Janie Tomaszu Gross ...

Szmul Mordechaj Zygielbojm, urodzony w 1895 roku był działaczem żydowskiej partii Bund, radnym Warszawy i Łodzi, dziennikarzem i członkiem Rady Narodowej Rzeczypospolitej w Londynie, a wcześniej jednym z organizatorów żydowskiego ruchu oporu. Po ucieczce z okupowanej Polski sporządził raporty o tym jak wygląda Holocaust, próbując skłonić zarówno Światowy Kongres Żydów, jak i Amerykański Kongres Żydowski - dwie dość wpływowe i majątne organizacje, do podjęcia działań na rzecz zaangażowania aliantów w rozwiązanie tragicznej sytuacji. Bezskutecznie. Podobne - czyli żadne - rezultaty dały listy kierowane do prezydenta USA, oraz wystąpienia w rozgłośni BBC. Po upadku powstania w Getcie warszawskim Szmul Mordechaj Zygielbojm popełnił samobójstwo. Cytat z jego książki „Stop Them Now. German Mass Murder of Jews in Poland”:

„W tym miejscu muszę wspomnieć, że ludność polska udziela wszelkiej możliwej pomocy i współczucia dla Żydów. Solidarność polskiej ludności ma dwa aspekty: po pierwsze jest to wspólne cierpienie, a po drugie wspólna walka przeciwko nieludzkiemu okupantowi. Walka z prześladowcami jest ciągła, wytrwała, w konspiracji i toczy się nawet w getcie, w warunkach tak strasznych i nieludzkich, że są one trudne do opisanie lub do wyobrażenia. (...) Ludność żydowska i polska pozostaje w stałym kontakcie, wymieniając prasę, informacje i rozkazy. Mury getta nie oddzieliły w rzeczywistości ludność żydowską od Polaków. Polskie i żydowskie społeczeństwo wciąż walczy razem o wspólny cel, tak jak walczyło przez wiele lat w przeszłości.” (tłumaczenie za Wikipedią)

Panie Janie Tomaszu Gross, może by tak o takich wydarzeniach popieścić jakąś książeczkę? Aaaa, mówi Pan że się nie sprzeda? Cholercia...

z dyni. Jak całe życie mieszkasz w jednym kraju i nie podróżujesz za granicę, to myślisz że wszędzie to tak wygląda. A tu taka akcja, szczególnie po zmroku. Znicze, miliony świateł i spokojni ludzie idący całymi rodzinami i całkowicie inna atmosfera. Wiesz, ja jestem raczej niewierzący, ale to było niesamowite. I wtedy sobie pomyślałem, że to nie jest tak jak w tych „polish jokes”, no wiesz, w tych kawałach o Polakach. I wtedy pokłóciłem się z mamą naprawdę ostro, że ona znów swoje, żebym się nie dał nabrać na ten nastrój, bo to pozór i tylko tego dnia, ale przecież ja nie jestem naiwny, żeby wierzyć, że każdy jest taki szlachetny i zadumany przez okrągły rok, tylko chodzi mi o to, że tu jest jakaś równowaga, że się dba o te groby samemu a nie jak u nas, że firma sprząta nawet jeśli mieszkasz kilometr od cmentarza, i że święto refleksji to święto refleksji, a nie durne zabawy w duchy i potwory. Ojciec jest tego zdania co ja, że stosunek do przodków i miejsc pochówku jest jedną z ważniejszych miar poziomu cywilizacji. Ty wiesz, że u nas śmierć to temat tabu? U nas ludzie nie umierają tylko odchodzą. Nie ma pogrzebu

tylko ostatnie pożegnanie Serio. Ja po tym pierwszym listopada zacząłem robić w głowie porównanie i to jest przepaść. Sporo też przeczytałem na ten temat. I wtedy do mnie dotarło, że ja chcę dowiedzieć się więcej, bo w końcu trochę tych genów mam. Szkoda, że dziadkowie tego nie doczekali...

- Który raz jesteś w Polsce?
- Cztery. Wtedy wyjechaliśmy po trzech tygodniach, ale zdążyłem zwiedzić Toruń, Malbork i Gdańsk. W Toruniu mi się najbardziej podobało. Potem przyjechałem na wiosnę już z rowerem. Na cały miesiąc. Ja bez roweru nie funkcjonuję. Mam ten turystyczny, górski w domu i taki na ulicę, no...
- Szosowy.
- O nowe słowo. Tak jest. Więc drugi raz to przyleciałem z rowerem i przejechałem sporo - Warszawa, Łódź...W Krakowie byłem i w Wieliczce. W Łodzi mi się podobało. Takie smutne miasto z wesołymi ludźmi. Trzecim razem to na Mazurach byłem jedynie i na Kujawach, bo trochę u rodziny i zamki zwiedzałem. Krzyżackie. Fajnie było. I teraz po wschodzie jeżdżę. Bez planu. Te cerkwie mi się podobają, bo na zdjęciach to tego nie widać, że one są takie filigranowe. Nasz dom jest większy niż większość z nich. No dobra, jedziemy dalej. Gdzie jedziemy?
- Do Zwierzyńca.
- Daj chwilę - Leo wyjął telefon i coś przez chwilę przeglądał. A potem zadzwonił i zarezerwował sobie nocleg.

Ruszyliśmy w stronę Zwierzyńca. Leo nie przestawał trajkotać. Dowiedziałem się, że prawie dwa lata studiował historię i etnografię, ale się rozczarował uczelnią i rzucił studia. Potem skończył - co za przeskok - roczną szkołę kulinarną, bo i tak chciał pracować z ojcem w ich knajpie. Ojciec jest spokojny i czytany - w domu mają masę książek i Leo ma hobby po ojcu - czyta sporo, poza fantastyką, fantasy i poezją. Mama jest nerwowa i lubi rządzić, roboty w knajpie jest stanowczo za dużo, tata woli mniej zarobić samemu i zatrudniać ludzi, żeby mieć więcej czasu, mama odwrotnie i o to się czasami kłóć, dziadków ze strony ojca Leo nie pamięta, polskie dziewczyny są mniej wyrachowane niż Amerykanki, polski rap jest śmieszny, a czeskie piwo najlepsze na świecie. Czas szybko płynie na wyjeździe i szkoda, że w Polsce nie ma tanich małych kin, które puszczały stare czarno-białe filmy. Polska jest pierwszym krajem poza Kanadą oczywiście, którym Leo odwiedził, ale to nie problem, bo z ojcem lubi podróżować po Stanach i Kanadzie i jeszcze nie wszędzie byli. Mama lubi ogród i mają chyba najładniej urządzonej w swojej dzielnicy i że Japończycy nie dają napiwków kelnerom. A poza tym to ja muszę być albo dziwny, albo oryginalny, bo każdy Polak to po pięciu minutach pyta go co mu się najbardziej w Polsce podoba, a co nie, a ja nie pytam. No to spytałem, chociaż wtrącenie zdania w słowotok Leo nie było łatwe.

- Pytasz o sprawy zasadnicze, czy o takie z punktu widzenia turysty?
- To drugie.
- Nie lubię barmanów. Polskich barmanów. I barmanek. Oni w ogóle nie rozumieją swojej roboty. Ostatnio miałem taką akcję -

- zamawiam piwo przy barze, a ta nawet na mnie nie spojrziała, tylko gadała przez telefon. U nas w knajpie za coś takiego wylatuje się z pracy. Barman ma ludzi zatrzymać przy barze, każdego powitać, zagadać i tak prowadzić rozmowę, no jak to powiedzieć, no, animować tą sytuacją, żeby wszyscy przy barze byli równo traktowani, żeby ich wciągnąć do rozmowy, a nie tak jak tu. Rozumiesz? Gówniana obsługa. Bez sensu. Ja nie wiem, o co chodzi, ale przecież, rozumiesz Artur dobry barman to większe pieniądze dla restauracji. Oni nie chcą zarobić, czy jak? Dziwne...

- A co Ci się podoba?

- Najbardziej? Najbardziej to Polskie Radio, szczególnie Jedyńka, bo oni ładnie mówią po polsku. I się uczę. I jeszcze taki aktor, co robi ten, no show, taki kabaret. Taki łysy co nosi go po scenie i co tak śmiesznie mówi. Ja w internecie go czasem oglądam, on kiedyś był chudy i miał wąsy ale tak samo biegał w prawo i w lewo. No, jak mu tam, no wiesz, on dzieciaka udaje i palec wbija zającowi w oko. Takiej zabawce...

- Daniec.

- O właśnie. Marcin Daniec. On by w USA zrobił wielką karierę. Ma styl. Lubisz go?

- Ma parę dobrych numerów.

- No. nawet moja mama go lubi. Dziwne. Ona wiesz, ona jest całe życie na serio, na poważnie, praca, praca, praca. A w domu ciągle sprząta. I prasuje. Nawet gdy jest posprzątane. Ale najgorsze jest to, że mnie i ojcu każde sprzątać. My w poniedziałek nie musimy rano wstawać, bo otwieramy dopiero po południu, ale ona wstaje i sprząta. I nas krzyczy, że w domu jest bałagan, a my chcemy odpocząć, bo w weekend jest zawsze straszny ruch, ale się nie da. Bo sprzątanuch. No mówię Ci koszmar. - Leo płynnie przechodził z tematu na temat. Jakimś cudem udało mi się wtrącić pytanie:

- Powiedz mi Leo, co jest największym plusem i największym minusem w Stanach?

- To proste. Plus to to, że mogę być kim chcę. Kucharzem jestem z wyboru, bo to lubię, ale równie dobrze mógłbym być nauczycielem, czy pilotem. To tylko kwestia skupienia się na nauce. No, może lekarzem nie jest łatwo zostać, ale to mnie nie interesuje. Tak samo jest w Kanadzie. Tyle tylko, że to dopiero tu w Polsce do mnie dotarło, jak zobaczyłem jak się ludziom żyje i mamie musiałem rację przyznać, bo mi to od lat wbijała do głowy...

- A największy minus?

O co mi chodzi z tym Poznaniem?

Skąd wziął się drut miedziany? Krakus pokłócił się z Poznaniakiem o złotówkę. Coś w tym dowcipie jest na rzeczy. Krakusów znam niewielu, kontakt mam sporadyczny i trudno mi to ocenić. Poznaniaków poznałem wielu. Trzy małe przykłady.

Zatrzymałem się w pewnym małym, butikowym hotelu poza centrum miasta. Wieczorem zamówiłem sobie pizzę do pokoju z pizzerii w pobliżu. Dostawca poprosił mnie abym zszedł na dół, bo właściciel nie chciał go wpuścić z dostawą na górę. Mało tego - zaczął na mnie - gościa wrzeszczeć, że on nie po to ma restaurację, żebym ja sobie zamawiał jedzenie na zewnątrz. Gdyby nie to, że byłem po małym kufelku przeniósł bym się gdzie indziej. Facet wydzierał się na mnie jak dziki, więc go grzecznie poprosiłem, żeby zadzwonił do jakiegokolwiek innego hotelu w mieście i spytał, czy gość ma prawo zamówić sobie jedzenie na zewnątrz. Wredny Pan chciał być sprytny i zadzwonił do jednego z hoteli sieciowych, licząc na to że ktoś go poprze, ale pani z recepcji go rozczarowała - hotelowi nic do tego. Walnął słuchawką i bluzgając poszedł sobie. A ja odebrałem swoją pizzę. Zimną.

Znow sytuacja w prywatnym hotelu. Dojechałem w nocy, ale restauracja była otwarta. Zamówiłem zimne bursztynowe i usiadłem przy barze. Na zapleczu kręcił się jedynie kucharz i jakaś pani - jak się później okazało żona właściciela. Z rozmowy zrozumiałem, że kucharz coś szykuje na późną kolację, bo przylatuje grupa sportowców. Piłem spokojnie swoje piwo, aż tu nagle gruchnęło, zabręczało, kucharz głośno krzyknął, metalowe naczynia głośno upadły na podłogę. Pan kucharz spadł z taboretu i paskudnie zламаł rękę. Karetka przyjechała dość szybko, a żona właściciela wpadła w panikę, bo skąd wziąć o tej porze kucharza, a to mieli być jacyś sportowcy z reprezentacji, a ona nie umie gotować, a poza tym mąż jest w Gdańsku, więc co ona biedna zrobi? Nie myśląc wiele zaproponowałem, że jeśli jej nie przeszkadza mój brak książeczki zdrowia, to ja sobie poradzę, bo gotuję dość dobrze, a poza tym sto lat temu skończyłem szkołę gastronomiczną. Zgodziła się z entuzjazmem i widoczną ulgą. Grupa sportowców była niewielka - dwanaście osób, więc z kolacją poradziłem sobie sprawnie, tym bardziej, że kucharz zrobił połowę roboty. Dania były banalne - penne z kurkami, sałatka i bruschetta z salami i kozim serem. Po kolacji pani podziękowała, a ja zasugerowałem jej, bo z inicjatywą było u niej krucho, że napił bym się czegoś - najlepiej piwa. Pani mi nałala. Małe piwo. Pewnie duże by ją zrujnowało.

Trzecia sytuacja wymaga pewnego wprowadzenia. Było to w czasie, gdy jako kierownik przedstawicieli w koncernie farmaceutycznym miałem do dyspozycji budżet reprezentacyjny przeznaczony na spotkania z klientami, z którego (oczywiście wbrew regułom) od czasu do czasu dało się coś uszczknąć na spotkanie z przedstawicielem. Mówiło się na tego typu nadużycie: „wyjście na fakturkę”. Z przedstawicielem z Poznania byłem umówiony na wtorek, ale chciałem szybko załatwić sprawę z rana i wrócić do siebie, dlatego pojechałem dzień wcześniej - w poniedziałek wieczorem. Po drodze zadzwoniłem do - zmienimy imię - do Janusza. Janusz był wtedy już żonaty, ale bezdzietny, z mieszkaniem дарowanym przez ojca, w rodzinnej kamienicy z której miał dodatkowe zyski, bez czynszu i kredytu. Do tego nie mógł narzekać na pensję on, ani jego żona. Spytałem przez telefon:

- Janusz, ja dziś nocuję w Poznaniu, bo jutro chciałbym wcześniej zacząć pracę, jak miałbyś czas to może skoczmy na jedno, no maksymalnie dwa zimne, bo rano trzeba jednak za kółko...

- A prywatnie, czy „na fakturkę”? - padło pytanie od poznaniaka!

Odechciało mi się i spotkania i piwa. Mam jeszcze kilka takich opowieści, ale nie chcę zanudzać. I trochę prywaty na koniec. Iza dobra kobieto, to Ciebie nie dotyczy; niepełna z Ciebie Poznaniaczka - większość życia spędziłaś we Wrocławiu i sama klniesz na poznańskie skąpstwo. Kamila i Paweł - z tego co pamiętam, to Wy zdaje się z Kalisza pochodzicie, więc nie łamiecie schematu. Pozdrawiam i dziękuję za gościnność. CBDO.

- Rasizm - odpowiedział krótko i nie ciągnął tematu. Nie dopytywałem.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, aż dojechaliśmy do kolejnej wsi. Zatrzymaliśmy się przy pierwszym domu, bo zaciekawiło nas podwórko udekorowane ciekawie pomalowanymi ulami. Na innym podwórku ktoś fantazyjnie poprzycinał drzewa w ogródku. Zrobiłem zdjęcie. Wtedy przy furtce pojawił się gospodarz i opowiedział nam, że to jego syn ma takie hobby i że w ogóle cała wieś stara się aby podwórka były zadbane i przyozdobione. Przy kolejnym domu ktoś przerobił starą oponę na kwietnik. Kicz lub nie - nieważne, widać było, że ludzie mają wewnętrzną potrzebę upiększania obejścia. A jeszcze dalej trafiliśmy na kwietnik z opony w kształcie łabędzia, wykonany dość precyzyjnie. Dwa domy kolejne łabędzie i tukan. A na końcu wsi znów łabędzie, ale takie jakieś liche w porównaniu z poprzednimi- widać były chęci, ale nie starczyło talentu.

- Leo poczekaj chwilę - powiedziałem, ja zapytam o co chodzi z tymi oponami.

- Ok. Idź.

Wszedłem na podwórze i zapukałem do drzwi. Miła Pani z jednym dzieckiem na ręku i drugim ucepionym do nogi wyjaśniła mi, że kwietniki z opon są tu bardzo ładne i ona też takie chciała, ale szkoda było im pieniędzy, więc mąż zrobił łabędzie sam, no i wyszło jak wyszło. Ale jak odłożą parę złotych to kupią dwa na może nawet cztery - dwa łabędzie, ślimaka i krokodyla. Bo tu niedaleko, w jednej miejscowości jest jeden pan, który robi te ozdoby z opon i jest najlepszy. Podziękowałem za rozmowę i wróciłem do Leo, który coś przeglądał w telefonie. Chciałem mu opowiedzieć, o tym co się dowiedziałem, ale mnie uprzedził.

- Ty wiesz, że to jest ciekawa sprawa. W internecie sprawdziłem. To się normalnie kupuje i jest wybór - łabędzie, owce, inne ptaki, konie. Jakby się nad tym zastanowić, to z tego można by niezły biznes zrobić, przecież w całej Polsce znajdują się ludzie, którym to się będzie podobać - tu odezwała się oportunistyczna część amerykańskiej duszy Leo - trzeba by o tym pomyśleć...

Rzeczywiście - w internecie jest sporo ogłoszeń. Po powrocie z wyprawy podzwoniłem trochę, żeby spytać sprzedających skąd pomysł, szukając tego który zrobił to jako pierwszy. Większość odpowiadała, że widzieli to po raz pierwszy gdzieś koło Przemysła, albo w Rzeszowie, w każdym razie ślady prowadziły na wschód. W końcu po kilkunastu telefonach trafiłem na

człowieka, który okazał się tym, od którego się zaczęło i który, w opinii pozostałych rozmówców robi te rzeczy najlepiej. I bardzo chciałbym tego Pana Państwu przedstawić. Ale nie mogę. Bo ten miły Pan, z którym pogadaliśmy przez telefon jest osobą bezrobotną i wykonującą te ozdoby dorabia, ale nie zarejestrował działalności, bo dochód nie jest na tyle duży, żeby na ten moment tworzyć z firmę. A po drugie - skoro to zużyte opony, to zaraz będzie trzeba jakiś certyfikat dostać, sanepid powiadomić, zdobyć świadectwa toksyczności lub braku toksyczności, wybudować halę o odpowiednich wymiarach i tak dalej i tak dalej... W takich momentach zalewa mnie krew - zdolny człowiek, który radzi sobie jak może i nie idzie do urzędu po zasiłek musi kryć się przed wszelkimi urzędami, żeby nie ponieść kary, podczas gdy inny „darmozjad” weźmie iz urzędu i z pomocy społecznej bez mrugnienia okiem. Takiego urzędnika nie ścięnie. Co gorsze, Pan od łabędzi właśnie planuje emigrację... Można te ozdoby oceniać różnie, ale kreatywność jest oczywista. I ten kreatywny człowiek wyjedzie pracować na PKB innego kraju. Smutne to i wkurwiające.

W każdym razie moda na te ozdoby przyjęła się. Ostatniego łabędzia z opony spotkałem na wsi za Terespolem. Leo ma rację - to tylko kwestia czasu, gdy tego typu kwietniki zyskają popularność w całym kraju. I jeśli ktoś na tym zarobi, to tym lepiej.

Pojechaliśmy dalej, a Leo roztrzącał przede mną wizję zarabiania na kwietnikach z opon, w końcu sklepów ogrodniczych jest w Polsce cała masa - wystarczy dogadać się z wytwórcą, postarać się o wyłączność, a najlepiej to było by, aby autor zastrzegł patent w urzędzie i tak dalej i tak dalej... A oprócz tego, to trzeba by sprawdzić, czy nie dało by się tego podciągnąć pod ochronę środowiska, bo to w końcu również recykling, a to wiąże się z mniejszymi podatkami. Leo nawijał jak natchniony, a ja myślałem nad różnicami mentalnymi. Tu gdzie kilku, może kilkunastu ludzi dorabia sobie przydomową produkcją kwietników z opon i cieszy się z podreperowania budżetu, Amerykanin widzi duży biznes. Naprawdę jesteśmy z innych planet. Ale gdyby ktoś z Państwa widział te sprawy tak jak Leo, i chciał w ten interes zainwestować, to mam kontakt do Pana od Łabędzi.

Różnice mentalne uwidoczniły się ponownie jakieś pół godziny później. Jechaliśmy pustą drogą. Przed nami nic, ale z tyłu, zza zakrętu wyłonił się pędzący TIR. Kierowca zaczął trąbić, żebyśmy zjechali z drogi, co było zupełnie bez sensu, bo jezdnia była szeroka, z naprzeciwka nie jechał nikt, więc było dużo miejsca do wyprzedzania, ale niewiele do zjechania dla nas na rowerach - maksymalnie piętnaście centymetrów żwiru, a potem rów. Jechałem więc dalej jak najbliższe pobocza, a Leo szedł z roweru i stanął niemal w rowie. Kierowca wyraźnie przyspieszył i nie przestawał trąbić. Nie zdążyłem się zatrzymać i zejść do rowu. Podmuch wielkiej ciężarówki powalił mnie w ułamku sekundy. Całe szczęście że upadłem na prawo, do rowu. Poderwałem się na nogi i zacząłem krzyczeć machając pięścią w stronę znikającego TIR-a: - Ty jebany skurwysynu, oby ci chuj odpadł, pierdolony kutapentonie! - wydzieralem się



Zbigniew Atras podczas spotkania autorskiego.

wściekły. A Leo na to:
- Po co się wściekasz? Zrobiłem mu zdjęcie. Mam numer rejestracyjny i nazwę firmy. Najpierw zadzwonimy na policję, podamy namiary i trasę, opowiemy jak jechał i że najprawdopodobniej jest pijany. A potem z taką samą informacją zadzwonimy do jego firmy i jeszcze dodamy, że podamy sprawę pisemnie na miejscową policję, żeby zrobili im małą wizytę, bo być może cała załoga kierowców to piraci i alkoholicy. Nawet jak wszystko gra, to nikt nie lubi być kontrolowany... a już boss dam mu szkołę. Miał rację i mu to przyznałem, ale uspokoiłem się po paru minutach. Zaczęliśmy rozmawiać o różnicach mentalnych. Leo miał - co oczywiście nie było zaskoczeniem - wiele do powiedzenia, ale została mi w głowie historia z jego drugiej podróży po Polsce. Na jakiejś stacji paliw proszono klientów o ocenę obsługi - do wyboru były trzy przyciski - zielony oznaczający ocenę dobrą, pomarańczowy neutralną i czerwony negatywną. Leo razem ze spotkanym po drodze rowerzystą weszli na stację, aby kupić coś do picia. Polak nacisnął zielony guzik, a Leo pomarańczowy i potem o tym rozmawiali. Leo nie mógł zrozumieć, dlaczego kolega dał ocenę dobrą skoro obsługa była neutralna, pani jedynie powiedziała dzieki dobry i spytała czy to wszystko. Gdyby zrobiła coś więcej, zapytała o samopoczucie, uśmiechnęła się od ucha do ucha, czy cokolwiek innego wtedy jak najbardziej - guzik zielony, ale skoro tego nie było, to guzik pomarańczowy, który jest przeciwieństwem OK. Na to Polak mu odpowiedział, że nie wiadomo kto te oceny interpretuje, a jeśli jakiś złośliwy kierownik, to lepiej żeby miała jak najwięcej not najwyższych. Na to Leo, że w ten sposób pani otrzyma fałszywą ocenę zwrotną, nie będzie robić postępów, obniży jakość swojej pracy, a tym samym kwalifikacje i że to nie ma znaczenia, że to tylko stacja paliw - w pracy trzeba na każdym stanowisku się rozwijać, aby utrzymać posadę. Na to Polak, że być może jest jakiś konkurs między poszczególnymi stacjami w tej sieci i być może jest tak, że Ci którzy mają najlepsze noty dostają dodatkowe premie, co wcale nie jest złe, ale jednocześnie ci, którzy mają

choćby o maleńki nieistotny procent gorszy wynik, premie mają odebrane powiedzmy na trzy miesiące, co jest bez sensu, więc lepiej dać ocenę wyższą, w końcu to tylko zakupy na stacji paliw, więc nie ma o co kopii kruszyć. Na to Leo, że jaki jest sens narzekania na usługi, czy produkty, skoro nie chcemy z własnej woli egzekwować jakości? Na to jego towarzyszy...

Jednym słowem - nie dogadali się. Chociaż obydwaj mieli rację - w jednym miejscu systemy kontroli są po to aby podnosić poziom usług, a w innym również po to, aby mieć na podwładnych haka. Tyle.

W końcu dojechaliśmy do Zwierzyńca. Lubię to miejsce z kilku powodów. Po pierwsze jest to miasto maleńkie, ale z niepowtarzalnym klimatem - ma imponujący park, sporo zabytków i leży u wejścia do Parku Narodowego, który dla laika jest po prostu wielkim i imponującym lasem z widokowymi niespodziankami. Na miejscu popularne są spływy kajakowe, w naprawdę „pięknych okolicznościach przyrody”, jest gdzie pojeździć rowerem czy powędrować, ale ruch turystyczny jest na tyle umiarkowany, że nawet w szczycie sezonu wypoczywa się tu komfortowo - to nie Krupówki. Blisko stąd też do Suśca i Doliny Szumów. Poza tym miasto wyróżnia się w zabawny sposób - posiada około siedemdziesięciu pomników, tablic pamiątkowych i innych figur, co daje średnią jeden pomnik na pięćdziesięciu mieszkańców. Stawiane były z różnych powodów - najbardziej charakterystyczny jest niewielki sześcian (łatwo go przeoczyć podczas spaceru w parku, bo jest dość nijaki z wyglądu), ufundowany z okazji ocalenia miasta od plagi szarańczy w 1711 roku. W tym samym parku jest też słup pamiątkowy z napisem: „W tym miejscu w budynku ordynackiej łaźni w roku 1901 znalazł schronienie Józef Piłsudski”. Jak widać każda okazja nadaje się do uwiecznienia pomnikiem.

Na swoje nieszczęście (znów miałem jechać sam) opowiedziałem Leo o historii Ordynacji Zamojskiej, w skład której wchodził Zwierzyniec, oraz o samym Janie Zamojskim, co sprawiło że zmienił plany - postanowił nie towarzyszyć mi dalej, tylko jechać do

Zamościa. Straciłem towarzysza podróży, ale z drugiej strony niech jedzie - Zamość ze swoją historią podnosi ego - tu można poczuć się w jakimś stopniu częścią wielkiej i dumnej historii, oraz zapomnieć o współczesnych z pierwszych stron gazet, tych z lewej, prawej i środkowej strony politycznej, którzy nie dorastają nawet do pięć tym, którzy przed nimi byli elitą. Elitą światłą, wykształconą, myślącą strategicznie. Elitą prawdziwą. Ale wracając do Leo - żal mi było, że dalej pojedę sam, a z drugiej strony wiedziałem jedno - zanim pojedzie dalej, poczyta, choćby w internecie o Zamojskim - może zagłębi się, (w końcu lubi historię) w kwestię jego współpracy z Batorem, a będąc wrażliwym na kwestie tolerancji nie przejdzie obojętnie nad polityką imigracyjną Zamojskiego i poczuje to dumne „coś”, co sprawi, że po powrocie do siebie będzie, choćby w mini skali ambasadorem naszej kultury. Dlaczego czułem satysfakcję z tego powodu? Nie wiem. Być może ciążyły mi w pamięci wspomnienia z wizyty w USA, gdzie u polskich rodzin, tych z emigracji zarobkowej którym się materialnie powiodło, wiedziałem sporo - wielkie i świetnie wyposażone domy, najnowsze wieże stereo i telewizory, podwójne i potrójne garaże z nowiutkimi samochodami, baseny i przepelnione lodówki. Widziałem wszystko. Oprócz książek.

Na pożegnanie zjedliśmy wspólnie kolację, delikatnie, ale to bardzo delikatnie podlaną wyrobami spirytusowymi. Ja mówiłem niewiele, Leo trajkotał. A rozrzut tematyczny miał spory - od wywodów dlaczego Barak Obama jest złym prezydentem, po powody dla których nie ma konta na Facebooku i dlaczego unika płacenia kartą. Przed północą poszliśmy spać.

Ustawiłem budzik na siódmą. Zasnąłem w kilkanaście sekund. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Było pół do piątej. Przeszedł Leo i miał bardzo dziwny wyraz twarzy:

- Sorry, że Cię obudziłem. Mogę?

- Wchodź... Co się stało?

- Artur. Mi się dziadek przyśnił i... - tu Leo się zawahał na moment - nie wiem czy ja to dobrze pamiętam, ale on kiedyś mówił, no właśnie... Artur, co to jest prawdziwy chleb?

ROZDZIAŁ V

„Czapki z głów Panowie”

Po takim pytaniu nie mogłem już zasnąć. Niewielu by potrafiło. Przed szóstą do pensjonatu przyjechał właściciel i zaczął przygotowywać śniadanie dla gości. Poprosiłem go o odkurzacz, który był mi potrzebny do odessania powietrza z toreb próżniowych - dzięki nim sporą ilość ubrań mogłem wieźć w średniej wielkości sakwach. Właściciel skierował mnie do komórki na półpiętrze. Była zamknięta. No i zrobił się kłopot, bo okazało się, że jedyny klucz ma Pani Weronika, która przyjeżdża sprzątać pokoje dopiero po dziesiątej. Musiałem mieć strapioną minę, bo właściciel pensjonatu zapewnił, że coś da się zrobić i wyszedł na zewnątrz. Wrócił po pół godziny ze swoim domowym, prywatnym odkurzaczem. Przy tak niewielkim

ruchu samochodowym w tym miejscu i o tej godzinie musiał jechać co najmniej 20 kilometrów w jedną stronę. Podziękowałem wylewnie i znów pojawiła mi się myśl, że w Poznaniu tak scena była by nie do pomyślenia.

Spytałem jeszcze gdzie najbliżej można kupić chleb na zakwasie, opowiadając w skrócie o nocnej wizycie Leo i właściciel wskazał mi miejsce - zaledwie parę kroków od pensjonatu. Gdy wróciłem zaproponował, że ma w lodówce masło domowej roboty, więc jak Leo wstanie, to dostanie to co trzeba. Chciałem dołożyć parę złotych za tę życzliwość, ale gospodarz nawet nie chciał słuchać. Wynik meczu Zwierzyniec - Poznań: 2:0. Pożegnałem się i ruszyłem dalej. W stronę Krasnegostawu.

Poza świętem piwa, tak zwanymi „Chmielakami”, gdy miasto opanowują tłumy piwoszy jest tu dość spokojnie, a ruch turystyczny niewielki. Czasy świetności miasto ma za sobą, a warto wspomnieć, że prawa miejskie otrzymało od króla Jagiełły w 1394 roku. Zabytków tu doprawdy niewiele, wszystkiego z okolicznymi atrakcjami starczy na jeden dzień. Tyle tylko, że może to być dzień bardzo ciekawy. W mieście godnym uwagi jest kościół pojezuicki, którego wnętrze kryje niespodziankę. Polichromie autorstwa Adama Swacha miały w założeniu prezentować działalność misyjną Franciszka Ksawerego (Francisco de Jaso y Azpilicueta), który działał w Indiach. Polichromie owszem są, ale przedstawiają nawracanie Indian amerykańskich. Dlaczego? Poszukajcie Państwo sami - istnieje kilka wyjaśnień, w tym jedno prawidłowe i zaskakujące... banalne, ale jak wiadomo - łatwe odpowiedzi przychodzą najtrudniej. Do Muzeum Regionalnego warto wejść na chwilę ze względu na odremontowane podziemia, które są jedynie namiastką istniejącej niegdyś pod miastem płataniny korytarzy, lochów i piwnic. Wieża Ariańska w Krynicy i ruiny zamku w Krupem wypełnią resztę dnia, ale i tak zostanie jeszcze sporo czasu na obiad lub poszukanie innych atrakcji. Jednak najciekawsze w Krasnymstawie jest to, czego nie ma. Na próżno szukać śladów po Szmulu Zygielbojmie, który urodził się w pobliskiej Borowicy, a szkoda, bo w erze zmasowanej propagandy, która ma nas uczynić współodpowiedzialnymi za Holocaust, powinno się o nim trąbić na prawo i lewo.

Nie ma w Krasnymstawie Szmula Zygielbojma. Nie ma też Krasnostawskiego zamku. Zbudowany na polecenie Kazimierza Wielkiego w XIV wieku nie przetrwał do naszych czasów. Był wielokrotnie niszczony i odbudowywany, ale budowa tajni dla garnizonu rosyjskiego na początku XIX wieku dopełniła dzieła zniszczenia. Za PRL-u resztki terenu po zamku uległy zniszczeniu podczas budowy amfiteatru.

Mnie do Krasnegostawu przygnała chęć poznania Pana Zbigniewa Atrasa, autor książki „Bajdy wierutne, czyli 12 legend na XII wieków Szczekarzewa-Krasnegostawu”.

- Dlaczego nie ma tu śladów po Szmulu Zygielbojmie? Przydałaby się tablica pamiątkowa, na przykład na budynku synagogi.

- To kwestia wyrzutów sumienia i nie ma co się spodziewać, że to się zmieni. Wielkie organizacje żydowskie nie lubią jak im się przypomina, że byli co najmniej obojętni

wobec losów swojego własnego narodu. Widział Pan film „Jan Karski i władcy ludzkości”? Karski nie był jedynym, który informował Zachód o sytuacji Żydów i o Holokauście. Byli i inni, w tym niemieccy Wolni Badacze (Freie Bibelforscher) którym udało się zbiec do Szwajcarii. Oni w swoich wydawnictwach nagłaścili problem. Podobnie Zygielbojm. Ale szeroko rozumiany Zachód był obojętny.

- Może wieści te były tak drastyczne, że nie mogli w nie uwierzyć?

- Dowodów było aż nadto. Była to raczej polityka świadoma.

- Obecnie to nas próbuje się nas uczynić współwinnymi.

- To potwierdza, że mają nieczyste sumienie. Ale Panie Arturze, niech Pan pamięta, co pisał Bułhakow - „rękopisy nie płoną”. Mamy film o Karskim, są co najmniej dwa polskie, nie licząc zagranicznych filmy dokumentalne o Zygielbojmie i kilka opracowań naukowych. W Warszawie jest pomnik mu poświęcony, a w Chełmie tablica pamiątkowa na domu w którym mieszkał. Oczywiście to mało, ale jest już coś na start - przeciwwaga dla tej haniebnej propagandy jest budowana. Przydałby się jeszcze jakiś głośny proces w USA za tak zwane „polskie obozy”, ale nasza władza...

- To głupi tchórze..?

- To Pan powiedział, ale rzeczywiście - brak jest polityki historycznej i działań prawnych. Stąd każda inicjatywa oddolna jest cenna. A mówimy teraz zaledwie o jednej postaci historycznej. A Irena Sendlerowa? I jeszcze inni? Świadectw jest masa. W każdym razie jestem optymistą.

- Panie Zbigniewie, pozwolę sobie zmienić temat - co Pan robi zawodowo? Jest Pan historykiem?

- Nie. Historia to moja pasja. Skończyłem studium pielęgniarstwa, pracowałem w szpitalu, a obecnie pracuję w pogotowiu. A jeśli chodzi o historię, to zaczęło się od turystyki. Małżonka pracuje w liceum, gdzie od czasu do czasu organizowała wycieczki na których pełniłem rolę przewodnika. Zbieranie ciekawych informacji które mogłem wykorzystać podczas zwiedzania przychodziło mi dość łatwo, a poza tym, zdobywanie wiedzy sprawiło mi coraz więcej przyjemności. Mało tego, z czasem docierałem do informacji nie podawanych w przewodnikach, czy książkach, stworzyłem nawet swoją prywatną, może amatorską, ale skuteczną metodologię zdobywania informacji. I naturalną drogą, gdy „szperanie” w historii odwiedzanych regionów przynosiło zaskakujące, lub mniej znane, ale godne uwagi informacje, pojawiło się proste pytanie

- czego jeszcze nie wiem o mieście w którym mieszkam?

Skoro w innych regionach jest tak sporo do odkrycia, to znaczy, że na swoim terenie, czyli na Ziemi Krasnostawskiej, też coś znajdę. I nie myliłem się. Okazało się też, że oprócz mnie jest w mieście kilka osób, które interesują się historią miasta i okolic. Tu znalazło się pole do działania - zainteresowanych historią było niewiele, zaś niewiedza powszechna. W

nieistniejącym już piśmie „Echo Krasnegostawu” zamieściłem swój pierwszy artykuł, w którym wychodząc od nieco innego tematu zamieściłem garść ciekawych informacji o historii miasta.

Co to był za temat?

– Chodziło o przebieg planowanej turystycznej trasy rowerowej, która miała ominąć miasto. Postawiłem proste pytanie - dlaczego tego typu szlak turystyczny ma omijać miasto, skoro mamy coś do pokazania i do opowiedzenia. Chodzi o wielkie przedsięwzięcie Green Velo. Dlaczego też, spytałem w artykule, miasto ma stracić szansę ściągnięcia do miasta turystów innych niż ci przyjeżdżający na święto piwa?

– I?

– Odzew był szeroki. Zaangażowały się prywatne osoby i urzędnicy miejscy. W rezultacie sprawa trafiła do województwa i mamy sukces - Green Velo będzie przebiegać przez Krasnystaw. Jest się z czego cieszyć, bo turysta rowerowy ma specyficzny profil - są to ludzie szukający odmiany, mniej znanych miejsc, chętnie zwiedzający i mało kłopotliwi dla otoczenia.

– Co pan ma na myśli?

– Turysta rowerowy ma sporą świadomość ekologiczną, nie śmieci, nie hałasuje - powiem inaczej - turysta rowerowy jest przeciwieństwem turysty barowego. Zna Pan turystów barowych?

– Znam. Anglicy na Rynku w Krakowie.

– No właśnie. Doskonały przykład. Ściągnięcie rowerzystów do miasta jest sporą szansą rozwoju turystyki. Ale wróćmy do historii, dobrze?

– Oczywiście.

– Po tym artykule pojawiły się następne - już strictly historyczne. A tematów było sporo - zakony krasnostawskie, aptekarstwo, stara królewska poczta konna, historia diecezji - bo tu przez lata miało siedzibę chełmskie biskupstwo, podziemia miasta, wspomniany już przez Pana Zygielbojm, historia zamku, powstańcy warszawscy pochodzący stąd i tak dalej. Było tego sporo, ponad pięćdziesiąt artykułów, ale mnie cieszyły te głosy, które świadczyły o tym, że zmienia się postrzeganie tego miejsca - już nie jesteśmy kimś z byle jakiego wschodniego miasteczka, tylko dumnymi mieszkańcami miasta z ciekawą historią. Oczywiście nie jest to zjawisko totalne, ale każda tak reakcja to powód do wielkiej satysfakcji. Jakiś czas później zacząłem współpracę z kwartalnikiem „Nestor”, który powstał z inicjatywy Andrzeja Davida Misiury i innych. Czasopismo wydajemy własnym sumptem, przy pewnym wsparciu miasta i okazjonalnym sponsorom, ale co ciekawymimo że nie naliczamy honorariów, mamy coraz więcej chętnych do współpracy i coraz większe grono czytelników. Mogę zacytować fragment ze strony internetowej „Nestora”?

– Proszę bardzo.

– „Nestor z założenia dokumentuje działalność artystyczną regionu z akcentem na twórczość literacką, oraz zajmuje się odkrywaniem historii związanej z ziemią krasnostawską. Jest mecenasem wschodzących talentów i nie tylko umożliwia im debiuty, ale stara się także służyć doświadczeniem, opieką i radą. Publikowane wiersze i zapisy prozą bywają

różne, jak różni są ludzie, ale ideą redakcji jest dostrzeganie wszystkich, umacnianie, budowanie i tworzenie środowiska, nie tylko sama prezentacja najlepszych. Dla równowagi, wiele stron poświęconych jest też sprawom szeroko pojętej kultury, nierzadko sięgających odległych dziejów i zakątków świata.”

– Ma Pan może ze sobą egzemplarz „Nestora”?

– Oczywiście. Proszę bardzo.

– Ładnie wydane...

– To też ważne, ale treść jest ważniejsza. Proszę poczytać po powrocie do domu.

– Obiecuję. Przejdźmy do tematu pańskiej książki. Skąd pomysł na „Bajdy wierutne”?

– W historii Krasnegostawu jest sporo białych plam. Krasnystaw był wielokrotnie niszczone, znikaly biblioteki, ginęły archiwa. Wiele dokumentów zostało wywiezionych do Szwecji, Rosji, Austrii i Niemiec. Dziś nawet nie wiadomo gdzie ich szukać. W to miejsce pozwoliłem sobie wymyślić pewne historie, ale żeby być uczciwym wobec czytelnika już sam tytuł wyjaśnia, że są „Bajdy”, historie zmyślone, nie oparte na żadnej metodzie badawczej. Nie uzurpuję sobie praw do prawdy historycznej.

– Chciał się Pan pobawić historią?

– Nie do końca. Chodziło mi o pokazanie, że miasto ma sporą historię - dokładnie dwanaście wieków, co jest ogromną



Jeden z wielu monumentów w Zwierzynicy.

przestrzenią czasową, stąd dwanaście legend autorstwa Zbigniewa Atrasa - każda na inny wiek. Ale żeby nie tylko bawić, ale też uczyć, każdy rozdział zaczynam się od opisu epoki, sytuacji politycznej, uwarunkowań. Chodziło mi o to, aby moje legendy nie były oderwane od realiów opisywanych czasów. Jak Pan ocenia ten pomysł?

– Niezły. Tym bardziej, że jestem w klimacie legend, bo świeżo po lekturze historii Bezpryma, syna Bolesława Chrobrego...

– Czytał pan książkę profesora Śliwińskiego?

– Właśnie skończyłem.

– Prawda że ciekawa pozycja? I wie Pan, nie jest istotne czy zebrane, lub własne hipotezy profesora są słuszne, tylko to, że pojawia się dyskusja, jest ferment, zaczyna się szukanie, gra na argumenty! A przede wszystkim ważne jest to, że przypomina się istnienie kogoś takiego jak Bezprym, a nie jest to, zapewniam Pana wiedza powszechna, nawet wśród nauczycieli historii.

– Mnie się podobało i mam nadzieję, że w lokalnym Środowisku Pańska książka

wywoła dyskusję !?!

– Już wywołała. Wie Pan, życie płata figle. Okazało się, że wymyślona przeze mnie postać kwiaciarki ma swój pierwowzór. Byłem mocno zaskoczony tym faktem. Zaskoczony, ale w sensie pozytywnym, bo poza reakcjami czytelników, taka właśnie sytuacja to wspaniała nagroda za włożoną pracę. A może z czasem okaże się, że inne legendy też mają coś z prawdy? Tego nie wiem, ale mam satysfakcję, że ta skromna praca zainspirowała innych do zainteresowania się historią miasta i okolic.

– Gratuluję. Pozwolę sobie zmienić temat, ale pozostać przy historii. Przed spotkaniem miałem okazję pospacerować po mieście i trafiłem na tablicę upamiętniającą Powstańców Warszawskich pochodzących z Krasnegostawu. Podobno to również efekt pańskich starań?

– Tak, ale oczywiście nie tylko moich. Upamiętniliśmy tych, którzy od początku wojny mieszkali w Warszawie i brali udział w powstaniu, jak również tych, którzy już po jego wybuchu zdecydowali się wesprzeć powstanie i wyjechali stąd do Warszawy. Wszystkie nazwiska i pseudonimy są dokładnie sprawdzone, zgodne z informacjami archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego, ale dziś wiemy, że tych osób było więcej. Mamy też listę osób które prawdopodobnie brały udział w powstaniu, trwa sprawdzanie faktów, czekamy na informacje, dokumenty. Ważne jest, że to kolejny temat który wywołał dyskusję. Tych młodych ludzi należy upamiętnić. Ale nie możemy zapominać o współczesnej młodzieży.

– Co pan ma na myśli?

– A ile Pan ma czasu?

– Jestem do dyspozycji do wieczora.

– Zatem zapraszam na spotkanie z harcerzami, ale przedtem oprowadzę Pana po Krasnymstawie.

Ruszyliśmy w miasto. Państwo pewnie nie raz mieliście Państwo okazję zwiedzać z przewodnikiem - bywają zazwyczaj dobrze przygotowani, ale poznawanie miejsc z człowiekiem który siedzi w środku całej sprawy i nią żyje, to przyjemność podwójna. Gdyby nie zaplanowane spotkanie z harcerzami pewnie byśmy mogli tak spacerować do rana. Na pewno nie było by nudno. Po spacerze udaliśmy się na spotkanie harcerzy przy ognisku, które odbyło się - pewnie się już Państwo nie zdziwicie - na prywatnej posesji Pana Zbigniewa, który jak się okazało zaangażował się w odbudowę harcerstwa w Krasnymstawie. Po kilku latach przerwy przy Domu Kultury powstała drużyna, która ma stać się zaczątkiem drużyn działających przy szkołach. Nie pytałem już o pozostałą działalność Pana Zbigniewa, nie chcąc wpaść w poczucie winy, że tak niewiele robię. Oto Zbigniew Atras! Czapki z głów Panowie!

Obserwując spotkanie przy ognisku, patrzyłem na młode twarze harcerzy, zastanawiając się nie „czy”, ale „ilu” z nich będzie zmuszonych stąd wyjechać na wyspy i ilu z nich zechce wrócić, bo ludzie tacy jak Pan Zbigniew Atras, jego przyjaciele z pisma „Nestor” i miejscowego Domu Kultury zaszczipią w nich gotowość do płynięcia pod

prąd wbrew logice życiowej wygody. I zaraz potem pojawiła się myśl druga, że gdyby na przestrzeni ostatnich dwudziestu paru lat, polska klasa polityczna miała w sobie choćby część tej pokory, zaangażowania w pracę, myślenia o innych i bezinteresowności, czy chęci stworzenia czegoś wartościowego i trwałego, jak Ci ludzie poznani po drodze, to Anglia, Irlandia czy inna Ameryka nie były by nam do niczego potrzebne. Myśl ta nie opuściła mnie do końca podróży. I nie opuszcza nadal.

Zegając się z Panem Atlasem zapytałem czego mu życzyć.

– Mam jedno marzenie – odpowiedział, aby na terenach zamkowych, które są dogodnie położone blisko centrum miasta powstał park archeologiczny, a nie kolejny parking.

Panowie, jeszcze raz - czapki z głów!

ROZDZIAŁ VI

„Rozdział, którego miało nie być”

Tytułem wstępu. Podróż oparta na spotkaniach z ludźmi wymagała planowania i przygotowań, wcześniejszego umówienia terminów, gotowości bohaterów do podzielenia się z czytelnikami informacjami o sobie i chęci poświęcenia czasu mojej skromnej osobie. Poza Panem Kłysewiczem z Horyńca i właścicielami galerii „Barak” wszyscy moi rozmówcy byli wcześniej umówieni, i co prawda z pewną nieśmiałością (typową dla ludzi na poziomie), ale jednak zgodzili się na podanie informacji o sobie - imion, nazwisk, i tak dalej. Leo Fitzgerald Coyote cieszył się, że trafi do książki, ale nie chciał zgodzić się na zamieszczenie zdjęcia, ciesząc się złośliwie, że oceniam to jako dziwactwo. Jego święte prawo. Szkoda, ale może zgodzi się na jakieś zdjęcie za rok, podczas podróży przez Białoruś na którą już się umówiliśmy. Inne osoby, spotkane przypadkowo, zgodziły się na opisanie spotkań z nimi, ale pod warunkiem, że nie podam ich imion i nazwisk oraz zmienię okoliczności tak, aby nie dało się ich rozpoznać, o kogo chodzi. Zobowiązałem się też do pominięcia informacji o miejscu tych przypadkowych, ale ciekawych rozmów. Chciałbym też zastrzec, że tu nie będzie fajerwerków, tylko proste historie, o ludziach spotkanych po drodze. Dobrze nam się rozmawiało. Albo bliżej prawdy - dobrze mi się ich słuchało.

Część 1 „Nie kupuję książek”

Już od pierwszych dni podróży, moim projektem zainteresował się lokalne media. Podobał się im pomysł na pokazanie Polski Wschodniej przez pryzmat ciekawych postaci, często nieznanymi nawet miejscowym. Stąd praktycznie codziennie udzielałem wywiadu do lokalnej gazety, czy nagrywałem coś dla miejscowej telewizji, co mimo mojego wrodzonego braku skromności sprawiało, że czułem się nieco zakłopotany i doceniany na wyrost, chociaż muszę przyznać - było mi miło. Ci lokalni dziennikarze znają się

wzajemnie i mają ze sobą stały kontakt, więc jadąc z miasta do miasta przechodziłem z rąk do rąk jako ciekawy temat na krótki wywiad czy notatkę. Spotkania te odbywały się najczęściej przy kawiarnianym stoliku i po skończeniu jednego z takich spotkań, gdy w kawiarni było już praktycznie pusto, obsługująca mnie Pani Kelnerka zapytała:

– A co Pan sądzi o wczasach all inclusive?

– A dlaczego Pani pyta? - zaskoczony odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Bo wydaje mi się, że dla Was podróżników takie wakacje to obciach i strata czasu. Mam rację?

– Nie wiem co Pani odpowiedzieć tak na szybko, ale mamy tu dwie kwestie. Pierwsza to definicja podróżnika, a druga to kwestia wyjazdów tego typu.

– A tak krótko?

– Krótko się nie da. O której Pani kończy?

– Marta. Kończę za piętnaście minut. Ma Pan ochotę porozmawiać? Z tego co słyszałam, to ma Pan sporo drogi za sobą, więc nie chciała bym przeszkadzać.

– Nie ma problemu. Tu rozmawiamy czy gdzie indziej?

– W pizzerii „Fiesta Trattoria”. Tam jest najprzyjemniej. Naprawdę się nie narzucam?

Pół godziny później rozmawialiśmy jak starzy znajomi. Zaczęłam od przydługiego pewnie wywodu, że trwa dyskusja, kto jest podróżnikiem, a kto turystą i że nie jeden podróżnik odmówił by mi tego miana. Są też dalsze stopnie wtajemniczenia - eksplorator, odkrywca czy zdobywca. Poza tym niektórzy podróżowaniem zajmują się dorywczo, inni zawodowo, więc trudno o definicję. Ale Marta upierała się, że jestem podróżnikiem, bo taki przejazd to już wyprawa, a nie wycieczka. Niech jej będzie. Zapytała mnie, czy któryś ze znanych podróżników jest moim ulubionym. Odpowiedziałem, że lubię reportaży, pochłaniam literaturę podróżniczą, imponuje mi odkrycie źródeł Amazonki przez Jacka Palkiewicza, ale samodzielne przepłynięcie Atlantyku przez tego samego człowieka, lub przez innych nie budzi we mnie żadnego entuzjazmu. Uwielbiałem filmy duetu Dzikowska-Halik, a zasypiałem przy filmach Jacques'a Cousteau.

Ale oczywiście mam swój numer jeden. A nawet dwa numery jeden. Nazwiska nieistotne, bo to osoby szerzej nieznane. Niegrzecznie zacząłem opowieść od mężczyzny. Facet wychowany w domu dziecka, całe życie pod górkę, ale poradził sobie i ze szkołą średnią i ze studiami. Z przyczyn finansowych podróżuje po kraju. Ma na swoim koncie pieszą wyprawę wzdłuż polskich granic, która była rozłożona w czasie - w kolejne wakacje wędrował przez dwa tygodnie, a po roku podróż zaczynał w miejscu zeszłorocznego zakończenia trasy. I tak obszedł cały kraj, jednocześnie pisząc pamiętnik, który jest nie tylko opisem poznanych miejsc i ludzi, ale również ciekawym świadectwem czasów i zmian - pierwszy odcinek trasy pokonał w PRL-u, a zakończył gdy już było po NRD i ZSRR. Poznaliśmy się kiedyś podczas pewnej imprezy podróżniczej.

Druga postać z mojego prywatnego podium podróżników jest od paru lat w najdłuższej podróży; tej po drugiej stronie lustra. Nie zawsze, ale gdy będąc w Warszawie mam

niewiele więcej czasu odwiedzam warszawską „Lokantę” gdzie się poznaliśmy. Był rok 2005. Nie było wolnych miejsc, a ja uparłem się na prawdziwą kuchnię turecką. Przy jednym z mniejszych stolików siedziała starsza Pani z książką. Spytałem czy mogę się dosiąść, co nie było chyba zbyt eleganckie, ale Pani zgodziła się bez pretensji w oczach i intonacji. To mi wystarczyło żeby z zaproszenia skorzystać. Opowiadała pięknie. Wtedy była już na emeryturze - pracowała całe życie jako nauczycielka francuskiego i angielskiego w jednym z warszawskich liceów. Nigdy nie opuszczała Warszawy, poza jedną jedyną podróżą do Francji, którą odchorowała wyjątkowo dotkliwie. Pani Irena cierpiała na poważne zaburzenia błędnika i rzadką chorobę lokomocyjną, która uniemożliwiała jej podróżowanie - zarówno to bliskie, jak i te dalekie. Podróżowała więc inaczej - z książką w rękę, karmiąc się wyobraźnią. A gdy w Warszawie pojawiły się kuchnie świata, dwa razy w miesiącu każdorazowo w innej restauracji „opuszczała” na chwilę kraj poznając nowe smaki, zapachy, wędrując szlakiem podniebienia. Kiedyś wpadła na pomysł, aby poznać przedstawicieli wszystkich dostępnych religii w Warszawie, co zajęło jej sporo czasu i okazało się podróżą najciekawszą, bo w głąb ludzkiej motywacji i pragnień, przekonań i nieszablonych myśli, egzotycznych lub nowych idei, alternatywnych poglądów. Tę podróż uznała za najciekawszą, bo jak zapewniła w rozmowie, dopiero na stare lata (to cytuję oczywiście) poznała samą siebie, bo okazało się że najbliższe jest do siebie samego, gdy konfrontuje się swoje przekonania z tymi, którzy myślą inaczej. Rozmawialiśmy wtedy długo, aż do zamknięcia restauracji. Odprowadziłem Panią Irenę potem do domu, wymieniliśmy adresy i numery telefonów. Mieliśmy stały kontakt, aż do momentu gdy pewnego dnia jej telefon odebrała córka.

– A Ty - spytałem swoją nową znajomą, masz swoich ulubieńców?

Marta zawahała się przez chwilę, po czym odpowiedziała:

– Przede wszystkim to muszę Cię przeprosić, że tak Cię zaatakowałam...

– Nie rozumiem...

– No z tym pytaniem o wczasy „wszystko w cenie”...

– Nie rozumiem dalej...

– Chyba chciałam się wyżyć na kimś. Tylko się nie śmiej. Kojarzysz nazwisko Michniewicz? Na pewno kojarzysz. On ma niezwykle talent, czyta się go podobnie jak Cejrowskiego, Brysona, Kapuścińskiego, czy Szczygła. Absolutnie pierwsza liga. Ale to właśnie on wkurzył mnie do imentu. Po pierwsze gość się podpisuje Tomek, jak dzieciak jakiś. Ja z początku myślałam, że on ma Tomek w dowodzie, wiesz, teraz jest spora swoboda przy rejestracji imion, ale gdzieś w Trójce czy gdzieś, nie pamiętam, ktoś go zapowiedział jako Tomasza i to mi jakoś nie leży - bo facet jest dorosły, robi poważne rzeczy... Ale to mniej ważne. Wkurzyło mnie to, że w swojej ostatniej książce, tak mocno podkreśla, jak barwne i wartościowe jest jego życie na tle losów tych, co są na etacie. Wiesz, ja nie znam jego intencji, ale czułam się wyśmiana! A przecież

ubrania w których chodzi, aparat którym robi zdjęcia, samolot którym leci i tak dalej i tak dalej, to robota setek zwykłych ludzi na etacie, od niepiśmiennej szwaczki po wykształconego pilota. Gdyby to była moja osobista książka, to rzuciła bym nią o ścianę... I gdy zobaczyłam jak udzielasz wywiadu temu dziennikarzowi, to pomyślałam, że jesteś być może jednym z takich jak on, co ma zwykłych ludzi gdzieś... I zaczęłam Cię z tym pytaniem, chyba żeby cię sprowokować. Głupie to było... Przepraszam...

– Nie ma za co. Ale przede wszystkim ja jestem nikim. Chciałbym pisać, wydawać - to moje marzenie, ale czas pokaże. A co do Michniewicza? Cóż, z czegoś to musi wynikać, ale masz rację, to może drażnić... wiesz co - przecież to jest gość w porządku, może kiedyś, na jakimś autorskim spotkaniu powiesz mi to co myślisz i się pozytywnie rozczarujesz!?

Marta się roześmiała. Trochę nerwowo, ale było widać, że schodzi z niej powietrze. Czekałem aż wróci do tematu „all inclusive”, ale najwidoczniej został odsunięty na dalszy plan.

– Mówiłeś że dużo czytasz. Coś Ci ostatnio podeszło?

– „Zabójca z miasta moreli” Witolda Szablowskiego. Reportaże z Turcji. Świetne.

– Poczekaj zapiszę sobie. Szablowski.

– Coś jeszcze?

– „Nie ma jednej Rosji” Pani Włodarczyk. Też bardzo dobre.

– To wiem. To ta fajna dziennikarka... Wiesz co, ja ci trochę zazdroszczę. Bo ja nie kupuję książek. Nie stać mnie. Biorę z biblioteki, albo od koleżanki. Ona czyta sporo. Zrozum, przy mojej pensji, dwójce dzieci i ich ojcu, który od ponad czterech lat nie płaci alimentów książki to luksus...

– Nie ma się czego wstydić.

– Dziękiuję. Wiesz, ja studiowałam, ale cięża na trzecim roku zamknęła temat. Bliźniaki. Ukochany okazał się zwykłą świnią, musiałam tu wrócić... Kelnerka to nie jest moje marzenie, w soboty dorabiam sprzątnięciem, więc jakoś leci, ale to żaden komfort mieszkać w jednym domu z rodzicami. Ale nie narzekam - dzieci wynagradzają wszystko. Masz dzieci?

– Córkę. W tym roku skończy siedem lat.

– I jak?

– To znaczy?

– Jak się czujesz w tej roli?

Zawahałem się czy otwierać się przed w sumie obcą osobą, ale jej szczerść sprawiła, że poczułem się zobowiązany do podobnej otwartości.

– Jak się czuję? Marta, ja się z początku obawiałem, czy się sprawdzę, bo wiesz ja nigdy nie poznałem swojego ojca i nie miałem wzorców, ale ojcostwo moje osobiste, od strony emocjonalnej daleko przewyższyło wszystko czego się po nim spodziewałem.

Można mówić godzinami o relacjach, miłości, o tym jak się tęskni za dzieckiem po kilku dniach poza domem, ale to bez sensu - nie ma słów.

Szekspir nie podola,

a co tam taki Zygmuntołowicz...

– Oczy Ci się śmieją jak to mówisz!

– Bo wiesz, to nie jest jakieś patetyczne, górnolotne uczucie, fanfary w tle i kandelabry, tylko coś, no wiesz, pierdzielony koślawy język - coś...

– Poranny spacer boso po wilgotnej łące, a wokół głowy skowronki?

– Więcej!

– Bardziej!

– No właśnie!

– ...

– Zamów coś, wypijemy ich zdrowie!

Wróciliśmy do tematu książek. Czytaliśmy prawie to samo, przynajmniej z gatunku podróże reportaż, czyli to co jest dostępne na półkach, przy czym Marta miała w przeciwieństwie do mnie zdolność do wyrazistych ocen, zarówno książek jak i autorów:

– Wiesz co mnie pozytywnie zaskoczyło? Ta książka o Gruzji Państwa Mellerów, co ma taki tytuł, że nie sposób go zapamiętać. Ja z początku nie chciałam tego czytać, bo ten Meller wydawał mi się dziwny. Czemu dziwny? Jak inteligentny facet może prowadzić „Playboya”? Przecież to chore! Wcześniej to Raczek też prowadził, też super facet, a to taka żenująca gazeta z przerobionymi na komputerze gołymi babami. Ni pies ni wydra. Ja wiesz, ja wolę konkret, albo naprawdę wymakowane artystyczne zdjęcia, gdzie naprawdę niewiele widać, ale wyobraźnia działa, albo prawdziwe, twarde, konkretne hard porno, a nie takie pierdoły! Jak oni dali radę w takiej robocie? Nie mam pojęcia ale nie wyobrażam sobie, że prawdziwy facet, tracił czas na namawianie jakiejś pszenno-buraczanej gwiazdki, że pokazała cycki. Ja wiem, że naczelny to masa innych zajęć, ale te rozebrane krajowe gwiazdki, sam przyznaj... No nie ma opcji, oni musieli coś pić, albo przypalać, żeby wytrzymać w takiej robocie... A wiesz, książki Tomasza Raczka znałam, a Mellera nie, ale nie miała akurat nic do czytania, a koleżanka tak zachwalała... I po pierwszych stronach - zaskoczenie! Bo oni we dwójkę z żoną napisali to tak, że chce się tam jechać, tu i teraz - bez zastanowienia. Prawdziwe szaleństwo. I tak jak gościa nie lubiłam, tak teraz chlebem i solą w dzień i w nocy! No mówię Ci, to było coś. Ale jest też sporo dziwnych lektur. Jacyś studenci przejechali autobusem przez Amerykę i cieszą się, że ktoś ich albo nakarmił, albo dał nocleg za darmo... Ja bym się wstydiła. Nie stać mnie, to nie jadę... A wizytę w Nowym Orleanie opisali na dwóch stronach... Albo ten gość, co w Japonii sypiał w parkach, na ławkach, no proszę Cię, to jakaś aberracja. Pióro niezłe, ale to nie jest normalne, żeby w takich warunkach... Albo „Ameryka po kawałku” Pana Wałkuskiego z Trójki. No kurczę, taki miły facet, a daje w tej książce ciała po całosci. Przecież ci, którzy słuchają Trójki, to nie są ludzie głupi, a on serwuje opowieść o jakimś radiowym programie satyryczno-motoryzacyjnym, co jest podobne do opowiadania o skeczach Monty Pythona, czyli wysiłek bez sensu, bo tego nie da się opowiedzieć! Albo opis garażowych wyprzedaży - no Artur, daruj, ale mógłby

pójść jednak trochę dalej, a nie opisywać coś co można znaleźć w necie lub w setkach podobnych książek o Ameryce. Mógłby się choć zbliżyć do tego co zrobił Guy Sorman w „Made in USA”, dać, bardziej pogłębiony obraz, ale z polskiej perspektywy... Szkoda talentu i czasu na takie historyjki, naprawdę.

– Stać go na więcej, bo ma przecież swój styl...
– Sporo czytasz - wtrąciłem jedynie, nie chcąc przerywać wywodu podekscytowanej Marty, najwyraźniej spełnionej dzięki znalezieniu słuchacza, którego zachwyt nad jej emocjami musiał być widoczny

– Sporo. Telewizji nie oglądam. Jak położę dzieci, to mam czas. Ale wiesz co, ja się chyba starzeję. Kiedyś lubiłam powieści, kryminały, a nawet romanse, a teraz albo biografie, albo reportaż, czasami nawet coś z polityki, ogólnie literaturę faktu. Fikcja mnie nudzi, a przez fantazy nie jestem w stanie przejść. To nie dla mnie. A, no właśnie, zapomniała bym. Ostatnio odkryłam Wiecha. Nie znalazł tego wcześniej. Prześmieszne. Nie to co „Trzech panów w łódce” które mnie wynudziło...

– Może trzeba być Anglikiem, żeby to poczuć. Mnie to też nie powaliło...

– No właśnie. A przecież oni mają parę fajnych rzeczy. „Wilt” nie ma sobie równych, w życiu nie czytałam nic tak śmiesznego, ale wiesz co, na dobra sprawę to najbardziej lubię jednak polskich pisarzy - Kapuścińskiego i Cejrowskiego mogę czytać non stop, Mroziewicz mógłby pisać więcej, Hłasko, Tyrmand, Kałużyński, Piasecki, no mówię Ci miód malina. Nawet Ziemkiewicz mi się podoba, chociaż ja raczej z innego obozu jestem niż on, ale ten jego styl! Jak czytam jego felietony, to aż mam ochotę wstąpić do PIS-u. Albo Stomma, czy ten gość od Azji, no Pyffel zdaje się, że gość się tak nazywa, on w sumie trudne tematy podaje w takiej formie, że nie mając przygotowania rozumie się wszystko. Wiesz co mi się marzy? Żeby kiedyś pójść do wielkiej księgarni i móc ładować do kosza wszystko, co mi w oko wpadnie, nie patrząc na cenę, żeby móc kupić co się chce, a potem urządzić salon, w którym dookoła na ścianach tylko półki na książki, kolorowe grzbiety, powieści, albumy i przewodniki i do tego dobre stereo z kolekcją płyt. I wygodne fotele... Wróciła bym do polskiej klasyki, do Sienkiewicza, Prusa, Reymonta. „Pana Tadeusza” to mogę w kółko czytać, bo tam jest taki klimat, taki zaczarowany i odurzający. Ja przy tym w trans wpadam, ale to w sumie nie jest dobre, bo mi się „te rzeczy” budzą, a jak się jest samotną kobietą, to wygodniej się żyje nie myśląc o tych sprawach.. Palileś kiedyś trawkę?

– Nigdy...

– Ja owszem. Kilka razy. Ale to już dawno było. I nie ciągnie mnie. Bo wiesz, z trawką to jest tak...

Marta mówiła, ja słuchałem zachwycony. Lubię kobiety i ich towarzystwo. Ale kobiety czytające uwielbiam. A kobiety czytające i pozytywnie stuknięte ubóstwiam. A kobiety czytające, pozytywnie stuknięte i nie jęczące nad swoim losem mam za siostry. Nagle Marta lekko chwyciła mnie za ramię.

– Czy Ty mnie słuchasz? - spytała.

– Przepraszam. Odjechałem na moment.

– Mów wprost jeśli chcesz spać. Widać, że jesteś zmęczony.

– Nie to nie to. Pomyślałem jedynie, że wiele kobiet samotnie wychowujących dzieci nie ma w sobie tyle entuzjazmu co Ty...

– I?

– I bardzo mi to imponuje.

Marta wyciszyła się na moment, by chwilę potem już bez poprzedniego entuzjazmu, ale poważniejszym i spokojnym tonem, chociaż bez widocznego smutku, czy żalu powiedzieć:

– Dzięki, ale to nie zawsze tak jest jak dziś. Ja też mam dni, kiedy nie mogę się pozbierać, kiedy czuję się totalnie beznadziejna. I mało atrakcyjna... I niestety, bez szansy na poznanie kogoś miłego, kto weźmie mnie z całym inwentarzem i przeszłością. I wtedy ryczę, nie płaczę, tylko ryczę, a najbardziej wtedy, gdy dociera do mnie, że dzieci kiedyś wyjdą z domu. I wtedy się rozklejam. Jak każda baba. Po prostu...

Nie wiedziałem co powiedzieć. Na swoje szczęście, bo parę sekund później Marta mówiła znów:

– Wiesz co? Fajny z ciebie facet. A wiesz dlaczego? Bo mnie nie pocieszasz, nie chrzanisz tych głodnych kawalków „będzie OK”, „w końcu kogoś poznasz”, czy coś w tym stylu, tylko słuchasz i to widać!

– Ciężko mi się przebić...

– Ej tam. Ale wiesz co, ja z tym „all inclusive” to z jednej strony szukałam zaczepki, a z drugiej to serio chcę spytać, co ty, jako podróżnik o tym myślisz?

– Ty znów z tym podróżnikiem... Marta, mi jest bardzo miło, ale ty naprawdę przypisujesz mi większą rolę, niż na nią zasługuję. Naprawdę...

– Nie dyskutujmy o tym. Sam powiedziałaś, że ta Pani co tylko raz wyjechała z Polski była większym podróżnikiem niż inni. Temat zamknięty. Pytam konkretnie - co myślisz o wakacjach „all inclusive”?

– Naprawdę to ma znaczenie dla Ciebie?

– Tak.

– Dobrze. Zatem posłuchaj. Mój kolega parę lat temu zabrał dzieci do Wenecji. Po powrocie babcia spytała je, co im się najbardziej podobało. Starszy pamiętał, że lody były dobre, a młodszej podobały się gołębice, które można karmić. Wystarczy Ci to za odpowiedź?

– A co z dorosłymi?

– Pozwól niech zgadnę. Codziennie masz do czynienia z różnymi klientami. Jeden cham potrafi zepsuć cały dzień. A chamów i buraków nie brakuje. Czasami obsługujesz ludzi z pretensjami do świata, którzy myślą, że jak mają na cztery piwa to masz przy nich skakać i się wdzięczyć. A z drugiej strony, co oni o Tobie wiedzą? Nic. Pewnie nie jeden z nich, przez całe życie nie przeczytał tyłu książek, co Ty przez miesiąc i trafia Cię szlag, że od rachunku za dwie stowy gość zostawia złotówkę napiwku...

– Albo i pięćdziesiąt groszy...

– No właśnie. Lepiej by nie zostawiał nic i Cię nie poniżał w ten sposób. Są też mili klienci, ale to odrębny temat. Oni nie zneutralizują traumy jaką fundują ci chamscy. Czasami szefostwo też da w kość.

– Nie mogę narzekać. Są w porządku.

– To dobrze - zawsze to jakiś plus. Ale tak czy inaczej... Sama wychowujesz dzieci. Dorabiasz w weekendy. Musisz być zmęczona...

– Nawet nie wiesz jak...

– ...I jak każdy człowiek chcesz wypocząć,

chcesz choć na chwilę być po drugiej stronie, chcesz by to tobie ktoś podał do stolika...

– By podał mi do stolika śniadanie i obiad. I kolację. I żebym nie musiała się martwić, czy mi starczy na kolejny napój, czy lody dla dzieci i żeby się nie wstydzić, że już zabrakło, lub żeby nie zadłużać na wakacjach...

– I stąd myśl o „all inclusive”, bo płaci się z góry raz i wszystko jest z głowy. Nie musisz się martwić. Wygoda i wypoczynek. A ile lat mają bliźniaki?

– Osiem.

– Na dobrą sprawę przez cały dzień nie będą z basenu wychodzić i będziesz mogła wypocząć. A wieczorem jakieś tańce dla dzieci, animacja. Jedzenia nie przejesz, bufet z napojami dzieci ogarną już w drugi dzień i będą dumne z samodzielności, że nie muszą mamy prosić. Tylko weź sporo książek, bo dzieci poznają inne dzieci i będą chodzić swoimi ścieżkami...

– Trzy lata odkładałam na taki wyjazd...

– No to jedź. Wypoczniesz. Zrelaksujesz się, ale też się wynudzisz. No, chyba że się trafią jacyś fajni ludzie. W grupie różnej. Polecam gorąco.

– Naprawdę? - Marcie załamał się głos.

– Dlaczego płaczesz? Marta?

– Bo nie śmiejesz się z moich marzeń...

Część 2

„Panie, jaka prewencja?”

Mieszkam w obrsanej stolicy kultury. Nie przesadam. Wrocław jest miastem ciekawym, rozwijającym się i tak dalej i tak dalej. Znacnie to Państwo, bo o mieście głośno. Ale oprócz tego co znacnie, to Wrocław jest chyba najbardziej zafajdanym przez psie odchody miastem w Polsce. Głównie na starych osiedlach. Na moim jest chyba najgorzej. Ogromny skwer przed blokiem to jeden wielki psi kibel. Sprzątający po swoich psach należą do rzadkości. Zwracanie uwagi nic nie daje, a straż miejska tematem się nie interesuje. Dlatego nie powinno Państwa dziwić, dlaczego (pozytywnie) zaskoczyła mnie pewna scena. Wstałem wcześniej, sporo przed piątą i nie czekając na śniadanie wsiadłem na rower. O mniej więcej pół do siódmej byłem w jednym z niewielkich miast - na oko osiem, dziesięć tysięcy ludzi. Przed jednym ze sklepów właściciel wystawił stolik i parasolkę przeciwsloneczną. Kupiłem coś na śniadanie. Po drugiej stronie ulicy, zamknięty z dwóch stron ścianami bloków rozciągał się spory skwer. Co chwilę, w typowym porannym, przyspieszonym tempie ktoś przechodził w tę, lub tamtą stronę. Po paru minutach pojawił starszy pan z kundlem. Kundel załatwił się pod latarnią, a pan wyjął z kieszeni torebkę i grzecznie posprzątał po piesku. Uśmiechnąłem się w myślach do pana, jednocześnie klnąc w duchu chamstwo z osiedla „Gaj” we Wrocławiu, ze szczególnym uwzględnieniem mieszkańców bloków przy ulicy Krynickiej. Parę minut potem pojawiła się pani- młódka koło trzydziestki z jakimś rasowym olbrzymem. I również po psie sprzątnęła. Znaczy się- można. Ale gdy jakiś małolat, dosłownie parę minut później, posprzątał po bokserze

zrozumiałem, że to nie przypadek. Wszedłem do sklepu i spytałem o to panią sklepową, która bez cienia zainteresowania tematem odpowiedziała:

– Straż miejska soli mandaty, to sprzątają.

Prawda, że brzmi to banalnie? Tylko dlaczego nie można tak wszędzie? Sprawdziłem godzinę. Czasu miałem spory zapas, więc postanowiłem wejść do straży miejskiej i porozmawiać o sprawie z komendantem.

Dyżurny strażnik poinformował mnie, że komendant jest niestety na urlopie, więc jeśli on może w czymś pomóc... Powiedziałem, że interesuje mnie nazwijmy to „psi problem” i chętnie dowiedział bym się więcej, bo mieszkam w cywilizowanym niby mieście, gdzie problem jest ciągle nierozwiązywalny. Pan dyżurny wyprężył się dumnie i odpowiedział:

– Psie gówna to Stefan ogarnął, ale niech Pan popatrzy na mieście, że śmieci i petów nie jest tak dużo jak gdzie indziej! Pety to mój temat, nie chciałem być gorszy...

– A Pan Stefan jest tu gdzieś?

– Jeszcze nie, ale zaraz będzie, bo on ma dziś na siódmą trzydziestki.

Usiadłem w poczekalni zabijając czas lekturą przeróżnych ogłoszeń i informacji rozwieszonych na ścianach, zdobywając jakże cenną wiedzę na temat wysokości mandatów, zakresie obowiązków Straży Miejskiej, oraz godzin otwarcia kasy. Po kilkunastu minutach pojawił się Pan Stefan.

– Prasa do Ciebie - zaanonsował mnie Pan Dyżurny, a jak musiałem się mocno nagimnastykować, żeby wytłumaczyć, że nie jestem z prasy, ale mimo to, prosił bym o wywiad. Pan Stefan z kolegą Dyżurnym w końcu się zgodzili, pod warunkiem, że nie opiszę w jakim mieście sytuacja ma miejsce, bo komendant, (który jest mistrzem w przypisywaniu sobie zasług), choć to mało prawdopodobne, ale gdyby jakimś cudem trafił na książkę („raczej nic nie czyta, bo to tłumok”), w której było by dobrze napisane o jego podwładnych, a o nim niewiele dobrego o lub zgola nic, na pewno by się wściekł. Pierwszy zaczął Pan Stefan:

– Ja niestety mam tę wątpliwą przyjemność, że mój syn mieszka w Anglii. I to tam mnie natchnęło, jak polecałem pierwszy raz. Wszedłem z wnuczką na spacer z wózkiem, a pewien facet, od nas z sąsiedniej wsi, który robi w tej samej fabryce co syn, spacerował z psem. I zobaczyłem jak on, na co dzień kawał łobuza, sprząta po psie. U siebie by tego nie robił. I syn mi wytłumaczył, że to nie kwestia kwestia systemu i strachu przed karą. Co Pan myśli, że polskich cham, czy cham angielski, norweski czy belgijski czymś się różnią od siebie? Niczym. Jedynie tym, że tamci się boją kary. Dowody? Niech Pan porozmawia z kimś, kto jeździ po świecie i niech Panu opowie jak się zachowują Niemcy czy Szwedzi u siebie, a jak w Tajlandii, w Hiszpanii, czy gdziekolwiek indziej. Jest panie różnica. No i wtedy postanowiłem spróbować u nas, bo regulaminy były od zawsze, tylko woli, a może świadomości nie było. A to mnie wkurzało, bo mi kiedyś wnuczka na trawie się wywróciła i prosto, no twarzą, rozumiesz Pan?

– Zaczęliście pewnie od upomnień. Od prewencji?

- Panie, jaka prewencja? Od razu poszły mandaty i po trzech miesiącach temat był załatwiony. Uczyc to można dzieci w szkole, a nie starych dziadów. No i oczywiście awantury były z początku, ale ci co mają małe dzieci chwalili nas głośno i tak już zostało. A potem jeszcze Janek wziął się za śmiecenie i pety.

- Ścigacie za wszystko?

- Nie. Jak ktoś pije piwo pod sklepem to nie ścigamy. To bez sensu. Jak puszkę do kosza taki jeden z drugim wrzuci to wystarczy. Niektóre przepisy nie są zbyt życiowe. Wie Pan, to jest małe miasto, na dobrą sprawę wielka wieś, więc piwko pod sklepem to coś w rodzaju tradycji. Interweniując tylko byśmy się ośmieszyli i zniechęcili ludzi do siebie.

- Mało kto lubi Straż Miejską...

- A Pan się dziwi, jak to w większości przypadków przechodnia dla znajomych tych co wygrali w wyborach...

- A panowie to z rekrutacji?

- Też po znajomości, ale po poprzednim burmistrzu. Dlatego komendant za nami nie przepada. Ale swoje robimy. Raczej porządnie. Podobnie jak w poprzedniej pracy. Ja kierowcą byłem, ale zdrowie nie pozwoliło w zawodzie zostać, więc trzeba było czegoś poszukać, najlepiej po znajomości...

- Przyznam Panowie, że dość szczerze się wypowiadacie...

- Panie, przecież to wszyscy wiedzą, tylko Pan nie pisz z kim i gdzie Pan rozmawiał. My myślimy bardzo prosto i konkretnie. Niech każdy, na swoim stanowisku, czy to cieć, strażnik, ordynator czy dyrektor robi swoje porządnie, to ten kraj będzie inaczej wyglądał. Ot cała filozofia. Wystarczy to panu?

- Wystarczy. No chyba że chcecie coś dodać od siebie...

- Ja bym chciał z jedną sprawą- na koniec uaktywnił się Pan Dyżurny- żeby to dobrze funkcjonowało, taka instytucja jak straż, to w przypadku małych miast strażnicy powinni być zatrudniani z innych miejscowości, żeby móc swobodnie pilnować porządku, bo naprawdę ciężko jest dać mandat sąsiadowi, czy znajomemu. Naprawdę. I to chyba wszystko, co Stefan?

- Nie wszystko. Ja ostatnio w Warszawie byłem. Kibice stali w kupie i wzywali policjantów w taki sposób, że słów brakuje. A policja nic. Taka teraz szkoła, żeby nie dać się sprowokować. Nic głupszego, bo to ich tylko upewnia, że mogą więcej i więcej i nie szanują panie władzy. Jakby nie można było inaczej sprawy załatwić...A można, tylko ta policja, to wiesz Pan, szkoda słów. I na dole i na górze...I tak się potem dzieje, wiesz Pan... Jak oni się pały i munduru nie boją, to dobrze nie będzie. Bo nie może tak być, że zwykle łobuzy no i bandyci się niczego nie boją, ani nauczyciela, policjanta, ani sądu. Porządnemu człowiekowi policja nie wadzi. A tą resztę, to trzeba krótko trzymać i moresu nauczyć. A wie Pan czemu? Bo jak my sami ich nie nauczymy, to przyjdzie Arab, albo Niemiec, czy Rusek i szybko wprowadzi dyscyplinę. Ot, co.

Część 3

„Jakim cudem to się jeszcze trzyma kupy?”

To było już pod koniec wyprawy. Zmęczony położyłem się spać koło osiemnastej i głęboko zasnąłem, by obudzić się tuż po dwudziestej pierwszej. Głodny zszedłem do pustawej restauracji i usiadłem przy barze. Barman, a później okazało się że właściciel dopytywał mnie o szczegóły całej podróży, o spotkanych ludzi, o wrażenia ze spotkań. On jak sam podkreślił z racji prowadzenia biznesu restauracyjno- noclegowego, który wymaga dyspozycyjności wyjeżdża sporadycznie, więc trochę mi zazdrości. Po dwudziestej trzeciej zostaliśmy tylko we dwóch i wtedy Pan Właściciel zaproponował:

- Może po kieliszeczku czegoś mocniejszego? Jutro nigdzie nie jadę, to dwa maluchy nie zaszkodzą. Napije się Pan ze mną?

- Nie, odmówiłem. Mój gospodarz zaproponował zdrowie gościa, po czym powiedział tak: - Ja się zawsze zastanawiałem, jakim cudem to się jeszcze trzyma kupy?

- A co dokładnie?

- Polska proszę Pana. Tytu urzędników, kontroli, przepisów. A nic nie działa. Jak podatek wziąć, to wiedzą jak, ale jak mi się gość w barze awanturuje, to zanim policja przyjedzie... A nie daj Panie Boże, że jak go wyprowadzam z lokalu, żeby mu włos z głowy spadł... Mnie posadzą, a nie jego. Więc za ochronę płacę. Albo inna sprawa- ubezpieczony jestem. Ale do lekarza idę prywatnie, bo jakbym miał w przychodni dniami i nocami czekać, to kto by lokal prowadził? To gdzie jest ja się pytam państwo? Ech Panie, szkoda gadać. Gdzie są te pieniądze? Podatki? Gdzie to, kuźwa jest??? Ja jestem ustawiony, radzę sobie, ale co mają młodzi powiedzieć? A nie każdy może być inżynierem, prawnikiem czy lekarzem. Ulice też ktoś musi sprzątać. Coś Panu powiem. Mój kolega ze szkoły ma dwa sklepy. Jeszcze jakiś czas miał do soboty czynne. Spotkałem go niedawno i pytam co słyhać, a on na to, że musi w niedzielę otworzyć, żeby obrotem nadrabiać. Widział Pan coś takiego u Niemca, no dobrze, nie u Niemca - u Czecha, czy Słowaka? I jak mi Pan opowiada o tych wszystkich ciekawych ludziach, co ich Pan odwiedził, to do mnie dociera, że to wszystko jakoś się toczy, bo ludzie biorą na siebie więcej niż powinni, więcej niż trzeba, więcej niż mogą na dłuższą metę. Kombinują, robią w wolne dni, coś dorabiają, sami sobie radzą, często emigrują... A władza tylko patrzy co by im jeszcze na łeb wrzucić i jakich obowiązków się pozbyć. Takie jest moje zdanie. A przecież ludzie chcą iść do przodu... Podam panu prosty przykład - chodzi mi o wesela. Kiedyś normą było, że się przy stole pali, najlepiej to nie wyglądało, jak dla mnie obrzydliwie, bo ja nie palę. A teraz jest inaczej - nikt nie robi problemu, na zewnątrz wychodzą palić. Coś się zmienia. Kiedyś wódę strasznie łoili, a teraz mniej piją, nie awanturują się. Piwo i wino na weselach schodzi. Ludzie chcą i jakoś idą do przodu,

w drobnych sprawach, czy ważniejszych. Tu wyremontują, tam ogarną, tu dziurę załatwią... I wie Pan co, to chyba jest najczystsza prawda, że to jest tak - jedni robią za dwóch, czasami za trzech i utrzymują, a to urzędników, a to niby bezrobotnych, a to alimenciarzy, a drudzy żyją kosztem tych pierwszych... Taka jest proszę Pana prawda, tak proszę Pana jest. Polska jeszcze jakoś się trzyma, dzięki tym co robią za dwóch, za trzech lub za pięciu. Tylko, że od jakiegoś czasu widać i gdzie to będzie lepiej widać niż w knajpie - że, ludzie proszę Pana są już zmęczeni... Ja od lat słucham o czym ludzie przy stołach mówią i naprawdę, naprawdę to dokładnie widać - ludzie są proszę Pana zmęczeni. Piekielnie zmęczeni...

Nic nie odpowiedziałem wiedząc, że mój Gospodarz jeszcze coś chce dodać. Nie myliłem się.

- Pan nie opisz tej rozmowy?

- Wolałbym opisać. Jeśli Pan pozwoli...

- No nie wiem, jakaś złość mnie ponosi!

- Nalegam mimo wszystko.

Mój gospodarz szybko przechylił kieliszek.

- No dobrze, tylko proszę nie pisać, gdzie była rozmowa i z kim, bo mi kontrolę jakąś naślą...

Część 4

„List”

Pod koniec sierpnia dostałem od Marty krótkiego maila z prośbą o adres korespondencyjny. Odpisałem, a po kilku dniach otworzyłem kopertę:

„Arturze

Prawda, że fajnie jest dostać prawdziwy list? Jak każdy korzystam z maila, ale chciałem w jakiś sposób - choćby pisząc odręcznie - wyrazić wdzięczność za tamto spotkanie i przeprosić za to, że się rozkleiłam. A może nie tyle przeprosić, co podziękować za zrozumienie. Być może to sprawa dla Ciebie banalna, ale gdy tak jak ja, pracujesz w miejscu, gdzie połowa gości to turyści, to chcąc nie chcąc słuchasz o podróżach małych i wielkich, mniej lub bardziej ciekawych, fascynujących, udanych lub nie. I odruchowo zazdrościsz, bo to są sprawy poza zasięgiem. Tu jest małe miasto, niby średnio zamożne, ale coraz więcej ludzi jeździ gdzieś za granicę i naprawdę nie jest łatwo wytłumaczyć dzieciom, czemu my nie jeździmy na takie wakacje jak inni.

Wyjazd był udany. Tak jak mówiłeś - w takim miejscu dzieciom niewiele trzeba. Wystarczy basen, inne dzieci, oraz napoje i lody bez ograniczeń. Ja przeżyłam parę zdzowień. Ciężko było mi pojąć, jak to możliwe, że można stać w kolejce po frytki i hamburgery, gdy na stołach parę rodzajów mięs, masa przeróżnych warzyw, sałatek, ryb i przekąsek. Książki i gazety rzeczywiście są niezbędne. Ale nie czytałam od rana do nocy, bo trzeciego dnia poznałam pewnego Pana, który przyleciał na urlop z wnukami. Jeden jest starszy o rok, a drugi dokładnie o rok młodszy od moich bliźniaków, więc z miejsca zaczęli się bawić razem. Śmiał się z moich

kompleksów związanych z podrózami i powiedział, że mnie z nich wyleczy. Sam zwiedził pół świata (jest emerytowanym inżynierem hydrologiem, czy coś w tym stylu, całe życie na kontraktach...), pokazywał mi zdjęcia na komputerze, ale stwierdził, że gdy już człowiek oswoi się z widokiem palm, znudzi się smakiem egzotycznej kuchni i sięgnie głębiej, poza skrojoną dla turystów rzeczywistość upstrzoną życzliwymi gestami i przyklejonym uśmiechem, to okazuje się, że świat jest wszędzie taki sam - jakiś niewielki procent ludzi żyje ponad stan, a reszta - oczywiście pomijając skrajności i patologie - dwoi się i troi aby zapewnić lepszą (od swojej własnej) przyszłość dzieciom. I to wszystko. I że nie ma znaczenia, gdzie się udajesz, tylko z kim. Oczywiście - są miejsca w których można się zakochać, mentalności, które wydają się pociągające, ale nie ma żadnego obowiązku kochać się w Meksyku jak Cejrowski, czy w Polsce jak Kevin Aiston. Poza tym potrafił mi logicznie wytłumaczyć - że podróżom, odkrywaniu nowych miejsc i „wielkim wyczynom”, typu zdobywanie ośmiotysięczników przypisuje się większe znaczenie, niż ma ono w rzeczywistości.

Podróżowanie jest według mojego Przyjaciela tak samo przereklamowane jak piłka nożna!

I było w tym coś cudownego, bo zaczynając od wyrafinowanej argumentacji, opartej o skomplikowaną logikę, wiedzę książkową i znajomość tematu z osobistego doświadczenia, potrafił mój nowy przyjaciel przejść do prostych, ale dość konkretnych pytań, typu: jaki sens ma ryzykowanie życia, gdy w domu zostają małe dzieci? Albo: co robić z popędem seksualnym, gdy wyrusza się na kilku miesięczną wyprawę zostawiając w domu życiowego partnera lub partnerkę? Pytaniami takimi sypał jak z rękawa, pokazując mi temat w innym świetle, ale nie chcę się rozpisywać, żebyś nie pomyślał, że popadłam dla odmiany w drugą skrajność.

Najbardziej rozbawiła mnie jego opowieść o japońskim rytualnym parzeniu herbaty, która w jego ustach brzmiała mniej więcej tak: „Posadzili nas niewygodnie i kazali czekać. Po paru minutach przyszła elegancko ubrana kobieta i w ciszy zrobiła herbatę. Koniec.” Może Cię to nie rusza, ale mnie owszem. Do dziś się z tego śmieję. No dobrze, kończę powoli - ważne jest to, że w krótkim czasie, poznając dwóch różnych ludzi przeszedłam przez proces zmiany poglądów w temacie podróży. I przestał to być kompleks.

I jeszcze jedno - mój nowy przyjaciel - wdowiec starszy od Ciebie mniej więcej o piętnaście lat, doskonale rozumiał, (ale nie tylko rozumiał, lecz doskonale wyczuwał kiedy zrobić śmiały krok), że samotna kobieta potrzebuje nie tylko rozmowy.

Arturze.
Pozdrawiam.
I jeszcze raz dziękuję.
Marta.”

Rozdział VII

„Włodawa”

Część 1

„Historia jednego wiersza”

Pokolenia filozofów. Zastępy poetów i całe zjazdy psychologów. Duchowni i natchnieni duchem. Próbuja. Setki wersów. Przymiotniki i porównania. Przytłaczająca masa słów. Ale jakoś nie wychodzi, bo próbują dalej.

Jemu się udało. Salomonowa „Pieśń nad pieśniami”, Pawłowy „Hymn o miłości” i wszystkie sonety Szekspira nawet nie zbliżają się do tego czym jest „Kołysanka dla Joanny” Wojciecha Belona. Mówią, że wystarczy dwa ostatnie wersy... W przeciwieństwie do pozostałych poradził sobie, ani razu nie używając słów „miłość” i „kochać”:

*Zanim mi sen na oczy spłynie
Moje myśli szybują przez łufcik
Żeby cię ujrzeć w ową chwilę
Gdy włosy czeszesz przed lustrem*

*A kiedy zaśniesz w ciepłej pościeli
Zmęczone długim przelotem
Jak ptaki głowy w skrzydła wtulają
Patrząc na sen twój spokojny*

*Niech Ci się przyśnią pory roku
Niech grają we śnie twoim i tańczą
Jesień przęcąc liście do lotu
Lato w upale słonecznym*

*A jeśli zima to w śniegu cała
Wiosna w miłków wiosennych łąkach
Śpij moje myśli nad tobą czuwają
Na parapecie za oknem*

Później doszła melodia. Powstała najpiękniejsza pieśń o miłości. Nie znacie tego? Lećcie do komputera. Boże błogosław internet. Posłuchajcie. Posłuchaliście? I jak?

Rozmawiałem kiedyś ze znajomą polonistką, która moje porównanie Belona z Szekspirem uznała za obłąd i bluźnierstwo. Po co jest poezja? - spytałem i dostałem dłuuugi wykład. Książkowy. Encyklopedyczny. Martwy. Spytałem moja droga - zaproponowałem, jakiegokolwiek mężczyzny, który chociaż raz w życiu kochał, kto lepiej wyraził jego uczucia - Szekspir setkami wersów, czy Belon tymi dwoma. Odpowiedziała, że mężczyźni niechętnie rozmawiają o emocjach, a o uczuciach tym bardziej. Odparłem, że owszem, bo nie tyle, że nie chcą, ile nie potrafią i że właśnie po to jest nam chłopom potrzebny poeta, aby za nas opowiedział światu o tym, co nam w myślach gra. A męskie myśli często czuwają. Na parapecie. Za oknem.

To było parę lat temu. Na potrzeby tego tekstu zadzwoniłem do niej i próbowałem przypomnieć rozmowę sprzed lat. Nie pamiętała jej...

Z Krasnegostawu jechałem do Włodawy w ostrym tempie. Parę dni na rowerze, tempo i wydajność wyraźnie wzrosły. Umówiony byłem zarówno w Domu Kultury, jak i w więzieniu, gdzie czekała na mnie przepustka. Trzydzieści lat temu, w 1985 roku, w miejscowym Domu Kultury i w Zakładzie Karnym wystąpił Wojciech Belon, pieśniarz,

poeta i wolny człowiek, założyciel zespołu „Wolna Grupa Bukowina”. Lata później, wspominając tamto wydarzenie, krakowski poeta Adam Ziemianin napisał wiersz „Wojtka Belona ostatnia ziemską podróż do Włodawy”:

*Z gitarą i piórem
Kwiatowym wieczorem
Jedziemy Wojtku
Razem do Włodawy.*

*Stary bieszczadnik
Majster Bieda
Wciąż wierny góróm
Jak zwykle jest z nami.*

*I mówisz - wszystko się uda,
O to nie ma żadnej obawy.
Przecież jedziemy dziś
Na dwa dni do Włodawy.*

*W przedziale po oczach
mdli mleczna żarówka
mała
gwiazda betlejemska*

*I pociąg lubelski
Noc długą przecina,
Buntując się
Na ostrych zakrętach.*

*I mówisz - wszystko będzie dobrze,
Opowiemy im nasze sprawy.
Przecież jedziemy
Na dwa dni do Włodawy*

*Z plecaka chleb wyjęty,
Garść soli,
Kawałek sprytem zdobytej
Kielbasy.*

*Chcemy noc przeskoczyć
Ciemną i niepewną
Z biletem kupionym
W nieznanym.*

*Lecz mówisz - znów musi się udać,
Choć tyle podróży za nami.
Przecież jedziemy dziś
Na dwa dni do Włodawy*

*Dzisiaj się buntuje
Czesiek król nad króle
Piekarz rodem z Buska
Wchodzi w układ.*

*Stawia pasjans z bułek
I gorzej się czuje,
A w drewnie cierpliwym
Został ślad.*

*A Ty na przekór wszystkim mówisz,
Że się uda - nie ma obawy.
Przecież jedziemy dziś
Na dwa dni do Włodawy.*

*I są pytania,
I są wciąż rozmowy
Ważne,
Choć tylko przedziałowe.*

*I jak z każdej
Wspólnej nam posiadaj
Wygląda w przyszłość
Zatroskany człowiek.*

*Wyciągasz wiersz ciepły jeszcze,
Wczoraj bodajże napisany,
I czytasz głośno go w przedziale
W naszej podróży do Włodawy.*

*Z gitarą i piórem
Kwiatowym wieczorem*

*Jedziemy Wojtku
Razem do Włodawy.*

*Stary bieszczadnik
Majster Bieda
Wciąż wierny góróm
Jak zwykle jest z nami.*

*I mówisz - wszystko się uda,
O to nie ma żadnej obawy.
Przecież jedziemy dziś
Na dwa dni do Włodawy.*

To miały być kolejne z wielu koncertów. Stały się cezurą. Kilkanaście dni po spotkaniu we Włodawie Wojciech Belon - poeta, piosenkarz, kompozytor, Człowiek Nie Posiadający Wrogów zmarł w jednym z krakowskich szpitali. Miał 33 lata.

Dwa koncerty we Włodawie odbyły się w ramach cyklu „Gitarą i piórem”. Dziś taki tytuł nosi cykliczna audycja w radiowej „Trójce”, poświęcona szeroko rozumianej poezji śpiewanej. Rokrocznie odbywa się też festiwal o tej nazwie. Poezja śpiewana, piosenka autorska, piosenka literacka, czy poetycko nazwane „krainą łagodności” zjawisko wymyka się definicjom i jest fenomenem nie mających na świecie konkurencji. Bez reklamy i bez sponsorów, bez celebryckiego szumu, praktycznie bez obecności w rozgłośniach radiowych zjawisko żyje. Żyje i tętni. Oddycha głęboko. Przez cały rok pachnie wiosną. Setki wykonawców, dziesiątki festiwali, koncerty w wielkich miastach i gminnych ośrodkach kultury. Zainteresowanych nie brakuje. Przychodzi kolejne pokolenie. Wnuki z dziadkami. By pobyć wśród swoich, pośpiewać znane na pamięć utwory, uciec od zgiełku, a także by poznać nowe wiersze - posłuchać co juniorom w duszy gra... Specyficzna to publika. Mówi „proszę” i „dziękuję”, nie pcha się w szatni, nie śmiecha się.

Po koncertach pcham się za kulisy porozmawiać o Belonie. Większość artystów zgodnie potwierdza, że bez Belona i Wolnej Grupy Bukowiny zjawisko to nie miało by takiego wymiaru. I znaczenia. I takiej magii. Dlaczego? Nie wiedzą... Muszę porozmawiać z kimś, kto występował z Belonem...

Wacław Juszczyński z WGB mieszka we Wrocławiu, dość blisko. Zaprosił mnie do siebie do domu, ale nie chciałem przeszkadzać. Spotkaliśmy się na mieście. Ciekawiło mnie, czy Włodawa była szczególnym miejscem dla Belona, czy zwyczajnie jednym z wielu:

– Wolna Grupa Bukowina bywała we Włodawie wiele razy i to w pełnym składzie.

– Co Was tam ciągnęło?

– Jeden człowiek, mianowicie „Kazan” Kuśmierczyk, przyjaciel Wojtki, rzutki człowiek, świetny organizator. Znał historię kresów, przyrodę, ludzi. On organizował spływy kajakowe, imprezy kulturalne. Ilekroć tam byliśmy, czyli we Włodawie, zawsze „Kazan” nas podejmował, zajmował się organizowaniem czasu.

– Czyli to on zorganizował koncerty w Włodawie?

– Jeśli nie organizował, to na pewno było obecny, bo to był wyjątkowo chętny do pomocy człowiek. Musi Pan spytać o to, tych którzy tam wtedy byli.

– Czyli?

– Mikołaja Korzistkę, który mieszka obecnie

w Chicago i Adama Ziemanina. Mikołaj grał z Wojtkiem, a Adam wiadomo - recytował swoje wiersze.

– Pamięta Pan jakieś rozmowy z nimi o tych koncertach? Ten w więzieniu mógł być szczególnie.

– Nie. Ani z Wojtkiem, ani z Mikołajem, ani z Adamem Ziemaninem. Bo to się zbyt szybko potoczyło i odejście Wojtki przesłoniło wszystko. Myślę, że Mikołaj coś będzie pamiętał. Skontaktuję Was. Z Adamem też jestem w stałym kontakcie, więc coś się zorganizuje.

– Z góry dziękuję. Mogę spytać o coś przy okazji?

– Proszę bardzo.

– Kiedy do Was dotarło, że robicie rzeczy wyjątkowe?

– Właściwie to po śmierci Wojtki, ale do nas to docierało stopniowo, a może cały czas dociera? Myśmy po prostu przyjaźnili się, spędzali ze sobą mnóstwo czasu nie tylko na scenie. Zresztą zespół miał dość luźną formułę, przewijała się masa ludzi... Dla mnie to była jednak codzienność. Ciekawa codzienność, ale codzienność. I gdy grupa się reaktywowała nastąpiło coś wyjątkowego, pełne wielkie sale koncertowe, owacje, wzruszenia słuchaczy... Coś fantastycznego... A czasami zdarzają się sytuacje wyjątkowe. O chociażby ten przykład. Kiedyś podszedł do nas pewien Pan, tłumacząc i jednocześnie dziękując, za to, że nasz utwór „Między nami” pomógł mu w nawiązaniu relacji z kobietą z którą jest do dziś. To było po koncercie, przy stoliku w restauracji. Ten Pan zaproponował, że w ramach wdzięczności za naszą twórczość, chciałby ufundować nam coś ze sprzętu, instrumentów... Poprosił o kontakt i numer konta. Daliśmy mu namiary trochę zaskoczeni, ale na dobrą sprawę dla świętego spokoju, bo Pan był nieco pod wpływem...

– I?

– I parę dni później dostaliśmy przelew. Spory.

– Co sprawia, że takie rzeczy się dzieją?

– Spróbuję odpowiedzieć za moment, ale mam jeszcze jedną historię. Jakiś czas temu poznaliśmy Irlandczyka z Cork. Muzyk, piosenkarz. Nazywa się Tony Milner. Nie przesadzę, ale on zwiariował na punkcie tego co tworzymy. Zna na pamięć wszystkie nasze utwory, uczy się polskiego, koncertuje w Polsce. Jak jest we Wrocławiu to nocuje u mnie. Powiedział kiedyś, że nie spodziewał się, że gdziekolwiek na świecie istnieje coś takiego jak to co robimy my, Ela Adamiak czy Stare Dobre Małżeństwo...

– Znam podobne reakcje ludzi spoza Polski.

– Naprawdę? To miło, ale wie Pan, to wszystko nie jest nasz zasługa. Tu nic by się nie wydarzyło, gdyby nie wrażliwość i wyobraźnia słuchaczy. My dajemy tylko impuls, jesteśmy katalizatorem najwyżej...

Jak to wszystko racjonalnie wytłumaczyć?

Na Skypie łączę się z Mikołajem Korzistką, który grał z Belonem. Mikołaj mieszka na stałe w Chicago. Jest profesjonalnym tłumaczem, wolnym strzelcem tego fachu, mającym pełne ręce roboty, ale na rozmowę o Wojtku, jak podkreślał, zawsze znajduje czas. Ale o gitarze nie zapominał. Skończył przygotowanie

materiału na solową płytę i pracuje nad jej wydaniem. Będzie nosić tytuł „Z Krakowa do wczoraj”. Materiał z płyty za zgodą Mikołaja rozsyłał po znajomych. Dziękują. Najbardziej podoba się utwór „By na starość” do tekstu Zbigniewa Książka. Ktoś odpisał, że piosenka jest już na You Tube. I bardzo dobrze. Mikołaj próbuje racjonalizować początek Świata Pieśni Dla Wędrujących. Była komuna, ludzie nie jeździli za granicę. Tym którym nie pasowało leżenie plackiem na plaży jeździli w góry, wędrowali razem, spali w schroniskach, śpiewali przy gitarce na ognisku. Rodziły się więzi, budziły emocje, ludziom chciało się być bliżej - w takim natężeniu relacji międzyludzkich nurt poezji śpiewanej musiał się pojawić. A jeśli weźmie się pod uwagę osobowość Belona, jego zdolność do łączenia ludzi i niewątpliwy magnetyzm, to zjawisko dzięki niemu przyspieszyło. Komuna wciskała swoich bohaterów, a Ci którym się nie dało wcisnąć kitu obierali sobie innych bohaterów - Janka Praderę, Majstra Biedę, Pana Cogito i Sprzysiężenie Górskiego Kamienia. A potem potoczyło się wszystko kulą śniegową...

Jest w tym trochę racji, wszystko na świecie jest dzieckiem swoich czasów, ale dalej nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia. Opowiadam Mikołajowi jedną z moich osobistych przygód. Mieszkałem wtedy w Białymstoku. Na ulicy zaczepili mnie dwaj eleganccy młodzieńcy z czarnymi plakietkami wpiętymi w marynarki: „Martin White” i „John Thomas”, pytając czy jestem wierzący. Misjonarze Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, znani bardziej jako mormoni, na misji w Polsce. Odpowiedziałem, że jak chcą pogadać, to zapraszam do domu - na ulicy nie będziemy rozmawiać, bo zimno i zanoszą się na deszcz. Spotykaliśmy się wiele razy. Ja co prawda mormonem nie zostałem, ale za to moi drodzy goście złamali wielokrotnie zasady swojej rygorystycznej religii, poznając pod moim dachem smak przeróżnych alkoholi. Na kilka dni przed powrotem do USA poprosili mnie o odwiezienie na lotnisko do Warszawy. Pojechaliśmy. W Wyszku zatrzymaliśmy się jeszcze na ostatni polski obiad i wtedy zapytałem ich o to, co kupili na pamiątkę po dwóch latach pobytu w Polsce. Martin otworzył małą walizkę. W środku była masa płyt: „Stare Dobre Małżeństwo”, „Wolna Grupa Bukowina”, Elżbieta Adamiak, Antonina Krzysztoń, Mirosław Czyżykiewicz, „Raz Dwa Trzy”, „Czerwony Tulipan”, Grechuta i wielu, wielu innych. Zamurowało mnie, bo wcześniej o tym nie rozmawialiśmy. Krajinę Łagodności poznali dzięki nauczycielce języka polskiego, która prowadziła ich kurs. Z czasem zaczęli rozumieć więcej, ale poczuli też to „coś” czego nie potrafili nazwać. Stąd pełna walizka tego, czego Ameryka im nie da. Bo nie ma. W drodze powrotnej myślałem o tym namiętnie, bo nastąpiło tu pokonanie co najmniej czterech barier. Pierwsza to wiek i płeć. Dziewczęta łatwiej dają się „uwieść” temu klimatowi, ale dwudziestoparoletni mężczyźni myślą raczej o innych sprawach. Dla wielu z nich to smętne rzępolenie dla nawiedzonych. Druga bariera - amerykańska mentalność, trzecia - jasno sprecyzowany cel misji religijnej, czwarta - język. I jeśli dało się przebić przez tak grubą mur, to musi coś w tym być. Mikołaj przyznał mi rację:

- Musisz to Asi opowiedzieć. Dam Jej namiar do Ciebie.
- Asi?
- Asi Belon. Zonie Wojtka. Ona też tu mieszka. Niedaleko.

Część 2 „O wiele lat za późno”

Zgodę na wizytę we włodawskim więzieniu otrzymałem tydzień wcześniej. Pan Dariusz Demczuk, rzecznik Zakładu zrobił więcej niż oczekiwałem. Chciałem jedynie zobaczyć salę w której występował Belon, Korzistka i Ziemianin, spróbować wyobrazić sobie jak mogło to wyglądać, pooddychać więziennym powietrzem w miejscu gdzie Wolność reprezentowana przez część Wolnej Grupy Bukowina spotkała się z Niewolą z wyboru w postaci osadzonych. W 1969 roku w słynnym więzieniu San Quentin wystąpił z zespołem Johny Cash. Jest film, są zdjęcia, masa wspomnień, nagrania. Mi zostanie jedynie sfotografowanie pustej świetlicy, ale nie przejmuję się zbytnio, bo później mam spotkanie w Domu Kultury. Tam powinni mieć jakieś zapiski, notatki w kronice, może zdjęcia, jakiś plakat, stare bilety czy rachunki podpisane przez artystów.

Mimo wolnej soboty w zakładzie karnym pojawiła się Pani Elżbieta Rabaczewska, opiekunka więziennej biblioteki i wychowawca więzienny. Powód - w więzieniu działa Dyskusyjny Klub Książki, a ja dostałem zgodę na spotkanie z osadzonymi należącymi do klubu.

Przeszliśmy przez więzienny dziedziniec, gdzie w miejscu odgrodzonym wysoką siatką, rozebrani od pasa w górę więźniowie grali w siatkówkę. Jak w filmie. Pozostali sprężystym krokiem chodzili od siatki do siatki. Równym krokiem, jak na musztrze. Raz dwa, trzy cztery. Dziesięć kroków i w tył zwrot, bo teren jest mały. Wygląda to dziwnie. A raczej groźnie. Jest w tym dziwnym marszu jakiś potencjał złej energii, ludzie ci wyglądają, jakby mieli zaraz eksplodować. I nerwowo. Zaraźliwi nerwowo.

- Dlaczego oni tak chodzą? - pytam Pana Dariusza.

- Żeby nie siedzieć beczynnio.

Powoli zaczynam rozumieć, czym jest osadzenie.

Zakład Karny we Włodawie, jest więzieniem typu półotwartego, to znaczy, że więźniowie nie przebywają cały czas w celach, tylko mogą wychodzić na korytarz, mają ze sobą kontakt. Ale to dalej jest zamknięcie. Mijamy jedne, drugie, trzecie drzwi. Najpierw świetlica. Spore pomieszczenie. Puste. Nijakie. Robię zdjęcie i wychodzimy. Płatanina korytarzy, kraty zamykane elektrycznie, kraty, kraty, kraty. W końcu jakaś weselsza sala. Na ścianach obrazy malowane przez więźniów. Kolorowe, bajecznie kolorowe. Maski, rzeźby, wszystko jaskrawe, barwne, pstrokate. Nie ma się czemu dziwić, dookoła jest szaro, w końcu to więzienie, więc osadzeni ubarwiają swój świat.

- Te kolorowe maski i obrazy osadzeni wykonali wspólnie z niepełnosprawnymi dziećmi - informuje mnie Pani Rabaczewska. Milczę, bo nic nie wiem o programach

resocjalizacyjnych, a może jestem odruchowo nastawiony na nie, bo niby dlaczego więźniowie mają mieć lepiej - ktoś o nich zabiega, wymyśla programy, główkuję, organizuje im życie. Pani Elżbieta mówi dalej, na szczęście mam włączony dyktafon i odsłucham spokojnie później bo się wyłączyłem. Głupio mi, ale wychodzi brak przygotowania do tematu. Widzę przed sobą zaangażowaną kobietę, wyjątkowo sympatyczną, przekonaną o słuszności tych działań, ich celowości, a z drugiej strony myślę o tych poza murami, którzy miesiącami czekają w kolejkach na lekarzy specjalistów, podczas gdy osadzony czeka krócej. Albo wcale. I jeszcze potrafi się buntować.

- Pan widzę nie jest do końca przekonany, że takie działania są potrzebne? - pyta mnie w końcu Pani Elżbieta wprost. Potwierdzam.

- Proszę się zastanowić - odpowiada mi łagodnie, jak zdekoncentrowanemu uczniowi w czasie lekcji szkolnej - świat i otoczenie zmienia się w takim tempie, że nawet ludzie wolni mają problem z nadążeniem za nowinkami, za technologią, za zmianami. Prawda?

- Prawda.

- To niech Pan pomyśli, przez co przechodzi człowiek, który wychodzi po kilkuletnim wyroku. Łąduje na obcej planecie, której nie zna, po której nie wie jak się poruszać, która jest dla niego niegościnna, wroga. I proszę do tego dodać ubogi rynek pracy jaki mamy. Rozumie Pan?

- Zaczynam rozumieć.

- Istnieje konieczność zrobienia wszystkiego, aby tym którzy chcą, którzy rokują, pomóc przygotować się do powrotu na zewnątrz. Bo zostawieni sami sobie najpewniej wrócą na drogą przestępstwa. Wszyscy na tym stracą, nie zyska nikt...

- Możemy wrócić do tematu dzieci niepełnosprawnych, bo się zamyśliłem. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Osadzonych i osoby niepełnosprawne coś łączy. W różnym stopniu, ale jedni i drudzy należą do grup defaworyzowanych. Bywa tak, że twardy facet, potężny, zbudowany, wcześniej postrach osiedla, pęka psychicznie w kontakcie z kimś absolutnie bezbronnym i słabym, kim jest niepełnosprawne dziecko. Pęka, ale zaczyna się uczyć, kipi emocjami ale stara się pomóc, zaczyna uczyć się cierpliwości, bycia potrzebnym. Taka interakcja nie nastąpi ze zwykłym Kowalskim z ulicy. Zatem spotkania, czy praca przy opiece jest krokiem w stronę zniwelowania deficytów z jakimi ci ludzie tu trafiają. Chodzi o to, aby chronić ich przed autodestrukcją, która zawsze jest groźna.

- Czy to są zajęcia dla wszystkich?

- Oferta jest szeroka, ale dostęp od czegoś zależy. Wychowawca określa zakres potrzeb, osadzony też sam się może zgłosić, ale to nie jest tak oczywiste, że konieczne chce.

- Nie rozumiem. Słyszałem, że więźniowie garną się do wszystkiego, byle by jakoś zabić czas...

- To nie do końca tak jest. Wśród osadzonych są też ludzie całkowicie zatwardziali, dla których jakakolwiek współpraca z pracownikami jest zdradą, wstydem, obciążeniem. Tacy będą zniechęcać innych,

sztydzić, wyśmiewać. Dlatego trzeba mieć siłę aby się nie dać tej presji, wykonać pierwszy krok.

- Nie wziąłem tego pod uwagę.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Wyjście na zewnątrz to jednak forma nagrody. Są tacy, którzy by chcieli, ale zachowanie ich dyskwalifikuje, muszą czekać. Niektórzy nawet kilka lat, zanim wyjdą na pierwszą przepustkę. To skomplikowany świat, pełen niuansów. Przejdźmy dalej. Do biblioteki.

Wchodzimy do więziennej wypożyczalni. Dziesięć tysięcy woluminów dostępnych dla wszystkich więźniów. Dobrze prowadzone katalogi. Porządek. Pani Elżbieta wspomina między wierszami, że jest też dyplomowaną pielęgniarką i nauczycielem angielskiego. Wszystko to przydaje się w jej pracy. Co chwila wpada na jakiś nowy pomysł, który potem konsultuje z dyrekcją i wychowawcami. Rasowa pozytywistka. Myśli, planuje, realizuje. I jednocześnie romantyczka, szczerze wierząca w sens swojej pracy, mająca wiele serca dla osadzonych. To widać i słysząc w sposobie opowiadania. Mnie jednak niepokój nie chce opuścić. Po prostu, wstydę się tego, że nie jestem przygotowany do tej rozmowy. Ani na poziomie wiedzy, ani na poziomie emocji. I jak zwykle w parę minut próbuję pojąć coś, na co niektórzy poświęcają lata. Wiem też, że po wyjściu z tych murów emocje nie znikną, tylko się nasilą. Niedobrze.

- Niektórzy z nich - oprowadza mnie Pani Elżbieta opowiadając dalej - wypożyczają romanse i harlequiny, ale proszą o dyskrecję, bo wiadomo - czytanie takich rzeczy to wstyd dla twardzieli, jakich tu grają.

Parę minut potem pojawiają się skazani, członkowie klubu książki. Przedstawiają mi się po kolei, wspominając też za co tu siedzą i jak długo. Jest rozrzut - przemyt papierosów i ciężkie pobicie. Kolejne pobicie, bo to recydywa...

Rozmawiamy o książkach, o ulubionych lekturach, o gatunkach literackich. Jeden lubi reportaż, inny beletrystykę, inny historię, inny tygodniki motoryzacyjne. Dowiaduję się, że Pani Elżbieta ma dwa pseudonimy - Mamusia i Żelazna Dama. Zgadza się to z moim spostrzeżeniem, że to romantyczna pozytywistka. Jest dla nich autorytetem. Hierarchię widać. Szefowa i podwładni. Bez charyzmy nie miała by szansy nad nimi zapanować, bo mimo przyjemnej atmosfery spotkania, widać, co najmniej u dwóch panów spore podkłady złej energii, która w odpowiednich warunkach może wybuchnąć. Panowie opowiadają mi o wyjściach na miasto, o lęku wobec zewnętrznego świata, który, o co się obawiają przy pierwszym wyjściu, będzie ich piętnował, odrzucał, karał ponownie. W pewnym momencie pytają mnie, co o nich sądzą. Odpowiadam zgodnie z prawdą, że dobrze się wśród nich czuję i uważam, że po zakończeniu kary będę uważał ich za rozliczonych za winy. Odpowiedź ich zadawała całkowicie; zaczynają się bardziej otwierać, być szczerzy, nie kombinują. Między wierszami odnoszą się do swoich przestępstw, do osobistych historii. Odrobinę, oczywiście czasu jest za mało, aby się w to wgrzyźć, ale odrobinę zbliżam się do zrozumienia, co Mamusia miała na myśli mówiąc o „deficytach

z którymi tu trafiają?”. Co by było, gdyby nie było tych programów? Zdziczenie, cofnięcie się w rozwoju, frustracja, agresja - panowie nie mają problemu z odpowiedzią i mówią na sto procent jest szczerze No dobrze moi drodzy, dalej próbując ciągnąć temat, ale to jest Wasza kolejna odsiadka. Trafiliście w dobre ręce, bo Pani Elżbieta to złoty człowiek, ale jakby nie patrzeć, jest formalnym ramieniem Rzeczypospolitej, która w jej osobie robi dużo, abyście w takie miejsce nie wrócili. Na jakim jesteście etapie? Co Wam dają te programy? Zmieniają Was, czy nie? Jeden z moich rozmówców odpowiada sprytnie, że to jest część procesu, bo na pewno po wyjściu pokusy będą, ale wszystkie zabiegi wychowawcze zostawiają trwałe ślady w umyśle, który może w przyszłości uchronić ich przed powrotem na złą ścieżkę. Inny mówi, że przepustki go wzmacniają i chociaż powrót za bramę po wyjściu jest trudny, to widzi co traci i że żaden program nie jest tak skuteczny, jak właśnie te wyjścia, te krótkotrwałe spotkania ze światem za murami. Bo wtedy się widzi, co się traci, ale to trudno wytłumaczyć komuś kto nie miał możliwości przetestować jak płynie czas w zakładzie, a jak na zewnątrz. A czym jest literatura dla osadzonego? Ucieczką z tego miejsca, od tego co tu się dzieje, od tęsknoty za domem i rodziną, za domem. Czasami literatura jest nauką, ale głównie ucieczką, ucieczką i jeszcze raz ucieczką.

Wychodzę z Zakładu z mętlikiem w głowie. Wizyta w więzieniu powinna być obowiązkowym punktem w programie szkół średnich i zawodowych. Dzwonię z tym sprostowaniem do koleżanki zajmującej się zawodowo prawem. Pomysł być może jest nowatorski, ale nie tu jest problem, zresztą robię błąd próbując pojąć tak złożony temat w krótkim czasie, ale rozumie, że ponoszą mnie emocje. To nic dziwnego. A co do recydywistów, to zależy jak to liczyć i definiować, ale recydywa wielokrotna, czyli w skrócie mówiąc trzecia odsiadka dotyczy ponad 50% skazanych. Połowa z moich nowych znajomych wyjdzie na wolność, by za jakiś czas wrócić do któregoś z więzień. Całkowicie już rozstrojony kończę rozmowę i idę na kolejne spotkanie. Tak czy inaczej, Pani Elżbieta jest postacią wyjątkową, a moim rozmówcom wysyłę coś w prezencie do czytania. Niech mają.

Dom Kultury. Dwie Panie na emeryturze - Zofia Woźniak, Grażyna Kuryłowicz i obecna Pani Dyrektor - Lucyna Lipińska. Kawa, herbata, ciastka. Gościnnie, domowa atmosfera i na początku prezent - książka o Włodawie, której współautorką jest Pani Woźniak. Zaczynamy wspomnienia, ale zwrot „nie pamiętam” pojawia się co chwilę. W końcu to trzydzieści lat.

- Wie Pan, myśmy we dwie to wtedy organizowały, chociaż był też organizator ze strony więzienia. Koncert w zakładzie był przed południem, a u nas w Domu Kultury wieczorem. Pan Wojtek bardzo to przeżywał... Jakies trzydzieści osób wtedy było w świetlicy więzienia i to w nagrodę za dobre sprawowanie. Więźniowie dobrze ich przyjęli, skupili się. A to nie jest takie oczywiste, bo kiedyś się zdarzyło, że wyszli w trakcie jakiegoś programu, który im się nie podobał...

Belon tu był już wcześniej, chyba z zespołem nawet, w szkole grali... Czy zachowały się bilety z tamtego czasu? Nie raczej nie, ale to chyba nawet nie był koncert biletowany... Inne czasy były, był budżet, można było zaprosić każdego, ale on był inny, nie gwiazdorzył jak co poniektórzy, był miły, dał się lubić, szanował innych, ale nie był taki, no wie Pan, jakiś taki na siłę natchniony, tylko to był pogodny mężczyzna, ale nie żaden cherlak, tylko wysoki, dobrze zbudowany, z głosem jak dzwon. Bo to chyba są stereotypy, że poeta to musi jakiś taki cherlawy, czy zabiedzony... Tak tak, bardzo przystojny, podobał się dziewczynom... Myśmy ich wtedy tu karmiły jedzeniem przyniesionym z domu, zsiadłe mleko było... Przed koncertem nad Bug poszli, wrócili w zabłoconych butach, plamy na wykładzinie nie schodziły długo, mimo prania... Sala była pełna, ludzie na podłodze siedzieli, jeden na drugim... Teraz już tak się nie robi, bo przepisy, przepisy... Tu we Włodawie kiedyś ludzie bardziej do poezji lgnęli. Bywało, że na konkurs recytatorski zgłaszało się sześćset osób, więc jak Belon się pojawił, to było święto... Nie znalazł Pan nikogo ze strażników który by pamiętał to wydarzenie? Szkoda. Niestety żadnych zdjęć nie mamy... Może się kiedyś znajdą... Damy znać... Wie Pan, jakby ktoś wiedział, że to ostatni koncert, to by zdjęcia porobił, ponagrywał... SDM tu kiedyś był. Też fajny zespół... Cała ta poezja śpiewana jest ładna, kasety mamy w domu... Wie Pan co jeszcze warto pamiętać? Że kiedyś wystarczyło zadzwonić do artysty, umówić się. Nie pytali o stawkę, honoraria. Wiadomo było, że coś zapłacimy, że będzie też coś do zjedzenia, bo przyniesiemy z domu, czy coś dla kurażu, a teraz... Wie Pan, niektórzy mają takie stawki...

Do pensjonatu wracałem roztrzęsiony. Na spotkaniu w Domu Kultury nie mogłem się skupić, dojsz do siebie, chociaż miłe Panie robiły wszystko, abym się dobrze czuł. Szkoda, że pamiętały tak niewiele, ale to w końcu trzydzieści lat. Przyjechałem tu o wiele lat za późno.

Źle ustawiłem kolejność. Trzeba było najpierw umówić się w domu kultury, potem w więzieniu. Po spędzeniu dwóch godzin w takim miejscu, po bezpośrednim kontakcie z więźniami, po huśtawce myśli ciężko się pozbierać. W normalnych warunkach do zmiany, no może do korekty przekonań czy poglądów dochodzi się w procesie rozłożonym w czasie. Nie boli to, nie niepokoi. I jest naturalne. Tu było inaczej. W sekundę dotarło do mnie, jak niewiele trzeba by się tam znaleźć. Można mieć szczerą chęć i szlachetne intencje - stanąć w obronie kogoś w barze, na ulicy, w tramwaju... Odepchnę bandytę, upadnie, walnie pustym łbem w coś ostrego, zdechnie na miejscu. Niechący zabiją gnoja, odpowiem za człowieka. Posiedzę, bo skurwił był synem kogoś ważnego, ugotują, wrobią. To się zdarza. Na parę lat zamkną z takimi, co nie mają nigdy wątpliwości... Kim będę po wyjściu? Tego nie wiem. Nie chcę tego testu, boję się. Wszedłem za bramę więzienia w poszukiwaniu historii i ciekawych emocji, wyszedłem z dziwnym uczuciem, co siedzi na ramieniu i demonicznie rzy do ucha powtarzając: nigdy nic nie wiadomo, nigdy nic nie wiadomo, nigdy...

W rodzinie miałem dwóch, może trzech skazanych. Kontakt sporadyczny, wyjechałem zanim dorosłem do jakichkolwiek pytań. Wtedy świat był czarno-biały, jak PRL-owska telewizja: dobrzy ludzie żyją na wolności, a źli siedzą w więzieniach. Później, to było w klasie maturalnej, poznałem go przez znajomych. Wyszedł po trzeciej odsiadce. Matka oddała go do rodziny zastępczej zaraz po urodzeniu, źle trafił, bo nowi rodzice zbyt często sięgali do butelki. Odebrany decyzją sądu trafił do drugiej rodziny. Jeszcze gorszej. Ale dłużej to trwało, zanim kto to zauważył i już zdążył się sporo „nauczyć”. Do domu dziecka trafił już ukształtowany. Elk, Suwałki, Białystok. Z domu dziecka do poprawczaka. Któregoś dnia nie wytrzymał i postawił się wychowawcy sadyście. Uderzył kilka razy, skopał. Miał już lata kwalifikujące, więc poszedł siedzieć. Wyszedł na moment. Kręcił się po Krakowie, poznał dziewczynę, córkę znanego artysty. Jej rodzina zaakceptowała go, razem z jego przeszłością. Poczuli, że ma już dom. Albo że jest on gdzieś na wyciągnięcie ręki.

Na imprezie jakiś facet wszedł za jego dziewczyną do łazienki i zaczął się dobierać. On wpadł, uderzył dwa razy z pięści, złamał nos i wybił zęby. Wrócił tam skąd przyszedł. Po odsiadce nie pojechał do Krakowa. Honor mu nie pozwalał prosić o pomoc, a poza tym uznał, że nie wywiązał się z danego słowa, obiecał bowiem, że już nigdy nie wróci za kraty. Wyjście na wolność było mu obojętne. W więzieniu miał pozycję, na wolności był nikim. Nie szukał pracy, spokoju, stabilizacji. Był wściekły, chciał się odegrać na wszystkich za wszystko. Zaczął wyłudzać pieniądze od PKP za zwrot podrobionych biletów blankietowych. Zarabiał w ten sposób dwie średnie miesięczne pensje w tydzień. Nie oszczędzał. Włóczył się po Polsce, rozdawał pieniądze, stawał wszystkim. Omijał Kraków. Wpadł przez przypadek. Wrócił do więzienia. To był okres, gdy ewangelizatorem przeróżnych denominacji religijnych pozwalano na spotkania z więźniami. Nawrócił się i wyszedł z postanowieniem, że nigdy więcej. Na bazarze w Białymstoku poznał Białorusinkę z Grodna. Wyprowadził się do niej na Białoruś. Pracuje w zawodzie zdobytym za kratami, jest wziętym kowalem artystycznym. Radzi sobie z życiem, nie zawsze ze sobą, bo z takim bagażem to niełatwe. Myślę o nim wracając do pensjonatu. Jaki miał wybór? Rozmawialiśmy nie raz o prawie i systemie kar. Miał sprecyzowane poglądy. Zabójstwo - czapa. Pedofilia - czapa. Gwałt - kastracja i obóz pracy, pierwsze pobicie - publiczna chłosta i zadośćuczynienie finansowe, drugie pobicie - chłosta i kolonia karna, drobniejsze sprawy - prace publiczne w ubraniach jednoznacznie identyfikujących więźniów, tak aby przechodnie widzieli kto zacz. Żadnych wątpliwości. Żadnych złudzeń.

Szedłem obolały. Potrzebuję cudu. Albo alkoholu. Na cud nie liczyłem, na alkohol owszem. Bar na dole był czynny do dziesiątej. Taką przynajmniej wywiesili kartkę. Pierwsze, drugie, trzecie. Nie przechodzi. Wiem - cudu nie będzie. W barze pusto, tępa barmanka wisi na telefonie i plotkuje po chamsku, nie zważając, że siedzę trzy metry od niej i wszystko słyszę. Zamawiam czwarte, potem

piąte. Nic nie pomaga. Do kogo zadzwonić, z kim pogadać? Pozornie proste pytanie, ale wiem, że to nie ten adres, zbyt różne poziomy wrażliwości, a może poziom ten sam, tylko co innego nas porusza... Oswoiłem się i przyzwyczailem. Przestałem wierzyć. Po prostu tak jest. Przesuwam w telefonie listę kontaktów, Ania X, Antek Y, Anna, Bartek... Szkoda, że nie mam do Niej numeru. Nie pamiętam nawet jej imienia. Gdyby to spotkanie miało miejsce tu i dziś, to byłby to cud prawdziwy, ale niestety, to opowieść która już została mi opowiedziana wcześniej. Zamawiam kolejne jasne pełne i wspominam.

Przez moment, może pod wpływem alkoholu kusi mnie myśl, aby gdy będę opisywał ten dzień, zafundować czytelnikom happy end. Historię sprzed kilku lat, z Belonem w tle przenieść do pensjonatu we Włodawie. Było by to piękne zakończenie dnia. Kojące. Ale nie będzie. Pijany wrócić do pokoju, nawet nie rozbiórę się przed snem, bo nie dam rady. Mózg się wyłączy na moment. A teraz, póki jeszcze jestem na jawie, po raz kolejny, tym razem sam sobie, opowiadam w myślach to spotkanie sprzed kilku lat.

To było zaraz po koncercie. Towarzystwo przeniosło uwagę z poezji na zawartość szklanek... Stary teatr muzyczny „Capitol” przed totalną przebudową. Scena w części restauracyjnej. Przy stole, po lewej stronie patrząc od sceny siedzieli Oni - Grażyna Kulawik, Wojciech Jarociński, Waław Juszczyszyn i młody basista od jakiegoś czasu grający z zespołem - Wojciech Maziakowski. Na chwilę przysiadł do nich Przemek, gospodarz miejsca, wtedy jeszcze człowiek od farmaceutycznego biznesu, obecnie artysta estradowy. Pamiętam dokładnie, bo zazdrościłem Przemkowi, że zna Ich osobiście. Ale nie miałem śmiałości go poprosić, by mnie przedstawił, bo cóż miałbym im powiedzieć?

Obsługa kelnerska zawodziła, więc przenieśliem się do baru. Zawsze to bliżej nalewaka. Po mojej prawej stronie, nad kieliszkiem czegoś szlachetniejszego (koniak?, calvados?) siedziała Ona. Młodsza sporo. Szklanką z piwem wykonałem gest w rodzaju „na zdrowie”. Odpowiedziała pytaniem jak mi się podobał koncert. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jak zawsze dobrze, chociaż Pan Juszczyszyn mógłby zmienić zapowiedzi między utworami, bo je niestety powtarza...

- Ja byłam pierwszy raz. To coś fantastycznego. Jechałam specjalnie z Rzeszowa, a to był jedyny termin, który mi

pasował, dłużej nie mogłam czekać, musiałam to zobaczyć na żywo...

- Dlaczego musiałaś?

- Z wdzięczności.

- Co?

- Z wdzięczności. Masz chwilę, to Ci opowiem.

- Śmiało.

- Parę miesięcy temu nie miałam zielonego pojęcia o takiej muzyce, o poezji śpiewanej, o Stachurze, Belonie, czy Wolnej Grupie. Wiesz, to kwestia wieku i środowiska, wszystko jedno - nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Pracowałam w koncercie. W dziale handlowym. Sprzedaż, firma, plany, szkolenia, wyniki, firma, nagrody, firma, sprzedaż, ranking, coaching, tabelki i wykresy. Trudno to opowiedzieć. Szło mi dobrze, więc zrobili mnie szefem regionu. Jedna trzecia Polski. Luksusowe auto, duża pensja, budżet reprezentacyjny, teoretycznie pozycja w strukturze. I niestety presja. Oficjalnie: wizja i misja czyli szlachetne pobudki; masa oficjalnych papierów mających ukryć fakt, że chodzi o jedno - wyciągnięcie z rynku jak największej kasy jak najniższym kosztem. Na oficjalnych spotkaniach w większym gronie bułka przez bibułkę, pitu pitu, a na naradach w wąskim gronie presja, straszenie, hasła typu: „rozpalcie ludziom ogień pod dupą”, „jak nie oni to wy”, „człowiek to tylko cyfra”, i tak dalej i tak dalej... Miałam problem z wejściem w ten klimat pogardy dla człowieka, ale tłumaczyłam sobie, że stworzę coś w rodzaju mikroświata w ramach swojej grupy, izolując moich handlowców od wszystkiego co przychodziło z góry, ale było zbędne. Jakoś to szło, aż do czasu, gdy po ... po zjeździe kierowników z Dywizji Europa sprawy poszły dalej - bo wtedy otworzyły mi się oczy.

- Mielśmy suto zakrapiane i pełne atrakcji spotkanie na Malediwach, gdzie nikomu nie przychodziło do głowy rozmawiać o robocie. Chyba poza mną. Wypytywałam z czystej ciekawości, nie sądząc, że to czego się dowiem będzie tak brzemienne w skutkach. Dowiedziałam się, w zwykłych rozmowach przy drinku, nikt z moich kolegów z zagranicy nie robił tajemnicy, że handlowiec z bogatej Anglii, Holandii, czy Niemiec, zbliżonych do nas Czech czy Węgier, a nawet biedniejszej ponoć Rumunii ma o połowę mniejszy plan w liczbach wymiernych. I mało tego - polski handlowiec, mimo że przynosi firmie większy obrót, pensję ma mniejszą, a premię praktycznie niedostępną. Po powrocie

zaczęłam zadawać pytania. Niewygodne, jak się okazało... Broniałam się jakoś, ale oni mieli plan. Zaczęli prześwietlać podległy mi zespół. Ten spóźnił się pół godziny z raportem, tamten przekroczył o mikry procent limit miesięczny kilometrów, inny za często choruje i tak dalej, a ta źle się ubrała na szkolenie, a tamta zbyt wyzywająco miała makijaż na imprezie integracyjnej... Gdyby tak zajęli się wszystkimi w firmie! Ale nie - oni prześwietlali tylko mi podległych... Nie byli głupi, wiedzieli, że będę szukać usprawiedliwienia dla nich, wyjaśnień. Że nie zacznę ich gnębić za drobiazgi. Albo zaczniesz zwalniać, albo zwolnimy ciebie, taką dostałam informację, ale nie wprost, żebym czasem nie poszła z tym do sądu, tylko między wierszami, w białych rękawiczkach. Tu mnie mieli, bo ja tak nie potrafię. I doprowadzili mnie do takiego stanu, że po pół roku sama zrezygnowałam... Widziałam ich zadowolenie, że mnie się pozbyli. Został jedynie mail, że taka a taka „postanowiła kontynuować karierę zawodową poza strukturą naszej firmy”. I koniec.

- Jak się z tym czułaś?

- Byłam dumna, że się nie sprzedałam, zadowolona z siebie, gdzie tam zadowolona - to była raczej euforia! Ale w dwa dni wszystko się urwało...

- Bo?

- Bo Ci których broniłam się ode mnie odwrócili. Na piętnaście osób tylko jedna koleżanka dała znać, że chce się umówić na pożegnalnego kielicha... Reszta nawet nie zadzwoniła...

- Przykre...]

- Koszmarne. Najpierw zaskoczenie, potem niedowierzenie, a na koniec kompletne załamanie. I niestety lekarz. Prochy. Potem terapia. Cztery miesiące bez jakichkolwiek rezultatów. Aż pewnego dnia... Jechałam wtedy do mamy i zabrałam się autem z chłopakiem koleżanki. Włączył płytę. Z początku nie słuchałam tekstu, ale melodie były ciekawe. Zaczęłam się skupiać. I wtedy to poszło - te kilka zdań, które zrobiły swoje... Poprosiłam go by to puścił jeszcze raz. I jeszcze raz. Był zdziwiony, ale nie robił problemu. Nie wiem, słuchałam tego może pięć, może siedem razy. I nagle, w ciągu kilkunastu minut wszystko przeszło. Ten cały psychiczny dół, cały stres, cały ten czarny stan duszy zniknął w mgnieniu oka. Nie pomogły leki, nie pomogła terapia. Pomogły słowa Belona.



Leszek Kłysewicz – Drapacz jaj.



Zbigniew Atras – na monumentalnie.



Nieczynna retorta do wypalania węgla drzewnego, zdobyta przez Autora.



Owacje na stojąco w Kinie Końkret, na zakończenie występu teatru z Drohobycza na Ukrainie.



Organizatorki koncertów Delona we Włodawie.



Świetlica więzienna we Włodawie. Pani Elżbieta Robaczewska na tle obrazów autorstwa więźniów i dzieci niepełnosprawnych.



Nieziemskie kwietniki z opon.



U góry: To jesteśmy My, od lewej: Artur Zygmuntowicz, Jarosław Kleinert i Daniel Przychodzień. Poniżej ... bywało ciężko, a nawet bardzo ciężko, wypoczynek przydrożny w miejscowości Wielkie Oczy.

- Które konkretnie?
- Pewnie jest znasz, przyzwyczaileś się, ale dla mnie to było coś cudownego. Mama jak zobaczyła mnie w drzwiach, to się popłakała, bo wiesz, matka widzi wszystko i cierpi podwójnie, a tu wchodzi jej dziecko uśmiechnięte, szczęśliwe, radosne. Takie jak dawniej. Widzisz to?
- Widzę, tylko nie trzymaj mnie w niewiedzy! Co to było konkretnie?
- Już, spokojnie. To leci tak:

*„Dość wytoczyli bań próżnych przed domy kalecy
 Żyją jak żyli, bezwolni, głusi i ślepi
 Nie współczuj, szkoda leż i żalu
 Bezbarwni są, bo chcą być szarzy
 Ty wyżej, wyżej bądź i dalej
 Niż ci, co się wyzbyli marzeń.”*

Część 3 „Listy”

Poprosiłem Adama Ziemianina, Mikołaja Korzistkę i Joannę Belon o krótkie wspomnienia sprzed trzydziestu lat. Napisałi. Na papierze. Odręcznie. Jak ludzie.

Szanowni Państwo.
 Ciąg dalszy nastąpi

Foto. i tekst Artur Zygmuntowicz

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny



bezpłatny dodatek specjalny do społecznego miesięcznika „Wieści znad Orzyca”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a

Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu

Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com

Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiestacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

W publikacji bardzo szeroko wykorzystano materiały książkę pt. „Pamiętniki i korespondencja z lat 1920, 1939-1945”, wydana przez Archiwum Państwowego m.st. Warszawy, Oddział w Pułtusku, w opracowaniu dr Radosława Lolo i dr Krzysztofa Wiśniewskiego

Nakład: 1 000 egz Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy Przasnysz ul. Gdańska 1